

INTROLIGATOR
E. STRZAŁKOWSKI
W KIJOWIE





318841

III

WOLNO-MULARSTWO

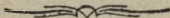
I JEZUITYZM.

PRZEZ

Artura Storcha,

w przekładzie polskim.

Tom III.



WARSZAWA.

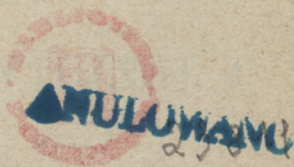
Nakładem Aleksandra Szleifsteina.

—
1873.

830-3-84



474700



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава дня 2 Іюля 1873 года.



I.

Na Sybir.

Skoro urzędnik policyjny oznajmił śmiertelnie przestraszonemu Fellnerowi o przyaresztowaniu go, nie wdawał się w żadne bliższe wyjaśnienia, ostrym tonem dając poznać aresztantowi, że w Warszawie się dowie, co dalej nastąpi. Kufer, przy otwarciu którego Fellner tak mocno był zdziwiony, urzędnik nie tylko zamknął własnoręcznie, ale przyłożył na nim jeszcze pieczęć urzędową na wosku. Na dany znak dwaj kozacy wzięli kufer i włożyli go zaraz na mały ruski żołnierski wózek, *kibitkę* zwany. Poczem urzędnik wskazał więźniowi by wsiadł na drugi dwukołowy wózek. Czterech kozaków konno, zostający pod rozkazami podoficera, stanowili eskortę więźnia, któremu włożono lekkie okowy na nogi.

Urzędnik policyjny umieścił się na trzeciej kibitce i teraz pojechano szybkim kłusem, by zdążyć w porę do najbliższej stacyji kolei żelaznej na pociąg jadący do Warszawy.

Wspaniałej stolicy pięknej Polskiej krajiny buchalter prawie wcale nie mógł widzieć, gdyż przybyli tam dosyć późno i na Bahnhofie czekał już zamknięty powóz który bezzwłocznie więźnia i urzędnika policyjnego zawiózł do tak zwanój cytadeli. Tu nieszczęśliwy buchalter dostał się do małego osobnego więzienia, ciągle jeszcze marząc w złowrogim śnie, i nie chcąc wierzyć w rzeczywistość. Tydzień cały upłynął bez żadnego wysłuchania.

Przez ten czas, wydający się wiecznością nie widział więzień nikogo, prócz starego dozorca więziennego. Ponieważ Fellner nie władał żadnym ze słowiańskich języków, a dozorca rozumiał tylko po rusku, nie było więc żadnej sposobności rozmowy do której i dozorca także nie objawiał wcale ochoty.

Wreszcie buchalter, którego zaczynała już opaniać rozpacz i zwątpienie, został przeprowadzony pod eskortą ze swój celi więziennój do sali badań. Zastał tam audytora, który właśnie w téj chwili był zajęty ścisłą rewizyją wspomnianego już kufra, stanowiącego własność więźnia; zrobiony był także spis wszystkich znajdujących się w nim rzeczy.

Ku wielkiemu zdziwieniu Fellnera w sali badań znajdowali się prócz audytora pseudo handlarz wełny ze Świdnicy, pan Józef Bauer, i dwaj żydzi, którzy pilnowali go w czasie nieprawego aresztowania w Krakowie. Trzej ci mężczyźni powitali go z pewną poufałością, jak starego znajomego. Fellner robił sobie pewne nadzieje, jakkolwiek od dawna już był przekonany, że

ów Bauer był wielkim łotrem i knował złe zamiary przeciwno niemu. Rozmowa między Fellnerem i wspomnianymi trzema panami nie była wszakże możliwą, gdyż za bardzo byli oddaleni od siebie.

Nakoniec usiadł audytor przy biurku, na którym położył różne z kufra wyjęte papiery.

— Jesteście więc gotowi, zaczął audytor zwracając mowę do mniemanego handlarza wełny i dwu żydów, jesteście więc panowie gotowi, swoje zaprzysiężone już zeznania, teraz jeszcze wypowiedzieć tutaj w oczy oskarżonemu?

Trzej mężczyźni przytwierdzili niemym skinieniem głowy.

— Czy wiesz pan, dla czego pana aresztowano i tutaj do Warszawy sprowadzono? ciągnął dalej audytor obracając się teraz do aresztowanego.

— Wcale nie jest mi to wiadomo, gdyż nie poezuwan się do żadnego bezprawnego czynu. Przeciwnie ja chcę wystąpić ze skargą przeciwko dokonanemu gwałtowi, odrzekł Fellner poważnie.

— A więc pan jesteś niewinny? rzekł audytor z szyderskim uśmiechem, to prawda, pan nie ograbiłeś, ani okradłeś, ale pan daleko coś gorszego zrobiłeś, na co mamy aż nadto jasne dowody. Zupełnie nie na wiele przyda się panu utrzymywać, że jesteś Fellner pierwszy buchalter bankiera barona Samuela Goldsterna. Papiery, jakie przy panu znaleziono, i jednozgodne zeznania tych trzech ludzi, aż nadto dostatecznie dowodzą, że pan jesteś od dawna już poszukiwany przez ruską po-

licyją demagog Willibald Fechner, który oddaje swe usługi polskiej emigracyji i od czasu do czasu przekrada się przez ruską granicę, by rozszerzać pisma rewolucyjne jak naprzykład te oto, które w kufrze pańskim znalezione zostały.

Audytor wskazał, kiedy mówił ostatnie wyrazy, na 5 leżących przed nim na stole pakietów, dość znacznej objętości.

Fellner chciał odpowiedzieć, lecz audytor przerwał mu zaraz mowę ostrym pytaniem, czy chce przyznać się, czy nie.

— Jak mogę się do tego przyznawać, co nie jest prawdą! zawołał buchalter uniesiony, żądam, by napisano do Wiednia i sprowadzić kazano świadków, którzy zakonstatują tożsamość mojej osoby.

— Bezwstydnym zuchwalcze! zawołał audytor! Na co zdadzą się dalsze objaśnienia? Kufer należy do pana, pan posiadasz klucze i chciałeś właśnie zamknąć go, kiedy pana aresztowano; dalej rysopis Fechnera zgadza się najzupełniej z rysopisem pańskim, a zresztą dla wszelkiej dokładności, mamy jeszcze przed sobą zaprzysiężone zeznania tych trzech panów. Aby wszystko odbyło się podług prawa, świadkowie teraz do oczu panu powiedzą, że pan przez nich uznany zostałeś jako niejaki Willibald Fechner.

— Jesteście nędznicy! zawołał oburzony buchalter.

— Mityguj się pan! napomniał surowo audytor; nie mogę teraz i nigdy pozwolić na obrażanie tych świadków.

— Nie, ja nie chcę milczeć! wołał Fellner w zapale; te nędzne lotry kłamał!

— Milczeć, wołał audytor, albo za nieprzyzwojite zachowanie się, narazisz się pan na karę dyscyplinarną.

Fellner rzucił zrozczone spojrzenie w górę. Po wszystkim co dotąd doświadczył, nie mógł uważać słów audytora za próżne pogróżki. Musiał więc milczeć, niechciał bowiem narażać się na upakarzającą karę.

— Odprowadzić! zawołał teraz audytor na dozorcę więziennego, wskazując jednocześnie na więźnia, który stał owładnięty niemą rozpaczą. Poczem pożegnał także trzech świadków dając im do zrozumienia, iż nie im nie stoi na przeszkodzie w powrocie do Krakowa, skoro proces domnianego Willibalda Fechnera za skończony uważany być winien.

Audytor zajął się zaraz wygotowaniem referatu, nieomieszkawszy w przygotowanych protokołach zamieścić odpowiednich uwag, tak o nastąpcj konfrontacyji, jak i o upornym zaprzeczeniu badanego.

II.

Rozbicie się okrętu.

Bez najmniejszej zwłoki i tak szybko jak tylko na to pozwalają środki komunikacyjne, pospieszył ban-

kier Goldstern z Wiednia do Neapolu, gdzie jak wiemy przeszło milion guldenów jego pieniędzy narażone było na stratę w skutek domniemanego bankructwa firmy Cerotti.

Tymczasem rzeczy nie stały tak źle jak się zdawało. Goldstern przybył w samą porę i bracia Cerotti, którzy tylko jego przybycia czekali, musieli sobie winszować, że bankier natychmiast objął silną i pewną ręką zwierzchni kierunek ich poplątanych i zachwianych interesów. Praktyczny i bystro widzący Goldstern jasno spostrzegł zaraz z pierwszego przejrzania ksiązek, że firma Cerotti właściwie tylko w chwilowym kłopotcie pieniężnym się znajdowała, i że ograniczywszy w przyszłości nazbyt olbrzymi zakres interesów, i oddalwszy na bok pewne ryzykowne spekulacje, można będzie nie dopuścić upadku domu.

W istocie braciom Cerotti chodziło w tej chwili o jakie dwakroć sto tysięcy guldenów, by zaspokoić naglące zobowiązania i cały świat handlowy w Neapolu był przekonany, że firma Cerotti starać się będzie o prołgaty jako preludium właściwego bankructwa i rujiny. Na powszechnie jednak zdziwienie wszystkich, żądania w jednej chwili i co do ostatniego skuda zostały zaspokojone. Nie na tym się jednak ograniczyła zbawcza pomoc Goldsterna. Rozesłał telegramy do Londynu, Amsterdamu, i Hamburga i w kilka dni nadeszły z tamtąd odwrotną pocztą przeróżne listy kredytowe i interesy wekslowe, tak że dom Cerotti obecnie silniej stanął jak kiedykolwiek.

Bankier zajął mieszkanie w domu braci Cerotti, częścią, by w pierwszych chwilach szczególniej dzień i noc mógł się poświęcić nad wspomnionym uporządkowaniem interesów, częścią zaś dla swoich córek, które w żonach Emanuela i Onofria Cerottich znalazły zarówno miłe przyjaciółki jak gorliwe opiekunki.

Sara i Paulina w towarzystwie tych dam zwiedziły już prawie dokładnie wszystkie osobliwości Neapolu, podczas gdy stary Goldstern nogą jeszcze nie wyszedł z domu. Szóstego dnia po swoim przybyciu, po 16-o godzinnéj dziennie pracy, położył bankier nakoniec pióro. Mógł już uważać zadanie swoje za skończone. Teraz postanowił też rozerwać się cokolwiek i w towarzystwie swoich ukochanych córek obejrzeć miasto i wspaniałe jego okolice.

Nim jednak zamiar ten wprowadził w wykonanie, napisał następnym liścikiem do swéj małżonki.

Droga moja Zuzanno!

Jak musisz już wiedzieć od zastępcy mego pana Felnera, interesa nasze tutaj stoją nadspodziewanie dobrze. Tym gorzej jednak i niebezpieczniej jest z każdym dniem niemal z mojim stanem zdrowia. Nadzieja, że przykre cierpienie, jakiemu już w Wiedniu podpadłem, ustanie, jeśli nie przez samą podróż, to przez pobyt w Neapolu, zupełnie zawiedziona została—gdyż przeciwnie, ciężkość oddechu powiększa się u mnie z każdym dniem, i ja, który w życiu mojim nigdy godziny jednéj nie chorowałem, musiałem wczoraj wezwać pomocy doktora. Doradzono mi używać gorących

wód mineralnych ze źródeł Casamicciola, znajdujących się na poblizkiej wyspie Ischia. Postanowiłem tedy, z Sarą i Pauliną pojutrze tam pojechać. Listy pisane do mnie, gazety, telegramy i t. d. należy jednak jak dotąd adresować na firmę Cerotti. Przedewszystkiem pragnąłbym gorąco jak najprędzej wiedzieć, gdyby doszła jakakolwiek wiadomość o dzielnym moim Felnerze.— Zniknięcie nagle tego człowieka jest dla mnie zupełnie niepojęte i napelnia mnie wielkim smutkiem, tym więcej skoro policya, która musi już o tym wiedzieć, zdaje się że nie trafiła dotąd na pewne ślady.

Pozdrawiam cię i t. d.

Neapol 11 Października 1858 r.

Kiedy Goldstern odesłał list na pocztę przez swego wiernego Szymona, jedynego sługę, którego zabrał ze sobą z Wiednia, chodził przez pewną chwilę zamyślony ze skrzyżowanemi rękami tam i napowrót po pokoju.

— Tak, zaczął nakoniec sam do siebie, tak, maż więc to być ostatni list, jaki dostaje odemnie ta nędzna kobieta. Będzie to radość, kiedy przyjdzie do Wiednia pewna wiadomość od braci Cerotti. Czyż nigdy jednak nie nadejdzie kara jaką obmyślałem dla niej i jej bezbożnego syna? Czy użyczy mi Jehowa życia i zdrowia, bym mógł plan mój wykonać?

Sara i Paulina, wpadłszy w podskokach do pokoju, przerwały mu ten ponury monolog. Serdecznie uściskał swoje ukochane córki i oznajmił im, iż już téj godziny pokoił zupełnie swoje interesy i że zaraz

nawet chciałby pójść rozejrzeć się nieco po Neapolu i jego okolicy.

Dziewczynki radowały się tą wiadomością i przyrzekły służyć za *cicerone* swemu dobremu i ukochanemu ojcu, gdyż, jak już mówiliśmy, pilnie już dosyć miasto obejrzały.

Stary Goldstern wpadał w zachwyt, widząc że Sara i Paulina istotnie zadziwiająco dobrze wywiązują się ze swęj roli przewodnika. Naturalnie bankier w tym punkcie bardzo był łatwy do zadowolenia.

Sztuki i wiedza i wszystko co tylko nie miało bezpośredniego związku z handlem, było zupełnie dla niego obojętnym. Z tego powodu z pośpiechem przechodził przez galerie, biblioteki i znakomite zbiory, co wyraźnie dowodziło, jak mało go interesowały te szacowne i piękne rzeczy. Starożytności nie miały dlań najmniejszego powabu. Wykopaliska z Herkulanum i Pompeji uważał za próżne i nierozsądne marnowanie czasu i pieniędzy. Za to porty a właściwie gmachy celne o wiele więcej zwróciły na siebie jego uwagę i tutaj znowu ze swęj strony Sara i Paulina pojąć nie mogły, dla czego ich dobry ojciec tak wielką znajduje przyjemność przechadzać się całemi godzinami pomiędzy nie zawsze pachnącemi pakami towarów i rozpytywać się z wszelkiemi szczegółami o ich pochodzenie, przeznaczenie, cenę i gatunek.

Również i dla piękności natury pocziwy nasz bankier był najzupełniej nieprzystępny i wielki wspa-

niały urok jaki Neapol przez swoje cudowne położenie mimowolnie wywiera nawet na najbardziej obojętnym człowieku, wcale nie przemówił do duszy Goldsterna. Szczególniej jest zachwycający widok Neapolu i jego zatoki, kiedy się do ostatniej wjeżdża przez kanał, utworzony z prawej strony przez małą wysepkę Procydę z lewej strony przez przylądek Miseno.

Przylądek Miseno jest to pagórek skalisty, który długim wązkim językiem zawieszony jest nad lądem stałym; ponura opuszczona wieża stoi na nim niby duch jaki i poważnie na dół spogląda. Tym miliej witają nas wesole białe domy Procydy, błyszczące na słońcu swemi wypolerowanemi dachami.

Patrząc z tego punktu na wielkie malownicze góry, otaczające miasto, a w głębi na ciemno-błękitną zatokę, zdaje nam się, żeśmy uchyłili furtkę od raju ziemskiego i, jak bardzo trafnie poeta Sannazar powiedział: „ujrzeliśmy kawałek nieba, spadły na ziemię.“

Wyobraźmy sobie, że używamy podobnej małej przejażdżki. Powiewa świeży wietrzyk poranny; jak błyskawica szybko przerzyna fale, nasza *Stella* ze swoim wydętym jedynym żaglem a balwany igrają wesoło pieniać się około piersi małego statku. Jaśniejące od promieni słonecznych, przed nami leży lekko drżące morze; nad nim uśmiecha się błękitne włoskie niebo. Teraz ukazuje się *Capri* niby dziwnie ukształtowana chmura na skraju horyzontu. Statek kieruje się na lewo; kawałki lądu ukazują się jedne po drugich. Teraz spostrzegasz miasto *Puzzuoli*, następnie małą *Nisidę*,

prawdziwą wyspę czarodziejską z romantycznym zamkiem na skale, a za nim zielony pagórek *Posilipo*; wreszcie szeroko rozpostarty i wznoszący się w amfiteatr z 5-ma fortecami wspaniały Neapol z całą jego pięknoscia i powagą.

Neapol jest miastem najludniejszym w całych Włoszech. Liczy on pół milijona mieszkańców, a okolice jego bez zaprzeczenia należą do najpiękniejszych na całym globie. Co najwyżej miasto Meksyk pod względem piękności może z nim ubiegać się o lepsze. Z tego powodu od najdawniejszych czasów i teraz Neapol jest miastem wielce pożądanym dla cudzoziemców i w każdej porze rok rocznie tysiące ludzi tutaj napływa, by na brzegach cudownie rozkosznej zatoki pokrzepić siły i podratować zdrowie. Pod względem historycznym za to ta część włoskiego półwyspu zostaje daleko w tyle. Hojnie uposażona ziemia, łagodne, rozkoszne niebo osłabia i zabija energiją i siłę woli w człowieku.— Ztąd Neapol nigdy nie był teatrem jakichś uderzających działań politycznych, literackich lub też na polu sztuki i dla życia państwowego i rozwoju Włoszech na zawsze pozostanie bez większego znaczenia. Kto we Florencji widział ognisko włoskiego odrodzenia, w Rzymie stolicę znikłego, olbrzymiego świata, a nawet w Pizie i Syjennie badał świetne czasy kwitnienia średniowiecznych republik, ten uozuje się w Neapolu boleśnie rozczarowany. Uderzającym jest w Neapolu brak istotnie pięknych i imponujących budowli, nie ma tu także zbiorów sztuki; pod tym względem jednak podniósł się nie-

co Neapol dopiero od kilku dziesiątków lat przez cenne wykopaliska z Herkulanum i Pompeji, które zupełnie z nowej strony dają nam poznać życie starożytnego świata. Nadto rodzaj budowy gmachów w Neapolu nie jest pociągającym.

Uliczki po większej części ciasne, często ciemne, domy nawet wąskie, wysokie i niewygodne. Bezustanny gwałt, jazda na wszystkich punktach niezliczonej liczby wozów od świtu aż do późnej nocy, trzaskanie z biczków i przerażające ryki osłów i mułów, ciągłe nawoływania; wszystko to stawia Neapol w rzędzie najhałaśliwszych miast w świecie. Prócz tego cudzoziemiec na każdym kroku niemal do wysokiego stopnia jest tu udręczony natręctwem żebraków, przekupniów i cyceronów, którzy zaczynają od miny pokornej, a kończą na najbezwstydniejszych przechwałkach i tylko nadzwyczaj surowym obejściem można się pozbyć tego wstrętnego motłochu.

Wyjazd bankiera Goldsterna z Neapolu przyspieszony został niespodziewanym wypadkiem. Stary ten człowiek, który zawsze prowadził życie nader umiarkowane i prawie zupełnie nie używał trunków, był za to aż do fanatyzmu niemal zwolennikiem metody prysznic i zwykł był już przed pierwszym śniadaniem wypijać kilka dużych szklanic wody. Przyzwyczajenie to jednak bardzo dotkliwie dało mu się uczuć w Neapolu, gdzie woda do picia jest szkaradna. Na silną i niebezpieczną dyssenteryją, jaka go zaatakowała, lekarz nie

umiał mu lepszego środka doradzić, jak by co najprędzej przeniósł się na pobliską wyspę Ischia.

Miejscowa wyborna woda źródłana i białe, bardzo lekkie i mocno kwaśne wino, produkt wyspy Ischia, w kilka dni najzupełniej postawiły go na nogi. Goldstern załował mocno, że nie było mu dozwolonym, dłużej zabawić na téj rozkosznej wyspie. Podobnie jak i sąsiednie wyspy Procida i Viwara, powstanie wyspy Ischia jest czysto wulkaniczne, któremu też ona zawdzięcza dzisiejszą swą wspaniałą postać i niezrównaną urodzajność. O tym powstaniu jéj przypominały w poprzednich wiekach powtarzające się straszne wybuchy góry *Epomeo*. Góra ta wysoka na 2356 stóp, zwana także San Nicolo wyrzucała z siebie ogień nierównie dawniej od Wezuwiusza, a wybuch *Epomeusa* lub *Epoposa* w r. 474 przed nar. Chr. wygnał z wyspy całą pierwiastkową ludność grecką. Podobnież i w późniejszych wiekach góra *Epomeo* wyrzucała ogień w górę i z boków, ale od czasu jak Wezuwiusz z pewną akuratnością od czasu do czasu przedsiębrał swe prace wulkaniczne, Ischia niby wentyl bezpieczeństwa zaprzestała swéj strasznej podziemnej działalności ogniowej, a mianowicie od r. 1302, kiedy miał miejsce ostatni tutaj wybuch. Wydatna rola, jaką kiedyś odgrywała góra *Epomeo* jako wulkan, natchnęła starożytnych poetów mytem, jakoby olbrzym *Tiphoeus*, trafiony gromem *Jupitera*, pochowany leżał pod tą górą, podobnie jak olbrzym *Enkoladus* pod *Etną*, i że jęki tego olbrzyma sprowadzają wybuchy.

Ischia ma przeszło 5 godzin obwodu, nie licząc w to wielu buchtów i liczy przeszło 28.000 mieszkańców z czego 6.000 przypada na miasteczko tegoż nazwiska.

Z tak stosunkowo bardzo wielkiego zabudowania wyspy bardzo jest rzeczą naturalną, iż, kiedy się wejdzie na górę Epomeo i rzuci w około okiem na ten rozkoszny kawałek ziemi, wysepka zdaje się niby usianą domami, domeczki te, w rzędzie i otoczone winnicami, ogrodami tym bardziej uderzają w oczy, iż potynkowane są na biało. Ponieważ na wyspie Ischia nie ma wcale łąk i pastwisk, chodują więc tu tylko osły i kozy. Na całej wyspie nie ma ani jednego wozu. Kto nie chce tutaj chodzić piechotą, musi wsiadać na długoucha. Właściwy dyjalekt, kształt i obejście się wyróżniają mieszkańców tej wyspy, na której wyraz moda nawet w jego właściwym znaczeniu nie jest znany. Mieszkańcy pędzą tu życie nadzwyczaj skromne, bez trosk i wesołe. Tańcowi, kobiety i dziewczoje na wyspie Ischia namiętnie się oddają i nigdzie nie zobaczysz *Tarantelli* (rodzaj tańca włoskiego) piękniej i wdzięczniej wykonanej. Zwykle Tarantella tańczoną bywa przez dwie tylko dziewczyny, trzecia bije w tamburino i śpiewa skarżę na oddalonego lub nieszczęśliwego kochanka albo też pocieszanie się po wzgardzonym, stanowi zwykłą treść śpiewu. Tancerki stają na przeciwko sobie, chwytają obiema rękami końce swych szerokich fartuchów i skaczą na prawo i lewo. Już to odrzucają lewą rękę na stronę i trzymają fartuchy prawymi wysoko w górze, już to obciągają je wązko około kolan. Co chwila zmie-

niają swą postawę i grę z fartuchem. Już to przebiegają około siebie, już to lekkim zgięciem kolana i dygiem nogi dają znak do zebrania się w środek, puszczają fartuchy, kręcą się w kole i klaszczą jednocześnie wyciągniętymi w górę rękami w kastaniety lub naśladują ich odgłos palcami.

Jakoś w tydzień, od czasu jak bankier znajdował się ze swemi dwiema córkami na téj cudownej wyspie, na tak zwanym jeziorze Ischia, które leży w półgodzinnej odległości od miasta i pierwotkowo było głęboko zapadniętym kraterem góry Epomejskiej, zaś w nowszych czasach przez połączenie z morzem zamienione zostało na wspaniałą i bezpieczną zatokę— zarzucił kotwicę mały lecz elegancki jacht żaglowy, na którego pokładzie znajdowało się trzech tylko ludzi, liczba dość zresztą wystarczająca do obsługi małego statku.

Pomimo skromnych rozmiarów i nadzwyczaj wysmukłej budowy, jacht ten, który po obu bokach na *buges* (przednich częściach statku) nosił złotemi literami wypisane nazwisko *Wiktoryja*, był bezpieczny i dobrze wyprobowany do jazdy na wodzie. Należał on do niedawno zmarłego w Neapolu Anglika, który dla własnej przyjemności kilkakrotnie na nim przejeżdżał się między kanałem la Manche i morzem Śródziemnym. Za bajecznie niską cenę kupili na publicznej licytacji bracia Cerotti na rachunek Goldsterna, *Wiktoryją*, która, by zaraz użyć jej do jazdy, nie potrzebowała żadnych napraw ani uprzednich przygotowań; stary esquire Hamilton, przez nadmierne użycie ostryg i wina malagi,

został zaskoczony przez śmierć właśnie w tym samym dniu, w którym piękny jego jacht już przygotowany był do wycieczki na morze czarne.

Już w kilka godzin po wplynięciu z morza do Ischii, wyjechał powtórnie jacht Wiktoryja na wodę z bankierem Goldsternem i córkami jego na pokładzie, trzymając się w swym biegu kierunku północno zachodniego. Lekki wietrzyk wydymał jedyny żagiel jachtu, który dumnie i spokojnie jak łabędź sunął po lekko zmarszczonych bałwanach.

Wiatr dął tak jednostajnie i ruchy statku tak były łagodne i miarowe, że młody człowiek, który stał dotąd u steru, mógł tenże przywiązać, bez obawy, że jacht zboczy choćby na linię jedną od żądanego kierunku, gdyż wiatr szedł prosto z tyłu na żagiel.

W bliskości jedynego masztu jachtu, a więc w środkowym punkcie pokładu, zajęli miejsca na kajutowych krzeselkach, Goldstern, Sara i Paulina, by nacieszyć się wspaniałym widokiem zachodzącego słońca. Do ich towarzystwa prócz wspomnianego sternika przyłączył się także drugi młody człowiek, który dotąd zajęty był na przedniej części statku.

Ci dwaj młodzi ludzie, z który jeden liczył lat dwadzieścia dwa, drugi zaledwie dwadzieścia, byli bracia stryjeczni, synowie panów braci Cerotti. Zamiast handlowi poświęcili się oni wyłącznie służbie na morzu i odbyli już swe egzaminy z bardzo dobrym rezultatem na *capitani mercantili* (kapitanów statków handlowych). W pierwszych miesiącach następnego ro-

ku mieli przyjąć dowództwo nad dwiema statkami kupieckimi, jakie zamierzał wyprawić dom Cerotti do Chin i Indyj zachodnich. Trzecim indywiduum, które tworzyło załogę jachtu Wiktoryja, był stary, dziki i ponuro spoglądający Malajczyk, bardzo mało rozumiejący po angielsku. Zresztą człowiek ten wyglądał na bardzo wytrawnego majtka i widocznym było jak każdy dany mu rozkaz wypełniał ślepo na proste skinienie.

Goldstern zaprosił obu młodych ludzi, by zajęli miejsca obok Sary i Pauliny. Z lekkiego zarumienienia się panienek i bojaźliwego spojrzenia młodzieńców łątwo można było odgadnąć, że piękne parki nie spoglądały na siebie obojętnymi oczami. Przyszli kapitanowie statku mieli imiona jak ich zaci ojcowie Emanuel i Onofrio i pierwszy z nich był starszy, drugi młodszy.

Między dwiema kuzynkami, którzy w rzadkiej harmoniji od lat najmłodszych żyli ze sobą, zaznajomienie się z pięknymi, tak niewinnie naiwnymi córkami bankiera Goldsterna nie dawało powodu do żadnego nieporozumienia, gdyż ich skłonności i pod tym względem wcale się nie krzyżowały. Emanuel pałał miłością dla Sary, a Onofrio dla Pauliny. Panienki, które nigdy jeszcze nie doświadczały, co to znaczy rozkosz i cierpienia miłości, oddały się całkowicie słodkim uczuciom, jakie wzbudziły w nich pełne skromności nadszkwania ładnych kuzynków, uczucia, z jakich wcale sobie właściwie rachunku zdać nie były w stanie. Pomimo ich całej prostoty uczuć i niedoświadczenia wkrótce się jednak przekonały, że wzbudzone w nich przez rozmo-

wę z kuzynami Cerotti uczucie jest innéj natury jak życzliwość, jaką czuły dla swego jedyne go i najbliższego krewnego pięknego Izydora, mianowicie za czasów dziecinnych, kiedy marnotrawny jedynaczek nie był jeszcze zupełnie zepsuty i chociaż kiedy niekiedy spędzał chwil kilka między dobrmi siostrami.

Stary Goldstern, który daleko lepiej znał się na kurscetlu jak na tajemnych psotach Kupida, nie przeczuwał nawet, by między jego córkami i synami jego przyjaciół związał się poważny na seryo stosunek miłosny. Uważał owe ciągle nadskakiwania jakie Emanuel i Onofrio okazywali jego córkom, za zwykłe grzeczności i za prosty obowiązek wdzięczności, gdyż tak niespodzianie dopomógł ich ojcom w bardzo krytycznym położeniu. Wiadomość o istotnym stanie rzeczy byłaby mu się z pewnością w wysokim stopniu niepodobała.

Stary Goldstern, jak wiemy był żydem prawowiernym czystéj wody, ze wszystkiemi cnotami, przymiotami i wadami takiego i nie mógł był nigdy dopuścić myśli, by jego córki mogły zaślubić kogo innego jak izraelitów, a kuzyni Cerotti byli chrześcianinami. Najmniejsze przeczucie, że między jego córkami i młodemi ludźmi powstać mogła miłość, byłoby go z pewnością skłoniło zaradzić temu prędko i stanowczo.

Wspaniały widok zachodzącego słońca zbliżał się już ku końcowi. Mocna czerwoność na horyzoncie zaczęła blednąć coraz bardziej.

Emanuel oglądał się kilkakrotnie ku brzegom Włoszech, które teraz dały się spostrzegać tylko niby

czarne strefy, nad którymi jak olbrzymi kolos wznosiły się Apeniny.

— *Per bacco!* szepnął Emanuel do ucha swemu kuzynowi. Obejrz-no się ku lądowi. Te białe żółte chmury wcale mi się nie podobają; zanosi się z tego na silny *Siroko*. Założę się, że téj jeszcze nocy będziemy mieli dużo do roboty.

— Z pewnością, potwierdził Onofrio podobnież cichym głosem, by nie przestraszyć blisko siedzących pa-nien, będziemy mieli silną burzę.

— Nie powinno nas to jednak wcale zastraszać! my-ślał Emanuel spokojnie. Jacht ją na pewno wytrzyma.

Bankier przystąpił teraz do młodych ludzi i przer-wał tym sposobem ich tajemną rozmowę.

— Jak prędko sędzicie, zbliżymy się do wyspy Elby? zapytał Goldstern posługując się włoskim językiem, gdyż ani Emanuel ani Onofrio nie rozumieli po nie-miecku.

— Jeśli oznaki nas nie mylą, odrzekł Emanuel, dzi-siejszej jeszcze nocy zerwie się z południowo wscho-dniej strony mała burza i pędem strzały doprowadzi nas do zamierzonego celu. Moglibyśmy jutro o tym czasie w wiadomym buhcie na Elbie zarzucić kotwicę.

— Czy spodziewasz się pan, że się nam uda, istotnie zamiar nasz przeprowadzić? zapytał bankier z namy-słem.

Na dany znak przez niego Sara i Paulina oddaliły się do kajuty.

— Bez wątpienia, odrzekł Emanuel z upewnającą

miną; ale szkoda, niepowetowana szkoda tego pięknego, wspaniałego jachtu! Istotnie zasłużył sobie na lepszy los, jak żebyśmy go własnymi rękami mieli zatapiać. Nie przeczę, że z równą by mi to przyszło przykrością jak zabić człowieka! Ale co to pomoże—nie ma innego środka, by przeprowadzić głęboko obmyślany plan pański i kazać ludziom by myśleli, że pan i jego córki już nie żyją.

— Czy jednak kapitan statku do Indyj zachodnich wysłany, którego spodziewamy się spotkać przed Elbą, nie stałby się winnym niedyskrecji? zapytał niespokojnie bankier.

— Kapitan Buratti jest nadzwyczaj zacny człowiek, podniósł głos Onofrio, dotrzyma on wiernie swego przyrzeczenia. Jak panu wiadomo, ten człowiek jest podobnie jak ojcowie nasi wolnomularzem i przyrzekł na braterskie słowo, wspierać pana radą i czynem w jego zamiarze.

— Dziwni to ludzie, ci wolnomularze, rzekł śmiejąc się Goldstern, chciałbym jednak wiedzieć, co to właściwie ma za związek z tym tajemnym zakonem.

— A więc, odrzekł krótko Emanuel, temu możnaby wszakże łatwo zaradzić; zastanów się pan, panie Goldstern.

— Może i panowie należycie także do towarzystwa wolnomularzów? zapytał znowu bankier nie bez pewnej ciekawości.

— Jako synowie wolnomularzów, jako tak zwani Luf-towie, odpowiedział Onofrio, moglibyśmy wprowadzić

żądać, by nas przyjęto przed wymaganym dojściem do pełnoletności jako członków rzeczywistych; jednak ani ja, ani brat mój nie korzystaliśmy wcale z tego przywileju, gdyż my właśnie żadnych przywilejów nie uznajemy.

— Więc demokraci najczystszej wody! rzekł śmiejąc się bankier. Jednak do rzeczy głównej, moi panowie. Jak właściwie zamysłacie przeprowadzić plan mego zniknięcia? Ja się w tym wypadku zadowolniłem objawieniem tylko powierzchownie ojcom panów moich zamiarów, resztę zostawiając dla lepszej głowy jak moja do podobnych rzeczy.

— Wszystko się zrobi po prostu i bez żadnego niebezpieczeństwa, odrzekł Emanuel, któremu, jako starszemu powierzone było wykonanie. — Jak skoro tylko nas Buratti zobaczy blisko Elby, i po szczególnym znaku pozna jacht, zdejmie kotwicę i wypłynie na otwarte morze, gdzie się do niego na milę zbliżemy. Na dany znak, *Ettore*, tak zowie się trzymasztownik, wyśle łódź, by wszystkich nas zabrać; w tej samej chwili, kiedy opuścimy jacht, podłożymy pod niego ogień. W obec wielu palnych materyj, jakie umyślnie wzięliśmy na pokład w Neapolu, dzieło zniszczenia tak szybko się uskuteczni iż nawet bardzo blisko znajdujący się cudzoziemski statek, za późno przybędzie z pomocą lub chęcią ratunku. Pan, panie Goldstern, panny i malajczyk, pojedziecie dalej na statku *Ettore*, podczas gdy ja wraz z Onofriem dopłyniemy łódką do Elby i tam rozgłosimy wia-

domości o strasznym nieszczęściu, w którym czworo ludzi życie straciło.

— Bardzo dobrze obmyślane, mój przyjacielu! zauważył po pewnym namyśle bankier, ale, ale w każdym razie rzucamy się na bardzo zuchwałą grę. „Nie trzeba malować djabła na ścianach,“ powiada stare przysłowie; jednak, mój dobry Boże, czyż mogę postąpić inaczej? Wy i wasi zacni ojcowie, moi panowie, zostaliście wtajemniczeni przezemnie w straszny dramat familijny, którego teatrem o mały włos nie stał się dom mój w Wiedniu. Obowiązek zachowania siebie, obowiązek mój jako ojca nakazuje mi, uchronić się przed zatrutemi strzałami moich nieprzyjaciół powodowanych chciwością i zemstą, gdyż przeciwko mnie skierowane, a nie posiadam żadnej tarczy.

— Niestety aż nadto wszystko prawda! przytwierdzili razem obaj młodzi ludzie i zimny dreszcz ogarnął ich na straszną myśl, że Sara i Paulina, te piękne pączki różane, które zapaliły ich serca pierwszą i najczystsą miłością tak łatwo mogłyby paść ofiarą niegodnych intryg *braci nocy*.

Pierwsze oznaki przepowiedzianej przez braci burzy były już bardzo widoczne. Zaczął dąć już silny, nagły wiatr Bō zwany. Trzej majtkowie na pokładzie zaczęli teraz gorliwie pracować. Goldstern zbiegł do kajuty do swoich córek, gdyż teraz na pokładzie nie tylko że przeszkadzał, ale nawet zaczął już tracić równowagę. Szybko wielki żagiel wydęty został wiatrem i pomost ze wszystkich stron zalewał się napływającymi

falami. Była to stanowcza chwila. Z wielką gwałtownością rozszalała się teraz burza wśród potopowego deszczu. Emanuel zajął miejsce przy sterze, Onofrio umieścił się przy wystającej przedniej części statku, małajczyk zaś pod masztem bystrym i doświadczonym okiem badał, czy wszystko przy statku dobrze jest przywiązane.

Pomimo że Emanuel zręcznie jak tylko można władał sterem, jacht jednak zaczął się chwiać na wszystkie strony i już to podnosić się w górę na bałwanach, już zapadać w otchłanie wody.

Noc była nadzwyczaj ciemna; od czasu do czasu ukazywały się błyskawice, które jak olbrzymi, nieskończony fajerwerk oświetlały całą przestrzeń horyzontu i czyniły okropniejszą jeszcze następującą po nich głęboką ciemność.

Trzem nieprzyzwyczajonym do morza pasażerom było w kajucie niewypowiedzianie straszno, tym więcej gdy zaczęli już podpadać silnym atakom morskiej choroby. Biedne panienki leżały jęcząc i płacząc a nieszczęśliwy Goldstern niezdolny członkami poruszać, sądził, iż zbliża się ostatnia godzina.

Wprawdzie Onofrio z wielką pilnością co chwila przychodził ich doglądać, ale nic nie mógł im pomódz, gdyż przeciwko morskiej chorobie niema żadnego środka. Cała więc jego pomoc musiała się na tym ograniczyć, iż podawał orzeźwiający napój trzem chorym, by nie dać złośliwemu Neptunowi daniny. Mógł on się

jednak zawsze zaledwie chwilkę w kajucie zatrzymać, gdyż obecność jego niezbędną była na pokładzie.

Tymczasem burza srożyła się z szaloną wściekłością, a w małych przerwach, jakie rozgniewany Eolus na to tylko zdawał się robić, by później gwałtowniej jeszcze szturmować, lał deszcz tak ulewny, jak gdyby niebo rozwarzyło wszystkie swoje upusty.

Emanuel i Onofrio z niewypowiedzianym upragnieniem i obawą wyglądali rozświtu. Ponieważ w tej nocy okropnej zaledwie rękę przy twarzy rozróżnić można było, ciągle się więc lękali, by nie uderzyć na jaki drugi statek, gdyż, w razie gdyby tenże był większy, jacht w momencie musiałby pójść na dno. Szczęściem, że passażerowie w dobrze oświetlonej kajucie wcale o tej możliwości nie myśleli; Goldstern, Paulina i Sara właściwie o niczem nie myśleli, gdyż słabość pozbawiła ich prawie przytomności.

Nakoniec zaczął szarzeć poranek. Emanuel i Onofrio oddali teraz ster Malajczykowi, by przegląd zrobić, to znaczy, by zoryjentować się, w jakim miejscu teraz się mogą znajdować. Przy silnym chwianiu się jachtu, naturalnie o matematycznie dokładnym oznaczeniu stopnia szerokości i długości geograficznej mowy być nawet nie mogło; tymczasem było rzeczą pewną, iż w przeciągu ostatnich 12-u godzin zoczyli około 140 mil (4=1 niemieckiej mili) w północno zachodnim kierunku. W godzinę później przekonali się, iż rachowali bardzo dobrze, gdyż kiedy się dzień zrobił zupełny, uj-

rzeli z prawej strony skały granitowe małej wyspy Monte Christo.

Dwaj młodzi marynarze odetchnęli swobodnie i dziękowali łaskawemu Stwórcy, że ich uchronił od niechybnego niebezpieczeństwa rozbicia. Gdyby był Emanuel skierował się w nocy o jedną linię więcej ku północy wschodowi, jacht jeszcze przed świtem wpadłby na wybrzeża Monte Christo i wtedy nawet nie można by było myśleć o ocaleniu.

Monte Christo, która niespodziany rozgłos swój zawdzięcza romansowi Aleksandra Dumasa, noszącemu ten sam tytuł, jest to pusta, bezpłodna wyspa skalista, której nieliczni mieszkańcy głównie utrzymują się z połowu ryb. Za Rzymian jednakże Monte Christo, wówczas Igiliun zwana, dawała przytułek daleko przyjemniejszy jak dzisiaj, gdyż tu i owdzie na jej brzegach znajdujemy szczątki rzymskich wspaniałych budowli.

Z brzaskiem dziennym burza powoli ustala. Niebo się rozjaśniło i morze zaczęło się uspakajać.

Okolo południa Wiktoryja dojechała do dobrze utrzymanego i przez Hiszpanów ufortyfikowanego portu Longone na wschodniej części wyspy, gdzie się spodziewano znaleźć kapitana Buratti, stojącego na kotwicy, by poczynić ostateczne układy, co do mającego nastąpić spotkania się na otwartym morzu.

Trzymasztowiec Ettore, który wczoraj wieczór wypłynął z Piombino, zaskoczony przez Sirocco, nie mógł przybić do portu Longoné. Buratti uważał

się za szczęśliwego, że zdołał dostać się bez przypadku do portu Ferrajo, leżącego na północnej stronie Elby i zarazem stołecznego miasta téj wyspy. Ponieważ jednak port Longone i port Ferrajo są tylko o małą godzinę drogi od siebie oddalone, Buratti wysłał do pierwszego z tych miejsc łódkę, by zawiadomić jacht Wiktoryja.

Goldstern i jego córki bardzo się uradowali, że mogli choć na czas krótki oprzeć się żywiołowi, wybrali naturalnie do portu Ferrajo drogę lądową, podczas gdy kuzyni Cerotti i ponury malajczyk natychmiast na Wiktoryi opuścili port Longone. Ponieważ jednak przy ciągle jeszcze wiejącym wietrze z południo wschodu nie było wcale łatwym zadaniem opłynąć z boku przylądek, który leży między dwiema wspomnionemi portami, musiał jacht lawirować prawie aż do Piombino, zanim się mógł obrócić i udać w zachodnim kierunku ku Porto Ferrajo.

Bankier, Sara i Paulina, którzy krótką podróż na osłach odbyli, znaleźli więc dość wolnego czasu, do obejrzenia małego lecz czyste utrzymanego miasteczka Porto Ferrajo, które w kształcie amfiteatru zamknięte jest górami. Na samym szczycie góry znajduje się wieża, Torre di Giove (wieża Jowisza), znak przestrogi dla marynarzów. Sama zatoka jest zasłoniąta od wiatrów północnych przylądkiem Capo della Vita. Już w odległej starożytności wyspa Elba, którą Grecy Aethalia a później Rzymianie Ilva zwali, słynną była ze swego żelaza. W średnich wiekach Elba należała z kolei do

Pizy, Genui, Lucci i Piombino, aż nakoniec cesarz Karol V, podarował ją wielkiemu księciu Florenckiemu Cosimowi I, który w r. 1548 wzmocnił zatokę Porto Ferrajo. Wywóz żelaza do dziś dnia jeszcze stanowi najglówniejszy artykuł handlu wyspy; kopalnie jeszcze przez Etrusków eksploatowane znajdują się bardziej w głębi wyspy, w okolicy zwanój Rio, gdzie dotąd leżą pokłady rudy i dają bogaty dochód.

Goldstern i córki jego zwiedzili także mały pałacyk, który zamieszkiwał cesarz Napoleon I od 5-go maja 1814 do 26-go lutego 1815 r. po pierwszój detronizacyji. Budynek ten, służący teraz za mieszkanie gubernatorowi, leży na wzniesieniu nad zatoką, między zbudowanymi przez Cosima I fortami Stella i Falcone, z widokiem z frontu na zatokę, z tyłu na morze ku Piombino.

W samój zatoce zadziwiły naszych podróżnych niezmierne massy tuńczyków i sardeli, które zapakowane w beczkach, czekały na wysyłkę. Połów tych dwu gatunków ryb jest szczególniej w okolicy Elby bardzo zyskowny i stanowi wraz z eksploatacyją żelaza główne zajęcie 22,000 mieszkanców, którzy zajmują wyspę, liczącą obwodu siedm mil kwadratowych.

Sara i Paulina, które już pozbyły się zupełnie dolegliwych cierpień ostatniej nocy, miały ochotę zrobić wycieczkę nagórę Capanne, którój wierzchołek wzniesiony na 3,000 stóp nad morzem i z którój roztacza się wspinały widok nietylko na całą wyspę, ale nawet daleko na morze. Temu jednak stanowczo sprzeciwił się stary Gold-

stern. Czuł on się jeszcze jakby złamany i od czasu do czasu zdawało mu się, jakby nagle ziemia się pod nim zapadała; byłto skutek dalszy morskiej choroby, któremu wielu ludzi przez dość długi czas podlega.

Do téj wycieczki zresztą dość było czasu, gdyż kapitan Buratti, przez czas gdy Ettore stał na kotwicy w Porto Ferrajo, postanowił zabrać jeszcze na pokład żelazo, w skutek czego dopiero następnego dnia pod wieczór mógł wypłynąć na morze.

Emanuel i Onofrio naturalnie byli z téj zwłoki nie mniej zadowoleni jak obie siostry, które w towarzystwie dwu kuzynów bardzo się czuły szczęśliwe, nie mogąc dociec istotnej tego przyczyny.

Nakoniec zbliżyła się tak dla Ettore jak i Wiktorji godzina opuszczenia pięknego Porto Ferrajo.

Trzymasztowiec podniósł kotwicę na godzinę przedtem nim sygnał działowy z fortu Stella objawił zamknięcie zatoki. Jacht przeciwnie dopiero wtedy wypłynął, gdy dany już został wspomniony sygnał. Ponieważ Wiktoryja blisko dwa razy tak prędko żaglowała jak ciężkiej budowy i obladowany Ettore, można więc było z pewnością jeszcze przed północą dopędzić umówionego miejsca między kuzynami Cerotti i kapitanem Buratti w pobliżu wyspy Kaprery.

Jakkolwiek i dziś jeszcze morze nieco huczało, pogodę jednak, w porównaniu z wczorajszą, można było nazwać wyborną a Goldstern i córki jego uczuwali tylko bardzo lekkie ataki owego przykrego cierpienia, które już poznali przedtem bardzo dokładnie. Dalszą

pociechę czerpało troje podróżnych z wielokrotnych zapewnień Emanuela i Onofria, iż na pokładzie wielkiego trzymasztownika czuć się będą daleko swobodniejszymi, gdyż ciężki statek daleko mniej poddawał się wściekłości bałwanów, jak wątły i wysmukły Wiktoryja.

Około godziny 10-ój wieczór ukazał się Onofrio, donosząc, że najdalej za pół godziny ukaże się już Et-tore, że więc czas już był, by się szanowne państwo szykowało się do przeniesienia się na tamten statek.

Ponieważ kilka kufrów znajdowało się już na pokładzie, Goldstern i córki jego mieli tylko sakwojaże do przygotowania. Sara i Paulina jednak nie mogły przyjść z niemi do porządku. Szukały czegoś po wszystkich kątach kajuty, pod krzesłami i stołami, aż w łózkach, słowem wszędzie i w końcu były tém mocno zdziwione i zaniepokojone.

Wielka niespokojność i zakłopotanie pańienek uderzyła wreszcie bankiera.

— Co wam się stało, moje dzieci? zapytał stroskany Goldstern.

— Nie znaleźliśmy naszych szkatulek z kosztownościami, rzekła Sara.

— A ja wiem jednak dobrze, że przy odjeździe z Ischiji sama je starannie schowałam do szafki, dodała rezolutnie Paulina.

— I od tej chwili już żadna z nas się ich nie dotykała, dopełniła Sara niemniej pewna tego, co twierdziła.

— Aj do kroćset! zawołał Goldstern zdziwiony, a więc kradzież spełnioną została i ja domyślam się jej

sprawcy. Nikt inny tego nie uczynił, tylko ten miedzianego koloru, malajczyk, co tam jest na górze; on wczoraj był przez cały dzień sam na statku i przypominam sobie teraz, że łotr ten był bardzo strwożony i zakłopotany, kiedyśmy przybyli wieczór z ładu.

Po tych słowach bankier zawołał głośno na dwu kuzynów, którzy natychmiast w kajucie się ukazali i dowiedzieli o zniknięciu obu kosztownych szkatulek.

Tak Emanuel i Onofrio zaraz byli niemal przekonani, że sprawcą kradzieży mógł być tylko malajczyk; postanowiono niespodzianie go przytrzymać i obszukać.

Przebiegły łotr, który zupełną nieznaną mowę włoskiego języka tylko udawał, dowiedział się z głośnej rozmowy między Goldsternem i braćmi Cerotti, że czyn jego został odkryty i on już nawet na ten przypadek porobił przygotowania. Łódka od jachtu była już spuszczone na morze, by w razie potrzeby przy przesiadaniu się na Ettore, mógł na niej szukać ratunku.

W téj saméj chwili, kiedy obadwaj Cerotti ukazali się powtórnie na pokładzie, malajczyk wskoczył do łódki i odepchnął się silną dlonią od jachtu.

— Łotrze! zawołali jednym głosem Emanuel i Onofrio, wydobyli każdy pistolet z za pasa i na los dali ognia za zbiegiem.

Przenikliwy krzyk z łódki dowiódł, że przynajmniej jeden ze strzałów musiał trafić.

— Pozwólcie uciekać temu łotrowi! rzekł Goldstern, który nadbiegł z kajuty; obiedwie szkatulki warte wprawdzie co najmniej 30000 guldenów, ale lepiej

uważajcie, moi młodzi przyjaciele, żebyśmy nie stracili Ettore. Czy trzeba było właśnie tego gałgana brać na okręt.

— Była tego wielka przyczyna, panie Goldstern, odrzekł Emanuel, zajmując dawne miejsce przy sterze, by jacht, który zbaczać nieco zaczynał, zwrócić do właściwego kierunku. Malajczyk nie miał nigdy na statku Ettore wrócić do swojej ojczyzny, a nie można było znaleźć w Neapolu innego majtka, któryby pod tym warunkiem zatrzymał w tajemnicy nasze zamiary.

— To prawda! odpowiedział zgadzając się bankier i zwracając się do Onofria, który przez lunetę, wyglądał za upragnionym trzymasztowcem, zapytał go: i cóż, mój drogi przyjacielu, nie widać tam czasem naszego Ettore?

— Zdaje mi się, że się nie mylę, odrzekł zapytany, wpatrując się bystro w ciemny punkt matowo odbijający się w dali na powierzchni morza, zdaje mi się, że się nie mylę,— tak, nie ma wątpliwości, Ettore najdalej o trzy morskie mile stoi przed nami. Widocznie niedokładnie trzymał się umówionej drogi, w przeciwnym razie musielibyśmy akurat w tym miejscu się spotkać. Prawdopodobnie sternik lękał się skał poblizkiej wyspy Kaprery i dla tego trzymał się nieco więcej południowego kierunku.

— Onofrio, Onofrio! zawołał nagle Emanuel z drżącym ze wzruszenia głosem, dla Boga, spojrzysz-no prędzej; z kąd pochodzi ta nagła woń ze spalenizny.

Onofrio opuścił lunetę i pobiegł do otworu pokła-

du. Otworzył małe drzwiczki prowadzące do pokojiku majtków. Dym i płomień uderzyły na niego.

— Okręt się pali! zawołał Onofrio, zamykając drzwiczki napowrót by z powodu przystępu powietrza, ogień bardziej się nie rozniecał. Ratujcie się, ratujcie!

Obadwaj młodzi ludzie i Goldstern zaraz zrozumieli co to wszystko znaczyć miało. Przeklęty malajczyk, by uniknąć następstw swego czynu, podpalił statek, a jak już wspomnieliśmy, na jachcie było bardzo dużo palnych materyj. Gdyby była łódka, możnaby się było bez wielkiej trudności ratować, ale właśnie łódź w której małżyczyk odplynął była jedyną, jaką jacht ze sobą prowadził.

Dzielni młodzi ludzie nie stracili jednak przytomności umysłu w tak krytycznym położeniu. O gaszeniu ognia nawet myśleć nie można było. Najwyżej w przeciagu kwadransa trzeba było koniecznie opuszczać statek. Z powodu oddalenia *Ettore* od *Wiktoryji* nie można było się także spodziewać, by kapitan Buratti w porę jeszcze przybył z pomocą.

W momencie schwytał każdy z dwu braci siekierę, by odbić kilka desek statku i te, mocno o ile czas na to pozwalał, poprzybijali do próżnych, szczelnie zatkanych beczek.

Błądy jak trup i niezdolny wydać jednego słowa, przyglądał się bankier, z rozpaczliwym pośpiechem postępującej pracy Emanuela i Onofria, przyciskając oboma rękami swoje córki do piersi. Tymczasem ogień przedostał się już w niektórych miejscach na pokład;

kilka chwil jeszcze a jasne płomienie ogarną cały statek. Gorąco na pokładzie zaczęło stawać się nieznośnym. Wybór między zatopieniem się i spalaniem zbliżał się coraz bardziej. Sara i Paulina ukryły swoje blade twarze na piersiach swego ojca; nie krzyczały, nie płakały ale w swój śmiertelnej obawie gorąco modliły się do Boga o pomoc i ratunek.

— Na tratwę! na tratwę: zawolali obadwaj kuzyni kiedy się im udało, na prędcie przygotowany środek ratunku spuścić na morze. Tratwa była mocna i krótko przywiązana liną do statku w pobliżu steru. Zejście nizkie z pokładu jachtu na tratwę nie robiło trudności. Goldstern nabrał odwagi, skoro zobaczył, że tratwa dość posiadała siły, by utrzymać 5 osób nad wodą. Goldstern i jego córki położyły się plackiem na deskach Emanuel i Onofrio odepchnęli się od jachtu, na którym ogień zaczynał już ogarniać przód okrętu i maszt.

Prąd i wiatr gnały tak palący się statek jak i tratwę prosto na wyspę Kaprerę; która już wyraźnie się rysowała przy świetle księżyca. Jacht pędził około 500 sążni przed tratwą, kiedy zaczął się zatapiać. Kilka sekund ubiegło, a z tak wspaniałego statku *Wiktoryji* pływały tylko tu i owdzie pojedyncze bezkształtne i zwęglone szczątki, które porozsypywały się pod działaniem ognia. Szkielet pogrążył się w głębinie, by nigdy się już nie ukazać oczom ludzi.

Goldstern i dwie panienki nie śmiały się poruszyć. Konwulsyjnie objęły się wzajemnie, wyczekując lada chwila, iż bałwany zrzucą je z tratwy do morza; w rze-

czywistości jednak niebezpieczeństwo to wcale nie groziło, gdyż Emanuel i Onofrio tak się na tratwie umieścili, że ich ciała zasłaniały z obu stron bankiera i jego córki.

— Nieba! zawołali nagle z przerażeniem obaj kuzyni tratwa się rozbiła!

Tak było w istocie. Jeden z wysokich, nadchodzących bałwanów, był aż nadto dostateczny, by rozbić na prędcie spojone deski z beczkami, a co większa dwie beczki zaczęły nabierać wody, przez co tratwa straciła możność unoszenia się na wodzie. Goldstern, Sara i Paulina musieli się podnieść pomimo grożącego niebezpieczeństwa, gdyż w dotychczasowej pozycji byliby się zatopili.

— Ratujcie panowie naszego ojca! błagały panienki, ratujcie go!

— Nie, nie, wołał stary Goldstern zdecydowany, na wszystko, co panom święte, ratujcie tylko moje córki; chętnie oddam życie za taką cenę.

Gwałtowny bałwan, który nagle uderzył, przerwał dalsze szlachetne spory między dziecięcą i rodzicielską miłością. Słaba tratwa rozsypała się na kawałki.

Rozległ się krótki lecz straszny krzyk. Pięć osób znikło w głębinach dziko szalejącego żywiołu, a bałwan z gwałtownością uderzył o pobliskie skały Kaprery i potem po dość dłużej przerwie z hukiem podobnym do grzmotu odbił się i znikł następnie w pianą pokrytych falach.

III.

Starzy znajomi.

Musimy teraz wrócić się znowu do ucieczki księcia Cozency z zamku anioła.

Dwaj papieżcy żuawi spoglądali nieco zdziwieni, kiedy ujrzeli przed sobą oficera austryjckiego i mimowolnie wzięli broń do nogi. Przy wielkim poszanowaniu, jakiego wówczas Austryja doznawała w Rzymie i w obec serdecznych stosunków Watykanu z gabinetem wiedeńskim, każdy prosty nawet człowiek uważał austryjckich i papieżkich żołnierzy jako „dobrych przyjaciół.“

Porucznik Braun, w istocie zdecydowany, że dwaj żuawi tylko po jego trupie dojdą do aresztowania księcia, mógłby skorzystać z nieco zakłopotanej postawy swoich przeciwników, by szybko dać dwa strzały ze swego rewolweru, które przy małym oddaleniu, w jakim dwaj żołnierze przed nim stali, byłyby ich z pewnością śmiertelnie trafiły; jednak tego prostego środka, by dostać się wraz Flodoardem do poblizkiego powozu, nie chciał użyć, uważając go za zwykłe zabójstwo. Tymczasem bądź co bądź trzeba było wyjść z tak drażliwego położenia. Księżyc wyszedł właśnie z poza chmur.

— Cofnijcie się! rozkazał porucznik Braun surowym tonem.

Jeden z żuawów, który nosił oznaki podoficera

wpatrywał się z otwartemi ustami w porucznika, którego twarz oświeconą była od światła księżyca. Następnie człowiek ten uderzył karabinem o ziemię i zawołał zdziwiony i uradowany złą niemieczyzną:

— Na moją duszę! więc to pan rzeczywiście, pan baron?!

Porucznik spojrział chwilę bystro na mówiącego i odrzekł również zdziwiony:

— To dziwna! czy pan jesteś istotnie dawny feldfelbel Gustaw Aigner, który służył w mojej kompaniji?

— Tak jest! W Austryji było mi aż nadto dobrze i oto djabeł mi doradził, wstąpić do służby papieżkiéj.

Jakieś szkaradne przekleństwo towarzyszyło tym wyrazom.

Podczas téj rozmowy książę zbliżył się do powozu. Tomasz, który mu pomógł przy wsiadaniu, nie wiedział czy ma czekać, czy też rozkazać woźnicy, by jak najprędzej odjeżdżał. Porucznik tymczasem schował szablę do pochwy i rewolwer do kieszeni. Od swego dawnego feldfelbla nie potrzebował spodziewać się żadnego oporu, gdyż człowiek ten był zawsze dlań oddany i był mu nawet wiele obowiązany. Wszystko więc odbyło się bez żadnej przeszkody i oficer nawet przybliżył się także do powozu.

— Aj, aj! rzekł uśmiechając się Aigner: „Pan Baron zdaje się w Rzymie bardzo szczególne załatwia interesa. Przypadkiem właśnie przechodziliśmy, kiedy dwaj ludzie wychodzili po drabinie z zamku anioła. Hm! Nie trzeba być zbyt domyślnym, by odgadnąć, że ten pan co-

siedzi w powozie uciekł z zamku anioła; nawet ma jeszcze na sobie ubranie więźnia.

— Czy mogę rachować na pana rozsądek, panie Aigner? zapytał porucznik Braun.

— Nie bardzo to wprawdzie czysta historyja, odrzekł z namysłem podoficer, a nawet dosyć niebezpieczna, w jaką się mięszam; co do mnie jednak, choćby mnie szatan żywcem porwał do piekła, wszystko mi już jedno. Pan nie uwierzysz, jak mi już obmierzła służba w wojsku papieżkim.

— Czy pański towarzysz pana nie zdradzi? rzekł niespokojnie oficer; byłoby mi nadzwyczaj przykro, gdybyś pan wpaść miał w niebezpieczeństwo przez życzliwość dla mnie.

— Masz pan słuszość, że on wypaple i ażeby zarządzić temu, trzeba wynaleźć jakiś wybieg.

Po tych słowach Aigner, głowa nadzwyczaj pomysłowa, zamyslił się przez chwilę.

— Cokolwiek nastąpił rzekł nakoniec, ja uciekam.

— Ale namyśl się pan, mój przyjacielu, przestrzegał porucznik Braun. Gdyby cię schwytać miano, nie chciał bym być winnym pańskiego nieszczęścia. Może pan pomówisz wyraźnie ze swoim towarzyszem? Oficer wydobyl dobrze wyładowany woreczek.

Aigner kiwnął ręką z przeczeniem. Tego nie potrzeba, odrzekł, jesliby ten człowiek mnie zdradził, to nie ze złego serca, tylko z gadatliwości. Ostatecznie i on musi ze mną uciekać.

— Czy on się jednak na to zgodzi? zapytał oficer tonem wielkiej wątpliwości.

— Ja się go też nie będę pytał o przyzwolenie, rzekł śmiejąc się pod oficer. Ta barania głowa służy dopiero od paru tygodni, po włosku nie rozumie nic, a po niemiecku bardzo mało. Jest to prawdziwy czech z Czeslau. Hej, Wawerka! zawołał Aigner na swego towarzysza, który stał o kilka kroków na boku, i czas przepędzał na gorliwej pogawędce z pełną flaszką wódki.

Zawołany ukrył natychmiast flaszkę i stanął z bronią do nogi w sztywnój postawie.

Częścią słowami, częścią przez znaki Aigner dał do zrozumienia swemu podwładnemu, by zajął miejsce na koźle czekającego powozu.

Wawerka, nie kto inny tylko zacny ojczym pana Wacława Cihulki, szybko zadość uczynił danemu mu rozkazowi. Do ścisłego posłuszeństwa przyzwyczajła go już jego kochana małżonka, i znajdował karność wojskową jako żołnierz papieżki, daleko mniej surową, niżli pęta niewolnicze, jakie nosił w swojej ojczyźnie. Nie żałował więc ani przez chwilę, że uciekł z Czeslau i po długich, zmiennych kolejach w świecie, ostatecznie wpadł niedawno w ręce werbowników papieżkich.

Oficer wsiadł teraz do powozu i zajął miejsce obok księcia, który z milczącym poddaniem się patrzył na wszystko, co odbywało się przed jego oczami. Podoficer Aigner wsiadł także do powozu. Tomasz zajął miejsce z tyłu i puszczono się teraz szybkim kłusem przez most Anioła do Porta del Popolo.

Przy bramie, która do rzymskiej *Campagna* prowadzi, o której już wyżej wspominaliśmy kilka razy, powóz zatrzymany został na chwilę przez strażę.

Porucznik Braun chciał pokazać swoje papiery, ale pełniący służbę zbir salutował tylko z całym uszanowaniem przed austryjackim oficerem i dał znak ręką jednemu z towarzyszków, ażeby bramę otworzył.

Papiezki podoficer we środku, żołnierz na koźle, kazaly się domyślać organom bezpieczeństwa przy bramie, że, jak się to często przytrafia, jakiegoś znakomitego więźnia, by nie zwrócić uwagi, wśród nocy i mgły pod wojskową eskortą, przewożą do innej fortecy.

Wszyscy trzej siedzący w powozie wesoło i swobodnie odetchnęli, skoro ujrzeli już za sobą „miasto wieczne“

Zaprząg był wyborny, jechano z prędkością najmniej dwu mil niemieckich na godzinę. Za ledwie jednak oddalono się na jakie 500 kroków od *Porta del Popolo*, kiedy powóz nagle się zatrzymał; jakiś człowiek ukazał się blisko powozu. Braun i Aigner, lękając się zdrady, skoczyli na równe nogi z powozu i stanęli gotowi do obrony.

— Bez obawy, bez obawy! wołał ten człowiek, ubrany jak rzymski żyd kramarz z dużą wiązką na przygarbionym karku.

Braun i Aigner spoglądali zdziwieni na kramarza, który rzucił na wierzch powozu swój ciężar i mówiąc:

za pozwoleniem panowie! zrobił minę, jakby chciał wsiąść.

— Bezwstydy oberwańczyel zawołał łając po włosku podoficer, podniósłszy w górę kolbę swój broni, by ukarać śmiałka kilku razami.

Porucznik Braun wmięszał się w to jednak i zawołał do cudzoziemca:

— Czy pan jesteś brat del Rio, czyli nie? Tylko po głosie, zdaje mi się, poznaję pana.

— Tak, ja nim jestem! zaśmiał się agitator; jednak wsiadajmy, moi panowie, wszystkim nam się spieszy.

Uwaga ta istotnie brzmiała bardzo rozsądnie.— Wszyscy spiesznie wsiedli do powozu i ten potoczył się z poprzednią gwałtowną szybkością, po dość chropowatej drodze.

Księżę, który dotąd ani słowa nie wymówił, ściśnął gorąco wyciągniętą doń przez del Lucca rękę i rzekł słabym głosem:

— Istotnie, zdaje mi się, że marzę, moi bracia!

— Pośpiech to nie żart, kiedy się przez pół godziny taki skok zrobiło, jak ja—odrzekł agitator, który widocznie w doskonałym znajdował się humorze; moi przyjaciele czekali już nad Tybrem z tym ubraniem i mojim pakunkiem, a pół skuda na piwo, otworzyło bez trudności biédnemu kramarzowi Porta del Popolo. Trzeba tylko swój interes rozumić!

— Śmiałość pańska, zauważył wstrząsając głową oficer, jest prawdziwie godna podziwu. Czy można się zapytać, gdzie pan teraz swe kroki skierować zamy-

ślasz, skoro pobyt pański w Rzymie stał się już niemożliwym.

— Któż to utrzymuje? odrzekł del Lucca prawie obrażony. Jeśli mi się spodoba, jutro powrócę znowu do Rzymu. Oszukany kardynał wcale by się przy mnie nie krępował. Kto wie, czy jeszcze raz z nim nie będę mieć do czynienia w charakterze ojca Domingo.

— To co mówisz, rzekł śmiejąc się z niedowierzaniem porucznik Braun, mogę tylko za prosty żart uważać.

— Per bacco! zawołał urażony agitator, jestto wyzwanie i ja je przyjmuję na siebie. Jestem gotów założyć się że istotnie złożę jeszcze raz wizytę kardynałowi Antonellemu?

— Nie mam żadnych kapitałów do dyspozycji, rzekł oficer, inaczej mógłbym nawet bez namysłu 1000 dukatów postawić.

— Bah! rozśmiał się del Lucca, moglibyśmy to załatwić i taniiej. Jeśli pan zakład przegrasz, dostanę pudelko prawdziwych hawańczyków pierwszego gatunku. Zgoda?

— Dobrze! odparł porucznik i uścisnął na znak zawartego przymierza, wyciągniętą dłoń pana del Lucca. Ale, dodał poważnie, gdybyś pan miał zbyt lekkomyślną dawać mi obietnicę, możesz się pan uważać zupełnie od niej wolnym. Nie chcę być winnym nieszczęścia człowieka, który mi oswobodzeniem mego przyjaciela, tak wielką przysługę wyświadczył.

— Bagatela! rzekł z lekceważeniem agitator, więcéj

zrobić przecie jesteśmy w stanie. Tak np. weźmy choćby drażliwą sprawkę, za którą teraz jadę do Perudżiji.

— Jakto? śmiałyś pan jechać do Perudżiji! zawołał oficer strasznie zmieszany z zadziwienia, — do Perudżiji! gdzie taki ścisły stan oblężenia! W tak małym miasteczku nie mógłbyś pan pozostać nieznanym i ukrywać się.

Agitator chciał odpowiedzieć, ale w téj chwili rzucił nieco niedowierzające spojrzenie na podoficera w papieżkim mundurze.

— Możesz pan mówić bez obawy, *signore del Rio*, mówił dalej oficer, domysłając się co znaczy pantomina, z jaką agitator wskazał na Aignera. Za tego człowieka ręczę własną duszą i ciałem; znam go już od wielu lat i tylko jemu musimy zawdzięczać, że się dało uprowadzić więźnia z miasta bez zwrócenia niczyjéj uwagi.

Poczem Braun opowiedział swoje spotkanie z podoficerem i jego zdecydowanie się na ucieczkę.

Del Lucca, wiadomościami temi zupełnie uspokojony, opowiedział teraz, że się udaje do Perudżiji, by tam wyrwać katowi siedm ofiar, skazanych już na śmierć.

Rzecz się mianowicie tak miała:

14-go czerwca 1859 r. legat papieżki opuścił miasto Perudżiją, wśród ogólnej manifestacyji ludowej i przy hałaśliwych okrzykach: Niech żyją Włochy! — Ustanowiony tamże został rząd tymczasowy, ale nie przyszło do żadnego gwałtownego czynu, ani jedna kropla krwi nie była przelana. Cała zmiana zaszła wśród okrzyków i ogólnej radości ludności. Spodziewano się,

że księżę Napoleon, który wówczas (na krótko przed bitwą pod Solferino) stał w Toskaniji z francuzkim korpusem wojska, wysłał zaraz co najmniej kolumnę do Perudziji i miasto to obejmie w faktyczne posiadanie. Jednak zamiast wojska francuzkiego, posunął się na miasto silny oddział papieżkich żołnierzy, by je ukarać za wygnanie legata. Mieszczanie Perudziji nie stracili odwagi i szykowali się do poważnej obrony, pewni szybkiej odsieczy.

Brakło jednak broni, amunicyi i dział. Z rozpaczą bronili się Perudzycy przeciwko dzikiemu żołdactwu, któremu przyrzeczono zrabowanie miasta. Po zadziwiających czynach bohaterstwa i wytrwałości poddali się powstańcy dzikim, przez pułkownika Szmida dowodzonym hordom, które, zaledwie dostały się do miasta, z wściekłością rzuciły się do mordu, rabunku, czynów haniebnych i barbarzyńskiego niszczenia.

Sekretarz gminy Porta, który w charakterze parlamentarza, wyszedł naprzeciw wojskom z białą flagą, był pierwszą ofiarą tych okropnych barbarzyńców. Zastrzelono go, pokłuto całego trupa bagnietami, pokaleczono w sposób trudny do opisania, ogołoco go z ubrania i porzucono na drodze, gdzie leżał przez dni kilka.

Kto popadł w ręce laskających krwi żołnierzy, nielitościwie był natychmiast zamordowany. Nie oszczędzano ani rannych, ani kobiet, ani starców, a nawet małych dzieci. Ci zjednoczeni bandyci rozbijali bramy domów, zabijali mieszkańców i rabowali co się tylko dało unieść. Czego zaś zabrać z sobą nie mogli, niszczy-

li lub palili. Podobnie jak domów, nieoszczędzili nawet szpitala i kościołów.

Okropności takie trwały *dni kilka*. W domu niejakiego Temperini zostały zamordowane trzy kobiety i starzec. Innego znów Storti rozebrano do naga w jego domu i nadziano na spisę razem z jego dziećmi. Pewna kobieta, nazwiskiem Tiri, została bez litości wraz z małą wnuczką zamordowana. Pewna młoda i piękna kobieta, z niemowlęciem przy piersi, w najohydniejszy sposób zbezczeszczoną została przez cały oddział żołnierzy. Tém jeszcze nie zadowolnieni, zadusili następnie potwory nieszczęśliwą, wyrwali zamordowanej dziecię i wrzucili je do Tybru.

Papiezkie hordy tak były upojone winem i bezkarnością, że w końcu na ślepo dla przyjemności do każdego strzelali, nawet do wyróżniającej się znakami widocznymi służby lazaretowej. Nielicząc tych, którzy padli w obronie miasta, przeszło sto osób zamordowanych zostało z zimną krwią, w téj liczbie 21 pokojówek i 11 małych dzieci; wszyscy ci biedacy nie brali żadnego udziału w powstaniu.

W kilka dni po tych chwalebnych bohaterskich czynach papieżkich żołnierzy, gazeta urzędowa rzymska podała następną wiadomość:

„Ojciec święty, by okazać swoje *bardzo wielkie zadowolenie* pułkownikowi Szmidtowi, naczelnemu dowódcy wyprawy przeciwko powstańcom w Perudżiji, mianuje go generałem brygady i rozkazuje, by wojskom,

które w tej wyprawie brały udział, i *tak świetnie się odznaczyły, zasłużona pochwała* oznajmioną została“.

Mordercze sceny w Perudżiji nie zadowolniły jednak jeszcze nie dosyć nasyconych i krwi łaknących zwycięzców; znakomity procent miał jeszcze zginąć na szafocie. Jak zwykle wybierano najzacniejszych obywatelów na ofiarę bezlitośnej zemście braci nocy. Pewien starzec 67-letni, któremu lud dla szlachetnych jego czynów dał przydomek ojca ubogich, dwaj adwokaci i inni czterej bardzo szanowani obywatele z Perudżiji zostali na śmierć skazani.

Po wyratowanie właśnie od śmierci tych siedmiu ludzi, udawał się teraz del Lucca do Perudżiji.

Ponieważ ta okoliczność nie stoi w żadnym właściwym związku z naszą historją, zauważymy tu tylko, iż istotnie śmiałemu del Lucca w kilka dni później udało się ułatwić ucieczkę w mowie będących siedmiu skazanych.

Okolo trzeciej godziny z rana dojechali nasi podróżni do Viterbo, z kąd już dumna Junona przez umyślnego posłańca wystarała się dla nich o świeże konie. Stanęli w hotelu *Aquila nera* (czarny orzeł), i zażądali pokoju, by teraz odpowiednio przebrać księcia, który pod długim i szerokim płaszczem, ciągle jeszcze nosił ubranie więźnia. Jak skoro to nastąpiło i zjedli pożywną kolacyją, opuścili małe, lecz czyste miasteczko Viterbo, które przez starych włoskich pisarzy: miastem dobrych studzien i pięknych kobiet nazwane zostało, ale dziś

niema w sobie nic takiego, czémby zwrócić mogło na siebie szczególniejszą uwagę cudzoziemców.

Na chwilę przed dziewiątą godziną z rana przybyli do Orvieto, miasteczka położonego blisko granicy Toskaniji i ztąd przez naszych przyjaciół z radością powitani zostali.

Agitator pożegnał się ze swemi towarzyszami podróży, jeszcze przed wjechaniem do miasta. Włożył napowrót swą maskę żyda handlarza i chciał zatrzymać ją nawet po wejściu do Perudżiji. Zarzucił na plecy tłomoczek z towarami i powędrował drogą do o mil cztery odległej Perudżiji.

— Panie poruczniku, zaczął teraz Aigner,— podczas gdy powóz jechał do hotelu *delle belle arti*, gdzie także znajduje się poczta—teraz jest już wielki czas, abym się pozbył mego towarzysza, gdyż poza granicę nie puszczają ani mnie ani jego w naszych mundurach. Przypadkowo znam w Orvieto krawca handlarza, który mi dostarczy innego ubrania.

— Jak pan jednak myślisz urządzić, by pański towarzysz, który nie domyśla się pańskiej ucieczki, nie zgotował nam w ostatniej chwili wielkiego nieszczęścia, odrzekł dość zaniepokojony Braun.

— Zostaw pan to mnie, panie baronie, rzekł Aigner uśmiechając się, Wawerka strasznie głupi człowiek; już ja go tak w Orvieto *urządzą*, że wcale się nawet nie spostrzeże.

We wzmiankowanym hotelu Aigner kazał otworzyć trzy pokoje, połączone ze sobą drzwiami i prócz

tego mające oddzielne wyjścia po obu stronach przeciwnych. W pierwszym pokoju postawił Wawerkę na straży i surowo mu przykazał być czujnym, by się przypadkiem sam nie oddalił znakomity więzień, który znajdował się w towarzystwie porucznika.

Wawerka najmocniej był przekonany, że w tym celu stoi na straży; o tylnym wyjściu z pokoju nie a nie nie wiedział. I tak stał biedak milczący aż do drugiej po południu na swoim stanowisku. Z głodu jednak i ze zmęczenia nie mógł już dłużej wytrzymać. Probował do drzwi i znalazł ku wielkiemu zdziwieniu, że wszystkie były zamknięte. Pociągnął sznur od dzwonka i w kilka minut ukazał się *Cameriere*, który wielce się zdziwił, spotkawszy w pokoju w kompletnym ubiorze jednego z papieżkich żołnierzy. Ponieważ Wawerka nie znał języka włoskiego, dość więc upłynęło czasu, nim znaleziono tłumacza w osobie oficera Niemca, służącego w wojsku papieżkim, konsystującym w Orvieto.

Naturalnie oficer poznał z mowy i znaków Wawerki, że głupca postawionego na warcie, użyto tylko za parawan, za którym zupełnie coś innego ukrywać się musiało. Przedstawił więc człowieka tego komendantowi placu w Orvieto, do którego tymczasem przybyła depesza z Rzymu, którą zawiadamiano wszystkie władze cywilne i wojskowe o nagłej ucieczce księcia Cozency.

IV.

S z p i e g.

Bez żadnej nieszczęśliwej przygody, udało się naszym trzem zbiegom, mianowicie księciu Cozency, oficerowi Braunowi i dezenterowi Aignerowi przebyć Orvieto bardzo blisko granicy. Służący Tomasz przeciwnie wysiadł już w Viterbo, na pierwszej stacyji jaką od Rzymu zrobiono, by wracać do swojej pani. Ostatnia okoliczność wydawała się porucznikowi Braunowi nadzwyczaj przyjemną i bez żadnego przymusu powiedział o tém w dalszej podróży z Orvieto do Viterbo księciu i mniemanemu del Rio.

— Spodziewam się, rzekł oficer, że Tomasz, który mnie dawniej często widywał, teraz mnie nie poznał. Przyglądałem się bacznie temu człowiekowi, ale żadną miłą się nie zdradził, by moje ukazanie się wzbudziło w nim jakie wspomnienia. Nie sędzę więc, by panna Eichenstamm miała się dowiedzieć od Tomasza, że domyśla się w poruczniku Braunie starego znajomego.

— Z pewnością nie, zauważył zdziwiony tą uwagą del Lucca, jak panu wiadomo, rozmawiałem z tą damą osobiście, by współdziałała w ucieczce księcia i mogę pana zapewnić, że panna ta dotąd nie miała żadnej ciekawości, wypytywać się bliżej o stosunki pana porucznika Filipa Brana.

Flodoardo tak przy tój jak i przy innych rozmowach, jakimi sobie długą podróż skracano, zachowywał się tylko jako bierny słuchacz, gdyż czuł się nadzwyczajnie wyczerpany i leżąc zatopiony w poduszkach, na wpół czuwając, na wpół drzemiąc, zajęty był jedynie tą myślą, czy już istotnie szczęśliwie znajduje się poza granicami patrymonium św. Piotra. Ze strachem dopuszczał możliwość, że schwytyany być może przez zbirów papieżkich i napowrót sprowadzony do więzienia świętego oficium.

Jakieśmy się już przekonali, wszystkie te zupełnie w granicach możliwości leżące obawy, najzupełniej się nie sprawdziły. Ale z chwilą, kiedy już nie czuł żadnego niebezpieczeństwa, gorączkowa jego niespokojność ustąpiła miejsca letargicznemu ubezwładnieniu. Flodoardo popadł w głęboki, do śmierci podobny sen, który słusznie w towarzyszach jego obudził najwyższą obawę. Braun i Aigner osądzili więc za rzecz potrzebną, nie zbyt przyspieszać dalszą drogę, jakkolwiek biedny książę już od Orvieto, zkąd do Florencyji jechano koleją żelazną, z wszelką możliwą wygodą złożony był bardzo troskliwie, opatrzony i doglądany w oddzielnym *coupé*. Zdecydowano tedy, by w Syjennie, gdzie wypadało przybyć o czwartej godzinie po południu— podróż przerwać i tam w razie potrzeby cierpiącemu dać kilkodniowy wypoczynek.

Myśl tabyła dobra i godna pochwały, gdyż Syjena, jako położona bardzo wysoko, liczy się do najzdrowszych miast w świecie, i nawet w najgorętsze lato u-

pały nie dochodzą tam do nadmiernego, trudnego do zniesienia stopnia.

Nasi tedy podróżni stanęli w Syjennie w *Albergo reale*, leżącym w pobliżu Via Pelliceria. Najznakomitsi doktorzy zostali natychmiast zwołani, dla zbadania stanu zdrowia Flodoarda, który ciągle jeszcze znajdował się w stanie omdlenia. Wszystkie zdania jenobrzmiąco się zgadzały, że niema wcale powodu, lękać się o życie chorego. Wyrzeczenia te istotnie się potwierdziły.

Natrzeci już dzień po przybyciu do Syjeny, Flodoardo o tyle przyszedł do siebie, iż mógł wyjeżdżać na krótki spacer po mieście w wygodnym powozie i jednocześnie objawił się w nim nagle prawdziwie wilczy głód, którego zaspakajanie aż do sytości doktorzy surowo zakazywali. Silna z resztą nieschorowana i nie wyczerpana z sił natura księcia, działała jako najlepszy środek kuracji; i kiedy nakoniec czwartego dnia czuł się w stanie napisania kilku wierszów do Adelgundy, wróciła znowu do jego serca dawna odwaga i wesola pewność siebie, w którym od kilku miesięcy ukryty był cały arsenał troski, boleści i rozpacz.

Kiedy Flodoardo skończył wspomniony bilecik, kazał poprosić do siebie swego przyjaciela przez Aignera.

I porucznik Braun także był zajęty pisaniem; napisał on prośbę o uwolnienie ze służby austryjskiej i jednocześnie prosił o urlop do północnych Niemiec.

— Bogu dzięki, rzekł oficer, serdecznie ściskając rękę Flodoarda, kiedy go witał następnego poranku.—

Bogu dzięki, żeś „mój bracie“ nakoniec przecie wyzdrowiał.— nie mógłbym wżaden sposób dłużej zatrzymać się w Syjenie.

Jakkolwiek nie otrzymałem z Rzymu żadnych depesz, wzywających mnie do powrotu, muszę jednak jak najprędzej udać się do Werony. Naturalnie mógłbym zmyślić jaką chorobę, ale nie lubię nigdy kłamać. Nadto cieszę się prawdziwie z góry wycieczką do rezydencji księcia Ryszarda. Jakąż radość zgotuje tym poselstwem mojim staremu księciu i miłej księżniczce.

Mam nadzieję, że w Weronie w przeciągu 24 godzin urlop dostanę; co do uwolnienia się ze służby, spotkają mnie wprawdzie niejaki trudności, gdyż muszę powiedzieć bez przechwałek, że moi zwierzchnicy lubią mnie, i z ich strony muszę być przygotowanym na bardzo poważne przedstawienia.

— Czy mogę więc pana, odrzekł książę, utrudzać tym bilecikiem?

— Z największą przyjemnością, rzekł oficer, chowając pismo do pugilaresu. Będiesz ze swego posłańca zadowolony, mój bracie. Wkażdym razie byłoby lepiej, gdyby te drogie dla pana osoby ustnie w Falksteinie o wszystkim się dowiedziały, zamiast listownie, i to jeszcze gdy ze względów ostrożności, list musi być bardzo oględnie zredagowany; a nadto, że zdrowie pańskie dziś jeszcze nie pozwala rozpisywać się drobiazgowo o prawdziwie tragicznych pańskich przygodach.—Zresztą, gdyby list został przez pocztę wysłany, najwyżej by o dwa dni mnie tam uprzedził.

— Czy sądzisz pan, że ja jeszcze jakiś czas mam pozostać w Syjenie? zapytał Flodoardo ujmując w obie dłonie swą głowę. ciągle jeszcze atakowaną silnym zawrotem.

— Z pewnością, a w każdym razie, dopóki pan ode mnie z Falksteinu nie otrzymasz wiadomości. Tutaj pan jesteś zupełnie bezpieczny przed prześladowaniami kuryji papieżkiej, a dalej, w gorącej obecnie porze roku, klimat Syjeny lepiej panu posłuży, jak którakolwiek inna miejscowość. Za dwa, a najdalej trzy tygodnie będziesz pan mógł bez żadnego niebezpieczeństwa przedsięwziąć podróż do Niemiec.

— Dobrze, mój bracie, widzisz mnie najzupełniej uległym, chociaż najchętniej natychmiast chciał bym wyjechać do Falkstejnu. Mówiłeś pan jednak z Aignerem?

— Mówiłem. Człowiek ten jest chętnie gotów, poświęcić panu swoje usługi; to dzielna, poczciwa dusza i w jego rękach zostawiam tu pana najzupełniej spokojny.

— Kiedyż pan odjeżdżasz? zapytał księżę.

— Za dwie godziny; jutro po południu będę w Weronie, a pojutrze wieczór zamierzam ztamtąd przez Tyrol i Bawaryją pojechać do Niemiec. północnych. Jak panu dobrze wiadomo, są bardzo ważne przyczyny dla czego taką drogę wybieram i nie narażam się dobrowolnie na niebezpieczeństwo, w téj chwili przynajmniej, jadąc na Wiedeń.

— Niestety, Niestety! rzekł wzdychając Flodoardo,

więc i dla pana, drogi mój przyjacielu i bracie, wybije godzina uniewinnienia, wybawienia. Wieczny, sprawiedliwy Bóg nie dozwoli, by zwycięstwo nieprzyjaciół Jego było trwałe.

— Nie mówmy dłużej o tym! zawołał oficer ze smutną miną; pozwól pan, że lepiej pogadamy o tych okolicznościach, które stoją w ścisłym związku z mojim wyjazdem i pańskim tutaj pobytem.

Po dość długiej jeszcze rozmowie, dwaj przyjaciele pożegnali się krótko ale serdecznie.

W następnych dniach, po wyjeździe tak drogiego mu przyjaciela, Flodoardo poświęcił z zapalem swój czas, o ile zdrowie mu tylko na to pozwalało, na oglądanie skarbów sztuki i osobliwości Syjeny, która w średnich wiekach, pod względem sztuk, bogactw i potęgi, walczyła o lepsze z Florencją i od 13-go do 15-go stulecia liczyła przeszło 200,000 mieszkańców. Przez handel swój i rękodzielnie zalicza się do najważniejszych miast we Włoszech i posiada bardzo wiele pałaców i kościołów, których architektura nosi na sobie najczystsze piętno gotyckiego stylu budowy we Włoszech. Wspaniały wodociąg, również sięgający wieków średnich, sprowadza z daleka o sześć godzin wyborną do picia wodę do miasta.

Dezertor Aigner chwycił się przypadku, który go w tak dziwny sposób w pobliżu zamku anioła złączył z oficerem austryjackim i jego własnemu losowi nadał tak niespodziany kierunek. Myśl, by służbę wojskową papieżką opuścić bez urlopu, właściwie nie w tej chwi-

li dopiero się w nim zrodziła, kiedy robił wybór, albo wplątać się w walkę na zabój, wraz ze swym starym znacnym towarzyszem wojennym, lub odsunąć się całkowicie od stosunków, które od tak dawna przykrość mu sprawiały.

Aigner przed trzema laty, kiedy zaszczytnie o puszczał armiją austryjacką, daleko miał lepsze wyobrażenie o żołdactwie papieżkim, jak się w istocie przekonał. Aigner rodowity Tyrolczyk a więc już z domu wyniosłszy najlepsze przekonania o świeckim i duchownym stanie Rzymu, spodziewał się że wejdzie do armiji wzorowej, że znajdzie się w pośród ludzi porządnych i uczciwych, w chwili gdy dał się zwerbować do papieżkich żuawów. Również myślał dobry Aigner, powędrować do Rzymu wiecznego miasta świętych. Zamiast tego już po 24 godzinach swego pobytu w koszarach żuawów w Rzymie, przekonał się że wpadł w bardzo podejrzaną wartośćcihałastrę, złożoną z fusów i wyrzutków wszystkich narodów, dla której wedle pojęć, jakie wyniósł z armiji austryjackiej, w większej części jej członków daleko lepiej by pasował kaftan więzienny, jak surdut żołnierza. Kiedy nakoniec poznał stosunki obyczajowe i Rzym częścią z opowiadań, częścią przez własne spostrzeżenia, pocziwemu Tyrolowi powstały włosy na głowie i dobre uprzedzenie, jakie żywił dotąd o rezydencji „ojca świętego“, ustąpiło miejsca rozczarowaniu i pogardzie.

W dwa dni po wyjeździe porucznika Brauna ze Syjenu, spotkała Aignera tamże wielce niespodziana wi-

zyia, której dla przyzwoitości nie mógł uniknąć. Człowiek który w strasznym obdartym i biednym stanie szukał u niego pomocy, był niekto inny tylko Wawerka, który mu się jako dezertier przedstawił.

— Jakto, co ty tu robisz, jakim sposobem tu przybyłeś?! zawołał Aigner mocno zdziwiony,

— Ach, *Panie Kapral* jęczał Wawerka z miną prawdziwego biedaka, w piękną mię pan wplątałeś historiją; zrobiłeś pan ze mnie nieszczęśliwego człowieka! (wszystko to mówił nadzwyczaj zabawnie i łamaną niemieczyzną). Pan audytor powiedział, że ja byłem w porozumieniu z panami, chcieli mi dać 50 batów i wysłać potém na lat 10 na galery.

— Jednak opowiedz mi biedaku, jakimże sposobem uciekłeś?

— Ach, jęczał Wawerka, zjadłem paczkę zapalek i oddano mię do szpitala. O Jezus, Jezus, wyłem tam jak pies, ból stał mi jak kość w gardle i nikt się nad biednym Wawerką nie zlitował. Nadeszła noc, miałem doglądać chorych, i oto Wawerka myk, myk, ha, ha, ha!

Ponieważ w wojsku papieżkiem bardzo biją, jak tego tamsmutna konieczność i potrzeba wymaga, opowieść tedy dezertera co do naznaczonej nań kary bardzo jest podobną do prawdy. Okoliczność jednak, że zbieg prosto do Syjeny się skierował, zajęła nieco Aignera, który mając otwartą głowę, okazał co do tego punktu Wawerce swoje zadziwienie.

Zapytany nie robił sobie jednak z odpowiedzią najmniejszego kłopotu. Oświadczył, że kiedy uciekł

z Orvieto by nie zboczyć od granicy, szedł ciągle naprzód wzdłuż koleji żelaznej w kierunku północnym i że mu bardzo ciężko było w drodze z powodu braku pieniędzy. Bez rady i pieniędzy w ten sposób doszedł aż do Syjeny i już zamierzał, na los szczęścia dalej powędrować, gdy wczoraj zobaczył swego dawnego *pane kaporal* z owym znakomitym panem, który nosił w Rzymie ubranie więźnia, przejeżdżającego najętym powozem. Zapamiętawszy sobie dobrze numer powozu, przez woźnicę znalazł drogę do hotelu.

Opowiadanie Wawerki było wprawdzie nadzwyczaj drobiazgowe i rozwlekłe, ale tak prawdopodobnie oddane, że Aigner zupełnie był nim zadowolony, tym więcej, że uważał czecha za zbyt głupiego, by się we własnej mowie nie poplątał i sam z sobą nie był w sprzeczności, w razie gdyby chciał kłamać. Przy takiej jednak z góry wyrobionej i lekceważącej opiniji o Wawerce, poczciwy Aigner, popełnił bardzo grubą błąd, który miał pociągnąć za sobą, jak to później zobaczymy, różne zle następstwa.

Książę Cozenca, którego Aigner zawiadomił o niespodziewanym przybyciu Wawerki do Syjeny, naturalnie zgodził się bez namysłu, wziąć do posług biednego zbiega aż do dalszego czasu, zresztą Aigner potrzebował wyręczyciela w drobnych czynnościach, które dla niego jako dla towarzysza i niby sekretarza księcia nie były odpowiedniami. Wawerka okazywał się we wszystkim bardzo usłużny i chętny do tego stopnia, że w krótkim czasie pozyskał sobie łaski u księcia Flodoarda,

któremu zrazu dla zbytniej uniżoności i niby udanej obłudy wcale się nie podobał.

Flodoardo byłby bardzo dobrze uczynił, gdyby był nie starał się pokonywać gwałtem swój antypatyji ku Wawerce, gdyż wszystkie opowieści ostatniego o zagrożonej karze i ucieczce z Orvieto, były od początku do końca najzupełniej zmyślane i to jeszcze nie przez jego głowę. Rzeczywiście zaś Wawerka przybył prosto z Rzymu, dokąd na telegraficzne wezwanie *santi officii*, skoro się tam dowiedziano o jego pobycie w Orvieto, jak najspieszniej został wezwany. Panowie jezuiti w *santo officio* okazali się w tym przypadku wybornymi znawcami ludzi, jak zresztą zawsze. Zamiast jak książę i Aigner, którzy sądząc z powierzchowności, brali Wawerkę za głupca i tchórza, poznali oni w nim człowieka nadzwyczaj uzdolnionego do udawania, obłudy i pochlebstwa. Naturalnie Wawerka chętnie zgodził się przyjąć obmyślaną dlań rolę szpiega, jeżeli jeszcze nie coś gorszego.

V.

Tajemnie.

— Będziemy więc istotnie rok cały nosić żałobę?

Z temi słowy wszedł pewnego popołudnia *piękny Izydor* do buduaru swojej mamy, która właśnie przed

zwierciadłem przymierzała czarną, jedwabną suknią, jaką sobie świeżo zrobić kazała.

— Z pewnością, mój kochany synu, odrzekła pani Goldstern, nie przerywając sobie w surowym roztrząsaniu szczegółów toalety, — my neofici ściślej musimy przestrzegać katolickie zwyczaje, jak rodowici chrześcijanie. Zresztą czyż świat dziwić się będzie, widząc pozostałą rodzinę w żałobie?

— To prawda, — rzekł *piękny Izydor*, ciągle dopomagając swęj mamie, przyprowadzać suknią do porządku, jakiej to zdatności w wysokim stopniu nabył przez bliską zażyłość z teatrem i damami kameliowemi, — wielka szkoda tylko, że stary jegomość nie umarł na łóżku w Neapolu, ale na morzu utonął i do téj chwili jeszcze trupa jego nie znaleziono.

Tak, istotnie to wielka szkoda, zauważyła wzdychając pani Goldstern, jeśli mnie wszelkie oznaki nie mylą, to ustanowiony jeszcze przed wyjazdem Aarona adwokat wystąpił z żądaniem przed sądy, by do czasu uznania śmierci trzech nieszczęśliwych ofiar upłynęło całe trzydzieści lat.

— Coby istotnie pokrzyżowało wszystkie nasze piękne plany, a nawet i zupełnie popsuło, zauważył młody Goldstern zgrzytając zębami, — jak długo bowiem w mowie będące uznanie śmierci nie nastąpi, to wszystkie rozporządzenia, jakie mój ojciec porobił na czas nieobecności swojej w Wiedniu, pozostaną w całej swęj sile, to znaczy, że my dostawać będziemy tylko bardzo skro-

mne pensyje, a ty mamó, prócz tego oznaczoną skromną summę na utrzymanie domu. Ani grosika więcej nie wyciągniemy. Przy takich środkach niepodobna nam się będzie urządzić, długi nasze dosięgły już istotnie znacznej wysokości.

— Twoje długi, chciałeś powiedzieć, zauważyła sucho pani Goldstern, w istocie byłoby koniecznym, raz już w tym punkcie stanowczo się porozumieć. Chciałam już dawno o tem pomówić, ale ty, mój kochany Izydorze, postępujesz jak struś, który kiedy się w największym znajduje niebezpieczeństwie, chowa głowę pod skrzydła, i tym pewniej staje się łupem swoich nieprzyjaciół.

— Masz słuszość mamó! odrzekł ze zwieszoną głową piękny Izydor, gdyż musiał uznać zasadność uwag pani Goldstern,— istotnie, strasznie się lękam przyszłości, gdyż nie wiem już jak sobie radzić i pomagać.

— Usiądźmy sobie, Izydorze! rzekła pani Goldstern, weź ołówek i papier i obrachujemy się trochę, musimy znaleźć sobie sposób, by można się urządzić i wyrwać się z pazurów lichwiarzy. Byłoby pięknie, gdyby jedyni dziedzice dwunastomilijonowego bogacza uledez musieli konkursowi, podczas gdy kassy spadkodawcy nabite złotem. Zresztą podobny skandal zniszczyłby nasze przed drzwiami już stojące, wyniesienie się do godności szlachectwa.

Piękny Izydor, napisał liczbę na arkuszu papieru, który matka przed nim na stole położyła i rzekł:

— Ja już nasz stan długów od dawna porachowałem, wynosi on.....

— 378,000 guldenów! zawołała pani Goldstern, przerażona załamując ręce nad głową, skoro rzuciła okiem na papier.

— Ani mniej, ani więcej, odrzekł młody marnotrawca, spokojnie się drapiąc za ucho.

— A więc od wyjazdu bankiera, czyli w nie całe dziesięć miesięcy, zrobiłeś przeszło 100,000 guldenów nowego długu, o czym ja zupełnie nie wiedziałam. Izydorze, Izydorze! Dokąd to zaprowadzi?

Po tych słowach pani Goldstern wybuchnęła płaczem; Izydor starał się ją uspokoić nieco pochlebstwami i solennymi zapewnieniami poprawy na przyszłość, —co mu się też, choć nie bez trudu, udało.

Pani Goldstern wpadła w poważną zadumę, przyszła wreszcie do stanowczego postanowienia.

— Tak, to nastąpi? rzekła nakoniec z mocą w głosie i postawie, —i to musi nawet nastąpić, albo oboje haniebnie zginiemy. Policz i dodaj nasze przychody roczne, później ci opowiem mój plan.

— Z rachunkiem prędko skończemy, odrzekł *piękny Izydor*, chwytając powtórnie za ołówek, i pisał:

Na szpilki dla mamy	fl. 12,000
Dla mnie na drobne wydatki	„ 6,000
Na utrzymanie całego domu, licząc w to ekwipaże, konie wierzchowe, służbę i t. d.	„ 60,000
	<hr/>
	Razem fl. 78,000.

Pani Goldstern wzięła teraz papier do ręki i rachowała przez chwilę po cichu.

— Teraz słuchaj mnie, mój kochany synu, zaczęła

bardzo poważnie; w Wiedniu byłoby niepodobieństwem nam się utrzymać, gdyż dom nasz urządzony jest na stopę książęcą i, by nie poniżyć się w oczach świata, nie możemy nic z tego umniejszyć, mimo to wszakże musimy koniecznie 60,000 oszczędzić, by uchronić się od katastrofy. Udamy się bezzwłocznie w podróż, oddalemy całą kosztowną służbę, zostawiając tylko, ja dla siebie pokojówkę a ty lokaja. Powozy i konie się sprzedadzą, mieszkanie odnajmiemy. Przy 18-u tysiącach guldenów za granicą możemy bardzo przyzwoitą rolę odgrywać. W przeciągu 6-u lat wszystkie nasze długi zostaną całkowicie *tajemnie* spłacone, powrócimy wtedy do Wiednia i znowu zajmiemy nasze obecne tak świetne stanowisko w towarzystwie.

Twarz *pięknego Izydora* mocno się przedłużyła, ale pani Goldstern przemówiła do niego tak stanowczym tonem, iż nie mógł mieć nadzieji, by to niegdyś tak słabe, uległe serce matczyne, tym razem, dało się opanować i nakłonić do jego woli. Zresztą widział aż nadto dobrze młody ladaco, pomimo całej swojej lekkomyślności, że na dotychczasowej drodze niechybnie dostać się musi do więzienia za długi, jeśli nawet nie do więzienia karnego.

— Czy mię dobrze zrozumiałeś, mój synu? zaczęła po dość długiej przerwie pani Goldstern, podnosząc się na kanapie.

— Kiedy wyjeżdżamy? zapytał *piękny Izydor* z przytłumionym westchnieniem, gdyż właśnie zrobił w Wie-

dniu bardzo przyjemną znajomość, którą teraz musiał poświęcić nieodwołalnej woli swojej mamy.

— Dzisiaj — odrzekła pani Goldstern, mamy 15 lipca 1859 r., 1-go sierpnia powinnam wyjechać z Tryjestu okrętem na wschód. Zwiedzimy naprzód ziemię świętą, co nam w świetnym *Haute volée* doda niejakiego uroku, a potem przepędzimy zimę w Kajirze. Tym sposobem zabijemy dwie muchy za jednym uderzeniem. Ty wiesz przecie najlepiej, jak źle było ostatniej zimy z twemi piersiami z powodu twoich brudnych nałogów i że doktorzy nalegająco zalecali, na zbliżającą się ostrą porę roku pobyt w południowym klimacie.

Piękny Izidor pożegnał się ze swą mamą, by się udać na miasto. Skoro wsiadł do swego eleganckiego faetonu, mruzczał do siebie: A więc jeszcze całe dwa tygodnie zostajemy w Wiedniu, dość czasu na wykonanie mego podwójnego zamiaru. Prawdziwie śmiesznym jest ze strony mamy, skoro sądzi, że ja jój będę pomagał! Na pozór muszę wprowadzić, na jakiś czas przynajmniej udawać dobrego, posłusznego syna, ale *tajemnie* będę myślał o moich pieniądzach na drobne wydatki, które mama zamierza wciągnąć do wspólnych wydatków. Ona jest zdolną, wydzielać mi na końcu pięć guldenów na dzień, z taką summą musiałbym dać za wygraną mojim rękawiczkom i cygarom. Jednak przede wszystkim muszę wyszukać Scheuchensteina, aby się dowiedzieć, jak daleko zaszła intryga, którąśmy tak zręcznie naciągnęli *tajemnie* przeciwko małej córce stolarza. Do miliona djabłów! Już przeszło rok czekam

z moją zemstą i nie chcę opuścić miasta, póki tego bezwstydnego łotra, Heinricha, śmiertelnie w serce nie ugodzę.

Przy tych słowach strasznie dziko zmieniły się od zemsty i gniewu dotąd tak gładkie, regularne ale kobiece rysy chytrego fanfarona i mimowolnie sięgnął ręką do owych miejsc na twarzy, które w ubiegłym roku tak mocno obite zostały na Matzleindorferstrasse przez odważnego stolarczyka Heinricha.

— Jednak, mówił dalej *piękny Izydor* niby do siebie kiedy ochłonął nieco z oburzenia, — jednak muszę się bardzo strzedz, żeby ten łotr Scheuchenstein nieoszukał mnie zbyt. Znam już na wylot tego franta, zбогаcił się on już bezwstydnie mojim kosztem, gdyż od dawna wiem już dokładnie, że on a nie kto inny dawał pieniądze na moje weksle, że na tem 50% na czysto zarobił. Czy mogę jednak mu co zrobić? Przez owe podrobione podpisy trzyma mię zupełnie w swojej mocy, ale poczekajno jegomość, pięknie ja ci się przysłużę, ty niegodziwy pochlebco; odechce ci się nadal być mojim nauczycielem w niegodnych sprawkach. Zadziwisz się nad wielkimi postępami twego ucznia!

Jak wyraźnie widzimy z tych zwierzeń, kiedyś tak gorąca przyjaźń między bratem Liguoryaninem i pięknym Izydorem doznała silnego ciosu, przynajmniej ze strony ostatniego. Nie mniej jednak witali się obadwaj nadzwyczaj serdecznie przy spotkaniu w kawiarni Dauma.

— I cóż, co tam słychać z Hietzingu? zaczął piękny Izydor.

— Wszystko jak najlepiej, odpowiedział pan Scheuchenstein, dziś wieczór możemy, jeśli pan zechcesz, wyszpiegować scenę, jaką Fiametta odegra ze stolarczykiem. Pani Burgier, waszój ex-guwentantce istotnie udało się zjednać sobie zaufanie Otyliji i jój matki; nie-doświadczone dziewczyna nie przeczuwa nawet, co się tu robi, ha, ha, ha!

— Istotnie aż nadto wielki czas, byśmy tę sprawę raz już załatwili, rzekł młody Goldstern drżącym z oburzenia głosem; obelgi jakich doznaliśmy obadwaj za zbyt długo nie zostały ukarane.

— My sobie jednak powetujemy je z lichwą, rzekł z uśmiechem Scheuchenstein.

— Lichwę tę, odrzekł z oburzającym cynizmem piękny Izydor, zechcesz pan łaskawie sam zinkasować, gdyż ja, drogi mój Emilu, wyjeżdżam w niespełna dwa tygodnie na lat kilka z moją mamą.

Brat Liguoryanin szeroko ze zdziwieniem otworzył usta i oczy. Przyjaciel jego powtórzył mu teraz rozmowę, jaką przed dwiema godzinami, prowadził ze swoją mamą. Pana Scheuchensteina to energiczne postanowienie pani Goldstern uderzyło zupełnie niespodzianie. Na serdecznym swym przyjacielu w przeciągu roku wprawdzie zarobił *tajemnie* przeszło 150,000 jednak uważał dziś, że młodemu marnotrawcy od niego przez trzecią osobę pieniądze już nadal dostarczone być nie mogą, lękał się bowiem czy piękny Izydor i jego

matka będą zdolni wypłacić się z tego długu, w obec niewzruszonego warunku, iż przed upływem lat trzydziestu, nie może być wyrzeczona śmierć starego Goldsterna.

Scheuchenstein pochwalił plan pani Goldstern i przyrzekł na seryo swemu przyjacielowi, iż silnie w tym kierunku dopomagać będzie zamiarom jego mamy.

Piękny Izydor słuchał cierpliwie swego przyjaciela, ale myśli jego zajęte były zupełnie innemi przedmiotami.

— Jeżeli ci to zrobi przyjemność, mój najdroższy przyjacielu, tak kończył brat Liguoryanin swoje dobre nauki i rady, to mogę zaraz towarzyszyć ci do domu i porobię z twoją mamą odpowiednie układy, gdyż jak wiesz, ja figuruję jako poręczyciel za wszystkie twoje długi, i nikt nie może mieć mi za złe, jeśli ja pragnę przed waszym odjazdem uporządkować ten interes.

Piękny Izydor kiwnął na zgodę i rzekł:

— Ja sędzę, że mama i bez tego jutro by cię do siebie poprosiła, nie miałbym jednak nic przeciwko temu, gdybyś zaraz ze mną do domu pojechał. Jak się przy wyjściu z domu dowiedziałem, posłała ona po adwokata doktora Fressera który, jak ci wiadomo, został ustanowiony przed wyjazdem jeszcze ojca mego pełnomocnikiem firmy Goldstern. Być może spotkamy tego pana.

Ostatnie domniemanie sprawdziło się najzupełniej. Doktor Fresser jak również buchalter, który zastąpił miejsce znikłego bez śladu biednego Fellnera,

znajdowali się w salonie gościnnym pani Goldstern, kiedy jój syn wszedł tam ze swym Mefistofilem.

Pani Goldstern znajdowała się widocznie w doskonałym humorze. Adwokat nie tylko przychylił się do jój zamierzonego planu, ale nawet okazał się gotowym, sam zająć się jego urzeczywistnieniem.

— Przybywasz pan, jak zawołany, panie Sscheuchenstein, powitał pan Fresser wchodzącego; oszczędzasz mi pan drogi do pana. Pani Goldstern już mi o wszystkim opowiedziała i w imieniu mojego drogiego, znikłego przyjaciela, mogę panu tylko najszczerze dzięki wynurzyć, że pan dotąd tak uprzejmie ratowałeś pana Izidora w kłopotach pieniężnych.

Przy tych słowach adwokat rzucił przeszywające spojrzenie na lekkomyślnego marnotrawcę, który nadzwyczaj mocno się zarumienił, gdyż pan Fresser wyraźnie dał do zrozumienia, że mu jest znane istnienie fałszywego wekslu.

— Na przyszłość jednakże, ciągnął dalej adwokat z akcentowaniem w słowach, prosiłbym bardzo pana Scheuchensteina, w jego własnym nawet interesie, by nie zadawał sobie podobnych trudów, gdyż, jakkolwiek śmierć bankiera Goldsterna jest bardzo domniemaną, ta jednak w prawnym znaczeniu uznaną i dowiedzioną być nie może, a w skutek tego o postępowaniu spadkowym wcale i mowy nie ma. Majątek bankiera musi być nadal zarządzany w tym kierunku, jaki tu przed swoim wyjazdem nakreślił z wyraźnym zastrzeżeniem: wa-

żny we wszystkim i względem każdego aż do powrotu do Wiednia.

Na rachunek więc tego majątku, nie mógłbym wypłacić 378,000 guldenów, bez ciężkiego ubliżenia obowiązkom na mnie włożonym. Pomimo tego jednak chętnie okaże się gotowym, być pośrednikiem w zniesieniu długu między panem Scheuchenstein jako poręczycielem z jednej strony a panią Goldstern i jej synem z drugiej, to zawsze jednak jako interes więcej prywatny, a nadto zobaczysz mnie pan gotowym, w sposób żądany przez panią Goldstern, użyć przypadające z majątku bankiera rocznie 60,000 guldenów na powolną spłatę. Tak, chcę więcej jeszcze uczynić. W mojej ogólnej plenipotencyji zostawił bankier do mojej woli; podnieść odpowiedni fundusz na drobne wydatki dla pana Izydora i na szpilki dla pani Goldstern, ale w razie rzeczywistej potrzeby. Sądzę, że ta rzeczywista potrzeba teraz właśnie nadeszła, i że więc usprawiedliwionym będę przed Bogiem i światem, skoro podwoję obiedwie wzmiankowane summy. Przy 36,000 guldenów rocznie pani Goldstern i pan Izidor będą w stanie w czasie swój podróży bardzo przyzwoitą odgrywać rolę.

— Pańska dobroć zadziwia mnie! zawołała mocno ucieszona pani Goldstern, a także piękny Izidor uśmiechał się do doktora Fresser z niekłamana życzliwością. Brat Liguoryanin podobnie rozpląwał się z radości, gdyż, skoro generalny zarządca firmy Goldstern przyznawał jego żądania, były one tak dobrze jak już zapła-

cone, podczas gdy prosty układ pomiędzy nim a panią Goldstern, przy którym pieniądze odbierałby nie wprost z kassy domu bankowego, zawsze wydawać mu się musiał bardzo jeszcze problematycznym.

Pan Scheuchenstein zgodził się więc bez żadnego oporu na zmiany wypłat, jakie przedstawił pan Fresser. Miał on wszystkie pieniądze odrazu, w przeciągu tygodnia bez dyskonta otrzymać, tak, że pani Goldstern i Izydor zostawali dłużnikami kassy bankiera Goldsterna. Dalej żądał adwokat od pani Goldstern i jej syna piśmiennę deklaracyji, że bez jego wiedzy i zgody żadnych w przyszłości długów zaciągać nie będą i że jeśli pan Scheuchenstein wyda jakąkolwiek summę na rewers, uzna to za niebyłe i nieważne, i sam Scheuchenstein złe skutki z tego poniesie.

Było już późno wieczorem, nim doktor Fresser wszystkie szczegółowe rozporządzenia na odpowiednich dokumentach piśmiennych, w formie prawnej uregulował.

Pani Goldstern i brat Liguoryanin położyli swoje podpisy ze szczerym zamiarem dotrzymania tego, co przyrzekali. Pierwsza czuła się szczęśliwą ze wspaniałomyślności adwokata, drugi, cieszył się niewymownie, iż tak prędko i korzystnie zdobył owoc swój lichwy. Piękny Izydor przeciwnie, podpisywał swoje nazwisko bardzo niechętnie, gdyż odjętą mu została możność robienia długów. Całe miasto już od kilku miesięcy wiedziało o szczególnym stosunku prawnym, jaki i zniknięcie bankiera spowodowało, i młody Goldstern wiele trudu

by poniósł, zanimby dostał zkad bez poręczenia Scheuchensteina choćby tylko 100 guldenów. Również podrabianie fałszywych weksłów wśród tych okoliczności nie było już możliwe, żeby się zaraz nie wykryło.

Gotowość, jaką adwokat Fresser okazywał w całej tej kosztownej sprawie, nie pochodziła bynajmniej z jakichś osobistych pobudek. Chodziło tu tylko o tajemne instrukcje, jakie mu tak uroczyście polecił stary Goldstern. Z pozostawionych przez Felnera listów i z innych wskazówek niewątpliwie bankier się dowiedział, że ręką Izzydora puszczone zostały w obieg weksle fałszywe. Zaklinał więc swego starego przyjaciela prawnika doktora Fressera, by się nie lękał choćby największej summy, i *tajemnie* ściągał do siebie papiery, któreby niecnymi postępkami niepoprawnego syna, kompromitować mogły nazwisko Goldsterna.

Podczas wygotowywania dokumentu pan Scheuchenstein oddalił się na pół godziny, by przynieść z domu swego wszystkie papiéry, wynoszące sumę 378,000 guldenów, gdyż przezorny adwokat postanowił kuć żelazo, dopóki jest gorące.

Zradości przy tak niespodzianie szczęśliwym zakończeniu swoich interesów pieniężnych, *brat Liguoryanin* wcale nie myślał, w tej chwili przynajmniej, ze swęj strony występować z fałszywemi weksłami.

— Co do mnie, myślał sobie w duszy, niech sobie nadal djabeł we własnej osobie zajmuje się familiją Goldsterna, ja się już więcej w to nie mieszam. Oskubałem doskonale moją owieczkę, niech sobie Ferguzon myśli

o reszcie jeśli mu się spodoba, dla czego on właśnie teraz wyjeżdżać musi do Falkstajnu. Człowiek ten tasuje swoje karty nieco za śmiało, złapią go lada chwila, jak zuchwałą ręką robi wolty. Tak, tak, to jest najlepiej, umowy mojej z Fresserem sumiennie dotrzymam, nie dla tak zwanój, głupiej uczciwości, ale ponieważ tak będzie dla mnie najbezpieczniej. Choćby głupiec Izydor nawet nie wyjechał, musiałbym zerwać z nim zupełnie, gdyż wcale nie myślę dzielić się z nim owocami projektu mego względem ładnej córki stolarza. Do djaska! Moje wydatki wynoszą już do téj chwili 5,000 guldenów gotówką, ta Fiametta to prawdziwy żarłok pieniędzy, ale ponieważ tancerki koniecznie *tajemnie* potrzebuję, by złapać Otyliją pod swoją władzę, muszę więc gryźć to kwaśne jabłko. Właściwie mówiąc jednak, co znaczy ta nędzna summa? Mamy, więc możemy sobie pozwolić. Mój cały majątek wynosić będzie, jak tylko odbiorę jeszcze 378,000 guldenów, co najmniej 700,000 guldenów, a gdy nakoniec umrze stary feldmarszałek, wtedy *pierwszy* milionek będzie prawie gotowy. Milijon! powtórzył brat Liguoryanin z błyszczącymi oczami; milion a drugi, trzeci znajdują się już same z siebie.

Takie i podobne uwagi skracały mu nadzwyczaj przyjemnie drogę z Jägerzeile do miasta i ztamtąd napowrót do domu Goldsterna.

Po dopełnieniu podpisów i oddaleniu się doktora Fressera Scheuchenstein i Izydor rozstali się także z sobą chłodno, nawet życzenie, by się jeszcze raz widzieć

przed odjazdem i pożegnać, widocznie było tylko dla formy z obu stron wyrzeczone.

Mocno zasmucony powrócił młody Goldstern do swego pokoju. Jeszcze długo po północy chodził bezsenno po pokoju, a w mózgu jego rodziły się jedna po drugiej czarne myśli.

— Tak, mruzczał nakoniec w oderwanych zdaniach do siebie—tak, to musi nastąpić. Nie mogę znieść myśli, że w przyszłości mam jak chłopiec mały brząkać groszami. Co ja na to obmyślę. Czy mam wziąć cudze pieniądze? z pewnością nie. Przeciwnie, jestem nawet w prawie dopomódz sobie do zabrania tajemnie części zostawionego dziedzictwa. Właściwie nikt tu szkody nie poniesie, a nadto, gdyby się udało, dalbym małą, lecz bardzo zasłużoną nauzkę temu obłudnikowi Emilowi. Ten urwis już dosyć mnie przeszło rok oszukiwał, niepokoił i wysysał z pieniędzy. A więc zostaję przy moim zamiarze i zaraz jutro rano rozpoczynam robić pierwsze przygotowania.

Piękny Izidor, który nie zwykł był nigdy opuszczać łóżka przed 9-tą godziną z rana, wstał nazajutrz bardzo rano, bo zaraz po 6-jej godzinie, kiedy się zebrała służba kantorowa, by przewietrzyć i zamieść osm pokojów, zajmowanych na lokal bankierski. Młody Goldstern nigdy dawniej bez naglącego interessu nie wchodził do tych pokojów, kręcił się teraz po nich bardzo gorliwie, a to pod pozorem robienia studyjów do zamierzonej wielkiej podróży z olbrzymich mapp i podręczników,

które się tutaj znajdowały dla użytku pracujących w kantorze.

Jak skoro tylko jednak uważał piękny Izydor, iż nikt na niego nie patrzy, zajmował się czynnością zupełnie odrębną natury. Z lękliwą, niespokojną miną podsuwał się do różnych kass podręcznych, jakie znajdowały się w lokalu i zwykle pod koniec tygodnia, zawierają w sobie z różnych wpływów mniej więcej znaczne summy. Rzuciwszy jednak baczniejsze oko na młodego ladaco, by się przekonać, co go sprowadza do uwijania się w pobliżu szaf z pieniędzmi, to zauważymy, że na kawałkach miękkiego wosku robił odciski zamków tych szaf, naturalnie wszystko tajemnie.

VI.

Klatka z niedźwiedziami.

Dość już dawno jak spuściliśmy z oka małą rezydencyją Falkstejn. Między chwilą kiedy księżę Floardo di Cozenca z powodu nieszczęsnego swego procesu pojechał do Rzymu, a dniem, w którym tamże uciekł z Zamku Anioła, upłynęło całe dziesięć miesięcy, w czasie których wszakże nie zdarzył się na dworze starego księcia Ryszarda żaden taki wypadek, któryby wpływ mógł wyrzucić na losy głównych osób naszej powieści.

Aż do końca Kwietnia 1859 r., kiedy Flodoardo w skutek swojej audyjencji u Papieża Piusa IX-go niezwyklej dopuścił się śmiałości, miała miejsce ciągła i ożywiona wymiana listów między księciem i Adelgundą. Nagłe i niewytłumaczone milczenie Flodoarda, spowodowało naturalnie wielki niepokój jego przyjaciół w Falksteinie, gdyż wszystkie odwoływania się w tym względzie do znajomych zamieszkujących w Rzymie nie mniej pozostały bez skutku, jak późniejsze urzędowe poszukiwania, jakie ksiązę zarządzić kazał przez posła pruskiego w Rzymie. Wszystkie odpowiedzi jednoznacznie brzmiały, że ksiązę niespodzianie opuścił *wieczne miasto* i nikt nie wiedział dokąd się udał.

Na takiej korespondencji upłynęło dość wiele tygodni. Tymczasem niespokojność i rozpacz biednej Adelgundy dosięgły najwyższego stopnia i zaklinała na wszystko swego ojca, by pojechał razem z nią do Rzymu, by tam osobiście odszukać znikłego. Jakkolwiek do podobnej podróży ważne były bardzo przeszkody dla przyczyn czysto finansowych i oplakanego stanu majątkowego księcia, zacny, stary dziedzic Rothburg-Falkstejn-Stixenhauzen stanowczo jednak postanowił, ponieść choćby największą ofiarę, by zadość uczynić uzasadnionemu życzeniu swego ukochanego dziecięcia. Poczciwa ciotka Ulryka oddała do dyspozycji całe swoje od lat wielu z trudem zebrane oszczędności około 2,000 talarów, a dzielny pan Strickwitz, sam dość potrzebujący i ubogi, zaciągnął na swój małeńki mająteczek dług stosunkowo dość duży bo 3,000 talarów,

którą to sumnę oddał księciu najpokorniej na usługi pod pozorem niespodzianego spadku, a to na zamierzoną podróż do Rzymu.

Tym sposobem książę Ryszard był aż nadto w możności przedsięwziąć podróż z Adelgundą, gdy nagle księżniczka dostała silnych ataków nerwowych, spowodowanych ciąglą obawą o swego ukochanego narzeczonego. Zdrowa, silna natura Adelgundy wytrzymała wprawdzie tę chorobę, jej osłabienie jednak radziło, by na kilka przynajmniej tygodni odłożyć wyjazd i nie narażać jej na trudy dalekiej podróży, tym więcej gdy głęboki smutek, jaki opanował teraz całą jej istotę, był silną przeszkodą do zupełnego wyzdrowienia.

Nagle jednak zdenerwowany stan Adelgundy ustąpił miejsca niezwykłej radości. Stary książę otrzymał z Perudziji liścik, pisany wcale nieznaną mu ręką, tajemnym pismem wolnomularskim, w którym donoszono w krótkości o nastąpionj własnie ucieczce Flooarda z Zamku Aniola. Te kilka wierszy pochodziły od del Lucca, który jak wiemy, udał się za interessami z Orvieto do Perudziji.

W dwa dni późnij nadeszła ze Syjeny wiadomość, tak samo tajemnym pismem ułożona, ale widocznie inną ręką, że książę znajduje się na terrytoryjum Toskańskim zupełnie bezpieczny od poszukiwań papieżkich zbirów, wszakże cierpiący w skutek nie ludzkiego z nim obejścia się i że długi czas jeszcze nie zdolnym będzie do przedsięwzięcia podróży.

Jeszcze o jeden dzień później nadszedł własnoręczny krótki list księcia, który nie mogąc wytrzymać z niecierpliwości po wyjeździe porucznika, mającego donieść księciu i księżniczce o jego oswobodzeniu, pomimo zakazu napisał do nich sam kilka słów. Teraz radość była zupełna, chociaż z tych kilku wierszy widać było drżącą rękę Flodoarda i jeszcze wątły stan jego zdrowia. Według tego co pisał, miał jeden z *braci*, cesarsko-królewski oficer przybyć najdalej za dwa lub trzy dni po jego liście do Falksteinu i tam osobiście opowiedzieć wszystko, co się odnosiło do jego osoby. Naturalnie z palącą niecierpliwością wyglądano przybycia tego posłańca, a naczelnik policyji Falksteinu otrzymał rozkaz, by ze szczególną uwagą oczekiwał od dziś dnia na Bahnhofie przybycia upragnionego gościa i żeby tego czy to w dzień czy w nocy, zaraz po jego przyjeździe bez żadnej zwłoki księciu przedstawił. Ponieważ Flodoardo wyraźnie napisał, że posłaniec ów mieć będzie na sobie mundur austriackiego oficera od piechoty, nie podobna go było nie poznać.

Kochana stara ciotka Ulryka i zacny Strickwitz, który bardzo kochał swego pana, odmłodnieli o jakie lat dziesięć, usłyszawszy tak dobre wiadomości. W ogólnej jednak radości, jaka teraz po ostatnich trzech tak smutnych miesiącach, na dworze Falksteinskim panowała, przewyższał wszystkich pan professor, który od trzech blisko miesięcy korzystał z gościnności księcia Ryszarda i takie zdołał sobie zaskarbić łaski starego

pana, iż byłby wzbudził zazdrość w panu Strickwitz, gdyby nie oddziaływały czarodziejsko na tego ostatniego, ujmujący sposób obejścia się i prawdziwie zadziwiająca uczoność obcego.

Doktór Henrichsen, tak się nazywał professor, przybył do Falksteinu dla poszukiwania w bardzo bogatym archiwum księcia Ryszarda, rzadkich dokumentów do olbrzymiego dzieła historyji reformacyji podług najnowszych źródeł. Książę ze zwykłą sobie uprzejmością nie tylko mu wszystko dał do rozporządzenia, ale nadto umieścił go przy sobie na zamku, co, jak już powyżej mówiliśmy, w Falkstejnii było zwyczajem tylko względem znakomitych osób, przybywających do tego miasta.

Stary książę używał prawdziwie duchowej rozkoszy w towarzystwie z Henrichsenem i gdyby mu jego środki choćby w części tylko pozwalały, byłby starał się nakłonić wielkiego uczonego do stałego choćby za największą cenę pobytu w jego krajiku.

Nieco mniej szczęśliwym jak u księcia i p. Strickwitza, był professor z paniami Ulryką i Adelgundą, które, nie zdając sobie nawet sprawy coby mogło być tego powodem, nieraz sobie w oczy, powiedziały, że dla nich doktor Henrichsen bardzo jest antypatyczną postacią, że on jakoś zanadto podchlebia i za nadto jest słodko przyjacielski i że szczególnież dziwny wzrok jego, pasujący bardziej w głowie bazyliuszka jak u człowieka, sprawiał zawsze jakąś niespokojność i trudne do zrozumienia przykre uczucie. Te uwagi udzielały so-

bie jednak obie panie tylko w cztery oczy, ponieważ książę, kiedy o tym pewnego razu w jego obecności mówiły, wbrew swemu zwyczajowi nadzwyczaj się rozgniewał i ostro napomniał, iż kobiety nie są zdolne do wydawania dobrego sądu.

Kobiecey jednak instykt Ulryki i Adelgundy był daleko lepszym i korzystniejszym doradcą, jak nadzwyczajna kiedyś uczoność i odczytanie księcia, który w uczonym też profesorze widział tylko cnoty, i cnoty same, a ani jednę wady.

Przypatrzmy się zresztą postępowaniu Henrichsena wtedy gdy nie znajduje się w towarzystwie księcia lub pana Strickwitza i niewidziany robi co mu się podoba, rzućmy nakoniec przelotne spojrzenie na jego starannie pod zamkami i ryglami zachowane korespondencye, to z wielkim przestachem przekonamy się, że wstręt jaki czuły ku niemu Ulryka i Adelgunda, był aż nadto usprawiedliwiony.

I Henrichsen także otrzymał cyframi znaczone pismo, w czasie kiedy przyszły pocieszające listy z Perudżiji i Syjeny— a otrzymał je z Rzymu. Kiedy profesor odcyfrował znaczenie jego i wraził go sobie dobrze w pamięć, starannie zaraz spalił papier. Otrzymane wiadomości zdawały się go bardzo nieprzyjemnie zaniepokoić.

Przeszło godzinę siedział przed swoim biurkiem głęboko w myślach zatopiony. Wreszcie tak mruczał do siebie:

— Panom tym w Rzymie łatwo jest rozkazywać.

Rozkaz mi dany nie tylko spotyka mnie zupełnie nieprzygotanego, ale nawet ktoby mógł przeczuć, że sprawa załatwioną ma być tak nagle i z takim pośpiechem. To przekłete lotry ci wolnomularze! Istotnie, dla nich wszystko możliwe! Jednak założyłbym się był pierwój o moją głowę, niż przypuścił, że Flodoardo wymknie się z Zamku Anioła. To bardzo nieprzyjemne zdarzenie. Ale z zakonem muszę być bardzo ostrożny; gdybym raz jeszcze fiasco zrobił, stracę u mego zwierzchnika całe zaufanie, które już i tak dosyć ucierpiało przez połowiczne udanie się zamiaru względem starego Goldsterna. Hm! to piękna, miłutka istota ta Adelgunda; przypomina mi ona nadzwyczaj moją pierwszą miłość i księżną wdowę w jej latach młodych; jednak mamże czuć litość i współczucie, gdzie interessa naszego towarzystwa inaczej mówią? Kto wie czy Flodoardo przeżyje ten drugi okropny cios; prawdziwie szatańskie okrucieństwo leży w danym mi rozkazie i głos krwi podnosi się we mnie głośno przeciwko temu, iż ja bez litości zamączę całą, piękną jego przyszłość przez śmierć księżniczki.

Professor, którego maskę być może już przeniknąć musiał uważny czytelnik, wpadł powoli w długie zamyslenie. Nakoniec podskoczył zdecydowany ze swego siedzenia, sięgnął po kapelusz i udał się na znajdujący się przy jego pokoju taras, by zejść na dół do obszernego zamkowego ogrodu.

— Tak, mówił do siebie, szybko krocząc przez boczne aleje, gdzie mógł się spodziewać, iż o tym czasie

nie spotka nikogo,—tak, to musi nastąpić. Zostawiam do woli wyższej siły, czy rozkaz moich zwierzchników istotnie wejdzie w wykonanie czy nie. Nie, nie, nie trucizna ma teraz okazać swe niszczące działanie; niechaj zwierz dziki posłuży za narzędzie boskiego wyroku.

Prawie w środku parku zamkowego w Falksteinie znajdowała się w sztucznie naśladowanej formie ruiny, wielka klatka niedźwiedzia. Księżę Ryszard, którego środki nie pozwalały na zbytek właściwej menażeryji, zadawałniał się karmić pół tuzina z rodziny niedźwiedzi. Lubił nadzwyczaj te zwierzęta, szczególnież póki były młode.

Teraz właśnie niedźwiedzica miała młode, których papa, okaz rzadkiej wielkości i niemiejszej dzikości, jako nienasyconie żarłoczny, trzymany był oddzielnie od swój rodziny, ponieważ inaczej byłby dzieci swoje podusił i pożarł ze skórą i włosami.

Czuwanie nad niedźwiedziami było powierzone ogrodnikowi, nazwiskiem Ignacy. Tego-to człowieka szukał teraz professor. Długą, nadzwyczaj długą prowadzili obaj ze sobą rozmowę; wreszcie zdawało się że z zadowoleniem obydwu zakończoną została. Ignacy schował cały pakiecik biletów pięciotalarowych do swego brudnego pugilaresu, a Henrichsen wrócił napowrót do zamku, często zwracając spojrzenie ku niebu, jak gdyby chciał był powiedzieć: „Od Ciebie zależy tam w górze, czy zezwolić, czy też przeszkodzić temu, czego ja sam nie powinienem dopuścić“

Znajomość pana profesora z zaledwie 20-letnim ogrodnikiem Ignacym, datowała się jednak nie od dzisiaj dopiero. Ostatni znajdował się od 6-u tygodni w Falksteinie; rodem zaś był z Paderbornu, gdzie ojciec jego był w służbie u miejscowego biskupa. Henrichsen tak umiał rzeczy pokierować, że Ignacemu, który początkowo wzięty był tylko do chwilowej pomocy ogrodnikom księcia, przez przypadkowe niby wyrzeczone za nim przychylnie słówko do pana Strikwitza, zapewnił stałe miejsce w służbie u księcia.

Księżę miał zwyczaj raz przynajmniej codziennie odwiedzać swoje niedźwiedzie i rzucać własnoręcznie chleb nienasyconym zwierzętom. Ostatnia ta czynność sprawiała również przyjemność i Adelgundzie i dla tego bardzo często tam towarzyszyła swojemu kochanemu ojcu.

Zdarzyło się to właśnie zaraz na drugi dzień, w chwili kiedy professor odbywał tajemną naradę z Ignacym. Księżę i Adelgunda dzisiaj kilka minut tylko przepędzili u klatki. O tej godzinie przychodził pociąg z południa i bardzo było rzeczą prawdopodobną, że nim przybędzie także nakoniec tak upragniony posłaniec ze Syjeny. Na niedźwiedzi dziś więc mało zwracano uwagi i księżę zapomniał nawet wbrew swemu zwyczajowi zapytać się o zdrowie starego, oddzielnie trzymanego „mruka“, chociaż tenże zdawał się być dzisiaj w szczególnej złym usposobieniu, jak tego dowodziły jego przytłumione jęki i bezustanne rzucania się na żelazne kraty u klatki.

Książę i jego córka zalewie oddalili się o jakie pięćdziesiąt kroków od klatki niedźwiedziej do palacu, gdy nagle usłyszeli za sobą na żwirówce wielki szelest i dziwne mruczenie. Z przerażenia książę i księżniczka stanęli niby przykuci do miejsca.

Ogromny, dziki niedźwiedź wściekłą zemstą rozszalały, znajdował się od nich zaledwie o kilka kroków. O ucieczce lub o ratunku przed strasznym potworem nie było co nawet i myśleć. Niedźwiedź stanął na tylnych nogach i wyciągnął wielkie przednie łapy do śmiertelnego uścisku, wszakże zdawał się być niezdecydowanym, którą z dwu ofiar wybrać sobie. Wątpliwość strasznego, widocznie zgłodniałego zwierza wkrótce znikła. Niedźwiedź rozmyślił się napaść na księżniczkę, której oślepiając białe, bujne łono, zdało się podniecać głód jego. Jednym uderzeniem olbrzymiej łapy, rzucił księżniczkę na ziemię, z przerażenia nie mogąc wydać żadnego krzyku.

— Moje dziecię, moje dziecię! wołał książę w rozpacz i nie zastanawiając się nad bezużytecznością swego zamysłu, rzucił się bezbronny na niedźwiedzia, który prawą łapą trzymał Adelgundę jak dziecko za ubranie, a lewą gotów do walki, wyciągnął ku starcowi.

VII.

Przez pośrednictwo.

Przez czas w którym pani Goldstern powzięła stanowcze postanowienie odbyć daleką, wzmiankowaną już przez nas podróż, pani Burger, której nazwisko po kilkakrotnie już wspominaliśmy jako następczyni baronowej Schancenau, zawiązała serdeczną znajomość z wdową po stolarzu Wagner. Z powodu choroby a także wyjazdu bankiera z Sarą i Pauliną w jesieni zeszłego roku, zaledwo przez kilka miesięcy zajmowała u nich miejsce guwernantki. Po wyzdrowieniu wynajęła sobie pani Burger mieszkanie na rok na Matzleinsdorferstrasse i właśnie w tym samym domu, gdzie znajdowała się ze swą matką, małą, piękną Otylija.

Pani Burger, której powierzchowność zdradzała pewną zamożność, zawiązała ze wspomnianą wdową bardzo przyjacielskie stosunki a szczególnie jej córeczce wyświadczała tysiączne drobne grzeczności i przyjemności; szczególną tę sympatyją tym tłumaczyła sama pani Burger, że Otylija żywo przypominała jej przed 10-ciu laty zmarłą jedynaczkę. Tak wdowa Wagner jak i Otylija w całej prostocie serca wszystkie słowa i czyny słodkiej pani Burger przyjmowały za dobrą monetę. Same zacne i szczerze, nie dopuszczały możliwości, by tak ujmujące i gotowe do ofiar i usług obejście się pani Burger, miało mieć za powód jakąś złą lub ukrytą myśl. Szczególniej stolarka wdowa wieszowała

sobie takiej znajomości, gdyż pani Burger dama z wykształceniem i wytwornym obejściem, poświęcała codziennie kilka godzin małej Otyliji, bardzo czytanej, ale żadnego wyższego wychowania nie posiadającej dziewczynce, by jej dać lepszą oglądę światową i wyuczyć ją niektórych dotąd zupełnie jej brakujących nauk, jak np, francuzkiego języka i delikatniejszych ręcznych robótek.

Podobnie gotową zawsze była pani Burger dopomagać wdowie w mniejszych kłopotach pieniężnych i to w sposób nadzwyczaj delikatny. A od blisko 2-u miesięcy wypadki, gdzie wdowie Wagner nagląco potrzeba było 50 do 100 guldenów na zakup nowego materiału i spłatę bieżących rachunków, niestety zdarzały się aż nadto często. Do tak złego stanu interesów przyczyniły się zresztą nie tylko ogólny brak roboty i pieniędzy, ale bardziej niezgody i sprzeczki jakie od niejakiego czasu coraz bardziej widocznymi były, pomiędzy wdową a kierującym jej warsztatami Heinrichem, z deklarowanym narzeczonym Otyliji. Heinrich przed kilkoma miesiącami bardzo stanowczo na to nalegał, by mu Otylija nakoniec przed ołtarzem rękę oddała i żeby cały interes zupełnie przeszedł na jego imię. Na to ostatnie jednak żądanie przystać pani Wagner nie chciała; nie zgadzało się z jej sposobem myślenia, by w przyszłości żyć jedynie na łasce swego zięcia i słusznie zawsze mówiła: „Jedna matka łatwiej utrzyma dziesięcioro dzieci, jak dziesięcioro dzieci jedną matkę.“ Zresztą pani Wagner wcale nie była przeci-

wna dać mu za żonę Otyliją, ale żądała, aby przynajmniej tyle kapitału mógł przedstawić, by wejść jako jej wspólnik do interesu. Nadto słusznie nie widziała ona naglącej potrzeby przyspieszania tego małżeństwa. Heinrich liczył dopiero rok 22-gi a Otylija 18-sty. Oboje więc młodzi ludzie dobrze mogli jeszcze 2 lata poczekać, nie na tem nie straciwszy.

Otylija, rozsądna i potulna panienska, słuchała we wszystkim swojej matki, choć jej to dość ciężko przychodziło, gdyż istotnie serdecznie kochała swego lubego Heinricha; bądź co bądź jednak czuła się już szczęśliwą i zadowoloną na myśl, że jej kochanek znajduje się blisko niej i że go codziennie widzieć i rozmawiać z nim może. Nie podzielała także nagannego wyroku swjej matki o Heinrichu, któremu wdowa za wielkie marnotrawstwo poczytywała, iż w jesieni zeszłego lata cały swój mały kapitałik 1200 guldenów na to użył, by się raz na zawsze wykupić ze służby wojskowej.

— Mój mąż, mówiła pani Wagner zawsze na gorące obrony Otyliji,—mój mąż, niech spoczywa w Bogu, wyśłużyć musiał całe swoje 14 lat a miał czas jeszcze ze mną się ożenić. Bah! z pewnością nawet w tej wyprawie nie zabiliby Heinricha; wszedłby jako stolarz do warsztatów wojennych i zostawiliby go w Wiedniu; włos by mu nie spadł z głowy, gdyż w naszym arsenale działa o tyle są tylko niebezpieczne, iż je kradną.

Pourry i z widocznym smutkiem złożył Heinrich swoją robotę, gdyż z ust pani Wagner mnóstwo nasłuchać się musiał wyrzutów za roztrwonienie 1200 gulde-

nów. Jesliby pani Wagner została przy swoim postanowieniu a o czém nie należało wątpić, gdyż była to kobieta z charakterem nadzwyczaj stałym i z tych co to je zowią *hic mulier* — to musiałyby jeszcze czekać co najmniej z lat 5, by mógł przedstawić żadaną summę ze swój pracy i z podziału zysków interessu.

Było to w sobotę po 6-jej godzinie wieczorem, kiedy pani Burger stolarzowa i jej córka siedzieli razem w pokoju, dotyczącym warsztatu. Każda z trzech kobiet zajęta była ręczną robotą.

Pani Wagner i Otylija odrywały często wzrok swój od roboty, rzucając wyczekujące spojrzenia przez okno, które dawało rozległy widok na szeroko ciągnąoy się gościniec.

— Gdziekolwiek bądź Heinrich przebywa, zaczęła nakoniec poważnie pani Wagner, wie przecie, że go z niecierpliwością oczekujemy; prócz tego 5-u czeladników zaraz kończą swą robotę i chcą mieć za nią zapłatę. Jeżeli dziś nie zbierze pieniędzy, to będę w wielkim kłopotcie — ośm guldenów i trzydzieści krajcarów stanowi cały mój majątek. Jutro przyjdzie także z pewnością dostawca drzewa i jeśli temu prostakowi nie zapłacę przynajmniej 50 guldenów, to zrobi mi straszną awanturę. Na moją duszę, słusznie jestem zagniewana na Heinricha, gdyż on to mnie namówił, bym przyjęła robotę od królowej teatru. Że mi też to zaraz przez myśl nie przeszło, że z zapłatą może być ambaras.

— Ależ, kochana mamó, uspakajała Otylija, gdyż obwinienia przeciw jej drogiemu kochankowi zwrócone

ciężko jój serce raniły, ależ kochana mamó, przecież my pieniądze nasze dostaniemy od tancerki; jestto znaczna summa, którą tutaj zarabiamy, i każdy inny stolarz uważałby sobie za zaszczyt, wykonać jakąś robotę dla panny Fiametty. Gdyby nie ta robota musielibyśmy przynajmniej 5-u naszych czeladników oddalić; ty sama wiesz mamó najlepiej, jak źle teraz idą nasze interessa.

— To prawda! potwierdziła pani Wagner z głębokim westchnieniem, ale mała robota za gotówkę byłaby dla mnie daleko korzystniejszą, jak kolosalne urządzenie owój willi w Hitzingu, którą jakiś bogaty pan podarował tancerce. Samo drzewo kosztowało nas 480 guldenów, a cały rachunek wynosi przeszło 1100 guldenów. 300 guldenów możemy przy téj robocie zarobić, ale cóż to wszystko znaczy— jesteśmy łaskawój na nas pani Burger winne już przeszło 100 guldenów, a jak powiedziałam, na jutro podobna téj summa jest nam tak konieczna jak kawałek chleba.

— O, ja mogę poczekać, zauważyła uprzejmie pani Burger, i gdybym miała w téj chwili pieniądze, wielką by mi zrobiło przyjemność, raz jeszcze pani dopomódz; niestety, procenty od mego kapitału przypadną dopiero za miesiąc. W najgorszym razie zastawię w poniedziałek moje klejnoty w lombardzie.

— Dziękuję, dziękuję, odmówiła stanowczo pani Wagner, nie można nadużywać niczyjój dobroci; przyjacielskiej usługi pani w żadnym razie przyjąć nie mogę.

— Idzie, już idzie! zawołała nagle Otylija, której bystre oko zdaleka poznało stolarczyka. Dziewczyzna chciała pobiedz na przeciw Heinrichowi.

— Zostań! rozkazała krótko jój matka, już ci kilka razy mówiłam, że jest nie przyzwoicie, kiedy panna wybiega naprzeciw mężczyźnie. Gdybym na to zezwoliła, już byś była nawet za nim pobiegła; tego by mi jeszcze brakowało. Muszę nawet zrobić w stosunku naszym z Heinrichem pewną zmianę, gdyż Heinrich nie jest już tym co dawniej. Zuchwały, knąbrny, nieścierpię go dłużej w mojim domu, a potem od dawna już nie pracuje tak pilnie i akuratnie jak przedtem. Skargi gości stają się głośnie na straszne niedbalstwo i złą robotę; interes nie idzie dobrze, i młody człowiek zaczyna stawać się nieznośnym; ja go jednak z tego potrafię wyleczyć.

Otylija zalała się łzami na ten nieco może za surowy, ale bardzo słuszny objaw gniewu swój matki; gdyż zakochani daleko łatwiej znoszą od trzecich osób najcięższe wyrzuty jakie im samym się robi, jak cień nagany rzucony na przedmiot ich miłości.

Ze spuszczoną głową ku ziemi, wszedł lękliwie Heinrich do pokoju. Nie wymówiwszy ani jednego wyrazu, położył na stole małą książeczkę przed panią Wagner.

Ta otworzyła prędko książkę, która służyła do zapisywania odebranych pieniędzy.

— Jakto, zawołała stolarzowa, przerzucając z gniewem kilka papierków— jakto? Tylko 25 guldenów za-

płaciła tancerka, a przecież co najmniej sto przyrzekła. To smutny zawód. To nawet nie wystarczy na zapłacenie pana i 5-ciu *jinnych* czeladzi.

Stolarzowa wyraz *jinnych* odcieniowała tak, iż głęboko głos ten zranił duszę zarządzającego warsztatem. Z wyniosłą więc dumą odparł:

— Ja, pani Wagner, mogę i będę czekać, przede wszystkim upraszam panią na przyszłość rachunki nasze załatwiać miesięcznie; jak to przystoji dla mego stanowiska w tym domu; abyś pani jednak nie miała kłopotu z *czeladnikami*, dam pani na to forszus.

Mówiąc te słowa Heinrich, położył na stole dwa papierki po 10 guldenów i wyszedł szybko z pokoju zanim wysoce zdumiona pani Wagner, zdobyła się na jakąkolwiek odpowiedź.

— Zarozumiały zuchwalec! zawołała nakoniec z gniewem stolarka i odepchnęła od siebie zostawione przez Heinricha pieniądze; niech mnie Bóg zachowa, żebym miała cośkolwiek kiedy od niego pożyczać. Natychmiast musi zabrać swoje 20 guldenów lub dom mój opuścić.

Pani Wagner zawołała na chłopaka, któremu rozkazała zaraz poszukać pana rządcę i zwrócić mu 20 guldenów. Chłopiec uczynił zadość jej żądaniu; wiedział on że surowego rządcę znajdzie w poblizkiej kawiarni, gdyż Heinrich od niedawna zwiedzał podobne osławione miejscowości dla gry, gdy dawniej nie brał nigdy kart do ręki.

— Cóż pani jednak zamysłasz, pani Wagner? zapytała niby zdziwiona pani Burger, skoro dostrzegła, że

stolarzowa, włożywszy nieco swoich kosztowności do szkatułki, zdawała się być gotowa do opuszczenia domu.

— Poskoczę tylko tu bliźutko do fanciarza, by dostać 10 guldenów, odrzekła zapytana.

— O to nie potrzebujesz się pani kłopotać, rzekła pani Burger i schwytała panią Wagner za rękę, tyle mogę jeszcze pożyczyć; oto jest 10 guldenów— proszę, proszę, nie ma mowy nawet w tak drobnój, a bardzo naturalnej usłudze między sąsiadami.

Pani Wagner z uczuciem uścisnęła rękę ratującąj w potrzebie, mówiąc przytem z trudnością, z pełnymi łez oczami:

— To byłby ciężki cios dla mnie i naraziłabym się na złośliwe języki. Pani więc uprzejmość musi być dla mnie podwójnie drogą. Ale co będzie jutro, dodała zafrasowana wdowa, znękana zwieszając głowę, ale co jutro będzie, gdy przyjdzie dostawca drzewa i nalegać będzie o zapłatę?

— Ja sędzę, iż on tymczasem poprzestanie na 50 guldenach.

— Prawda.

— Będiesz pani miała i tę summę jutro zrana, o 9-jej godzinie, zapewniła pani Burger— jeszcze dziś wieczór odwiedzę dobrą moją życzliwą przyjaciółkę, która z pewnością méj prośbie nie odmówi, tém więcéj, iż pierwszy raz dopiero pójdę do niej z propozycją podobnej pożyczki, ale....

— Ale? powtórzyła z natężonym oczekiwaniem stolarza.

— Ale na dłużej jak na tydzień przyjaciółka moja pieniędzy niezechce pożyczyć; jest to bardzo szczególna kobieta. W ciągu więc tygodnia będziemy koniecznie musiały znaleźć sposób, by jej pożyczkę powrócić.

— W takim razie muszę wyrzec się korzystania z dobroci pani przyjaciółki, odrzekła stolarka zrozpaczona, nie jestem przyzwyczajona przyrzekać coś, czego nie jestem w stanie dotrzymać, a nadto i ty łaskawa pani, przedstawiłabyś się w obec swój przyjaciółki w złym świetle, lub nawet narazić byś się mogła na zerwanie z nią stosunków, przez swoją niewinną niesłowność. Niech mnie Bóg strzeże, żebym w tak niegodziwy sposób odplacić miała za pani dobroć.

— O tém później pomówimy, odrzekła pani Burger, udaj się pani przedewszystkiem do warsztatu, by zapłacić czeladników; ci ludzie właśnie skończyli swoją robotę i zagląдают do pokoju.

Stolarka pośpieszyła do warsztatu. W pięć minut zapłata była dopełniona. Obiedwie panie znowu usiadły obok siebie.— Pani Burger zaczęła:

— Znam przypadkowo tancerkę Fiamettę, tak z widzenia jak i z rozgłosu. Zdaje mi się, że Heinrich obszedł się z tą osobą z za małą energiją lub, powiem lepiej ze zbytnią delikatnością; te panie z teatru zwykły w zasadzie tylko pod wpływem silnego nacisku płacić swoje długi. Jeśli chcesz pani, odwiedzę pannę Fiamettę i zrobię jej awanturę. Założmy się, że przyniosę przynajmniej sto guldenów, i że resztę otrzymasz pani w przeciągu jednego miesiąca.

— Czyżby tak?! zawołała uradowana stolarka, gdyby tak szło dalej jak dotąd, przyszedłabym do moich pieniędzy dopiero po upływie roku.

— Naturalnie, dodała pani Burger, musi Otylija mi towarzyszyć, jeśli pani sama nie zechcesz ze mną się udać.

— Dziewczyna iść powinna, odrzekła bez namysłu pani Wagner; najprzód dla tego, że ja jestem cierpiąca na nogę, a powtóre, nie umiem wcale postępować z tego rodzaju ludźmi. Byłabym za zbyt delikatną lub za nadto szorstką. Dla *Tilli* przeciwnie wcale nie zaszkodzi, gdy przy pani boku nauczy się, jak to się trzeba na świecie obracać.

— A więc dobrze moja kochana pani, rzekła pani Burger — jutro po śniadaniu pojedziemy z Otyliją do Schönbrunn, obejrzymy przez parę godzin piękny park i menażeryją, a pod wieczór zaskoczemy pannę Fiamettę niespodzianymi odwiedzinami. Jutro ona nie wychodzi, i stawiam sto przeciw jednemu że się znajduje w wili, oczekując na przybycie swego znakomitego kochanka. By się nas pozbyć, chętnie się zgodzi, rachunek nasz zaspokoić. Teraz jednak pójdę odwiedzić moją przyjaciółkę. Ponieważ może nieco późno do domu powrócę, przyniosę pani 50 guldenów dopiero jutro z rana; możesz pani jednak z pewnością na nie rachować. Dobranoc tedy pani Wagner, dobranoc kochana Otylijo.

Biedna stolarka, która walczyć musiała z wszelkiego rodzaju nieprzyjemnościami, pochodzącymi z braku pieniędzy, uczuła iż wielki ciężar spada z jej serca;

Skromna kolacyja, jaką w towarzystwie Otyliji spożyła, smakowała jęj dziś wybornie, i pełna ufności w pośrednictwo pani Burger czekała na jutrzejsze przybycie szorstkiego dostawcy drzewa bez obawy i drżenia.

Wydalenie się pani Burger nie było jednak wcale dla wystarania się o 50 guldenów, ale dla widzenia się z panem Scheuchensteinem, który mieszkał niedaleko ztamtąd na Naglergasse. Brat Liguoryanin zwykle wieczorem nie bywający w domu, czekał dzisiaj na swoją tajemną spółniczkę i pośredniczkę, od której już w ciągu dnia liścik otrzymał.

Rozmowa między panią Burger i panem Scheuchensteinem trwała jednak nie długo, gdyż pierwsza miała tylko zawiadomić, że upragniona chwila do wykonania szatańskiej sztuczki, którą później bliżej poznamy, nakoniec się zbliżyła i brat Liguoryanin z tego powodu w dniu jutrzejszym umówione już od dawna środki przedsięwziąć i przygotować powinien.

Pan Scheuchenstein rozpływał się z radości i zgadzał się na wszystko, co jego tajemna spółniczka podstępnie ułożyła i przygotowała.

Następnego popołudnia spotykamy panią Burger i ładną Otyliję na drodze do Schönbrunn, obiedwie pod tarczą błogosławieństwa wdowy stolarki, która się znajdowała w wyborzym humorze, gdyż nie tylko spotkanie się ze strasznym dostawcą drzewa odbyło się zupełnie spokojnie, ale nadto zakładała sobie wielkie nadzieje na zabiegach łaskawej pani, iż pomyślnie załatwi się z marnotrawną tancerką.

W ogrodzie Schönbrunskim spotkała pani Burger bardzo elegancko ubraną damę, która poznała w niej od wielu lat niewidzianą przyjaciółkę lat młodocianych. Obiedwie panie zdawały się być nadzwyczaj uradowane z tego tak *przypadkowego* spotkania, i kiedy nakoniec pani Baronowa Szuszuwska, tak nazywała się ta dama, oznajmiła ulicę i numer domu swój willi, pokazało się, że *przypadek* dzisiaj dziwną rolę odgrywał, gdyż mieszkanie przyjaciółki pani Burger, graniczyło bezpośrednio z posiadłością zajmowaną przez tancerkę Fiamettę, od której dzielił ją tylko parkan ogrodowy.

Pani Burger przedewszystkiem oświadczyła jej, iż muszą złożyć z Otyliją ważną wizytę tancerce. Fiametta przyjęła obiedwie exekutorki pani Wagner z chłodną grzecznością, nie chciała jednak wcale słyszeć o natychmiastowym ujiszczeniu zapłaty. Teraz jednak nagle podniosła głos pani Burger. Otylija zdziwiona była wymową i dosadnością wyrażen, dotąd zawsze tak łagodnej i grzecznej *laskawej pani*. Z tym wszystkiem cel został osiągnięty. Fiametta, co raz bardziej naciskana, położyła nakoniec 200 guldenów i wystawiła na resztę weksel z krótkim terminem.

Na drodze do domu sąsiedniego, w którym mieszkała pani Szuszuwska, Otylija serdecznie całowała po kilkakrotnie ręce kochanej, dobrej pani Burger. Tak pomysłny rezultat przeszedł najśmielsze oczekiwania, jakimi mogłaby ludzić się wdowa stolarka, i poczciwa Otylija odczuwała już przedsmak radości, jaką ich powrót sprawi drogiej, tak ciężkimi troskami przygnębio-

nej jej matce. Można było teraz zaopatrzyć się w wyszłe już od dawna zapasy drzewa, blizki czynsz opłacić, narzędzia zakupić i t. p.

Milutkiej bruzetce podobał się także nadzwyczaj wspaniały dom, w jakim pani baronowa swoich gości podejmowała. Było to w pięknej, mocno zacienionej altance która dotykała parkanu tancerki. Podobnie i z drugiej strony parkanu znajdowały się gęste zarośla przez które najbystrzejsze oko nicby przejrzeć nie zdołało.

Nagle córce stolarki wypadł z ręki kawałek smacznego ananasa, który właśnie do ust zanieść chciała. W jej rysach odbijały się na przemian zadziwienie i niepokój. Natężyła ucho i z gorączkowym wzburzeniem podслуchiwała w obocznym ogrodzie przez dwie osoby prowadzoną rozmowę. Baronowa znikła teraz, zamieniwszy pierwój z panią Burger pełne znaczenia spojrzenie, pod pozorem, iż musi czegoś w domu poszukać. Otylija nie spostrzegła wcale oddalenia się uprzejmej gospodyni. Wszystkie jej zmysły skupiły się do rozmowy z tamtej strony parkanu. Nawet i pani Burger zdawała się z wielkim natężeniem chwycić słowa, które bardzo wyraźnie ztamtąd dochodziły.

— Nie lękałbys się przecież i trwożył jak mały chłopiec, mówiła Fiametta słabym i ze wzruszenia drżącym głosem. Nikt się nie dowie o naszej tajemnej miłości.

— Ach jak jesteś pani powabna, jak pełna dowcipu i rozumu, odzywał się dźwięczny głos mężczyzny. Na Boga! jestto okropna, ciężka walka, jaką od sześciu

tygodni staczam z sobą. Oblicze pani ujarzmią wszelkie moje dobre zmysły; zawsze ile razy panią opuszczałem, znajdowałem jeszcze jednak dosyć w sobie siły by ułudny obraz pani, przyćmić wspomnieniem o mojej narzeczonej, ale dziś, czuję to doskonale, zbywa mi po raz pierwszy na silnej woli, pozostania wiernym dla Otyliji.

Rozległo się kilka głośnych pocałunków. Nagle w willi tancerki trzy razy uderzono hasło.

— Nieba! zawołała Fiametta, mój książę przybywa; nie może on nas tu spotkać. W obec tego starego osła, Otello jest jagnięciem, pełnym łagodności i pobłażania. Czekaj na mnie najdroższy mój Heinrichu, punkt o 10 godzinie w tamtym kiosku. Zmyszę ból głowy i odprawię jak będę mogła najprędzej mego wycieńczonego adonisa. Do widzenia, do widzenia, moje serce!

Jeszcze raz dał się słyszeć odgłos pocałunków i lekka jak sylfida Fiametta poskoczyła do domu, by przyjąć swego „wysokiego“ przyjaciela z mistrzowsko udaną grzecznością i radością, zarazem jednak z cierpieniem w prawdziwie powabnych swych rysach.

Silne męzkie kroki po zwirówce oznajmiały, że szczęśliwy ulubieniec Fiametty szybko się oddalał.

— Biedna Otylija siedziała znękana i niezdolna wymówić słowa. Dopiero gdy się wyplakała i przez chwil kilka dała swobodny bieg niesłychanym męczarniom udręczonego serca, mogła zdobyć się wreszcie na trochę rozmowy.

— Biedne, nieszczęśliwe dziecię! litowała się pani Burger nad zrozpaczoną dziewczyną.

— Ach, jak nieszczęśliwą, jak godną współczucia czuję się w téj chwili, wyrzekła wśród łkania Otylija i załamała ręce rozpaczliwie.

— Uspokój się, moja gołąbko! pocieszała niegodziwa wichrzycielka, przedewszystkiem udamy się do domu, by jakie niedyskretne ucho nie podsłuchało wybuchów twego serca, jak nam się to samo przytrafiło, naturalnie zupełnie przypadkowo i mimowoli.

Otylija, która zaczęła zaledwie dopiero poznawać co są słodkie uczucia pierwszój miłości i na wzajemności i wierności Heinricha byłaby świąty budowała, oddała się teraz wszelkim męczarniom gorzkiego zawodu i téj desperacyji, którój ani nazwiska dokładnego dać nie można, ani też opisać jój nie podobna. Cała pogrążona w dotkliwój boleści rzuciła się na kanapę i tak łkała i jęczała, iż kamień zimny poruszyć by mogła.

Teraz przybyła baronowa i opowiedzieć sobie kazała swój przyjaciółce, co się stało, jakkolwiek i bez tego o wszystkiém dobrze wiedziała, gdyż należała do spisku, do jakiego za namową Scheuchenstejna weszła pani Burger, mniemana baronowa i tancerka, celem przeprowadzenia niecnego planu.

I pani Szuszowska wzięła to zdarzenie bardzo do serca i starała się okazywać współczucie. Wreszcie kiedy już wybuchy boleści Otyliji trwały z dobrą godzinę, przerwała pierwsza milczenie pani Burger.

— Już jest blisko dziewiąta godzina, rzekła spogląda-

jąc na zegar na ścianie, musimy odjeżdżać, moja droga Otylijo.

— Nie, nie, nie! zawołała dziewczyna z dziką energią; ja nie powrócę do Wiednia dopóki nie wypowiem w oczy Heinrichowi jego nikczemnej niewierności. Wejdę do tego tam kiosku i rzucę mu pod nogi ten pierścień. Nigdy, nigdy potem nie pokaże się on już na moje oczy.

— Ja, zauważyła baronowa, mogę tylko pochwalić taki zamiar biednej dziewczyny i nawet jój chętnie w tym pomogę, by nie dostrzeżona dostać się mogła do ogrodu tancerki. Mała nauczka nie zaszkodzi tak „lekomyślniej osobie“ i ręczę za to, że jój książę dowie się jutro o wszystkim.

— Mogłabym zamordować niegodną istotę, która mego Heinricha uwiodła, zawołała zalana łzami i ścisnąc pięście.

— Ale matka twoja, Otylijo, będzie w wielkim niepokoju jeśli nie będziemy w domu o dziesiątej godzinie, wtrąciła pani Burger życzliwym tonem, ja przyjąłam na siebie odpowiedzialność, kiedym cię wzięła od pani Wagner.

Otylija zdawała się pewną chwilę namyślać i w samej rzeczy jako dobra córka nie wiedziała prawie co robić, na myśl o niespokojności swój matki.

Teraz przysła do słowa baronowa jako pośredniczka.

— Ja myślę, rzekła spokojnie, że panna bardzo ma wielką słusność, skoro się chce na własne oczy prze-

konać, z drugiej jednak strony i ty rozsądnie mówisz, moja droga przyjaciółko, że pani Wagner sprawi to wiele niepokoju. Według mnie można tu znaleźć drogę pośrednią. Ty powrócisz teraz sama do Wiednia, oddasz wdowie pieniądze i weksel, doniesiesz jój jak istotnie jest prawdą, że Otylia nagle lecz nie niebezpiecznie zachorowała i że u mnie na noc została. Jutro około południa odwiozę sama osobiście pannę w moim powozie do domu. Jakże się wam podoba mój projekt? Otylija zgodziła się bez namysłu i oddała swoją portmonekę z pieniędzmi i wekslem pani Burger, która jednak ciągle jeszcze nie zupełnie uspokojoną się bydawała.

Baronowa dalej mówiła: prócz tego, moja kochana, jutro przy chłodniejszym namyśle rozważyłabym to, czy dobra pani Wagner ma się dowiedzieć o miłostkach między Heinrichem i tancerką. Po co ją zasmucać i ściągąć na dobrą dziewczynę gorzkie wyrzuty, gdyż, jak niedawno mówiłaś, pani Wagner i bez tego na serijo nie zgadzała się na oddanie ręki Otyliji Heinrichowi! Pan zarządca naturalnie za miejsce podziękuje nie wyświecając bliżej pani Wagner stanu rzeczy, cała historyja skończy się bez rozgłosu.

— Taki pogląd ma bardzo wiele za sobą, przytwierdziła pani Burger i ja nic o téj całej przygodzie matce nie będę wspominać dopóki Otylija nie przyjedzie do domu. A więc dowidzenia moje panie!

— Chodź pani, moja droga Otylijo, rzekła baronowa po oddaleniu się pani Burger, zaprowadzę panią do po-

koju z którego będziesz mogła widzieć większą część parku tancerki a szczególnie kiosk. Usiądź sobie pani przy oknie na czatach. Jak skoro pani dostrzeżesz, że Heinrich i Fiametta zeszli się na miejscu umówionym, zawołaj pani na mnie. Pokażę pani wtedy miejsce, w którym przez parkan bez trudności będziesz się pani mogła dostać do sąsiedniego ogrodu.

Dziewczyna poszła bez namysłu za panią Szusowską, która weszła pierwsza do jakiegoś pokoju na dole, z kądem istotnie dokładnie można było obserwować w mowie będącą altankę. Jedyne okno tego pokoju było dziwnie mocno okratowane gdy okna na parterze i pierwszym piętrze wcale w kraty opatrzone nie były.

Z trawiącą niecierpliwością spełniała Otylija swoją czynność badacza. W parku sąsiedniego domu zdawało się wszystko być w spokoju i cichości. Dziesiąta godzina wieczorem już wybiła.

— Ach! westchnęła Otylija czerpiąc nową nadzieję, gdyby on nie przybył, gdyby go też żal ogarnął i cofnął się. Jakże chętnie bym mu przebaczyła; nigdy w życiu nie dowiedział by się o tym, żem go dzisiaj szpiegowała.

Za zbyt prędko jednak pozbawioną została biedna dziewczyna owój pociechy. Po krótkiej chwili pokazała się w kiosku na przód męzka a następnie kobieca postać.

Otylija, wydawszy krzyk boleści, oburzenia i sza-leństwa, upadła na kolana. Jój wzburzona wyobraźnia przedstawiała jej żywo, jak przeniewierca w tej chwili

obejmował ułudną syrenę, jak czarująca Phryne silnie przyciskała go do siebie i jak oboje drząc z upojenia i owładnięci szalem zmysłowym, zamieniali uściski i pocałunki.

W tem Otylia usłyszała, iż drzwi jój pokoju zgrzytnęły na zawiasach. Sądziła, że weszła baronowa, by ją z tamtąd wyprowadzić.

— Nie, nie, mówiła kiwając głową do siebie, nie, nie mam odwagi napadać na tych nędzników, moje uczucie, wstyd nie pozwala mi, na odegranie podobnej sceny, niech sobie używa spokojnie szczęścia w objęciach nikczemnej łotrzycy! Dalej, dalej, do domu, opowiem wszystko mojej matce, wypłaczę się przy jój sercu a najlepsza ta moja przyjaciółka, będzie mi umiała doradzić i dopomóc. Zdecydowana, Otylija podniosła się szybko z podłogi i chciała prędko wybiedz z nieoświetlonego pokoju, w którym jój się już jakoś strasznie duszno robić zaczęło. Podłoga paliła się pod jój stopami jedno tylko teraz życzenie owładnęło jój duszę, by jak najprędzej ujrzeć szeroki przedział między sobą i owym nieszczęsnym kioskiem, grobem jój pierwszej miłości.

— Nieba! zawołała przestraszona nagle Otylija i odskoczyła od drzwi, na których progu stał pan Emil Scheuchenstejn.

— Ho, ho, po co tak wystraszona? śmiał się brat Liguoryanin i wszedł zupełnie do pokoju, który blade był zaledwie oświetlony martwym światłem księżyca.

— Pozwól mi pan wyjść! zawołała dziewczyna, drząc całym ciałem, skoro spostrzegła, że Scheuchen-

stein nie tylko drzwi zamknął na klamkę ale i na klucz, który zaraz schował do kieszeni.

— Wcale mi się niepodoba! odrzekł nędznik z oburzającym cynizmem w mowie i postawie, nakoniec, raz nakoniec dostałaś się gołąbko w moje ręce i nikt cię tutaj nie oswobodzi. Mamy z sobą do załatwienia bardzo długi rachunek, ale do wschodu słońca będzie on zupełnie uregulowany, ha, ha ha!

— Łotr, nikczemnik! z gniewem zionęła dziewczyna, której świadomość grożącego jój niebezpieczeństwa, wróciła całą siłą dotąd tak energicznego charakteru.

— Wymyślaj pani, ile ci się spodoba, ciągnął Scheuchenstein, bij mnie pani, drap mnie, to tylko zemstę tym gwałtowniejszą wywoła, koniec końców dziś musisz pani to robić, co ja chcę.

— Nigdy, raczej śmierć! rzekła z mocą Otylija i odepchnęła gwałtownie od siebie obłudnika, który chciał już objąć jój wysmukłą kibić i śmiałą ręką dotknąć jój dziewiczego łona.

— Przeklęta! mruzczał do siebie zgrzytając zębami brat Liguoryanin, tak nie pójdzie, muszę się uciec do innego podstępu; szczęściem, że przebiegła Szuszkowska o wszystkim pomyślała.

— Widzę, zaczął znowu głośno i cofnął się aż do drzwi, że i dziś z niczem ztąd odejdę; ale już za daleko zaszedłem, abym pani, droga moja Otylijo, tak na sucho dla nas obojga drzwi mógł otworzyć. Zawrzyjmy więc układ.

— Pozwól mi pan wyjść a przysięgam mu, że o pań-

skiej czelnej śmiałości do nikogo, nawet do mojej matki ani słowa nie powiem.

— Teraz to niby rozsądna mowa, odrzekł Scheuchenstein i rozsiadł się w fotelu, jednak siadaj pani, moje kochane dziecię, mam pani o baronowej dać niektóre wyjaśnienia.

— Baronowa jest widocznie pańską współniczką, odrzekła z pogardą Otylija, a przyjaźń pani Burger będzie dla mnie w przyszłości daleko mniej warta, jak dotąd.

— Kto to jest pani Burger? zapytał Scheuchenstein z tak po mistrzowsku oddaną ciekawością, że Otylija istotnie została zbита z tropu, jednak raz jeszcze proszę cię, moja panno, zajmij miejsce; widzę że pani jesteś bardzo osłabioną, że zaledwie utrzymać się możesz na nogach.

Tak też i było istotnie. Otylija, od trzech blisko godzin, miotana silną, wewnętrzną burzą a ostatecznie jeszcze przez Scheuchensteina ukazanie się i obejście, do wyczerpania osłabiło, czuła, że kolana się pod nią uginać zaczynają. Usiadła więc na drugim fotelu, który stał w przeciwnym rogu pokoju, od tego miejsca, gdzie znajdował się Scheuchenstein. Prócz tych dwu fotelów niebyło żadnych innych mebli do wypoczynku w pokoju.

Kiedy Otylija usiadła, brat Liguoryanin pociągnął nieznacznie za silny sznur jedwabny, który od miejsca na którym siedział, aż do fotelu zajmowanego przez dziewczynę prowadził. Dał się słyszeć zgrzyt sprężyny

i zanim Otylija się opatrzyła, uczuła swoje ręce ujęte w klamry żelazne, przez co odjętą jej została możność powstania, lub poruszenia swoim ciałem.

Krzyk rozpaczliwy wyrwał się z ust Otyliji i zmieształ się z szatańskim, głośnym śmiechem niegodnego Scheuchenstejna, który, ujrawszy, iż mu się podstęp udał jak szalony z radości i rozkoszy tańczyć zaczął po całym pokoju.

Nakoniec zatrzymał się przed Otyliją, która ze strachu na pół umarła się być zdawała, i z szatańską radością zacierając ręce przemówił:

— Godzina zemsty i użycia wybiła! Jutro możesz pani, i twoja matka zanieść na mnie skargę, gdzie wam się tylko spodoba. Równy ze świtem opuszczam te strony na zawsze. Moja gotówka jest już w miejscu bezpiecznym, domy moje już sprzedane. Zresztą sąd skargę pani prawdopodobnie w pierwszej chwili uważać będzie za prostą zmyśloną powiastkę, a ja zyskam przez to w każdym razie na czasie. Jednak na co się tu zdadzą długie namysły? Korzystajmy lepiej z czasu i sposobności! Nigdy się już w życiu nie zejdziemy.

— Pomocy, pomocy, pomocy! jęczała biedna, bezbronna Otylija.

Niegodziwy łotr objął ją, by spełnić swoje nikczemne zamiary.

— Przeklęta ropucho! zawołał wściekły Scheuchenstein, nie powinnaś alarmować sąsiadów. Przy tych słowach złapał szorstko dziewczynę lewą ręką za pod-

bródek, by jój usta otworzyć, i włożyć w nie knebel z halsztucha.

— Pomocy, pomocy, pom...! wołała nieszczęśliwa ofiara niecnego podstępu i brutalnej przemocy, ale daremnie. Pot śmiertelny perlił się na jój czole; lękała się uduszenia, ale okropniejszą jeszcze nad to była dla niej świadomość, że Scheuchenstejn już się sposobił, jakby z okrutną, wyrafinowaną przezornością dokonać zamierzonego planu.

Wszakże łaskawa Opatrzność chciała inaczej; głucha, gorąca modlitwa biednej, z rozpaczoną dziewczyny została wysłuchaną przez Wszechmocnego Ojca w Niebie.

W chwili, kiedy Scheuchenstein dostatecznie się już nacieszył przerażeniem swojej ofiary i do najwyższego stopnia pobudził zmysły, drzwi się z piorunowym łoskotem otworzyły, i zanim Scheuchenstein się spostrzegł, już leżał na pół nieżywy na podłodze ugodzony zniecka kilkoma silnymi uderzeniami pięści.

Wybawcą w wielkiej potrzebie był nie kto inny, jak ów *zagadkowy nieznajomy*, któregośmy już przelotnie poznali, kiedy naprzód dzieci, a następnie także żonę nieszczęśliwego barona Schancenaua wprowadził.

Szybko i zanim brat Liguoryanin ochłonął z przestraszenia i osłupienia oswobodził dziewczynę z niebezpiecznego położenia. Silną ręką rozłamał zdrazieckie żelazne pęta, gdyż nie miał czasu zbadać bliżej ich mechanizmu i wreszcie wyjął improwizowany knebel z ust Otyliji.

Scheuchenstejn chciał umknąć, ale nieznajomy schwytał go za kołnierz od tuzurka, wstrząsnął nim z całej siły i potem rzucił nim jak piłką w kąt pokoju, nie wymówiwszy ani słowa.

Brat Liguoryanin pienił się ze wściekłości, ale tchórz jak wszyscy nিকেzernicy, nie odważył się staczać walki z człowiekiem, który dał mu już tak piękną próbę swojej siły. Siedział więc w milczeniu skurczony na podłodze, wpatrując się z nienawiścią i obawą w starca, który jak bomba wpadł do pokoju.

— Chodźmy, moje biedne dziecię! rzekł nakoniec nieznajomy, kiedy Otylija przyszła nieco do siebie chodźmy; odprowadzę panią do jej matki. Pani się mnie przecież nie obawiasz?

— Nie, nie, pan jesteś aniołem, od Boga dla mnie przysłanym! zawołała płacząc dziewczyna i schwyciła wyciągniętą ku sobie rękę nieznajomego.

Stojąc już we drzwiach obrócił się jeszcze starzec do brata Liguoryanina, który nie śmiał się poruszyć z miejsca.

— Mógłbym pana kazać aresztować, rzekł spokojnie zagadkowy nieznajomy, ale daleko cięższa czeka cię kara, jak ta, którąby prawo na cię nałożyło. Idź pan do domu i tam cię dosięgnie surowa Nemezys. Zostałeś pan żebrakiem!

Scheuchenstejn wydał krzyk przeraźliwy i jakby od tysiąca furej dręczony, skoczył z podłogi i wybiegł z domu, z całych sił pędząc po schodach narażając się na

połamanie sobie rąk i nóg. Ogarnęło go okropne przecucie.

VIII.

Uzarodziej.

Musimy teraz o jeden dzień cofnąć opowiedziane wypadki, by jasno zobaczyć, co zagadkowy nieznamy proroczym tonem przepowiedział bratu Liguoryaninowi, jako zasłużoną karę jego przewrotności.

Tegoż samego wieczora i prawie o tój samój godzinie, kiedy pani Burgier opuściła stolarzową, by nibyto od swój przyjaciółki wystarać się dla dostawcy drzewa, tak nagląco żądanych przezeń 50 guldenów, wysunął się piękny Izydor trwożliwie ze swoich pokojów do kantorowego lokalu, który już od pół godziny przez wszystkich urzędników był opuszczony, i przez służbę na końcu wychodzącego na klucz zamknięty.

Młody ladaco wybrał sobie drogę przez pokoje swojej matki, a z tych przez pokoje zajmowane dotąd przez siostry i ich guwernantkę wydostał się na wązki korytarz, przy którym znajdował się od kilku miesięcy osamotniony gabinet bankiera. Piękny Izydor znajdował się sam jeden w domu. Mama jego, niedawno wyjechała, by jeszcze złożyć niektóre pożegnalne wizyty, i mogła być spodziewaną z powrotem dopiero po dzie-

siątej godzinie, gdyż myślała zaraz nazajutrz przedsięwziąć ułożoną wielką podróż z Izydorem. Prócz pokojówki i służącego, którzy mieli państwu towarzyszyć eszta licznnej służby już od dni trzech oddaloną została, a i wspomnieni oboje służący skorzystali z nieobecności pani Goldstern, i także wyrwali się na miasto. Byli oni najzupełniej przekonani, że i młodego pana nie ma w domu. Piękny Izydor bowiem ukrył się już od kilku godzin w pokoju kąpielowym i miejsce to, gdzie z pewnością niktyby go nie szukał, opuścił wtedy dopiero, kiedy przekonał się, że już nikogo nie ma w domu.

Piękny Izydor, kiedy już dotarł zewnętrznych drzwi wspomnianego gabinetu bankiera, wydobył duży pęk kluczków z kieszeni. Wszystkie te klucze świeciły się jak nowe i były niemi rzeczywiście. Teraz miał on poprobować, czy te narzędzia, które tajemnie z odcisków woskowych kazał przygotować, istotnie były dobrze wykonane, czy nie. Pierwsza próba na zamku drzwi zewnętrznych gabinetu wypadła bardzo pomyślnie, a także i inne klucze okazały się później zupełnie odpowiednie.

Bez żadnych trudności mógł więc piękny Izydor dostać się przez gabinet aż do tych pokojów kantoru, gdzie się znajdowały w poprzednim już rozdziale wspomniane kassy podręczne.

Teraz młody Goldstern wydobył drugi pęk kluczków mniejszy o wiele od pierwszego i z daleko staranniej wykonanymi egzemplarzami. Wszystkich kass było cztery. Piękny Izydor nie wahał się jednej chwili w wyborze,

na której z czterech szaf żelaznych miał poprobować swęj sztuki.

— W tęg, szeptał do siebie, kładąc odpowiedni klucz i przekonawszy się na wielką swą radość, że otworzenie wieka prócz małego oporu nie przedstawiało żadnej trudności, w tęg powtórzył musi się znajdować 378,000 guldenów. Na własne oczy widziałem, że pierwszy buchalter te pieniądze dziś po południu, wyliczył panu Steinerowi, by je jutro zrana wypłacił Scheuchensteinowi. Prawdziwe szczęście, że termin na niedzielę dopiero przypadał, w którym to dniu niechętnie do kantoru przychodzi. Za czasów bankiera, podobnej opieszalności z pewnością by nie było. Widać jasno, że teraz ani stary pan, ani surowy Fellner już kantorem nie rządzą.

Podczas takiego monologu szczęśliwie udało się pięknemu Izydorowi otworzyć skrzynię, zostającą pod odpowiedzialnością Stejnera. Piękny Izydor odrzucił spiesznie żelazne wieko i drżącemi od ciekawości rękami sięgnął do wnętrza. Przez ostrożność nie zapalał światła. Wprost okna paląca się na ulicy latarnia gazowa dawała dość światła, by się można było rozejrzeć w pokoju, a nawet czytać przy zbliżeniu się do okna.

— Piekło! zawołał przestępca wystraszony, nic! tak nic nie ma; przecież leży jednak jakiś papiér!

Wy dobył go, rozwinął i pomimo pół światła, zaledwie rzucił okiem na pismo, przekonał się, że trzyma

w ręku formalny kwit pana Emila Scheuchenstejna na otrzymane gotówką 378,000 guldenów.

— Napróžno! wyzionął młody Goldstern, który prawdziwy stan rzeczy już przeczuwać zaczynał. Teraz zdawało mu się, iż widział jak pan Stejner zrobił jakąś bardzo kwaśną minę, kiedy otrzymał rozkaz od zarządzającego kantorem, by jutro w biurze czekał, dopóki się pan Scheuchenstejn nie pokaże i nie przyjmie pieniędzy za pokwitowaniem! Stejner, który na jutro ułożył sobie od dawna projektowaną wycieczkę ze swoją narzeczoną do Reichenau, umiał sobie jednak poradzić. Posłał on tajemnie posłańca do brata Liguoryanina, z grzecznym zaproszeniem, by przybył jeszcze dziś wieczór zabrać pieniądze, wszakże dopiero po oddaleniu się pierwszego buchaltera. Scheuchenstejn słusznie hołdujący zasadzie: lepiej już mieć, jak mieć dopiero, stawiał się naturalnie punktualnie na zaproszenie. Nawet przyczyna, dla czego wypłata miała mieć miejsce właśnie w niedzielę a nie dopiero w najbliższy dzień powszedni, mianowicie w poniedziałek, była nieuzasadniona; z jednej strony wina ciążyła na doktorze Fresser, który omylił się przy naznaczaniu dnia wypłaty, iż ta właśnie w niedzielę przypadła, z drugiej znów, stała nagląca prośba Scheuchenstejna, by zaraz pieniądze mógł mieć wypłacone, gdyż brat Liguoryanin nosił się już od kilku dni z myślą zamachu na Otyliję, i dobrze już sobie ukartował, jak uniknąć szkodliwych dla siebie skutków swego postępuku przez podróż pod fałszywym nazwiskiem.

Piękny Izydor położył bez wartości dla niego kwit na dawnym miejsou i zamknął starannie kassę.

— Byłoby rzeczą daremną, szukać pieniędzy w innych kassach, mówił zmartwiony do siebie. W niedzielę wszystkie pieniądze bywają w głównej kassie chowane, a ową olbrzymią szafę otworzyć jest rzeczą wprost niemożliwą. Próżne były wszystkie starania, by przygotować odciski z wosku i wdawać się z niebezpiecznymi łotrami celem przygotowania kluczków. Niech djabeł porwie tego Stejnera i jego spacer! Oto się znalazłem, goły jak smarkacz na łasce mamy, która się teraz względem mnie bardzo zmieniła. Za żadną cenę nie odstąpi ona od swego planu; cud jeszcze, że mi wyznacza dziesięć guldenów dziennie na drobne wydatki, ale cóż mi znaczy taka drobnostka. Na szatana! Jestem tak wściekły, iż w tej chwili byłbym zdolny popełnić zabójstwo za 100,000 guldenów.

Zgrzytając zębami wysunął się młody Goldstern kantoru przez znany nam już gabinet, starannie i po cichu zamykając za sobą wszystkie drzwi.

Powróciwszy do swoich pokojów, rzucił się rozpaczony na kanapę. Jakież miał już piękne plany co do użycia lub raczej zmarnowania 378,000 guldenów, aż oto w jednej chwili wszystko przepada! Myślał już następnego dnia napisać z Triestu bilecik do doktora Fressera i w nim przyznać się, że on był sprawcą kradzieży, i z tego powodu nie powinny być niepokojone inne osoby. Wprawdzie nie mógł on przytem nic rézykować. Dr. Fresser musiałby się dobrze zastanowić,

czy ma młodego zbrodniarza, który nosi tak szanowane w świecie nazwisko Goldsterna, wydać w ręce sprawiedliwości. Owe więc 378,000 guldenów musiałyby być w imie Boże zapisane na conto strat...

Muszę się rozerwać, zaczął nakoniec piękny Izydor i podniósł stę z kanapy. Nie będę czekał na powrót mamy; uderzyłoby ją z pewnością moje zirytowane oblicze, a potem także muszę usunąć na bok te przekłete klucze; udam się do miasta i na moście Ferdynanda wrzucę obadwa pęki do Dunaju. Tak być musi.

Młody Goldstern oddalił się z mieszkania, i zamknął własnoręcznie drzwi za sobą, gdyż ani służącego ani pokojówki w domu jeszcze nie było.

W téj saméj chwili, kiedy piękny Izydor dom opuścił, ów zagadkowy nieznajomy, któregośmy już tak często wśród różnych dziwnych okoliczności spotykali, wyszedł spiesznie z leżącego tuż obok wspomnionego mostu hotelu Jagnięcia i pędził prosto w kierunku miasta. Nie przeszedł wszakże mostu Ferdynanda, lecz chodził po nim tam i napowrót, bystro wpatrując się w lewy brzeg.

— To on nie kto inny, mruknął do siebie zagadkowy nieznajomy, kiedy ujrzał idącego o pięknego Izydora z kawiarni Stierboek ku mostowi, zresztą zobaczymy, czy on uczyni, co Marya przepowiedziała o nim przed kilkoma minutami.

Młody Goldstern, zajęty tysiącnymi myślami, nie zauważył, że ów stary człowiek, z długą powiewającą

brodą z cicha tuż za nim postępuje. Przybywszy do środka mostu, schwytał piękny Izydor za jedną ze swoich kieszeni i wydcbył prawą ręką w sukno owinięty ciężki przedmiot; były to pęki kluczków, które chciał wrzucić do rzeki. W tejże chwili uczuł się ujętym silną olbrzymią dłonią za ramię i pozbawionym kluczków.

Piękny Izydor sądził, iż został napadnięty przez złodzieja, gdyż teraz o jedenastej godzinie w nocy na całej przestrzeni mostu nie było widać ani jednego przechodnia, wszakże w pobliżu ztamtąd znajdował się sztyldwach. Chciał wołać o pomoc, kiedy ochłonął z pierwszego przestraszenia.

— Ani pisnąć! surowo nakazał grzmiącym głosem nieznajomy, ani pisnąć! albo cię każę natychmiast jako zbrodniarza aresztować.

Młody Goldstern, śmiertelnie przestraszony i drżący wszystkimi członkami, wpatrywał się z otwartymi ustami w wysoką, przewyższającą go o całą głowę, marsową postać starca.

— Kto, kto pan jesteś? wyjąkał nakoniec z trudnością, gdyż przeszywający wzrok nieznajomego pozbawił go prawie przytomności.

— Kto ja jestem? odparł starzec, kurcząc ramiona, kto ja jestem, pytasz pan? zaraz się o tem dowiesz. Jestem czarodziej.

Kiedy piękny Izydor spostrzegł, że szczególny ten człowiek widocznie nie miał zamiaru krzywdy mu wyrządzić, wróciła mu wkrótce zwykła jego czelność i cynizm.

— Czarodziój, zaśmiał się z przymusem, czarodziój, możeby lepiej się wyrazić oszust. Przedewszystkiem, jak pan śmiałeś na mnie tu napadać. Zapewne pan za wiele wypiłes; oddaj mi pan mój pakiet i wynos się potem do djabła; wybaczę panu jego niestosowny figiel, jakkolwiek postępowanie pańskie nazywają naruszeniem publicznej spokojności. Widocznie, sądząc po pańskiej mowie i ubraniu, jesteś pan z odległej części świata.

— Zgadłeś, młody panie, odpowiedział szybko nieznajomy, jestem istotnie amerykański poddany najczystszej wody, i już przeszło od lat trzydziestu pozbyłem się waszych tak zwanych eleganckich manier. Jednak do rzeczy. Gniewasz się pan, gdyż się panu nie udał piękny planik. Spodziewałeś się pan dziś wieczór zdobyć 378,000 guldenów, a posiadasz w tej chwili tyle pieniędzy, by ze słynnym markierem Ludwikiem w kawiarni Dauma, gdzie się pan udać chciałeś, zagrać kilka pięcioguldenowych partyjek.

— Paniel zawołał piękny Izydor, bledniejąc aż po białka i spoglądając na nieznajomego z boku lękliwie, panie pan o tem wiész.

— Jestem przecież czarodziój, ciągnął dalej spokojnie nieznajomy, nie chciałeś pan temu wierzyć, nazwałeś mnie pan oszustem, a teraz mój honor wymaga, bym usprawiedliwił się w pańskich oczach. Jednak opuśmy nakoniec ten most. Pofatyguj się pan do mnie do mego hotelu, mamy isćnie daleko. Przy paru butelkach wina reńskiego ja, czarodziój, chcę ci dobrą radę udzielić. Co się panu dziś nie udało, to mu się jutro uda.

— Mówisz pan zagadkowo, odrzekł młody zdziwiony Goldstern i przejęty jakąś szczególną obawą. Tymczasem nie stawiał on swemu nowemu mimowolnemu znajomemu żadnego stanowczego oporu, który go też wziął pod ramię i prowadził ze sobą.

Zagadkowy nieznajomy zaprowadził gościa do swego pokoju. Piękny Izydor zajął na zaproszenie miejsce w fotelu i zaczął kosztować podane wino, z ciekawością oczekując na zwierzenia się swego gospodarza, który wszakże nie zdawał się okazywać wcale pośpiechu, ale przedewszystkiem zapraszał uprzejmie do zimnych przekąsek, które w dużym wyborze stały na stole.

Nakoniec „Amerykanin“ zaczął „pięknemu Izydorowi“ drobiazgowo wyliczać każdy krok, jaki tenże uczynił w domu podczas zbrodniczego zamiaru, by osiąść 378,000 guldenów.

Młody Goldstern na nowo owładnięty został niewypowiedzianą trwogą. Zkąd wiedział ów czarodziej wszystkie te szczegóły, które tylko wszystko widzącemu Bogu i jemu, sprawcy, znane być mogły? gdyż żeby ludzka istota śledzić go mogła, trudno było przypuścić. W najgorszym razie mógł go ktoś widzieć, jak wchodził do gabinetu bankiera i jak go w mały kwadrans później znowu opuścił; co jednakże robił przy zamkniętych drzwiach i wśród ciemności w pokoju kassowym, to mógł widzieć chyba tylko świadek w pokoju ukryty. Zresztą, zkąd się dowiedział nawet o zamiarze

młodego Goldsterna, udania się na miasto do kawiarni Dauma?

„Zagadkowy nieznajomy“ wskazał także dokładnie osoby, miejsce i czas, które były w związku z przygotowaniem użytych przez „pięknego Izydora“ wytrychów. Ta część odkrycia mogła naturalnie w sposób bardzo prosty być przez zręcznego spostrzegacza odkryta, ale „piękny Izydor“ nabrał teraz przekonania, że się znajduje zupełnie w mocy czarodzieja, który wcale nie okazywał ochoty wypuścić z rąk *corpus delicti*, mianowicie przemocą wydartych mu kluczków na moście Ferdynanda.

„Zagadkowy nieznajomy“ mówił dotąd przytłumionym głosem, gdyż w hotelu nigdy nie można się mieć za wiele na baczności przed niedyskretnymi uszami. Wreszcie ostrożność tę tak daleko nawet posunął, iż nachylił swoje usta do uszu młodego Goldsterna i szepnął mu coś tak z cicha, iż nawet najbliższej stojąca osoba jednéjby sylaby dosłyszeć nie mogła.

Wiadomość ta musiała być jednak bardzo przyjemna, gdyż dotąd niespokojne oblicze Izydora wy pogodziło się nagle i kiedy mu nakoniec czarodziej wręczył parę kluczków, twarz jego zajaśniała prawdziwie szatańską radością,

— Możesz pan odejść, rzekł następnie głośno czarownik; przezorność i zręczność z jaką pan dziś wieczór działałeś, każą spodziewać się, że pan nie zrobisz fiasco. W każdym razie upewniam pana o najgłębszym z mojej strony milezeniu.

— Rady pańskie są wyborne i powinny mnie doprowadzić do celu, odrzekł młody Goldstern, pewny siebie, — wszakże, dodał, kiedy już brał za kłamkę ode drzwi, możeby panu nie zrobiło przykrości, choć najkrócej mi opowiedzieć, z kąd się pan tego wszystkiego dowiedziałeś.

— Nigdy! odrzekł z mocą czarodziej, ani dziś, ani kiedykolwiek indziej, o tem pan się nie dowiesz. Ale o jednej rzeczy powinieneś pan mocno pamiętać, że wszędzie gdzie się pan znajdziesz, choćby nawet tysiące mil odemnie rozdzielony, jest w mojej mocy wiedzieć, co pan robisz, choćbyś pan nawet skrył się do środka ziemi. Do widzenia!

Mocno skruszony i jakąś świętą obawą przejęty „piękny Izydor“ opuścił hotel. Zagadkowy nieznamy mówił z takim przekonaniem, że niemożna go było brać za próżnego przechwalcę, szczególnie po owych próbach, niewyjaśnionej wszechwiedzy, przy której zdołał już poznać dokładnie zbrodnicze czyny i zamiary młodego bankierowicza. „Piękny Izydor“ z hotelu Jagnięcia udał się prosto do domu, nie mógł jednakże przez całą noc oka zmrużyć. Spotkanie z czarodziejem, gorączkowo go zaniepokoiło, a rada, jaką mu tenże udzielił, o władnęła całkowicie jego umysłem.

Kiedy pani Goldstern spotkała się nazajutrz z rana przy śniadaniu ze swoim synem, przelęknęła się jego cierpiącej, pełnej niespokojności twarzy i okazała się gotową podróż na dni kilka odłożyć. Temu się jednak

z całych sił sprzeciwił młody Goldstern, a tak wyjazd istotnie miał nastąpić, pociągiem nazajutrz odchodzącym do Tryjestu.

Prawie w téj saméj godzinie, kiedy pani Goldstern ze swym poczciwym syneczkiem opuszczała Wiedeń, zagadkowy nieznajomy zadzwonił na swego sługę, któremu dał rozkaz by się dowiedział; czy łaskawa pani jest gotową przyjąć jego ranne dzień dobry.

Odpowiedź nastąpiła zaraz i przyzwalająca. Czarodziej wszedł na ganek i zapukał do nieco ukośnie naprzeciw leżącego pokoju. Pokojówka otworzyła i zameldowała następnie jego obecność w sąsiednim pokoju.

— Ależ wejdz, wejdz, kochany ojczulku! zawołał łagodny i nadzwyczaj miłe dźwięczny głos kobiety, — jestem już dawno ubrana i czekam na pana z kawą.

— Dzień dobry, dzień dobry, moja droga Maryjo! witał czarodziej wchodząc i wycisnąwszy następnie zlekka pocałunek na czole powabnej blondynki, która się poufale przysunęła do niego, zajął miejsce przy stole, gdzie już stało przygotowane śniadanie.

— Cóż, jakże się miéwasz dzisiaj? ciągnął „zagadkowy nieznajomy“, biorąc jednocześnie podaną sobie piękną rączką filiżankę, zaczynam uważać, że wczorajszy wieczór nie nazbyt cię utrudził.

— O, czuję się bardzo dobrze, tylko nieco zdenerwowaną jak zawsze, kiedy znajduję się blisko godzinę w śnie magnetycznym, odrzekła dama.

— Tak Bóg chce, odrzekł czarodziej, którego wszechwiedza nam w tak naturalny sposób wyjaśnioną się być zdaje, tak Bóg chce, na przyszłość nie będę nazbyt często nadużywać twoich zadziwiających zdolności do jasnowidzenia. I jego więc także na tej drodze szczęśliwym uczynimy.

— Ach, ojczulku! zawołała dama zalewając się łzami, lękam się, czy się nie mylisz! Dla czegoż mam nic nie wiedzieć sama o tem, co mówię we śnie o nim, za którym serce moje tak głośno przemawia i tylko bije dla niego?

— Tego ty nie pojmujesz. dobra Maryjo, odrzekł stary jegomość spokojnie, — ściśle biorąc, ja również dobrze tego nie rozumiem, ale jest to fakt smutny, acz prawdziwy, że somnambulistka o tym, którego widziała w owym cudownym natężeniu zmysłów, po obudzeniu się nic nie powinna zachować w pamięci. Musisz więc zastosować się do tego, co ci mówię, a ja przysięgam, żeśmy ślad jego odszukali, że on żyje i że ci będzie wrócony wraz z twemi trojgiem dzieci.

— Moje dzieci, moje kochane, drogie dzieci! wołała wśród łez radości piękna dama; czy też one są zdrowe? Bądź co bądź, było z méj strony nie sumiennie, zostawić je z tamtej strony Oceanu.

— Uspokój się, Maryjo! Święte obowiązki małżonki wymagały twojej podróży do Europy, a dzieci są w dobrych rękach; nie zaniedbałem wczoraj, ducha twojego posłać za morza daleko do posiadłości naszej w zatoce Hudsonskiej, gdzieśmy dzieciaczki zostawili.

— Dobrze, cóż ja widziałam? zapytała dama, drżąc wszystkimi członkami z oczekiwania i macierzyńskiej o dzieci obawy.

— Dwoje starszych jest zupełnie zdrowe, odrzekł nieco się ociągając tłumacz spirytyzmu, ale niemowlę....

— Cóż się stało z małym Oskarem? zawołała dama wylękniona.

— Spokojnie, spokojnie! uspakajał stary jegomość, malec jest chory na skórne cierpienia głowy, jak to jednak poznać mogłaś z miny doktora, nie było i nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Dzięki Bogu! westchnęła pocieszona nieco kochająca matka, i objąwszy czule rękoma starego jegomościa, rzekła:

— Nie prawda, kochany ojczulku, że mię dziś znowu uspisz i pozwolisz mi zobaczyć we śnie moje dzieci.

— Niechętnie, niechętnie! odrzekł czarownik wstrząsając głową, — człowiek nie powinien doświadczać bogów, ale ponieważ raz już głupstwo zacząłem, to już nie mogę postąpić inaczej; niepokój szkodziłby ci daleko więcej, jak magnetyczne natężenie twoich nerwów. Więc dobrze, dziś znowu zrobimy doświadczenie. Dzisiaj po południu przejedziemy się jednak na spacer na wieś; naturalnie musisz jak zwykle mocno się zawualować, by nikt cię nie poznał.

— Gdzie pojedziemy, ojczulku.

— Gdzie chcesz, kochana Maryjo.

— Dobrze więc, pojedziemy sobie przez Hietzing do czerwonego dworku, który jest mi na zawsze pamię-

tnym, gdyż tam go pierwszy raz ujrzałam. Nawet datę dokładnie sobie przypominam — było to 4-go maja 1854 roku, a więc w trzy dni później, kiedy na zawsze zerwał ze swoją dumną kuzyną.

Rysy starego jegomości zachmurzyły się i dość mocno uniesiony, rzekł drżącym tonem:

— Nie wspominaj mi nigdy o téj osobie, gdyż nie nawidzę ją nietylko dla tego, iż zawiniła przeciwko niemu, ale i z powodu jój ojca, który pozbawił mnie wszystkiego żony, cześci i majątku. O czekajmy jednak — zemsta moja będzie straszna; co się odwlecze to nie uciecze.

Po tych słowach dotąd tak spokojny człowiek wybuchnął tak konwulsyjnym śmiechem, iż towarzyszka jego zaczęła się lękać i bardzo się jój smutno zrobiło. Wkrótce jednak zdołał zapanować nad sobą i rzekł z przymuszoną spokojnością:

— Wybacz droga Maryjo, jeżeli cię wtój chwili przestraszyłem; ale kiedyś musisz się dowiedzieć i dowiesz o wszystkim, jednak dopiero wtedy, kiedy on będzie pomiędzy nami. Nie mógłbym przenieść na sobie, by powtarzać te straszne rzeczy dwa razy, które przed Bogiem i ludźmi nienawiść moją aż nazbyt usprawiedliwią; gdyż do łotrowskich czynów tego człowieka wiąże się tak boleść moja i wścickłość jak hańba i głębokie poniżenie. Jednak mówmy o czemś innem. Zatrzymaliśmy się na przejażdżce do czerwonego dworku? Muszę to wiedzieć, bym mógł oznaczyć, gdzie mam nastawić mego szpiega, a głównie by porobić przygotowania, ażeby

w porę przeszkodzić zamierzonym przez niego postępkom, których odkrycie zawdzięczam również twemu jasnowidzeniu. Dziwne zrządzenie, dodał stary jego-
mość mocno zadumany, prawdziwie dziwne zrządzenie, przez które Maryji spojrzenie zwrócone zostało na tego nędznika, który w swojej młodości, tak, on był wówczas chłopcem jeszcze, był narzędziem mojej zguby, mojego zniesławienia. Ale dzisiaj, po latach trzydziestu, złożę mu moje podziękowanie, ha, ha!

Czarownik blizkim był znowu wybuchnięcia tym samym strasznym śmiechem, który przed chwilą tak mocno przeraził damę; zapanował jednak w porę nad sobą i zaczął z nią rozmowę o rzeczach obojętnych.

Wieczorem, około siódmej godziny spotykamy go i damę z powrotem po odbytym spacerze do Hietzingu. Dwaj mężczyźni czekali już na powóz od pół godziny na Leinzerstrasse niedaleko różanego pagórka.

— Powrócił znów z Glaggnitz do Wiednia i nawet bardzo dobrze ubrany, tak, że niktby go nie poznał bez dokładnego opisu, zaraportował jeden z dwu mężczyzn do wnętrza powozu który stał na miejscu.

— Komedycja w ogrodzie Schönbrunskim odbyła się jak należy kobieta z dziewczyną znajdują się już od godziny w wiadomej willi, donosił drugi.

— Wszystko zdaje się iść podług życzenia, mruczał czarownik z bardzo zadowoloną miną, a potem dodał głośno: Dziękuję wam moi panowie, za wasze wyborne usługi i spodziewam się, że nasze dzisiejsze sprawy

szczęśliwie jeszcze doprowadzimy do końca. Apropoco kosztowało przekupienie pani Szuchowskiej, tej mniemanój baronowój.

— Tysiąc złotych! nie więcej!

— Prawdziwa bagatelka, byłem na dziesięć tysięcy gotowy; teraz jednak tymczasem do widzenia, moi przyjaciele. Muszę teraz damę odwieźć do domu. Punkt o godzinie dziesiątej spotkamy się znowu w Hietzingu.

Powóz ruszył z turkotem i dwaj ajeńci czarodzieja udali się na wskazane miejsce w pobliżu willi Fiametty. Wyjaśniwszy w ten sposób wiele rzeczy co koniecznym się zdawało dla zupełnego związku w naszej powieści, musimy się jeszcze zająć nieco naszym „pięknym Izydorem.”

Kiedy pociąg przejeżdżał przez długi i nudny las, ciągnący się między Neustadtem i Neunkirchen, nagle pani Goldstern przestraszona została wiadomością udzieloną jej przez jej syna, że portmonetę wraz z podróżnemi dokumentami w Wiedniu zostawił.

Bez tych papierów dalsza podróż do Tryjestu była niemożliwą. Nie pozostawało nic innego, jak zapomnianą portmonetę jak można najprędzej na miejsce sprowadzić. Pani Goldstern była zdania, by telegrafować do Wiednia i tym sposobem zapewnić jak można najszybsze przesłanie ich do Tryjestu. Zaś „piękny Izydor” przeciwiał się temu jej projektowi niby dla tego, że w portmonetce znajdują się niektóre ważne listy, których nie można narażać na niebezpieczeństwo ciekawych oczu. Za jego zdaniem poszła także i mama,

kiedy się dowiedziała, że w portmonetce zawierała się cała korespondencyja co do jej i jego nawrócenia a która bardziej jak kompromitująco mogła by im szkodzić. Pani Goldstern sama więc zaprojektowała ostatecznie swemu synowi, żeby pociągiem za kilka godzin odchodzącym do Wiednia powrócił, ztamtąd wieczornym pociągiem napowrót wyjechał i połączył się ze swą mamą czekającą na niego w Gratzu.

Zgodnie z taką umową „piękny Izydor” wysiadł w Gloggnitz, podczas gdy pani Goldstern pojechała dalej. Wolnego czasu do przybycia odchodzącego do Wiednia pociągu, młody Goldstern użył na przemianę swój powierzchowności, jak to już wiemy z wiadomości, udzielonej przez jednego z dwu agentów czarodzieja.

Około siódmej godziny wieczorem spotykamy „pięknego Izydora” w istotnie bardzo dobrze obmyślanym przebraniu w kawiarni na Naglergasse gdzie siedząc w niszy okna, bystro wpatrywał się w naprzeciw leżącą bramę domu. Na kilka chwil przed 7 $\frac{1}{2}$ godziną widział on, że Scheuchenstejn, który mieszkał w owym domu, wyszedł na ulicę. Młody Goldstern śledził krok każdy swego jedyne go serdecznego przyjaciela, dopóki „brat Liguoryanin” nie wsiadł do fiakru, stojącego na pobliskim Graben.

— Przyjemności w Hietzingu! rzekł szyderczo młody Goldstern, spoglądając za odjeżdżającym powozem w kierunku targu na węgle. Goldstern szybko teraz pobiegnął na Naglergasse, i zniknął w domu zamieszkanym

przez pana Scheuchenstejna. Brat Liguoryanin zajmował tam od dwu miesięcy mieszkanie kawalerskie z meblami. Wejście było zupełnie oddzielne i do tego wprost z korytarza. Drżącymi z obawy i wzburzenia rękami otworzył „piękny Izydor” klamrą bezpieczeństwa opatrzone drzwi zewnętrzne. Drugie mianowicie wewnętrzne drzwi, uchylił również bez przeszkody, gdyż klucze i odnośne objaśnienia, jakie elegancki złoczyńca otrzymał od „zagadkowego nieznajomego“ odpowiadały zupełnie żądanemu celowi.

Przy otwarciu biurka, w którym brat Liguoryanin miał przechowywać swoją mamonę, piękny Izydor również nie napotkał żadnych trudności. Z chciwością i szatańską radością błyszczącymi oczami, wsunął złodziej w obszerne kieszenie znalezioną zdobycz, która o wiele przechodziła jego oczekiwania. Prócz 378,000 guldenów w szufladzie znajdowała się druga, prawie podobnej wielkości summa, którą Scheuchenstejn jako owoc swoich występków, dopiero przed paroma dniami otrzymał.

Niewidzialny, jak i przy wejściu, opuścił młody Goldstern dom po dokonaniu czynu. By do żadnego przedwczesnego odkrycia nie dać powodu, zamknął napowrót starannie oboje drzwi, prowadzące zewnątrz do mieszkania. Następnie pośpieszył na Graben i rzucił się w pierwszy lepszy z powozów. Pojechał naprzód dla wszelkiego bezpieczeństwa zmienić pieniądze i kazał się następnie zawieźć do odległej, odwie mile od Wiednia leżącej stacyji kolei żelaznej Müdling, by ztąd do-

piero wyjechać wieczornym pociągiem do Gratzu. Ponieważ głównie mu o to chodziło, by nikt nie wiedział o jego powrocie do Wiednia, owa ostrożność ominięcia pod nadzorem policyji będącego banchofu kolei południowej, była istotnie dobrze obmyślaną i konieczną.

Piękny Izydor spokojny i jakby nie nigdy nie zaszło spotkał się zaraz następnego rana w Gratzu ze swoją mamą, która już nań na miejscowym banchofie czekała, by bezwzględnie ruszyć razem w dalszą podróż do Tryjestu. Opóźnienie, jakie spowodowane zostało powrotem młodego Goldsterna do Wiednia, wynosiło tylko 12-scie godzin, i zupełnie odpowiednio z ułożonym programem przybyli nasi podróżni dość wczas jeszcze do Tryjestu, by korzystać z odpływającego do Syryji parowca wschodniego.

Pożegnamy się teraz na krótki czas z panią Goldstern i jej dzielnym syneczkiem, tymczasowo tylko jeszcze dodamy, że „piękny Izydor” dręczony był teraz ciężkimi troskami, bynajmniej nie z powodu swego złego uczynku, ale ponieważ wielki skarb, który miał przy sobie w kieszeni, byłby chętnie, według swego zwyczaju, najnierozsądniej i najrozrzutniej zmarnotrawił, podczas gdy musiał odgrywać rolę pokutującego i dążącego na drogę poprawy grzesznika, by w matce nie obudzić jakiego podejrzenia.

IX.

Kuracya ogniowa.

Szalejącego z rozpacz, jęczącego i rwącego sobie włosy, spotykamy na krótko przed północą, wracającego „brata Liguoryanina z Hietzingu, do swego mieszkania. Podwójna burza, jaka się dziś nad jego głową zebrała, przysłała tak niespodzianie i uderzyła nań tak strasznie, iż nic by nie było dziwnego, gdyby był w tej chwili postradał zmysły.

Kiedy przybył do domu i znalazł oboje drzwi zewnętrzne domku starannie zamknięte, pokrzepił się nieco nadzieją i zwątpił już w złowrogą przepowiednię „zagadkowego nieznanomego.” Ale kiedy wszedł do swego pokoju i macając rękami w ciemności, napotkał pootwierane szuflady swojego biurka, ogarnął go na nowo paniczny strach. Drżącemi rękami usiłował zapalić światło, co mu przy dziwnym obłąkaniu i ogólnym wzburzeniu zaledwie po kilku chwilach się udało.

— Nie, nie, to być nie może, usiłował on wmówić w siebie, nikt nie mógł się domysleć, że istnieje tajemna szufladka w moim biurku, a nadto i mechanizm przy niej jest za nadto dowcipny, za nadto skomplikowany by mógł sobie z nim ktoś obcy poradzić.

Co do tego punktu Scheuchenstejna zaufanie było w zasadzie zupełnie usprawiedliwione, ale nie wiedział, że znana nam jasnowidząca również i tę tajemnicę zbada-

ła i dostrzegła swym przenikliwym i nieomylnym wzrokiem.

— Tak, tak, jestem żebrakiem! zawołał Scheuchenstein, kiedy następnie światło na biurku postawił i ujrzał tajemną szufladkę wyciągniętą i próżną. Jakby piorunem rażony padł na kolana wijąc się w dzikim bólu jak robak po podłodze.

Już zbliżał się ranek kiedy powoli delirium szaleństwa i rozpaczę jakiejś stał się ofiarą „brat Liguoryanin,” ustąpiło powoli miejsca wyczerpaniu, a zatem i możliwości jasnego zbadania swego położenia.

Na próżno łamał sobie głowę okradziony, jak natrafić na ślad złoczyńcy. Robił wszelkie możliwe kombinacje i przypuszczenia, ale Izidor wcale mu na myśl nie przyszedł. Wiedział on przecież dokładnie, że dawny jego serdeczny przyjaciel z rana wyjechał, on więc sprawcą tego czynu być nie mógł, dla tego też ani na chwilę nie marnował szacownego czasu na zajmowanie się wspomnieniami o młodym Goldsternie. Istotnie czas jego był teraz bardzo drogi. Któż mu zaręczał, że już w tej chwili nie zawiadomił ktoś policyji o jego nikczemnym zamachu na córkę stolarki?

— Muszę uciekać, rzekł do siebie, i to natychmiast uciekać, zanim dzień się zrobi zupełny. Na szczęście posiadam jeszcze w moim pugilaresie kilka grubych banknotów i znaczny weksel na Londyn, naturalnie drobnostka to w obec olbrzymiego majątku, z którego mię okradziono, a o który dla własnego bezpieczeń-

stwa, nie mogę zanieść skargi do sądu. A więc prędko zbieram najważniejsze papiery i dalej w drogę. Brama moja bywa na szczęście zawsze równo z brzaskiem otwarta, gdyż mleczarka otwiera ją przy wyjściu. Mogę się więc bez pomocy gospodarza domu oddalić.

Podczas téj rozmowy z samym sobą wysuwał Scheuchenstejn wszystkie szufladki swego biura i chował niektóre papiery do kieszeni.

— Ha! zawołał nagle, uderzony nową myślą, kiedy mu wpadł w ręce złożony pargamin. Ha! djabeł we własnej osobie musiał mi te myśli podszeptać, ale cóż to znaczy; dokument jest dobry, wart on jest dla mnie 250,000 guldenów. W mojim położeniu nie można się długo namyślać—przedemną perspektywa, w przyszłości potrzeba i nędza, gdyż z paru tysięcy guldenów, jakie jeszcze posiadam, przecież żyć nie mogę—a za mną policyja. A nadto, cóż ma jeszcze do roboty na tym świecie stary generał; jest on tylko ciężarem i troską dla ludzi spełnijmy więc *dobry uczynek* dla niego i dla siebie. Pójdzie sobie do lepszego życia, a ja zagarnę nakoniec, ponim dziedzictwo. Zamiar mój w najgorszym razie, jest tym, co zowią nasi mądrzy ojcowie Towarzystwa Jezusowego „*szczęśliwy grzeszek*”.

Podług owéj przewrotnéj przekłétéj moralności, z jaką niektórzy Jezuici w swych pismach zupełnie jawnie boską naukę Chrystusa fałszują, wśród danych okoliczności powinno być nawet obowiązkiem spełniać sobie grzechy, z których coś dobrego (?) wy-

płynąć może. Te tak zwane „szczęśliwe grzechy” łączą się ściśle zwystawioną, przez Jezuitów teorią *filozoficznych grzechów*, to jest podług jezuickiego wyrażenia takich grzechów, przy których spełnianiu nie myślało się o Bogu iktóre z tego powodu są przez Jezuitów zaliczone do bezwarunkowo odpuszczalnych.

Przy tak wybornie na sposób jezuicki wyćwiczonym sumieniu jakie miał *brat Liguoryanin*, samo się przez się rozumie iż uważał by się on zupełnie za usprawiedliwionego, jeśli by się przyczynił do śmierci generała Jakóba Schancenaua, gdyż na uniewinnieni zabójstwa jezuicka moralność ma mnóstwo wykrętnych sofizmatów.

Zajmiemy się teraz następstwami, jakie wywołać musiała *podobna* moralność w charakterze takim jak Scheuchenstejna.

— A więc do Kaltenleutgeben! mówił do siebie „brat Liguoryanin,”—tam mnie nikt zaraz nie znajdzie, przynajmniej nie dzisiaj, a do jutra rana już będzie po wszystkim.

Scheuchenstejn wysunął się z domu przez nikogo nie widziany.. W pobliżu wówczas jeszcze nie zburzonej bramy Kärtner, najął powóz do wzmiankowanego Kaltenleutgeben, które leży w pięknej dolinie w pobliżu Wiednia i pozyskało sobie zasłużoną sławę przez swe zakłady leczenia zimną wodą.

Tutaj został przeniesiony od kilku miesięcy 79-letni znękaný generał feldmarszałek baron Jakób von Schancenau, z którym zrobiliśmy już bliższą znajomość w Stejnie, na początku naszego opowiadania.

Zdrowe, balsamiczne powietrze górskie i rozsądne postępowanie doktora, zdawały się dodawać nowój materji palnej, blizkiej zgaśnięcia lampce życia starego, jak mumija wyschniętego pacjenta, jakkolwiek o radykalnym polepszeniu stanu jego zdrowia nawet i myśleć nie można było. Ręce jego podobnie jak język ciągle jeszcze były sparaliżowane, wsakże piersi zdawały się daleko swobodniej oddychać jak dawniej, i z na wpół otwartymi ustami mógł nawet w ostatnich czasach niejaki tony wydawać, które jakkolwiek bardzo niewyraźne, wszakże jego wiernemu, nieutrudzonemu Janowi zrozumiałe były jako wyraz jasnego życzenia, podług tego jak brzmiały krócej lub dłużej, niżej lub wyżej, mocniej lub słabiej. Dzielny służący, który już przedtem w oczach swego ukochanego pana tak wybornie czytać musiał, widział teraz zadanie znakomicie ułatwione, wreszcie i słuch chorego także się nieco polepszył.

Generał zajmował mieszkanie sam z Janem niedaleko od kościoła wzdłuż góry położone, w willi otoczonej ogrodem. W ciągu dnia znajdowała się tam stara kobieta, która zajmowała się skromną kuchnią i innymi kobiecymi robotami. Wieczorem jednak odchodziła zawsze ta kobieta do swojego mieszkania.

Kiedy Scheuchenstejn przybył do Kaltenleutgeben było jeszcze bardzo rano i udał się zaraz do doktora, by się od niego dowiedzieć o stanie zdrowia pacjenta. Doktor wiedział, że Scheuchenstejn nie tylko był krewnym generała, ale i jego uniwersalnym

spadkobiercą i że nadto sam z siebie jest bardzo bogatym człowiekiem, przyjął więc zbyt ranną wizytę, ze szczególną uprzejmością.

„Brat Liguoryanin“ udał nadzwyczaj ucieszonego, kiedy się dowiedział, że chory znakomicie poprawia się na zdrowiu, tak nawet, że jeśli go jesień nie zabierze możnaby go było przewieźć do południowego klimatu, coby żywot jego z pewnością o parę lat jeszcze przedłużyć musiało.

W Scheuchenstejna oczach pokazały się łzy radości, kiedy wymowny lekarz kilkakrotnie swoje zamiary powtórzył. Ostatecznie uściskał on młodego eskulapa i wsunął mu jako słaby dowód swój wdzięczności, jak mówił, dość kosztowny pierścień brylantowy na palec.

Skoro jednak „brat Liguoryanin“ zawracał od domu doktora, zgrzytał wściekając się zębami i gniewnie mruczał do siebie,

„Niech djabli porwą tę całą tak przekłęcie zdrową okolicę, a to z piekła rodem cudowne źródło, z przyjemnością pragnąłbym zatruć kilkoma centnarami cyankali. Gdybym z tym doktorem coś *rozsądnie* pogadał, mógłbym sobie narobić kłopotu; wydaje się on być równie zdolny jak uczciwy, czyli głupi. Hm! Nie pozostaje tedy nic innego jak wprowadzić w wykonanie mój pierwiastkowy plan.“

W jednym mgnieniu oka przybrało jednak oblicze jego wyraz słodczy, życzliwości i słodkiej przyjaźni, jaką się zawsze popisywać lubiał, obłudny „brat Liguor-

ryanin.“ Zauważył on służącego Jana który przypadkowo około niego przechodził.

— Dzień dobry, dzień dobry, mój kochany Janie! zawołał Scheuchenstejn, witając ucieszonego, i poklepał starego człowieka poufale po ramieniu.

— O, teraz się mamy doskonale, odrzekł służący, wesoło. Pan byleś zapewne już u doktora, gdyż jak widzę pan ztamtąd schodzisz?

— Zgadłeś, stary Janie, rzekł Scheuchenstejn z zadowoleniem trąc ręce,— jestem uradowany dobrymi wiadomościami, jakie otrzymałem i zgadzam się zupełnie z doktorem, który mówił, że zadziwiające polepszenie się zdrowia starego pana, przedewszystkiem zawdzięczać należy tobie, dzielny człowieku, gdyż twoje poświęcenie się i gorliwość istotnie trzeba nazwać bezprzykładnemi.

— Cóż, robi się co można odrzekł Jan z niejaką dumą bylebym tylko nie umarł wcześniej od mego generała, przecież mam już lat przeszło sześćdziesiąt i jestem bardzo kruchy.

— Któż zaraz o śmierci myśli, zarzucił z powagą „brat Liguoryanin“—jakkolwiek wszyscy śmiertelni jesteśmy, jednak zostawmy na boku ten przedmiot. Czy sądzisz, kochany Janie, że generał nie weźmie mi za złe jeżeli dzień cały dzisiejszy dla jego towarzystwa poświęcę.

— O, bynajmniej, u nas nigdy nie znajdzie nikt żywej duszy, a od czasu jak generał czuje się lepiej lubi nadzwyczaj kiedy mu się opowiada o różnych miejskich nowinkach. Muszę mu więc całemi dniami czytać ga-

zety, co dla mnie jest wcale niemiłym zadaniem, gdyż naprzód czytanie mi idzie dość ciężko, a powtóre męczą mnie; trzeba bardzo głośno z nim rozmawiać, a pan wybaczyć łaskawo panie posiadasz organ jak stróż nocny. —

Scheuchenstejn roześmiał się na całe gardło, z tego nieco szorstkiego porównania pocziwego służącego, chociaż w sercu wcale mu nie było do śmiechu, ale jego zbrodnicze zamiary wymagały, żeby z Janem dziś serdeczniej jak kiedykolwiek postępował.

— Ale, kochany Janie, zaczął znowu skoro się uspokoiła jego udana wesołość, — jakąż szkaradną nosisz cebulę zamiast zegarka.

— O, panie Scheuchenstejn! odrzekł prawie obrażony służący, ten zegarek oddaje mi już od lat czterdziestu trzech wierne usługi. Naturalnie dodał Jan wzdychając, wszystko na tym świecie ma swój koniec, i mój zegarek od lat kilku zatrzymuje się co raz częściej i zegarmistrz zawsze powiada, że już go nie można gruntownie wyreperować,

— A jednak używasz ciągle opóźniającego się zegarka i generał musi na tym co cierpieć osobiście, rzekł szybko Scheuchenstein, dla tego nie weźmiesz mi za złe jeśli będę obstawać, iżbyś odtąd nosił ten oto zegarek, dla korzyści twego pana; na pamiątkę od twego wdzięcznego przyjaciela!

Przy tych słowach „brat Liguoryanin“ odpiął swój własny wspaniały chronometr wraz ze złotym łańcuszkiem, i podczas gdy zdziwiony sługa nie wiedział jeszcze na pewno, czy Scheuchenstejn, który mu jeszcze

dotąd nigdy krajcara nie dał napiwo, mówi żartem czy na seryjo, przeniesienie w mowie będącej własności przeszło już w sferę rzeczywistości.

Stary Jan, z radości zarumieniony, wyjąkał jakieś bez związku podziękowanie, a następnie pobiegł spiesznie jak dzieciak do willi, i pokazał promieniejąc radością, generałowi tylko co otrzymany kosztowny podarunek.

Generał wydał jakiś głos, który miał znaczyć wielkie zadowolenie, i kiedy w parę minut później wszedł Scheuchenstejn, został przyjęty przez biednego pacyjenta tymże samym głosem i nadzwyczaj dziękczynnym spojrzeniem. Przebiegły „brat Liguoryanin“ znowu trafił, jak powiadają gwózdziem w samą głowę; obdarowanie Jana, sprawiło starcowi bowiem daleko większą przyjemność, niż gdyby sam Bóg wié jak wielkiego doznał szczęścia. Generał naturalnie nadzwyczaj lubił i cenił wiernego sługę, gdyż był on jedyną podporą w jego osamotnieniu, jedyną istotą, która wszystkie jego myśli odgadywała. Tym boleśniej zrobiło się tedy zacnemu starcowi, iż niemógł przez żaden wyraz okazać głębokiej swojej wdzięczności Janowi, a nadewszystko bolało go to, że swemu służącemu mógł w testamencie tylko zbyt szczupły legat wyznaczyć.

Scheuchenstejn, pochlebca i obłudnik *par excellence*, odgadł już dawno tę tajemną zgryzotę generała.

— Nie ma o czem i mówić, odrzekł na ponawiane bez końca podziękowania Jana w obecności pacyjenta, taki dzielny człowiek jak ty, zasłużył na daleko więcej

jeszcze, i będę wiedział kiedyś, co jestem winien pamięci mojego zacnego dobroczyńcy. Pan Generał zapisał panu, czemuż nie mam tego powiedzieć, legat 3000 guldenów — ja tę summę podwoję, daję na to słowo honoru.

Generał wyszeptał tak głośno objaw swego wielkiego zadowolenia, o ile tylko było to w jego możności, a stary Jan, płakał gorącemi łzami radości, spoglądając na dobrego, zacnego, kochanego pana Scheuchenstejna.

Dzień upłynął dzisiaj biednemu pacjentowi bardzo prędko i przyjemnie. — Scheuchenstejn opowiadał anegdoty i dykteryjki jedne po drugich, tak że stary Jan, który swego pana tylko podczas spoczynku nocnego opuszczał, trzymał się za brzuch od śmiechu i nawet stary generał okazywał bardzo często znakami dowody niezwykle dobrego humoru.

Brat Liguoryanin unikał starannie, wspomnieć choćby słowo jedno o kradzieży, jakiej stał się ofiarą ostatniej nocy. Co do tego plan jego był już stanowczo ułożony. W oczach świata chciał on być zawsze jak dotąd bogatym, aby w razie potrzeby mógł zaciągnąć u swoich przyjaciół znaczny dług, naturalnie na oszukanie.

Okolo godziny siódmej wieczorem, generał który przez dzień leżał w krześle na kółkach, jak zwykle udał się na spoczynek. Jak tylko to nastąpiło, Jan miał dla siebie kilka godzin wolnych, gdyż do północy pacjent zwykł był spać bardzo mocno. Jan sypiał w pokoju swego pana i najmniejszy szelest wystarczał, by go obu-

dzić; zwykle jednak sen służącego nie był przez całą noc przerywany, gdyż bez gwałtownej potrzeby pacjent nie wołał go do siebie.

Kiedy już starzec jak najstaranniej został obsłużony, Scheuchenstein zaproponował służącemu, by wypił z nim jeszcze butelkę wina. Jan, który nektar winny bardzo lubił, zgodził się bez namysłu i przyniósł z hotelu trzy butelki wystarego wiśniaku jeszcze z roku 1834. Mała pieczętka została oderwana zaraz w dotykającym do sypialni generała pokoju służącego. Napój był istotnie wyborny. Nakoniec około godziny dziesiątej wieczorem, gotował się Scheuchenstejn do odejścia, gdyż w małej willi nie było gościnnych pokojów. Brat Liguoryanin zmyślił, że noc przepędzi u dobrego znajomego w Kalksburgu, o małą godzinkę drogi oddalonym od Kaltenleutgeben.

Stary służący czuł się już bardzo mocno rozgrzanym od wybornego soku winnego; nie mniej jednak przychylił się do żądania uprzejmego gościa i wychylił do reszty ostatnią butelkę wina. Scheuchenstejn nalewając wpuścił nieznacznie proszku do szklanki służącego.

Jan wypił przyzwocie aż do ostatniej kropelki. Naraz zaczął stary człowiek gadać bez sensu i chwiać się na wszystkie strony, Scheuchenstejn schwytał go na rękę, i nie bez trudności na wpół śpiącego wyniósł do pokoju, w którym spoczywał generał. Tu położył Jana na sofie, która stała tuż obok łóżka chorego, a jemu służyła za łóżko.

Między tą sofą i łóżem generała stała szafka, na

której zawsze w nocy paliła się lampka olejna. Między zaś dolną podstawą sofy i szafą umieszczony był kosz do papierów, do którego Jan zwykł był po przeczytaniu składać gazety.

Koszyk był napełniony. Scheuchenstejn wydobyl arkusz i zapalił go od wspomnionój lampki, poczem ją przewrócił. Palący się papier rzucił następnie napowrót do kosza, który w téj chwili zapalił się jasnym płomieniem wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało. Po tym zbrodniczym czynie wybiegł Scheuchenstejn z pokoju, drzwi zamknął za sobą, by dym nie miał żadnego otworu, ale zgęszczając się w pokoju, sprowadził zamierzony skutek.

Najdalej w minut dziesięć, niezdolny sam się ratować generał i trunkiem oszołomiony sługa, musieliby się zadusić.

Scheuchenstejn rachował z pewnością na udanie się jego zbrodniczego zamiaru, jak również i na to, że nikt na niego nie rzuci podejrzenia.

— Wszystkim pokierowałem bardzo przebiegle, mówił do siebie nędznik, podczas gdy szedł dróżynką leśną prowadzącą do Gaisbergu. Żadna ludzka istota nie wie, że byłem tak długo w willi, a Jan nic nie wypaple; umarli nie mówią. W téj chwili stałem się już prawym spadkobiercą generała. Tymczasem muszę jednak cało przedostać się za granicę austryjacką. W Angliji będę wyczekiwał biegu wypadków. Gdyby na mnie nawet zanesiono w Wiedniu skargę o gwałt, w każdym razie

zostanę jedynym, prawym dziedzicem 250,000 guldenów i ostatecznie nie zatrzymają mi téj summy.

Musimy teraz zajrzeć do willi, by się przekonać, czy zbrodnicze zamiary niecnego łotra istotnie uwieńczone zostały pomyslnym dla niego skutkiem.

Ogień strawił natychmiast nietylko koszyk do papierów wraz z tem co się w nim znajdowało, ale nadto ogarnął drewniany spód sofy, szafkę nocną i łóżko, na którym leżał generał.

Gorąco i dym obudziły ze snu biednego chorego. Z przerażeniem ujrzał on szerzący się pożar. Jak mógł najgłośniej wydawał niezrozumiałe głosy, ale Jan, tak prędko zawsze na zawołanie, nie dawał żadnego znaku o sobie. Tymczasem niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejsze. Płomienie wdzierały się już do łóżka. Jeszcze parę chwil, a coraz silniejsze gorąco sprawiało już generałowi niewypowiedziane cierpienia. Pewność, że żywcem spalony zostanie, wstępowała z coraz okropniejszą jasnością do jego duszy i wywoływała pot śmiertelny na jego czoło. Wszystka krew nabiegała do głowy i serca, i pragnął teraz nawet ataku apoplektycznego, aby uniknąć straszliwych męczarni od powolnej śmierci ogniowej. Również i dym, który coraz bardziej pokój napełniał, groził mu uduszeniem. Lecz szybka śmierć, której teraz tak z upragnieniem wyglądał, nie chciała zbliżyć się doń jako wybawca, nawet kiedy już płomienie wydobywszy się ponad łóżko opalały jego białe jak śnieg włosy na głowie. Teraz ogarnął nare-

szcie ogień całą pościel i łóżko i opiekać mu zaczął ręce, nogi i całe ciało.

Te straszne, bolesne męczarnie, przerażenie, obawa śmiertelna, cudownie podziałały na jego schorowany organizm. Nadmiar rozpaczy powrócił jego nerwom na zawsze już postradaną elastyczność. Zdało mu się w jednej chwili, jakby nagle silny prąd elektryczny przebiegł po nim od szczytu głowy aż do stóp, i—odzyskał głos i zdolność ruchu.

— Pomocy! pomocy! zdołał zawołać i jednocześnie porwał się z łóżka. Fizyczna niemoc, jaka go od ośmiastu miesięcy dręczyła, od razu została złamana.

Na szczęście najbliższe okno oddalone było od jego łóżka tylko o parę kroków. Nie mogąc okna otworzyć, wytlukł generał szyby, i przytłumionym, drżącym głosem wołał o pomoc, a głos jego na szczęście dosłyszany został przez kilku przechodniów.

Wkrótce udało się opanować ogień, gdyż wody było podostatkiem.

Dobrego Jana uważano zrazu za umarłego; uniknął on jednak uduszenia, gdyż go Scheuchenstejn przypadkowo rzucił twarzą na miękki wałek puchowy, i śpiący z tego powodu nie mógł pełnymi piersiami wciągać w siebie dymu.

Chociaż tym sposobem plan brata Liguoryjanina w całości się nie powiódł, to jednak przewidywanie nędznika, iż nikt nie rzucił nań podejrzenia, bynajmniej nie zostało zawiedzione. Każdy, a także w kilka godzin później przybyła komisja sądowa, przypuszcza-

ła, że Jan sam się napiwszy, w stanie nie trzeźwym lampę przewrócił, i przez to ogień sprowadził.

Tymczasem generał serdecznie dziękował dobremu Bogu, za tak cudowną, choć bardzo niebezpieczną i bolesną „kuracją ogniową“, która mu przywróciła zdolność mowy i dozwoliła mu jak dawniej posługiwać się członkami.

X.

Między ruinami.

Na statku, którym jechali pani Goldstern i „piękny Izydor“ do Tryestu, w swój podróży na Wschód, przypadek dał im sposobność, zrobienia bardzo ciekawej znajomości, sposobność, której się tak matka jak syn obiema rękami chwycili.

Szwedzki hrabia nazwiskiem Gustaw von Roosval, jechał również na wschód ze swą nieco na piersi słabą córką Fryderyką. Hrabia był już dość stary i mocno cierpiący na pedogrę, na którą spodziewał się choć małej ulgi w południowym klimacie. Wszakże nie jedynie widoki zdrowia wabiły go na wschód; bardziej powodem téj podróży była jego namiętność do nauki, którą stosunki jego majątkowe teraz dopiero pozwalały mu się zadowolnić.

Jeszcze przed rokiem hrabia Roosval, jako młod-

szy brat z rodzeństwa, zmuszony był służyć jako urzędnik swój ojczyźnie, gdyż małe apanagium, jakie miał sobie wydzielane przez brata starszego, pana majoratu nie pozwalało mu bynajmniej żyć odpowiednio do swego stanu. Przed czternastu jednak miesiącami umarł brat jego starszy, Eryk, nie zostawiwszy bliźszego dziedzica, przez co wszystkie majątki nieboszczyka spadły na Gustawa, któremu dostał się także teraz tytuł hrabiego. Ponieważ Eryk zostawił dużo długów które po nieboszczyku zapłacone być musiały, przeto istotna wartość dziedzictwa daleko była mniejsza, jak się to mogło zdawać, sądząc po wielkim obszarze posiadłości. Z tym wszystkim terazniejszy pan majoratu mógł rachować na blisko 10,000 talarów rocznego czystego dochodu, co dla niego, który dotąd zaledwie $\frac{1}{3}$ część téj summy miał do wydania, było więcej jak dosyć, by się pod względem materyjalnym uważać za zupełnie szczęśliwego; tym więcej gdy tak on jak i córka jego przyzwyczajeni byli do największej oszczędności.

Hrabia Gustaw von Roosval był wzrostu wysokiego, kościsty i nadzwyczaj chudy; liczył tak około lat 50. Jego kiedyś jasno czerwone włosy mocno już były podsiwiałe, podobnie jak i jego bujna broda. Kiedyś mógł on być nawet bardzo pięknym mężczyzną, a jego oko równie jak i wysokie czoło zdradzały człowieka inteligentnego. Obejście jego właściwe było człowiekowi z sercem i wykształceniem.

Fryderyka naśladowała swego ojca, naturalnie że w łagodnych formach kobiecych, wszędzie i we

wszystkim, ztąd też między ojcem i córką panowała najciszejsza harmonija. Hrabia lubił swoje jedyne dziecię tym więcej teraz, od czasu jak przed trzema laty, śmierć mu wyrwała drogą małżonkę; Fryderyka znów, w tej chwili panna dwudziestoletnia, szukała po stracie kochanej matki zastępstwa w ojcu i rzeczywiście je znalazła.

Pierwszy raz właśnie teraz panna Rooswal opuszczała granice swojej ojczyzny, Szwecyi, a opuszczała ją swobodnie i z radością, gdyż jej serce było wolne, a natomiast pragnienie zwiedzenia świata, bardzo wielkie. Również i ojciec jej prócz podróży do Daniji i części północnych Niemiec nigdy nigdzie więcej nie jeździł, gdyż dawniej brakło środków do dalszej wycieczki po świecie, której by nigdy nie przedsięwziął był bez żony i córki.

Hrabia, człowiek wysoce uczony, a szczególnie zajmujący się starożytnościami, od lat najmłodszych namiętnie się tej nauce oddając,— przedsięwziął teraz resztę swego życia wyłącznie poświęcić badaniom śladów przedwiekowej kultury i dla tego celu wybrał sobie przedewszystkiem Syryją, Mezopotamiją i Egipt jako arenę swój przyszłej działalności. Wszystkie starożytności wydawały mu się zbyt młode w porównaniu z owemi, których istotę teraz na miejscu bliżej chciał zbadać. Szczególniej pobudzało jego ciekawość, godne uwagi miasto Palmira, w ruinach leżące na północnem wybrzeżu arabskiej pustyni, między Eufratem i Antyjochią.

Naturalnie, całą literaturę Palmiry nasz hrabia już dawno przewertował, im więcej się jednak w tym przedmiocie zagłębiał, tym mniej się czuł ze swojej wiedzy zadowolony.

Jako głęboki myśliciel i gruntowny badacz chciał on dokładnie zbadać związek powstania i upadku Palmiry ze wzrostem i rozpadnięciem się państwa judejskiego i na tej podstawie dać dowód apodyktyczny, że biblijna „genezis” (historja stworzenia świata) *nigdy* nie była dziełem Mojżesza proroka, ale dopiero po powrocie żydów z niewoli babilońskiej przybrała swoją dzisiejszą formę.

Już podczas pierwszych dni nudnej i długiej podróży morskiej do Korfu i Aten, zaczęły się zawiązywać bardzo przyjacielskie, a nawet serdeczne stosunki między hrabią i jego córką z jednej strony, a panią Goldstern i pięknym Izydorem z drugiej. Papa i mama również się sobie podobali, jak córka i syn, i pani Goldstern planowała już w milczeniu na rękę hrabiego, jak również i Fryderykę pragnęła widzieć swoją synową. Myśl zostania hrabiną, opanowała całą jej istotę, i nie dawała jej spoczynku dniem i nocą; do tego Roosval w rozmowie bez żadnych wprawdzie zamiarów wyraził się, że zięć jego może domagać się, by hrabiowski tytuł wraz z majoratem przeszedł na niego. Piękny Izydor, któremu mama swoje plany i zamiary w tym kierunku bezustannie przedstawiała, bardzo był tym uradowany, gdyż Fryderyka mu się podobała, jakkolwiek u człowieka bez serca i rozumu i tak rozwio-

złego jak Izydor, o prawdziwej skłonności lub miłości w wyższym znaczeniu, bynajmniej mowy być nie mogło.

Do tego szybkiego zbliżenia się zresztą między temi czterema osobami, posłużyła głównie okoliczność, której pominąć nie możemy.

Piękny Izydor już w pierwszych dniach podróży dostrzegł u hrabiego wolno-mularskie książki i znaki i to go naprowadziło na myśl, że Rooswal należeć musi do wielkiego tajemnego związku braci. Młody Goldstern, który, jak wiemy, był mularzem-węglarzem i ztąd tajemne znaki porozumiewania się znał doskonale, przedstawił się hrabiemu jako brat, nie wdając się jednak na teraz w bliższe szczegóły. Nawet w oczach Fryderyki, która wolnomularzom sprzyjała, już choćby z téj tylko przyczyny, że ojciec jój do tego związku należał i odgrywał w nim ważną rolę wielkiego mistrza, zyskał wiele piękny, młody człowiek, który się bardzo elegancko umiał zachować.

Hrabia pałał tak wielką żądzą, oglądania rujin Palmiry, iż zwiedzenie Jerozolimy na później odłożył i postanowił udać się wprost do Bejrutu, zkąd najkrótszą drogą, mianowicie przez Damaszek; mógł dosięgnąć w kilka dni upragnionego celu.

Pani Goldstern zmieniła z tego powodu bez namysłu początkowy swój program podróży do Jerozolimy, gdyż postanowiła już nie puszczać samych hrabiego i jego córki, a Rooswal i jego córka Fryderyka byli bardzo uradowani z dłuższego pozostawania razem z bogatą, ładną wdową i eleganckim jój synem.

Największy jednak dowód zaufania i wielkiej przyjaźni okazał hrabia pani Goldstern tym, iż w najbliższej Palmiry leżącym, małym miasteczku Hems, oddał pod jej opiekę jak zrenicę w oku dotąd zawsze strzeżoną przez niego Fryderykę.

Hrabia zamierzył bowiem przedewszystkiem, przez dwa tygodnie odbywać sam jeden i zupełnie swobodny swoje poważne studia między ruinami. Był on dosyć uważającym, by nie żądać ani od swój córki ani od towarzyszków podróży, żeby tak znaczny przeciąg czasu przepędzali w owiej opustoszałej miejscowości, gdzie w nędznych namiotach zamieszkująca ludność pasterka, zaledwie by mogła dostarczyć im najpierwszych potrzeb do życia.

Zresztą ułożono się, że co dwa dni regularnie będzie jeździć posłaniec między Hems i Palmirą, by wzajemnie wymieniać wiadomości o zdrowiu i zaopatrywać uczonego hrabiego w świeże i zdrowe środki do życia, kiedy będzie zatrudniony pomiędzy ruinami. Dalej postanowiono jeszcze, że jak tylko hrabia ukończy swoje poszukiwania, pozostali w Hems zabiorą go z Palmiry; gdyż chciano najbliższą drogą, mianowicie bez powracania do wspomnianego miasta, udać się w kierunku Damaszk.

Wiadomości, jakie co dwa dni odbierano w Hems z Mia sta ruin, brzmiały bardzo pomysłnie. Hrabia czuł się dobrze na zdrowiu, i zdawał się bardzo być zadowolonym z rezultatów swych poszukiwań. W jednym z o-

statnich listów wspomniał on, iż zamierza na wiosnę ruiny Palmiry odwiedzić i między nimi przepędzić jeszcze cały miesiąc: jest nadzieja, dodał w końcu żartobliwie, iż do téj pory znajdzie się ktoś, który trwałą opiekę nad córką moją rozciągnie.

Fryderyka zarumieniła się mimowolnie, kiedy pani Goldstern ten ustęp przeczytała, a piękny Izidor zamienił ze swą matką dużo mówiące spojrzenie.

Nakoniec nadeszło z rujin zaproszenie, by się do nich udano. Hrabia pisał, iż na teraz zebrał dostateczny materyjał, by mógł rozpocząć na seryjo swoje teoretyczne poszukiwania.

Pani Goldstern wyjechała natychmiast z Hemsu na to wezwanie. Zakupiono sobie za grube pieniądze opiekę i eskortę dowódcy beduinów i nie potrzebowało się lękać teraz żadnego niebezpieczeństwa na pustyni, gdyż jakkolwiek niewierni i chciwi są beduini, cudzoziemiec jednak, któremu raz chleb i sól podali, jest świętym i nietykalnym.

Podróż wszakże z Hems do rujin Palmiry, wśród najprzyjaźniejszych nawet okoliczności, jest połączoną dla cywilizowanego człowieka z wieloma przykrościami, a nigdy nie złagodzona widokami pięknej natury. Jedzie się przez całe dwa dni wśród palących promieni słonecznych przez nagą pustynią, nakoniec spostrzeżga się w oddaleniu nagą i spadzistą górę skalistą, u stóp téj góry wchodzi się w dolinę, pełną grot i grobowców

i zaledwie podróży znowu wydostanie się na równinę, ukazują się przed nim godne podziwu ruiny. Spostrzegasz nagle niezliczone mnóstwo wspaniałych, prosto stojących kolumn, które, niby aleje w naszych ogrodach, ciągną się w symetrycznych szeregach, jak daleko oko zasięgnąć może. Między temi kolumnami stały niegdyś wielkie gmachy, dziś jużto zupełnie, już w połowie zwalone. Ze wszystkich stron widzisz dalej ziemię z resztkami gzymsów, pali, rzeźb, kapiteli, wszystko z białego marmuru i przedziwnego wykończenia. Skoro się przejdzie w ciągu trzech kwadransów to cudowne miasto rujin, dochodzi się do kolosalnego budynku, który kiedyś był świątynią, wystawioną na cześć słońca i u wejścia którego pokolenie chłopów arabskich pobudowało swoje chatki. Podobnież widzieć się dziś jeszcze dają tu i owdzie między ruinami ślady wielkiego wodociągu, który się ciągnie z przerwami aż do odległych gór syryjskich; obecnie znajdują się tam dwa małe, dość blisko siebie wytryskujące źródła, które wszakże nie zupełnie jeszcze wyschły.

Pani Goldstern i jój dwoje młodych towarzyszków podróży przybyli późno wieczorem między ruiny. Niebo było czyste, powietrze przezroczyście i ciche; na płaskich wybrzeżach oddalonego Eufratu odbijała się właśnie pełnia księżyca w całej świetności. Opadająca rosa nocna chłodziła ogień rozpalonej ziemi. Mała garstka pasterzy schroniła się do swych ubożuchnych chatek. Wszystko zdało się zamarłe i głuche na jednokształtnej szarej płaszczyźnie, głęboka cisza panowała na pustyni,

tylko czasami i to w dość odległych przerwach słyszeć się dawał złowrogi krzyk samotnego ptaka nocnego i przenikliwe wycie nienasyconego, za padliną żerującego szakala.

Ten wspaniały i rzadki w swoim rodzaju widok skłonił panią Goldstern i jej syna, pomimo utrudzenia po dwudniowej podróży, do przedsięwzięcia we dwoje małej przechadzki wieczornej do jednej z wyż wspomnionych, wspaniałej galeryji słupów, podczas gdy Fryderyka, która dość ucierpiała na zdrowiu od niewygód podróży, wolała zostać przy ojcu, by opowiedzieć mu swoje ostatnie przygody i przypilnować przygotowania wieczery.

Pani Goldstern i piękny Izydor nie zostawali tam jednak długo. Bez tchu, pomieszani i drżący na całym ciele, przybiegli co im sił starczyło i dość czasu upłynęło, zanim byli w stanie opowiedzieć oderwanymi zdaniem nadzwyczaj dziwną przygodę, przyczem strzeżli się jednak, wypowiedzieć całkowitej prawdy.

Kiedy się mianowicie posunęli naprzód z jakie 500 kroków do wspomnianej galeryi słupów, bez napotkania żadnych trudności, zdało im się iż spostrzegli między olbrzymiemi kupami kamieni jakąś białą postać. Mógł to być beduin w swoim białym burnusie, ale im się bardziej zbliżali, tym to przypuszczenie mniej prawdopodobne się wydawało. Postać ta nosiła się widocznie tak, jak niegdyś Esseńczycy. Ciekawość skłoniła panią Goldstern, by posunąć się dalej. O niebezpieczeństwie nie mogło tu być wcale mowy. Wyszła więc

z Izydorem na mały, wolny placyk, który zdawał się być zburzonym przedsionkiem świątyni.

Nagle zastygła krew w jej żyłach. Na murze ruiny stały obok siebie dwa kamienne sarkofagi, w których leżały dwie piękne dziewczynki, w śmiertelne ubranie odziane.

Sara! Paulina! zawołała pani Goldstern przestraszona.

Podczas tego wykrzyknienia, wystąpił człowiek w białym płaszczu z poza kolumny i wskazał w milczeniu na obie trumny.

Pani Goldstern i piękny Izidor zdawali się być zupełnie przekonani, iż widzą potrójne zjawisko z poza grobu.

— Wy nędznicy! czy znacie owe trupy? zawołał Esseńczyk grzmiącym, okropnym i groźnym tonem.

— Umarli z martwych powsta! krzyczała przerażona pani Goldstern. Jój syn, podobnie śmiertelnie przestraszony, bełkotał mechanicznie jakieś wyrazy; po chwili pewnej jednak schwycił konwulsyjnie za rękę swoją matkę i pociągnął ją za sobą.

-- Mordercy! Truciciele! brzmiało ciągle w ich uszach. Uciekający sądzili, iż słyszą w tej chwili wyrok ostatecznego sądu, nie wiedzieli jednak, czyli te dwa ostatnie wyrazy okropne zjawisko za nimi wołało, czy też był to tylko głos ich własnego sumienia.

Nie śmieli się obejrzeć lub zatrzymać się choć na sekundę w swym przyspieszonym biegu.

Dopiero skoro się ujrzeli w pobliżu ogniska roz-

nieczonego na polu, przy którym znajdowali się hrabia, jego córka i służba, opamiętali się nieco i pani Goldstern, która ochłonęła teraz cokolwiek z panicznego strachu, surowo napomniała swego syna, by jedną nawet sylabą się nie zdradził, kto były osoby, na których przerażające ślady natrafili w ruinach.

Zresztą piękny Izydor nie czuł w sobie bynajmniej ochoty do rozmowy.

Pani Goldstern ze swój strony zadowolniła się opowiedzeniem w kilku krótkich, urywanych zdaniach, że ona i syn jój spostrzegli między ruinami dwa sarkofagi ze świeżemi trupami, i że ten niespodziany widok w pustej zupełnie okolicy i przy bladym świetle księżyca nadzwyczaj silne zrobił na niój wrażenie. Hrabia Roosval wstrząsnął trochę niedowierzająco głową, ale nakoniec ciekawość jego tak dalece pobudzoną została przez opowiadanie pani Goldstern, iż sam chciał się na miejscu przekonać o prawdziwości tego wypadku.

Tak pani Goldstern jak i Fryderyka zaklinały go, by cofnął się od podobnego zamiaru i nienarażał dobrowornie na niebezpieczeństwo. Pierwsza obawiała się, że hrabia mógłby zrobić kompromitujące ją odkrycie w razie gdyby nie z prostemi widziadłami jej wyobraźni miał do czynienia, a ostatnia, jako szczerze kochająca go córka, lękała się, że może istotnie pod wój morderstwone miało miejsce między ruinami i jój drogi ojciec przez swą niepotrzebną ciekawość sam także wpadnie w ręce morderców.

Hrabia Roosval był jednak bardzo odważny i mo-

cno zdecydowany zamiar swój wprowadzić w wykonanie.

— Moje kochane panie, odrzekł nakoniec na wszystkie robione mu uwagi, albo łaskawa pani i pan Izydor istotnie widzieli co twierdzą, albo nie. W pierwszym wypadku samo nasze bezpieczeństwo wymaga by się przekonać, jaka to banda zbójców ukrywa się między temi ruinami i jakie należy przedsięwziąć odpowiednie środki. Otwarcie mówiąc jednak, nie sędzę wcale, aby tu ktoś czychał na nasze życie lub majątek. Kupiliśmy sobie opiekę potężnego oddziału beduinów, a z ubogimi arabskimi pasterzami, którzy pędzą nędzny żywot między temi wspaniałemi ruinami, jestem na najlepszej stopie. W drugim wszakże wypadku, mianowicie, że to było tylko jakieś złudzenie zmysłów, przekonanie się o rzeczywistości wyrzeczonych obaw, będzie najlepszym środkiem uspakajającym owo niesłychane wzruszenie, jakiego stałaś się ofiarą pani i jój syn.

Wszystkie dalsze perswazyje zostały bezskuteczne. Hrabia przygotował broń swoją i zdawał się mocno być zdecydowanym, przejście przez ruiny, z któremi był już tak obeznany, w razie potrzeby sam dokonać, skoro piękny Izydor na wezwanie go do towarzysstwa, odpowiedział dość przedłużonym wyrazem twarzy.

Pani Goldstern zrozumiała, iż nie powinna dopuścić by hrabia miał złe wyobrażenie o odwadze przyszłego swojego zięcia, a szczególnie by się mógł zmniejszyć szacunek Fryderyki dla młodego człowieka.

— Ty musisz iść! szepnęła więc do swego syna: musisz, lub stawiasz na kartę wszystkie nasze piękne projekta. Tchórzowi hrabianka z pewnością nie odda swojej ręki.

Z dosyc więc niepewną postawą, piękny Izydor oddał się na usługi hrabiego, który nie uważał za rzecz potrzebną brać większą eskortę, w końcu jednak zgodził się, jedynie dla uspokojenia pań, by w pewnym oddaleniu postępowali za nimi ich służący.

Piękny Izydor czuł się jako bohater mimo woli, był nadzwyczaj nie swój i z radością pierwszy by ztamtąd dał nogę. Trzymał się o kilka kroków z boku od hrabiego, by jego towarzysz nie spostrzegł lub nie dosłyszał, jak mu szczęki głośno uderzały jedna o drugą.

Młody Goldstern właściwie z natury wcale nie należał do tchórzów i przeciwko jawnemu nieprzyjacielowi byłby na pewno ostro wystąpił. Ale teraz najmocniej był przekonany, iż zbliża się do miejsca, gdzie jakieś nadziemskie zjawisko przedstawiło mu się jako narzędzie mściwej i napominającej Nemezis. Przy zupełnym braku w nim prawdziwej religiji i bez żadnego o sobie moralnego przeświadczenia, nie możemy się dziwić jego zabobonowi; gdy bezbożni atejiści i pospolici epikurejczycy, podobni jemu, tem łatwiej obawiają się straszdeł, im bardziej im się one ukazują wśród nadzwyczajnych okoliczności a zarazem im większa próżnia znajduje się w ich mózgu i sercu.

Im bardziej zbliżano się do straszego, bardzo dobrze hrabiemu znajomego z opisu miejsca, gdzie znajdo-

wały się dwa sarkofagi, tem większą była obawa pięknego Izydora, który już kilkakrotnie uczuwał ochotę, bądź co bądź zawrócić się, by nie zaglądać raz jeszcze w oczy owym okropnym postaciom, które może w obec hrabiego porobią odkrycia o usiłowaniu zabójstwa, jakie on i jego matka w Wiedniu na życie bankiera robili.

Powoli tak daleko pozostał w tyle, że zamiast iść jak z początku obok hrabiego; w końcu szedł tuż obok dwóch służących. Tym sposobem Rooswal wyprzedził go co najmniej o kroków trzydzieści.

— No, otóż jesteśmy, dał się nagle słyszeć dzwięczny głos hrabiego,— otóż jesteśmy!

Te słowa dodały młodemu człowiekowi nowej odwagi, gdyż ton, jakim Rooswal mówił, brzmiał bardzo ironicznie.

Piękny Izydor przyspieszył kroku i podążył za hrabią, który już dosięgnął dziedzińca, na którym stały sarkofagi. Hrabiego wcale nie dziwiło pozostanie w tyle jego młodego towarzysza, gdyż między temi ruinami trzeba było wśród szczątków wszelkiego rodzaju, aż nazbyt ostrożnie stawiać nogę, a przytem księżyc chwilami zasłonięty był przez chmury.

— Nie ma nic, zaczął hrabia na nowo, i uderzył kilkakrotnie długim kijem we wnętrze głośno dzwięcznych ścian otwartego sarkofagu, szanowni więc państwo widocznie mieliście do czynienia z jakimś duchem. Szczerze powiedziawszy, przytrafiało się i mnie także nie lepiej, kiedym pierwszych wieczorów uwijał się tu i ow-

dzie sam jeden między ruinami. I mnie wyobraźnia moja bardzo często stwarzała różne widziadła. Widziałem te pałace powstające przed memi oczyma w ich pierwotnej potędze i blasku, te bezładnie walające się gruzy, porządkujące się w harmonijną całość, a mirjady wesółych ludzi wiły się w różnych kierunkach po ulicach; jasno gorzały ognie ofiarne w świątyniach; woń balsamicznych ziół, rokoszny zapach krzewów różanych, które wszędzie w obfitości kwitły między bijącymi fontannami, drażniły przyjemnie powonienie.

Kapłanki Venercy w ich jasnym, przezroczystym zakrętach, z włosami, ubraniami różnokolorowemi wstążkami i kwiatami, przypatrywały mi się długo przeciągłym wzrokiem, zapraszając obcego, by ich bogini miłości złożył słodką daninę; aż oto naraz rozlega się w pobliżu wycie szakała lub złowrogi sęp rozdziera sfery powietrzne swym głosem przeraźliwym i wspaniałe obrazy mej wyobraźni ustąpić muszą miejsca smutnej rzeczywistości. Wszystkie wymarzone przezemnie piękności przedwiekowej Palmiry jak mgła się nagle rozwiały i znowu widziałem się w tym sztywnym, złowrogim świecie szczątków i ruin, między grobowcami cudownej przeszłości wielkości i potęgi, których jasne zrozumienie dla nas, w naszym wieku wynalazków, trudniejszym jak kiedykolwiek się wydaje, gdyż duch nasz jest ogarniony terażniejszością i przyszłe rodzaje będą jeszcze bardziej jak my żyć pod naciskiem i przewagą otaczających je stosunków. Ale przez to staną się oni także ślepi i głusi na wzniosłą i ożywczą naukę,

jaka z głęboką przekonywającą siłą z pośród tych ruin do nas przemawia...

— Tak, ciągnął dalej hrabia po chwili z zapalem, tak, wasza samotność, wasze wspaniałe ruiny Palmiry, oddalają nas, na chwilę przynajmniej, od poniżającej gry namiętności, i tu możemy spokojnie kochać ludzkość w jej pomnikach. W tych murach, gdzie teraz panuje grobowe milczenie, rozlegał się przed tysiącami lat gwar sztuki, okrzyki uroczystości i radości; ten bezładnie nagromadzony marmur, tworzył wedle prawideł sztuki zbudowane pałace; te obalone kolumny zdobiły kiedyś majestat świątyni; te w gruzach zwalone galerie wskazują miejsca publiczne. Tu zgromadzał się bogaty naród, by dopełniać obrządków swojej wiary, by złożyć troskę o utrzymanie; tu wynalazki zwoływały bogaczy ze wszystkich części świata. Purpurę z Tyru zamieniano na kosztowne jedwabie z Seryki, bogate tkaniny z Kaszmiru na wspaniałe dywany z Lidyi, bursztyn z morza Bałtyckiego na perły i pachnidła z Arabii, złoto z Ofiru na spiż z Thule. I cóż zostało z Palmiry, tego ówczesnego miasta świata? Nic, prócz smutnego szkieletu! Co zostało z wielkiego państwa, które niegdyś ztąd rządziło? Nic, prócz ponurego, czczonego wspomnienia! Po hałaśliwym wrzasku, jaki rozlegał się w tych przestrzeniach, nastąpiła cisza nocy. Znikł kwitnący dobrobyt, i olbrzymie skarby tutaj kiedyś nagromadzone, pałace magnatów stały się schronieniem dzikich zwierząt. Trzody pasą się na progu świątyni, a nieczysta świnia zamieszkuje poświęcane miejsce

bogów. Cały blask, cała olbrzymia praca wieków znikły bez śladu! Tak marnieją dzieła ludzi i tak znikają państwa i narody!

Hrabia Rooswal, którego głęboko poetyczna uczciwość w pewnym stopniu dochodziła do mistycyzmu i tak łatwo przez dziejowe wspomnienia mogła być podniesioną, zatrzymał się przez chwilę z mową, przymknął oczy, by pozwolić przesunąć się w swojej duszy obrazowi Palmiry, tak jak ona kiedyś przedstawiać się mogła. Po czem milcząco skierował swe kroki do powrotu.

„Piękny Izydor“ pozornie tylko zwracał uwagę na słowa hrabiego. Jego zajmowało jedynie i wyłącznie pytanie, czy on i jego matka wówczas byli pod wpływem hallucynacyi czy nie? Ale kwestyi téj tak on jak i matka jego bynajmniej nie rozwiązali.

Następnego rana, pani Goldstern kazała się przez tłumacza wynajętego jeszcze w Bejrucie za towarzysza podróży, wypytać wszystkich pasterzy, którzy się między ruinami miescili, czy żaden z nich nie zauważył szczególnego zjawiska; wszystkie odpowiedzi były stanowczo przeczące.

Czy jednak tłumacz, przebiegły grek, istotnie wszystkie zebrane wiadomości zgodnie z prawdą powtórzył, pozwolimy sobie nieco powątpiewać. Do téj wątpliwości daje nam powód ta okoliczność, że ów człowiek, kiedy nasi podróżni w cztery dni później przyjechali do Damaszku, wysłał ztamtąd długi list, w którym całe postępowanie pani Goldstern, pięknego Izydora i ich

dwojga nowych znajomych, począwszy od chwili ich wypłynięcia do Bejrutu, drobiazgowo opisał.

Pani Goldstern i jej syn oswoili się tymczasem powoli z myślą, że byli zapewne pod wpływem przesądnej wyobraźni, w chwili widzenia mniemanego zjawiska między ruinami Palmiry.

XI.

W porę.

Musimy teraz powrócić na chwilę do Falksteinu, gdzieśmy zostawili księcia Ryszarda i piękną Adelgundę w bardzo krytycznem położeniu. Nie potrzeba zapewne wyraźnie nadmienić, że wydobycie się niedźwiedzia z jego tak zawsze dobrze zamkniętej klatki, nie było wcale przypadkowem, ale że stróż Ignacy przekupiony był przez mniemanego profesora Heinrichsena, by dzikiemu, umyślnie od trzydziestu godzin pozostawionemu bez pożywienia, zwierzęciu, otworzył kratę od klatki, zaraz po oddaleniu się księcia i jego córki.

Rezultat rozpaczliwej walki, jaką książę zdecydował się przedsięwziąć dla ratowania swego ukochanego dziecięcia, byłby się wkrótce zakończył okropną katastrofą. Ale podczas gdy niedźwiedź, zdziwiony szalonym zamiarem zupełnie nieuzbrojonego człowieka,

który mu chciał wyrwać jego zdobycz, zdawał się przez chwilę nie być zdecydowanym, czy ma zupełnie nie zwracać uwagi na zbyt słabego przeciwnika, który go konwulsyjnie wstrząsał obiema rękami za brunatno kosmate futro, i czyby nie lepiej było żeby zaraz na miejscu zaspokoił swój głód, nagle otrzymał z boku ostrą klingą silny cios przez pysk.

Niedźwiedź wydał przeraźliwy ryk, i skierował się prędko ku nieprzyjacielowi, który mu się tak nie w porę ukazał na placu walki.

Był to porucznik Braun, który przybywszy przed kwadransem do Falkstejnu, szukał księcia po parku, ale o kilka minut zapóźno zbliżył się do klatki niedźwiedziej. Ze wzniesienia, z jakiego się spoglądano na dół do klatki, spostrzegł oficer, właśnie w kierunku zamku, oddalającą się szukaną przezeń parę, i postanowił natychmiast za nią się udać.

Kiedy porucznik wstąpił na szeroką aleję, która od klatki prowadziła do zamku, spostrzegł z przerażeniem, że wielki brunatny niedźwiedź, biegł spiesznie za księciem i jego córką, którzy zupełnie spokojnie w pewnej odległości kroczyli. W kilka sekund później widział on, jak biedna księżniczka obaloną została przez potwora na ziemię, a książę rzucił się na rozszalałą bestyę.

Porucznik Braun nie ociągał się ani jednej chwili, by zadość uczynić obowiązkowi, jakiego się po nim teraz honor człowieka i ludzkość domagały. Przedewszystkiem chodziło o to, by wściekłość niedźwiedzia zwró-

cic na siebie, żeby tenże odstąpił od księżniczki i jej ojca. Jedynie szablą uzbrojony, musiał oficer być uważnym, albowiem walka, gdyby nie nadeszła szybko pomoc, mogłaby zbyt prędko wypaść na jego niekorzyść, gdyż choćby nawet cios szpady był silny i zręczny, to jednak niedźwiedź mógł być tylko ciężko raniony ale nie zabity.

Cóż jednak obchodziło dzielnego człowieka widoczne niebezpieczeństwo życia, na jakie się wystawiał z wielką radością ujrzał, że niedźwiedź wypuścił swoją delikatną ofiarę, i że książę miał dosyć przytomności umysłu, by bezwładną księżniczkę podnieść z ziemi i unieść z sobą.

Tymczasem pan Miś z zajądlnością rzucił się na swego nieprzyjaciela. Kilka razy natarł on swemi obiema łapami na ostrą klingę, ale ze wściekłym rykiem wypuszczał zaraz stal, która na szczęście się nie złamała. Niedźwiedź, zrozumiawszy nakoniec, że w ten sposób tylko bezpożytecznie naraża się na ciężkie rany, wspiął się do góry, całem siedm stóp wynoszącym cielskiem, i posuwał się tak na tylnych łapach zwolna ku oficerowi, przez szeroko wyciągnięte przednie łapy zdradzając zamiar, iż w objęciach swych chce zdusić swego przeciwnika.

Położenie porucznika bardzo było teraz niebezpieczne, i w téj chwili przygotowany był na jak najgorsze następstwa. Nagle przychodzi mu szczęśliwa, zbawcza myśl. Podług prawideł fechtunku widocznie nie mógł wskórać, dla tego też Braun postanowił,

tak użyć swój broni, jakby flintę trzymał w rękach i celować tylko do oczu żądnego krwi niedźwiedzia.

Ten manewr udał się doskonale. Nagle niedźwiedź potoczył się jak piłka na ziemię, zakrywając sobie łeb zakrwawionemi łapami; koniec szabli przebił mu prawe oko, zwierze wydało okropny bolesny ryk. W téj samej chwili, kiedy niedźwiedź się podnosił, by z podwojoną zajadłością uderzyć na swego nieprzyjaciela, oficer wybił mu szpadą lewe oko. Oslepiona bestya została teraz zupełnie bez siły, i wyjąc tarzała się po ziemi. Braun mógł się uważać za ocalonego. Więcej z litości, by położyć koniec męczarniom zwierzęcia, jak z obawy, by ślepy niedźwiedź mógł być dłużej niebezpiecznym, wepchnął mu porucznik szpadę głęboko w paszczę. Strumień czarnej posoki rozlał się, po śmiertelnych kurczach konającój bestyi.

Oficer otarł pot z czoła, gdyż, nie uwłaczając jego odwadze, wyznać musimy, iż z początku téj zaciętój a tak wątpliwój co do rezultatu walki, zrobiło mu się nadzwyczaj gorąco. Następnie otarł kilka razy zbroczoną klingę o blizką murawę, schował szablę i wolnym krokiem poszedł ku zamkowi, zkąd teraz dopiero kilku uzbrojonych do parku śpieszyło, by zrobić polowanie na niedźwiedzia.

— Nie macie się po co spieszyć! zawołał oficer na ludzi, zostawcie wasze flinty w spokoju; raczej sprowadźcie wóz, by zabrać zabitego niedźwiedzia.

Rzecz bardzo naturalna, że stan, w jakim księżniczka przez księcia do zamku odstawioną została, wzbu-

dził w nim niezmierny przestach, i był niemal jakby obłąkany.

Jakkolwiek jednak ciężko zaniepokojony był książę stanem Adelgundy, nie zapomniał jednak o swoim wybawcy.

Pierwsi służący, jacy sięku niemu zbliżyli, musieli schwytać za broń i śpieszyć do parku, gdzie w każdym razie za późno byliby przybyli, gdyby Braun sam się nie wyratował.

Kiedy ciotka Ulryka nieprzytomną zabrała pod swoją opiekę, książę sam schwytał za dubeltówkę i wybiegł do parku, by wziąć udział w walce przeciwko niedźwiedziowi.

Na schodach zaraz spotkał porucznika Brauna, który zatrzymał się na przystanku, i w pełnej formie po wojskowemu przygotował się do salutowania księcia.

— Do mego serca, do mego serca! wołał stary książę, odrzucając na stronę broń, i gorąco obejmując oficera.

— Bogu dzięki! śmiejąc się wołał po chwili książę wśród łez radości; Bogu dzięki, że cię całego i zdrowego przed sobą widzę. Prawdziwie nie przeżyłbym, gdybyś pan padł był ofiarą swego szlachetnego poświęcenia i odwagi. Jakżeż zdołam panu podziękować? Ach! w tej chwili pragnąłbym być wielkim, bogatym monarchą, a nie ubogim i to bardzo ubogim księciem Ryszardem.

— Mości książę! odrzekł skromnie oficer, łaskawy Stwórca świata okazał mi dziś niezastężoną łaskę, sko-

ro mi nastręczył sposobność wyświadczyć małą przysługę szanownemu *bratu* i godnej uwielbienia *siostrze*.

— Ach tak! zawołał książę, ściskając i całując po kilkakrotnie oficera, ach tak! teraz przypominam sobie, że Flodoardo mówił mi, iż pan także jesteś wolonularzem. Szlachetny mężu! Dla naszego związku pan już wiele, bardzo wiele wycierpiałeś, ale wierz pan słowom starca, który zawsze pokładał zaufanie w Panu nad Pany, iż jest Bóg sprawiedliwy, który kiedyś wykaże światu twoją niewinność.

— Jako książę, zawołał oficer niemniej zdziwiony jak zakłopotany, pan wiesz wszystko, wszystko?

— Tak, drogi mój bracie, wiem wszystko. Nie ma potrzeby jednak, byś odświeżał rany swego niezagojonego jeszcze serca, i kazał mi zaglądać w głąb twojej duszy, w twoją przeszłość.

— A więc, odrzekł Braun nieco gniewnym tonem, więc Flodoardo stał się niewiernym uczynionej obietnicy, wszak on mi się zaklinał, że nikomu, nikomu w świecie, bez mego wyraźnego pozwolenia, nie powie słowa o moich nieszczęśliwych stosunkach.

— Pan krzywdę wyrządzasz dobremu księciu, odrzekł książę Ryszard prędko i z zapałem, od niego nic się nie dowiedziałem. Jednak chodź pan do mego gabinetu. Przeczytam tam panu kilka listów najświeższej daty, które napisał do mnie osławiony agitator Del Lucca. Ten człowiek wydaje się być wszystkowiedzem. Opisał mi w całości całą pańską biografię, a nadto każe się

wyraźnie domyślać, że jeszcze dobrze mu są znane różne inne szczegóły, dotyczące pańskiej familii.

— Del Lucca? rzekł zdziwiony oficer postępując obok księcia, Del Lucca? tego człowieka nie znam wcale osobiście, ale za to dobrze mi jest znany jego sobotwór Del Rio, który przy uwolnieniu księcia Cosenoy bardzo ważną i użyteczną odegrał rolę.

— Hm, hm! mruzczał książę, dziwiłoby mnie bardzo gdyby Del Lucca i Del Rio nie byli jedną i tą samą osobą. Jednak pan to przecież sam przeczytasz.

Wkrótce potem, kiedy książę siedział wygodnie ze swoim gościem w gabinecie, weszła ciotka Ulryka, donosząc że Gundi już powoli przyszła do siebie z doznanego przestrawu, i podług opinii doktora lekkie obrażenie piersi pazurem niedźwiedzia jest bez żadnego znaczenia.

Dobra staruszka w wymownych, z serca płynących wyrazach, podziękowała teraz ze swej strony odważnemu człowiekowi, który wyratował jój brata i siostrzenicę. Dalej prosiła owa dama, żeby najdalej za jakie dwie godziny, pan oficer był łaskaw odwiedzić Adelgundę, która pałała żądzą, sama także podziękować swemu wybawcy i pragnęła z nim porozmawiać o Flodoardzie. Wychodząc, ciotka Ulryka zabrała z sobą list, który Braun przywiózł ze Sieny, a który odczytał już stary książę.

Zostawimy teraz księcia Ryszarda i oficera na poufałej rozmowie, do której nieco później przyłączył

się także zacny pan Strickwitz, a sami zobaczymy co się też dzieje z uczonym profesorem Heinrichsenem.

Od wczoraj już ten pan nie opuszczał swego pokoju pod pozorem niezupełnego zdrowia, wszakże grzecznie się wymówił od wizyty nadwornego doktora!

Z gorączkową niecierpliwością wyglądał on dnia dzisiejszego, od wczesnego już rana siedząc na czatach w swoim oknie, które wychodziło na park i z kąd doskonale można było widzieć klatkę niedźwiedzia.

Kiedy ujrzał księcia i jego córkę, idących na spacer około dziesiątej godziny z rana w kierunku klatki niedźwiedziej, niepokój jego wzrósł do najwyższej potęgi i kilkakrotnie zmieniała się barwa jego twarzy. Wziął teraz w drżące nieco ręce lornetę i wyteżał wzrok w kierunku, gdzie stała klatka.

— Teraz, teraz! zawołał gorączkowo wzburzony, teraz wychodzą oboje przez szeroką aleję, teraz, teraz musi to nastąpić, jeśli Ignacy dotrzyma słowa.

— Dotrzymał słowa! wyjąkał obserwator w kilka minut później, kiedy się pokazała w dali olbrzymia postać niedźwiedzia.

— Do diabła! zazgrzytał straszny człowiek i uderzał wściekle pięścią po desce u okna. Zauważył on oficera, który z wyciągniętą szablą biegł na ratunek zagrożonym. Widział następnie, jak książę córkę swoją odciągnął na bok i szczęśliwie uprowadził w bezpieczne miejsce. Jednak nie ta bynajmniej okoliczność zwróciła na siebie całą jego uwagę; przyglądał się przez szkła

oficerowi, w którym na swoje przerażenie odkrył starego znajomego.

— Na świętego Ignacego! wyjąkał mniemany professor Henrichsen, blednąc aż po białka, on, tak, to on! niema żadnej wątpliwości, uważany za zmarłego znowu zmartwychwstał! Ach! gdyby go ta dzika bestya uduśiła! Z zatrzymanym oddechem, śledził przebieg szalonej walki, jaka się przed jego oczami odgrywała.

— Ten człowiek jest niezwalczony! zawołał nakoniec ze smutną miną i upuścił zgryziony lornetę na podłogę, kiedy dostrzegł wyraźnie ostateczne zwycięstwo dzielnego człowieka, nad rozszalałym kosmatym potworem.

— Czemu ja tu jednak stoję tak niezdecydowany? szczęście moje, żem go „w porę“ zauważył. Poznałby mnie na pierwszy rzut oka, jako ojciec Honoryusz za często z nim miewałem stosunki, żeby mnie miał zapomnieć. Muszę więc uciekać, i to uciekać jak można najprędzej. Pakować więc wszystko co najniezbędniejsze.

W pół godziny później, mniemany professor Henrichsen, w którym czytelnik łatwo już dawno poznać musiał jezuitę Johna Ferguzona, opuścił zamek przez nikogo niepostrzeżony, dzięki niezwyklemu tam panującemu zamieszaniu. Na biurku swoim zostawił jednak kilka wierszy do księcia Ryszarda, gdzie pisał, iż zmuszony był tak niespodzianie wyjechać z powodu śmierci szwagra w Hamburgu, wszakże ma zamiar wkrótce po-

wrócić, przyczem zastrzegł sobie, iż za doznaną przyjacielską gościnność sam osobiście podziękuje.

Książe, otrzymawszy tę wiadomość następnego rana, nie miał żadnego podejrzenia, owszem tak samo jak i pan Strickwitzbardzo się cieszyli, że kochany professor znowu do Falkstejnu powróci, choćby tylko dlatego, by zabrać swoje wielkie pakunki.

Szukano teraz stróża przy zwierzyńcu, Ignacego, ale i on „w porę“ ratował się ucieczką, choć zresztą nie by go wielkiego nie spotkało, gdyż nikt, a najnniej dobry książe, który ludzi za daleko lepszych uważał jak bywa niestety, dopuszczał, by wydostanie się z klatki niedźwiedzia, mogło pochodzić z innej winy, jak z prostego niedbalstwa. Gdyby jednak kazano zrobić sekcję na zabitem zwierzęciu, zamiast go natychmiast ze skórą zakopywać, to z pewnością okoliczność, iż żołądek niedźwiedzia wyraźnie był przez jakiś czas nie odżywiany pokarmem, dałaby była powód ścisłego śledztwa. W owej nadzwyczajnej dobroci zgodził się nawet książe, zaraz na drugi dzień, na wstawienie się Adelgundy, nie tylko na wyszukanie, przez umyślnie wyznaczoną do tego policyę, zbiegłego Ignacego, ale nadto kazał w całym obwodzie Falkstejnskim ogłosić, iż obwiniony będzie zupełnie uwolniony od kary i napowrót do dawniej służby przyjęty. Z tego pozwolenia istotnie nawet, najwyżej w dwa tygodnie, chłopiec zrobił użytek, naturalnie uwiadomiwszy o tem poprzednio swoich tajemnych zwierzchników w Padenbornie, gdzie także schronił się Ferguzon, na czas odwiedzin poru-

cznika Brauna w Falkstejnii ale nie po to, by tam prowadzić życie skupione i żałować za swe czyny niegodne, ale, by w interesie swoich współbraci nowe nikczemne przeprowadzać plany, przyczem zarazem myślał bardzo zachwianą teraz dlań łaskę swego zwierzchnika, „w porę“ na przyszłość sobie zapewnić i utrwalić.

XII.

Ostrzeżenie.

Upłynęło kilka miesięcy od dość tajemniczych scen, zaszłych w ruinach Palmiry, a których wyjaśnienie odkładamy do jednego z późniejszych rozdziałów.

Nierozdzielna czwórka, hrabia Gustaw Roosval, jego córka Fryderyka, pani Goldstern i „piękny Izidor“ zwiedzili tymczasem święte miejsca w Palestynie, gdzie jednak bardzo krótki czas się zatrzymali. Nasz badacz starożytności nie mógł rachować na żadne istotne wzbogacenie swych rozległych wiadomości o starożytnych żydach, w tych we wszystkich już kierunkach zbadanych i opisanych okolicach, jakkolwiek zwiedzając osobiście Jerozolimę i jej okolicę, wiele rzeczy przez obejrzenie miejscowości wydały mu się daleko jaśniejszemi i uwydatniały mu się w bardziej plastycznej formie.

Panią Goldstern i jej syna zadawałniał najzu-

pełniej sam fakt, iż mogli powiedzieć że byli w Jerozolimie, zkąd oboje dla nadania więcęj pewności faktowi wysłali listy do Wiednia do wszystkich swych znajomych, naturalnie także do księcia i księżnej L...stejn, która przy jej chrzcie była matką chrzestną.

Co zaś do dobrej, pełnej uczuciowości Fryderyki, ta żałowała prawie, iż oglądała święte miejsca, gdyż od téj chwili rozwiało się w obec rzeczywistości wiele jej najpiękniejszych złudzeń. Jej bystremu, wolnemu od uprzedzeń i wysoko wykształconemu duchowi przy trzeźwości jej protestanckich poglądów przedstawiła się rzeczywistość Jerozolimy zupełnie inną aniżeli ta, jaką sobie wyobrażała tak w swej fantazyi jak i w obec Pisma Świętego. W naszym dawniejszem dziele: „Ein Kind des Volker“¹⁾, pisaliśmy już szczegółowo o Jerozolimie. Ponieważ jednak niema dla autora więcęj chluby jak ta, iż czytelnicy z ciekawością dzieło jego czytają, nastęrcza się tu potrzeba powtórzenia niektórych szczegółów, nasi przyjaciele wspomniane dzieło albo już czytali, albo go z pewnością czytać będą dopiero.

Z Jerozolimy puszczono się drogą do Egiptu i aby uniknąć uciążliwej drogi przez pustynie, wybrano dogodniejszą drogę na Jaffę, a ztamtąd statkiem parowym do Aleksandryi.

Nadzwyczaj ruchliwe życie w tem od kilku wie-

¹⁾ Wydane nakładem Hartlebena: Wiedeń, Peszt, Lipsk, 1868, 3 tomy.

ków na nowo zakwitłem mieście handlowem, bynajmniej nie podobało się hrabiemu, tem więcej gdy niespodziewał się tu znaleźć żadnych zdobyczy ze świata starożytnego. Aleksandrya, od czasu jak energiczny i przeznorny wicekról Mehemed' Ali podniósł ją z jej upadku, zyskała pozór całkowicie europejski, a szczególnie nie różni się w niczem od włoskich bulwarów. Swoją wzrost obecny zawdzięcza Aleksandrya szczególnie zbudowanemu przez Mehameda Ali w latach 1819 i 1820-ym kanałowi Mahmudie, który jest 12 mil długi, 18 stóp głęboki i 90 szeroki. Kanał ten jest olbrzymiem arcydziełem sztuki wodnej budowy, jaka w Egipcie znikła od czasu Faraonów. Jedyne nieograniczony despotyzm Mehameda Alego sprawił, iż w tak krótkim czasie kanał został skończony, 200,000 ludzi spędzonych zostało do roboty około niego; z których 20,000 umarło z głodu i chorób. Handlowe znaczenie tego kanału jest bardzo doniosłe, gdyż łączy on Aleksandryę z odnogą portową Nilu, Rozettą; jak również przyczynia się wylącznie do nawadniania pól.

Po obejrzeniu tak zwanej kolumny Pompejusza, która, prócz kolumny Aleksandra w Petersburgu, słusznie jest zaliczona do największych monolitów w świecie, gdyż na 30 stóp obwodu ma 74 wysokości, jak również po zwiedzeniu igieł Kleopatry, jak się zowią dwa olbrzymie obeliski w arabskiej części miasta, wyjechali nasi podróżni do Kairu, do którego przybyli w kilka godzin, zawdzięczając to kolei żelaznej.

Podróż ta jest nadzwyczaj interesująca, mianowi-

cie skoro się już minie starą część żydowską, i dostrze-
ga się wspaniałe miasto Kair, z jego 300 meczetami
i niezliczonemi minaretami. Na lewo spotykamy żółto-
brunatne góry pustyni, długą i nagą ścianę skalistą,
a w pośród niej z wieńców palm, sadów i żywopłotów,
z akacyi Nilowych i sykomor, jaśniejących w promie-
niach słońca, niezmiernie rozległe miasto Kalifów; na
prawo widnieją olbrzymie piramidy i obok nich Masrel
Kahira, swojemi budowlami, najpyszniejszy utwór śre-
dniowiecznej potęgi Saracenów.

Podróżni wysiedli w leżącym nad Nilem w naj-
piękniejszej części miasta Kairu „niemieckim hotelu“,
którego wykwintne i wygodne urządzenie przypomina-
ło im rodzinne progi. Nawet wyborne, prosto z lodu
piwo wiedeńskie można tu było mieć w każdej chwili
świeże, naturalnie po cenie, przy której gdyby prawdzi-
wy Monachijski amator piwa chciał ugasić według
zwyczaju pragnienie, w przeciągu roku musiałby po-
stradać piękny domek wiejski nad Izarą, gdyż za nie-
duży kufel płaci się tutaj franka srebrnego.

Następnego dnia weszli nasi czterej podróżni na
szczyt miejskiego zamku obronnego, z kąd napawać się
mogli czarująco pięknym widokiem na całe miasto i je-
go okolice, które szczególnie magicznie odbijają przy
wschodzie słońca. W nizinie bezpośrednio przed nami
wielki plac Rumeliah, na nim dwa cudownie piękne
meczety z czasów najczystszej stylu, i niezliczony
tumul pólnocno typowych postaci. Dalej roztacza się
widok na niezliczoną ilość domów miasta, które kąpiąc

się w jasno-żółtem i różowym świetle, poprzecinane są ogrodami najprzeróżniejszych kształtów i odcieni. Z tamtej strony miasta ʿogrody zielone, tu i owdzie jakiś pałac białawy, a na samym skraju libijskiej pustyni piramidy Gizeh. Następnie znowu, w pierwszym planie na prawo wielkie miasto umarłych Kairu z pomnikami mameluków, w części przysypane piaskiem wschodnich pustyni. Na lewo czerwono-żółty grzebień Mokattamu, na którym kręci się niezliczone mnóstwo wiatraków. Na równej wysokości z naszym poziomem spotykamy na koniec wspaniałą meczet Mehmeda Alego, z mocno wypukłymi kopułami i czterema minaretami cudownej piękności.

Warto jest budynki te bliżej obejrzyć. Wstępujemy najprzód na całkowicie kamiennymi płytami wyłożony dziedziniec, otoczony pięknymi galeryjami; w środku jego wznosi się, ze smakiem urządzona studnia, przy której udający się na modlitwę muzułmanie obmywają się, podług przepisów ich wiary, następnie wchodzimy przez wspaniałą portyk do samej świątyni, zbudowanej z pięknego rodzaju marmuru wapienia, a wyłożonej od wewnątrz żółtawym alabastrem z Del el Amarua. Ambona kształtem podobna do naszych. Mała nisza w murze od południowo-wschodniej strony wskazuje kierunek do Mekki. W środku wisi, otoczony małymi kagankami, wielki żyrandol. Na delikatnymi kobiercami i matami pokrytą posadzkę zafarbowane zwierciadlane okna rzucały fantastyczne, kolorowe światła. Na prawo od wejścia szkarłatowa opo-

na przykrywa sarkofag, który stoi na zielonym, złotem haftowanym dywanie. Jest to trumna Mehmeda Ali. Meczet wielkiego reformatora Egiptu jest zarazem jego grobowcem.

Życie w Kairze nosi na sobie przeważnie charakter wschodni. Europejczyk, który pierwszy raz ogląda Kair, zdaje się widzieć niezmierną maskaradę Turków, Koptów, Beduinów, Murzynów i Abisyńczyków, Greków, obrosłych derwiszów i godnych szacunku Mollachów. A wszędzie w pośród tego bezustannego gwaru i tumultu, po nadzwyczaj wązkich ulicach, przeciskają się osły i długoszcyjne wielbłądy. Na rogach ulic brząkają wekslarze piasrami; nosiwody ze skórami kozłowymi na grzbiecie kręcą się niezmęczenie we wszystkich kierunkach. Żebracy i przekupnie chlebem, jarzynami, owocem i tytoniem, nawołują na wyścigi przechodniów ochryplym gardłowym lub nosowym głosem. Na prawo i lewo w domach znajdują się na dole małe celki, w których pracują rzemieślnicy lub téż kupcy, ciągnąc z długich cybuchów, targują się z kupującymi lub czekają na takowych.

Wstrzymamy się z opisem bazarów, gdyż te podobne są do tych jakie się znajdują w Konstantynopolu i Damaszku, a których daliśmy szczegółowe opisy w powyż wspomnionym dziele.

Przepędziwszy kilka dni przyjemnie w Kairze, hrabia Roosval uczuł tam większe pragnienie własnymi oczami przyjrzyć się nakoniec pozostałym po Faraonach architektonicznym skarbow. — Wedle pierwiast-

kowego planu, całe towarzystwo miało brać w tém udział, gdy nagle Fryderyka zasłabła, a przywołany doktor stanowczo sprzeciwił się, by narażać osłabione zdrowie panny na niewygody kilkotygodniowej podróży przez pustynie i skalne góry wyższego Egiptu, gdy właśnie spokojny pobyt w Kairze, gdzie już tak wielu cierpiących na piersi, jeżeli nie zupełne zdrowie, to zawsze pewną ulgę znaleźli, pomyślnie i skutecznie wpłynie na szybki jój powrót do zdrowia.

Hrabia powtórnie dziękował szczęśliwemu wypadkowi, który go spotkał z panią Goldstern, gdyż w jój rękach pozostawiał on swoją córkę z pełnem zaufaniem. „Piękny Izydor” zmyślił także mocne cierpienie, by mógł także pozostać w Kairze przy mamie i Fryderyce. Hrabia zaprosił go bowiem, by mu towarzyszył w jego podróży naukowej i odmówienie ze strony młodego Goldsterna nie łatwo byłoby możliwém, gdyżby nie pozwalały na to przepisy najzwyczajszej grzeczności. Dobry Roosval sądził, że młodemu człowiekowi podobną propozycją Bóg wie jak wielką zrobi przyjemność, ponieważ sam nieznał większej rozkoszy, nad uwijanie się między ruinami. Chęć Izydora pozostania w Kairze w tém mianowicie miała swój powód, iż znaczny majątek, jaki sobie w Wiedniu przywłaszczył, posiadał jeszcze dotąd zupełnie nietknięty, gdy tymczasem paliła go żądza by całemi rękami rozrzacać złoto, a w Kairze tak doskonała się do tego nastęrczała sposobność w domach utrzymywanych przez Francuzów i Włochów.

„Piękny Izydor“ cierpliwie więc trzymał się łóż-

ka do terminu, jaki hrabia nieodwołalnie naznaczył na swoją wyprawę naukową, przyczém udawał nawet przed poczciwym starym hrabią wielce niepokieszonego, iż go choroba w Kairze zatrzymuje. Młody obłudnik tak mistrzowsko odegrał swoją rolę, iż hrabia istotnie z całego serca żałował, że biedny pacjent nie będzie mógł korzystać z tak miłej rozrywki umysłowej.

Na drugi dzień po wyjeździe Roosval'a uczuł się młody Goldstern odrazu zdrowym, jak ryba, i teraz zaczęła się dla niego prawdziwa uczta bogów. Tak pani Goldstern jak Fryderyka wychodziły bardzo mało. Gdzież-bo nawet mogła znaleźć się w piękniejszym miejscu, jak nie we wspaniałym do ich rozporządzenia otwartym parku nad brzegami Nilu, po którego falach dniem i nocą uwijały się tam i napowrót niezliczone statki i łodzie, przedstawiając ciągle inakszy a zawsze przyjemny obraz?

„Piękny Izydor“ miał więc, wyjąwszy kilku godzin, które ze względu przyzwoitości każdego dnia w towarzystwie obu dam spędzić musiał, wolne ręce i wiele wolnego czasu.

Pani Goldstern była zresztą ze swego kochanego Izydora nadzwyczajnie zadowolona. Młody człowiek, zdawało się, zupełnie się poprawił, gdyż nie żądał od niej nigdy żadnego dodatku do drobnych wydatków dziesięciu guldenów dziennie, i owszem myślała nawet, iż stał się teraz bardzo oszczędnym, gdyż woreczek jego zawsze był pełen złota. — Naturalnie nic nie wiedziała, że jój synek prawie codziennie dwieście do trzy-

stu guldenów papierami na gotówkę zamieniał. Kilka razy przychodziła lekkomyślnemu marnotrawcy bardzo wielka ochota, swoją mamę i Fryderykę po prostu w Kairze zostawić i pojechać do Paryża, by w owym nowożytnym Babilonie używać swój mamony bez przymusu i bez zmiany, która mu się już w starém mieście Kalifów od sześciu przeszło tygodni ciągle powtarzana, uprzykrzać zaczęła. Z tém wszystkiem przewyższyła ostatecznie ambicyja nad żądzą użycia. Nadzieja pozyskania kiedyś tytułu hrabiego, drażniła do wysokiego stopnia jego próżność. — Na tajemne napomnienie jego mamy okazywał się on nawet grzeczniejszym dla Fryderyki, która nie przeczuwając tego, istotnie na seryjo uczuła skłonność do młodego, przystojnego i eleganckiego w obejściu i ruchach mężczyzny, której widocznie skutków obawiać się mogła, lub napotkać jakie przeszkody ze strony swego ojca, gdyż tenże dawno już przyzwolił na starania się młodego Goldsterna, i sam nawet wpadł w sieci, zastawione nań przez wdowę i już nosił się sam z zamiarem oświadczenia się o jój rękę, jak tylko młodzi ludzie ostatecznie się zdeklarują.

Taki zamiar łatwo poznać można było ze wszystkich jego listów, jakie w czsie podróży do „swoich” do Kairu wysyłał, a jeden z ostatnich, pisany do pani Goldstern, prawie wyraźnie mieścił w sobie oświadczenie, iż zaraz po jego powrocie wszystko się doprowadzi do końca.

Kiedy hrabia powrócił ze swojej naukowej wycieczki, która się rozciągnęła aż do Abiasynii i trwała ca-

łe trzy miesiące, zgodził się chętnie, zaraz na drugi dzień po przybyciu do Kairu, udzielić niektóre poglądy swoje o Egipcie, téj godnej uwagi krainie cudów.

Cztery osoby, które się już oddawna przyzwyczały uważać się za jedną rodzinę, udały się do wspaniałego kiosku w ogrodzie nad Nilem, i kiedy zwyczajem krajowym zasiadły w koło na rozłożonym dywanie, hrabia, zaciągając się kosztownym tytoniem z długiego cybucha, rozpoczął tak opowiadać:

— „Istotnie, moi kochani, Egipt jest w saméj rzeczy krainą cudów; jego klimat, jego urodzajność, jego niezliczone mnóstwo starożytnych pomników i różnego rodzaju osobliwych zjawisk natury, wzbudzają podziw i zdziwienie. Widziałem grobowce, liczące dziesięć tysięcy a może nawet i więcej lat, a które wyglądały tak świeżo, i zachowały barwy tak żywe, jak gdyby je tylko co wykończono. Ogromne masy, jakie starożytni Egipcycjanie nagromadzali jedno na drugie i niezliczone sklepienia grobowców wykute w górach dowodzą zarówno wiele sztuki jak i zamięłowania w wielkości i nadnaturalności.

„Bez wątpienia Egipt zaludniony został przez Etiopocyków, ztąd téż i pomniki tém są starsze, im bliżej leżą dzisiejszój Nubiji. W ten sposób przechowały się równieź wzdłuż Nilu całe pokolenia grobowców. Wszystkie te pomniki, z których istnieje jeszcze pięć niezmiernéj wielkości pałaców i trzydzieści cztery świątyn, zbudowane zostały wyłącznie dla bóstw i królów.

„U starożytnych Egipcycjan świątynia nie była ni-

czém inném, jak wielką księgą, która ich bojaźni bożej uczyć miała. Ztąd także wszystkie na służbę bożą przeznaczone miejsca pokryte są tak zewnątrz jak wewnątrz religijnemi obrazami i zdaniem z Koranu. Jasnne, żywe kolory, które upiększały te obrazy i budowle, miały dopomagać do rozbudzenia siły imaginacyi, tak jak uroczyste półświatło w świątyniach pobudzać miało do skruchy i nabożeństwa. W przedmiotach sal napotyka się napisy, ściągające się do znajomości nauki o gwiazdźiarstwie i świątynie w Denrada i Esrech należą do najnowszych budowli starożytnego Egiptu i dają nam najzupełniejszy jasny pogląd na stan nauki astronomiji jeszcze przed 4,800 lat.

„Egipcyanie budowali swoje pomniki na wieczne czasy. Dwadzieścia świątyń jest dziś jeszcze tak dobrze zachowanych, jakby te wzniesione były dopiero przed paroma dziesiątkami lat.

Wszystkie malowidła, znajdujące się w świątyniach, odnoszą się do czci bogów kraju i do roli pośredniczenia, jaką sobie przytém duchowienstwo uzurpowało. — Spotykamy na tych malowidłach bóstwa, o jakich historyja nic nam zupełnie nie wspomina. W zasadzie każde malowidło składa się z trzech osób, mianowicie bóstwa, któremu się ofiarę poświęca, kapłana, który takową składa, i bóstwa niższego rzędu, które stoi z tyłu pierwszego.

Malowidła w pałacach królewskich zupełnie się różnią od malowideł w świątyniach. Wszystkie prawie wystawiają wielkie czyny, wojenne zapasy, przeprawy

przez rzeki, oblężenia fortec, utarczki wodne i lądowe, pochody wojsk i t. d. Forma broni i ich liczba wyraźnie wskazują, że starożytni Egipcyanie posiadali bardzo rozmaite i liczne środki tak obronne jak do napaści.

„Umarli otoczeni byli u starożytnych Egipcyan, na równi z bogami i królami, pamięcią i czią należną. Najdłuższe życie króla nie wystarczało na wystawienie mu grobu. Grobowce królów Tebańskich zdumiewająco cierpliwość i wytrwałość zrobić mogą. Przy wydrążaniu grot niemożna było jednak wówczas wielkiej liczby ludzi zatrudniać, owszem ilość ich była nadzwyczaj mała, gdyż w owych czasach nie znano jeszcze żadnych środków wysadzania jak np. dziś prochem, ale musiano twarde granit kawałkami odłupywać za pomocą dłuta, niszegrobowców zdobne są całkowicie hieroglifami i malowidłami, których barwy do dzisiaj jeszcze zachowały całą świeżość i żywość, a figury których nie kolorowano, są, niby najpiękniejsza robota gipsowa, gładko polerowane.

„Starożytni Egipcyanie wierzyli, iż po pewnym szeregu wieków znowu powrócą do życia, jeśli ciała ich żadnej zmianie w grobach nieulegną. Na tej to myśli spoczywa balsamowanie ciał i z tego to powodu starano się, by mumje zabezpieczać przeciw wylewom rzek i innym szkodliwym od zewnątrz wpływom. Ta wiara w zmartwychpowstanie była także przyczyną, dla czego budowano piramidy dla przechowania trupów królewskich. Piramidy miały po prostu zastąpić

miejsce brakujących gór w środkowym i niższym Egipcie, na co już samo to naprowadza, iż w górzystym wyższym Egipcie prawie wcale ich nie ma, a zato znajdują się grobowce wydrążone we wnętrzu góry. W każdym z owych grobowców można znaleźć dzieje Egipcyan, którzy w nich są pochowani; są one przedstawione na murach i ścianach.

„Zamiłowanie we wszystkim, co olbrzymie, niezmierne, a co tak właściwe jest i to w wysokim stopniu północnym krajom, przerodziło się w manię u starożytnych Egipcyan i spowodowało owe olbrzymie grobowce w wyższym Egipcie i przy Memfis, owe kolosalne figury, olbrzymie świątynie i piramidy. Wszystkie te dzieła mogły wziąć tylko swój początek z religijnego ducha starożytnych Egipcyan, i przy wpływie wszechpotężnego duchowienstwa.

„Potrzebowałbym całego dnia, ciągnął dalej Roosval, po przyjęciu od służącego sorbetów i świeżo nałożonej fajki, by wam, kochani moi słuchacze, przedstawić choć w połowie wyczerpująco ruiny Memfisu Teb, Luxoru i Karnaku. W moich opisach możecie zresztą dowolnie przewracać, jak skoro tylko zrobię jaki taki porządek w moim uczonym chaosie. Nie mogę się wszakże powstrzymać, bym wam nie dał jeszcze małego szkicu ruin Karnaku, byście byli w możności wyrobić sobie choć małe pojęcie o cudownych środkach, jakimi się byli w stanie posługiwać starożytni Egipcyanie, mistrzowie w budowie miast.

„Ruiny Karnaku leżą na północ od Luxoru, i od-

dalone od brzegów Nilu o nie całe może tysiąc kroków. Znajdują się one, podobnie jak ruiny Luxoru, na sztucznem wzniesieniu i opasane murem z cegły palonej. Obwód tego muru wynosi prawie jedną milę niemiecką i potrzebowiałem z górą półtorej godziny, zanim zdołałem go pieszo obejść. W pośród wielu ruin wewnątrz tego obwodowego muru, zwraca szczególną naszą uwagę wielki pałac Karnaku, którego fasada zwrócona jest ku stronie rzeki. Między rzeką i pałacem ciągnęła się niegdyś cała aleja sfinksów, z których dziś zaledwie dwa pozostały; mają one baranie głowy i lwie korpusy. Jedna z wewnętrznych sal pałacu jest tak olbrzymia, że jeden z naszych wielkich kościołów wygodnie by się mógł pomieścić, gdyż jej płaszczyzna wynosi 47,000 stóp kwadratowych. Pokrycie które się składa z niezmiernych bloków kamiennych, spoczywa na 134 kolumnach. Kolumny te mają nie mniej jak 65 stóp wysokości i obwodu przeszło 30 stóp. Jakich scen bezprowrotnie dla świata straconych mogły te słupy być świadkami? Po sali olbrzymiej następuje znów dziedziniec z kolumnami, a potem dopiero mnóstwo innych kolumnad i pokoi, które prawdopodobnie królowi za rezydencję służyły, podczas gdy w wielkiej sali dawał posłuchania obcym narodom i przyjmował daniny, jakie te składały uznając jego władzę.

„Chciałbym wam jeszcze dziś w krótkości opowiedzieć moją podróż po pustej płaszczyźnie między Abuzis i Sokkara. Jestto po prostu rozległe pole grobowców, przed tysiącami lat skopane, by tutaj zakopać

miliony trupów. Niestety najstarsze z tych grobów już w głębokiej starożytności, prawie na lat 2,000 przed narodzeniem Chrystusa, splondrowane i zburzone. Udało mi się jednak odkryć niektóre w dobrym stanie groby z czasów piramid. Dziwnego się doznaje wrażenia, schodząc do takich głębokich otworów i tam otwierając przynajmniej od 4,000 lat nietykane trumny. Pewna obawa mnie ogarnęła, kiedym dotknął się tych oznak pobożnej miłości i ludzkości, ale chęć wiedzy w dzisiejszych czasach ma swoje prawa, lub raczej swoją władzę, i przed nią nawet umarli ustąpić muszą.

„Wszystkich nieboszczyków znajdowałem w ich trumnach mocno owiniętych w prześcieradło z najpiękniejszego i bardzo mocnego z ozdobnemi frendzlami płótna, z twarzą przykrytą maską z papiermaché. Ciało jednak były po większej części rozsypane. Głowa leżała zawsze na pięknie wyrobionej, drewnianej poduszce; obok trupa leżał po największej części kij, podpora w jego pielgrzymce. Raz jeden tylko znalazłem obok łuk. Na wielu sarkofagach stały statki z rudlami, lub model domku albo obory, wszystko z drzewa rzezane.

„Arabowie, którzy na tem niezmiernem polu robiją swoje namioty, nie mogli pojąć, co my właściwie chcemy cheiwi kramarze starożytności, kiedy zdawaliśmy się więcej być uradowanymi funtem opisanych kamieni, niż ozdobnemi przedmiotami, jakie w sobie kryją grobowce. Dla nas naturalnie daleko mniej ma wartości piękna i drogocennemi naramiennikami zdobna mumia bez historycznej daty, jak niepokazny kamień

z królewskim pierścieniem i ja sam czułem się niezmiernie uradowanym, skorom odkrył w ten sposób niektóre dotąd nieznanne nazwiska, z najstarożytniejszych czasów. Tak to powoli, powoli rozjaśnia się historia najodleglejszej od nas epoki, z czasów, z którymi nasza kultura znajduje się w jak najściślejszym związku.“

— Ostatnie twoje słowa, kochany ojcze, są dla mnie jednak nieco niezrozumiałe, zauważyła Fryderyka kiwając głową, dlatego muszę cię trudzić jeszcze, byś nieco bliżej wyjaśnił nam stosunek, w jakim znajdują się nasze dzisiejsze poglądy do dawno zmarłego świata starożytnych Egipcyan.

— Chętnie, moje dziecię, odrzekł hrabia, i sędzę że sposób mego wyjaśnienia powinien cię zadowolnić. Naturalnie muszę nieco za daleko się posunąć, mianowicie dać pojęcie o Sabeizmie, lub oddawanej części gwiazdom, który najpierw przez starożytnych egipskich kapłanów w dokładny systemat został ułożony i stanowił podstawę główną ich religii. „Kiedy mianowicie człowiek wyszedł ze swego stanu pierwiastkowego, musiał się przekonać, że poddany jest on wyższemu, niezależnemu od niego potęgom. Słońce go oświecało i ogrzewało; ogień zapalał go, a grzmot przerażał. Ulegał on działaniu tych sił, starał się jednak dociec przyczyny, do czego go zarówno skłaniała wrodzona ciekawość jak i żądza samoutrzymania i uczucia przyjemnego i nieprzyjemnego wrażenia.

„Przeświadczenie, że żywioły po nad nim stoją, doprowadziło go do wniosku, iż tymże ulegać musi i to

pojęcie *zewnątrz* niego leżącej siły było pierwszym wyobrażeniem o bóstwie. O ile następnie to, co już raz jako nadnaturalną istotę uznał, przyjemność lub przykrość mu sprawiało, uczuwał do tego miłość lub wstręt, w skutek tego pragnął lub obawiał się jej obecności, a tak *obawa* i *nadzieja* były podstawami pierwszego pojęcia o religii, i *toż samo zostało aż do dzisiejszych czasów*.

„Człowiek, który jak tylko myśleć zacznie, o *wszystkiem sądzi przez porównanie*, i dostrzega w sobie wolną wolę, rozum i zdolność poruszania, wyciągnął z tego wnioski o nadnaturalnych istotach z indywidualnymi przymiotami, mianowicie o żywiołach. Ponieważ wiedział, że od niego zależy, przez pewne działania wpływać na sposób myślenia i postępowania swoich bliźnich, zatem rzekł sobie: „Kiedy mój bliźni, silniejszy ode mnie, chce mi wyrządzić jaką krzywdę, to się upokorzę przed nim, a moja uległość złagodzi go. Podobnież okazywać będę posłuszeństwo i uległość potężnym istotom wyższym, któreby mi złe lub dobre wyrządzić mogły. Będę przyzywać na pomoc bogów wiatru, słońca, wody, i one mnie wysłuchają; będę ich zaklinać by złe, które wyrządzić mi chciały, oddalały odemnie, przeciwnie zaś by świadczyły mi dobre, które od nich zależy. W ten sposób pierwiastkowy człowiek uczył się modlić. W dzieciństwie swego rozumu rozmawiał on ze słońcem i księżycem, z burzą, z trzęsieniem ziemi, z rzeką, ze zwierzętami, słowem, wytwarzał sobie cały świat imaginyjny, i do niego się ciągle odnosił.

„Pierwsze więc pojęcia o Bogu i religii powstały podobnie jak wszystkie inne fizyczne przedmioty, a bóstwa pierwotnych ludzi z biegiem czasu, zmieniały się i mnożyły, stosownie do form, pod jakimi one działać się zdawały. W ten sposób powstał cały świat bogów, które podzielone zostały na dwie główne odrębne kategorie, mianowicie na bogi dobroczynne i szkodliwe, przez co wszystkie systemy religijne *aż do najnowszych czasów* noszą na sobie wybitne piętno *dualizmu*.

„Kiedy nakoniec zaczęli się ludzie łączyć w społeczeństwa, i systematycznie oddawać się hodowli bydła i rolnictwu, jako głównym środkiem wyżywienia, poznanie ciał niebieskich stało im się potrzebą, to jest musieli się uczyć trwania działań i wpływów rozmaitych pór roku. Najprzód zwróciło ich uwagę naturalnie słońce, które w swoim obiegu przez całe koło zodiakalne zdawało się być pierwszą i najwyższą siłą całego stworzenia. Podług biegu księżyca, i jego zmian, podzielono czas. Gwiazdy i planety, przez swoje ukazywanie się i znikanie na nocnym horyzoncie, tworzyły mniejsze poddziały czasu, słowem powoli powstał całkowity system nauki astronomii, ułożono kalendarz, a z tego powstała wkrótce jakby z siebie samej nowa sztuka, z uwagi na panujące i rządzące siły, gdyż zauważono że *plody ziemi stoją w prawidłowych stosunkach do ciał niebieskich*. Ponieważ, rzeczywiście wzrost i znikanie do wyżywienia ludzi głównie służących roślin, jak zboże, wino, w związku stały ze wschodem lub zachodem gwiazdy lub grupy gwiazd, wywnioskowano

ztałd o działaniu tych wyższych niebieskich ciał na ziemskie, i gwiazdy, w miarę jak do ich ukazania się na horyzoncie łączył się urodzaj lub niedostatek, były zlemi lub dobrimi bogami.

„Ponieważ jednak, w owym już dość postępowym rozwoju rodzaju ludzkiego, stan towarzyski także się znacznie podniósł i wyrobiły się towarzyskie poddziały, a ludzie byli przez wojowniczych dowódców mniej lub więcej despotycznie rządzeni, odniesli więc także swój polityczny system do raz już uznanego wyższego, na gwiazdach spoczywającego porządku świata, dodając przez to systemowi czysto astronomicznemu, i teologiczne znaczenie. Słońce naturalnie odgrywało tutaj rolę króla między gwiazdami, księżyc był towarzyszem słońca, planety sługami i posłańcami obu, a inne gwiazdy, których niezmierzone odległości prawie wcale nie były znane, uważano za lud, jako wojsko.

„Ponieważ massy ludu zbyt były ciemne, do zrozumienia tajemnic ruchu gwiazd, to wytworzyła się niedługo z pomiędzy tych, którzy oddawali się astronomii jako rzemiosłu, kasta kapłanów, która ułożyła cały systemat w jakim należało cześć oddawać gwiazdom, ustanowiła publiczną służbę bożą i wybudowała świątynię; dary ofiarne stanowiły teraz główne źródło utrzymania zarówno licznego jak potrzebującego stanu duchownego, teraz także wynaleziono nazwę religii.

„Pierwsze ślady téj pierwotnej religii sięgają

bardzo prawdopodobnie odległej epoki. Na tenże czas przypada także podział gwiazd na pewne konstelacje, a człowiek, który upatrywał bardzo ścisły związek między ziemią i zjawiskami niebieskimi, dawał naturalnie gwiazdom i konstelacyom nazwiska ziemskich przedmiotów, które do nich stały w jakimś stosunku. Z téj przyczyny starożytni Egipcyanie nazywali tę gwiazdę, pod którą zaczynało się wystąpienie z brzegów Nilu—*wodnikiem*; gwiazdę, pod którą należało brać się do pluga, *wolem* lub *bykiem*; *lwem* zwali tę gwiazdę, pod którą zwierzę to gnane pragnieniem z pustyni, ukazywało się nad brzegami rzeki; gwiazdę *panny*, kiedy zboża zbierano; *jaśniecia* lub *kozy* (baran), pod którą rodziły się tak pożyteczne zwierzęta; *wagi*, kiedy następowało porównanie dnia z nocą; *niedźwiadka*, kiedy pewne wiatry sprowadzały niezdrową mgłę, podobną do zaraźliwej trucizny niedźwiadka i t. d.

Pojmujemy teraz przez jaki pochod mysli charakter bóstwa schodził aż na najniższe zwierzęta, i jak pewne symbole i zewnętrzne oznaki przeszły na chrześcijańską religię. *Tonsura*, jaką sobie już za czasów Herodota wystrzygali Arabowie, jest zmysłowem wyobrażeniem tarczy słonecznej, *stula*, wynalazek kapłanów Dyany, i różańce były już przed 5,000 lat u Indian symbolami gwiazd i planet. Jeszcze więcej czapki biskupie były symbolem słońca i oznaką wyższych egipskich kapłanów; *krzyż* nakoniec jest laską, którą Oziris w rękach trzymał, i który był symbolem życia i zmartwychwstania, ponieważ otwierał

bramę z kości słoniowej przez którą dusze wchodzą do nieba.“

Roosval podniósł się teraz, spostrzegając zdumienie swoich słuchaczy. Udano się do domu na wieczorny posiłek. Uczony brabia, który zawsze zwykł był odkładać do północy swoje poważne studia, udał się zaraz do swego pokoju. Pani Goldstern i Fryderyka przepędziły jeszcze jak zwykle parę godzin na gawędce, zajęte przytem jakąś delikatną ręczną robótką. „Piękny Izydor“ zaś, jak zwykle tak i dziś pożegnał się, by się udać do swego nauczyciela języków, gdyż młodego człowieka, jak się zdawało, ogarnęła niezwykła namiętność i żądza, wyuczenia się gruntownie arabskiego-ludowego języka. W rzeczywistości zaś przesiadywał aż do północy w najbardziej osławionych publicznych domach Kairu, marnując czas, zdrowie i pieniądze na gry hazardowe i z upadłemi kobietami.

Nazajutrz rano, po opowiedzianych przez nas naukowych wywodach hrabiego, tenże otrzymał z bardzo daleka list, którego treść wielki wpływ wywarła na przyszłą postawę stosunków naszych czworga przyjaciół.

Roosval nie dał się widzieć w towarzystwie ani na śniadaniu, ani podczas obiadu. Zaraz po przyjściu w mowie będącego listu, opuścił hotel, zapowiadając swemu słudze, by się nietroszczono o jego nieobecność, że przyjdzie dopiero późno wieczór do domu, i zaraz się potem spać położy.

Wiadomość ta nie zadziwiła Fryderyki, ani też pani Goldstern i jej syna. Przypuszczano, że gdzieś natrafił na jakąś starożytną osobliwość i spodziewano się nawet w ciągu dnia otrzymać wiadomość, że hrabia dopiero za cztery lub pięć dni do domu powróci, jak to się w podobnych razach często zdarzało. Tym razem jednak wydalenie się hrabiego bynajmniej nie miało żadnego naukowego celu, ale chodziło tu raczej o przyszłość jego i córki.

List, jaki od przyjaciela otrzymał, tak go mocno zatrwożył, iż dla tego tylko hotel opuścił, by się zebrać z myślami, i nie zdradzić przedwcześnie swojej obawy i zmartwienia. Zanim napowrót powrócił, musiał, jak nakazywał obowiązek względem niego samego i swego jedyne go dziecka, pokonać pierwiastkową obawę, zebrać ducha, uspokoić wzburzoną krew i zdobyć się na silne, jasne postanowienie.

Roosval wsiadł na wynajętego osła, które to zwierzęta w Egipcie mało naśladują konie pod względem ognia, szybkości i wielkości, i pojechał sobie dołem wzdłuż brzegów Nilu, z dobrą milę niemiecką, dopóki nie dostał się na bardzo malowniczo położony dziedzińiec, który zarazem służył za przystanek dla ciągnących karawan z wyższego Egiptu do Kairu, gdy już było zapóźno na wjazd do miasta. Utrzymanie porządku w tem miejscu wcale nie było pochwały godnem, wszakże hrabia w téj chwili szczególnież bardzo mało na to zwracał uwagi. Szukał on przecież tylko spokoju i samotności, a na tych warunkach bynajmniej tutaj nie

zbywało. Hrabia zajął miejsce pod starym klonem, który stał tuż nad brzegiem rzeki, i którego nagie korzenie grubości ręki rozciągały się aż w głąb zwierciadła wody i wy dobył z kieszeni zrana otrzymany list; ten brzmiał jak następuje:

Najlepszy, najdroższy przyjacielu!

„Irkutsk 6 Grudnia 1859 r.“

„Już upłynęło przeszło pięć miesięcy mój drogi Gustawie, od czasu jak rozstaliśmy się z sobą w pięknym Dreźnie. Ty z twoją milutką córką udałeś się na południe, ja zaś pospieszyłem na zimną północ, pod mroźne lody Syberyi. Wybacz iż dopiero w tej chwili wywiązuję ci się z danego słowa, iż zaraz do ciebie napiszę; ale dopiero teraz, po trzechmiesięcznem błakaniu się między kirgizami i Tunguzami, dostałem się znowu do względnie cywilizowanego świata; mianowicie nad jezioro Bajkałskie i mam możność dopiero odbierania i wysyłania listów. Zastałem też ogromną ich masę kiedy przybyłem do Irkutska, gdyż tę miejscowość wskazałem wszystkim moim przyjacielom jako pierwszą stację pocztową. List twój Gustawie, ma dla mnie podwójny interes, gdyż nietylko że zapewnił mnie o twój od tak dawna dla mnie przyjaźni, ale nastreczył mi jeszcze szczęśliwą sposobność poznania człowieka, którego mi, nic już nie mówiąc o jego osobistych przymiotach, jego tragicznych kolejach życia, zacnym charakterze i że jako wolnomularz już dla tego samego zainte-

resować mnie musiał, dobry Stwórca wszechświata umyślnie po to zdaje się dał poznać na tym odległym zakątku ziemi, bym cię drogi Gustawie mógł przestrzedz w jednej z najważniejszych okoliczności twego życia, i mam nadzieję, że na to nie jest jeszcze zapóźno.

„Otóż po tak nieco zadługim wstępie, wracam do bliższych wyjaśnień. Ty znasz jednak rozwlekłość i drobiazgowość mego sposobu pisania; jestto błąd którym się sam tu i owdzie chęlpię jako filolog. My uczeni wszyscyśmy tacy, każdy ma swego drewnianego konika z którym często na stół wyjeżdża. Jednak, sapperment! nakoniec do rzeczy.

„Przepędziłem cały przeszło miesiąc między Mongołami, i wróciłem dopiero dziś temu trzy tygodnie do Irkutska. Na drodze z powodu szkaradnej pory zatrzymać się musiałem przez dni kilka na osadzie pewnego bogatego rossyanina, który tu dostał niezmierny majątek gruntowy od rządu i zatrudnia kilkuset deportowanych jako pasterzy, parobków, drwali, rękodzielników i t. d. Jako sekretarza tego naboba, który mnie, mówiąc nawiasem, bardzo gościnnie przyjął, poznałem pewnego Niemca, który jako emisaryusz europejskiej demagogii, skazany został na dożywotnie osiedlenie na Syberyi. W urzędowej liście zesłańców jest on zapisany jako osławiony agitator Fechner, gdy podług tego jak on sam utrzymuje, i nie mam żadnego powodu wątpić prawdziwości słów jego. nazywa się Fellner, i aż do chwili swego awanturniczego zniknięcia

z Wiednia był pierwszym buchalterem i dysponentem znanej w świecie firmy Aarona Samuela Goldsterna.

„Z twego listu, który mnie zastał w Irkutsku i który wysłałeś do mnie z Aleksandryi w Egipcie pod koniec października, dowiedziałem się, żeś zawiązał serdeczną znajomość z jakąś wdową tegoż nazwiska i jej synem Izydorem, i wcale nie zdajesz się nawet być przeciwnym doprowadzić do skutku dwa śluby, to jest swój własny z ową wdową i dobrą Fryderyki, méj chrzestnej córki, z synem téj wdowy Izydorem.

Gdyby Fellner już w czasie pierwszej mojej wizyty w Słobodzie naboba, tak się zwała w mowie będąca osada, poznał był bliżej moje interesa, to stałby się teraz dla mnie osobą wielkiej wagi, gdyż człowiek ten opowiadał mi rzeczy bardzo złe o owej pani Goldstern i jej synie, który w Wiedniu pod żartobliwym przydomkiem „pięknego Izydora“ należał do najrozwiązlejszego koła młodzieży, i jak Fellner zapewniał, nawet po prostu fałszował weksle. Bezzwłocznie udałem się do Słobody oddalonej tylko o dwa dni drogi od Irkutska, i przeprowadziłem teraz z Fellnerem drobiazgową rozmowę, do czego nawet przy pierwszej mojej wizycie wcale nie było przyjaznej sposobności.

„Teraz dowiedziałem się ważnych szczegółów i dołączam ci szczegółowy własny opis wypadków z życia jakich mi tajemnie Fellner udzielił. Zaklinam cię na duszę, użyć całego twego wpływu, by ten człowiek był wolnym do czego przedewszystkiem potrzeba będzie

ustalić tożsamość jego osoby z byłym dysponentem Goldsterna.

„Pocziwy Fellner płakał gorzkiemi łzami, kiedy się dowiedział o wdowim stanie pani Goldstern.

„A więc jej, i jej nikczemnemu bękartowi udał się zamach morderczy na szlachetnego starca“, zawołał zrozpaczony, i chciał wiedzieć niektóre bliższe szczegóły o śmierci swego ukochanego zwierchnika, których ja mu jednak niestety udzielić nie mogłem, gdyż ty w liście swoim ani razu nie wzmiankowałeś, od jak dawna pani Goldstern jest wdową.

„Biedny Fellner pocieszał się nadzieją, iż jeśli się ktoś szczerze zajmie nim w Petersburgu, uwolnienie jego żadnych nienapotka przeszkód. Ja jednak, który to wszystko poznałem nieco bliżej, innymi zupełnie na jego sprawę patrzę oczami, co więcj że jego terażniejszy pan, wszelkich ze swej strony dołoży usiłowań, by tak zacnego i zdolnego do interesu człowieka jak Fellner, zatrzymać przy sobie. W każdym razie upłynie bardzo dużo czasu, nim on ujrzy się zupełnie swobodnym. Ja więc tymczasem przemyśliwam nad środkami, by ułatwić mu ucieczkę, co jednak związane jest z wielkimi trudnościami i niebezpieczeństwem dla mnie i dla niego. To jednak niepowinno i niewstrzyma mnie, od spełnienia mego obowiązku. *Fellner jest wolnomularz*, a więc mój „brat“ za życia i po śmierci, i na Boga gdyby nawet nienależał do naszego związku, musiałbym uważać się za zhańbionego, gdybym zostawił bez pomocy tak zacnego człowieka.“

List, podpisany nazwiskiem Otto von Runnerström, wzmiankował następnie o ojczyźnie i innych rzeczach, które wcale nie należą do naszego opowiadania i dla tego zadowolnimy się na teraz już podanemi szczegółami.

Hrabia Roosval, doczytawszy list do końca, przestudyował uważnie obszerny pamiętnik Fellnera o jego podróży do Krakowa, o bezprawnem jego zatrzymaniu i t. d., i t. d.

„Przedewszystkiem, szeptał hrabia do siebie, niezbędną jest rzeczą, sprawdzić zaraz tożsamość tego charakteru pisma przez świadków bezstronnych. Ale jak tu począć?

„Już wiem! krzyknął nagle Roosval ucieszony. Fellner przypadkowo wspominał w swoim piśmie o niemieckim domu handlowym Deutscha w Kairze. Skoro ten z firmą Goldstern tak często korespondował i tak ważne załatwiał interesa, muszą tam znać przecie charakter pisma Fellnera. A więc do miasta, nie chcę stracić minuty czasu! Muszę przedewszystkiem wiedzieć, czy przyjaciel Runnerström nie stał się ofiarą jakiego chytrego oszusta, gdyż kochany przyjaciel za swoją dobroć i łatwowierność już nieraz odpokutował i wystrychnięty był na dudka. Mnie tutaj nadto chodzi o większe, daleko ważniejsze rzeczy. Uczulem ku wdowie Goldstern skłonność prawdziwą, szczerą; a Fryderyka kocha Izydora zapalem pierwszej miłości. Okropność, okropność, gdyby ta wiadomość była prawdziwą. Na Boga, pragnąłbym, aby zesłaniec ów był nikczem-

nym oszustem, żeby jego zeznania okazać się mogły kłamliwymi i nie zasługującymi wcale na uwagę. Ale rzecz jednak do namysłu, czyby ten człowiek tak *en detail* i z takim prawdopodobieństwem mógł kłamać? Czyż nie przytacza tysiąca szczegółów, które jasno dowodzą znajomości wdowy i jej syna, i w istocie mnie te dwie osoby już teraz w innem mniej korzystnem świetle się ukazują.

Hrabia zawołał na oslarza i dość szybkim klusem powrócił do Kairu, gdzie postanowił zaraz wstąpić do kantoru niemieckiego wekslarza Izaaka Deutscha.

XIII.

Zimne pożegnanie.

— Dobry wieczór, panie hrabio! zawołał wekslarz bardzo uprzejmie, nie miałem już dawno przyjemności. Pańskie wysyłki ze Sztokholmu leżą już u mnie od dwóch miesięcy.

— Nie miałem potrzeby się spieszyć, ale ponieważ już jutro wyjeżdżam do Europy, bądźże pan łaskaw uregulować zaraz nasze interesa, odrzekł Roosval.

Wekslarz odliczył częścią francuzkimi biletami bankowemi, częścią w zlocie 20,000 franków.

Kiedy interes pieniężny został załatwiony, hrabia

wydobył z kieszeni pamiętnik Fellnera i pokazał wekslarzowi ostatnią stronę, która podpis nosiła.

— Do pioruna? zawołał pan Izaak Deutsch, zaraz na pierwszy rzut oka zdziwiony, co ja widzę?!?

— Pan znasz więc to pismo?

— Jakże nie znam, jak moje własne, odrzekł wekslarz. Przed laty dwudziestu byłem komisantem u Goldsterna, u bogatego, zacnego Goldsterna, i od tego czasu mam zaszczyt w tem miejscu zastępować jego firmę.

Do téj uwagi pan Deutsch dołączył swoje bardzo żywe ubolewanie nad niespodzianą śmiercią, o której jednak nie wiedział żadnych bliższych szczegółów. Jak cały świat dowiedział się on z gazet, że bankier Goldstern zatonął wraz z dwiema córkami, przepływając przez morze Śródziemne, niedaleko wyspy Elby, że wszakże dziwnym sposobem dotąd nieznaleziono żadnego z trzech trupów.

— Znasz pan może młodego pana Goldsterna? zapytał hrabia z wyteżoném oczekiwaniem.

— Znam go jak jeszcze był bardzo małym chłopczkiem, ale on mnie znać nie chce, i nie raczy być moim kundmanem, odrzekł pan Deutsch bardzo uszczypliwym tonem.

— O, odrzekł Roosval, ja sądziłem jednak, że pani Goldstern zgłaszała się do pana, odnośnie do swoich pieniędzy na pańskie imię ciągnionych?

— Istotnie tak jest, odrzekł wekslarz, ma u mnie kredyt do 100,000 franków rocznie; musi ona jednak

wieźć ze sobą dużo pieniędzy austriackimi banknotami.

— Zkąd pan to wnosisz, panie Deutsch?

— Po co mam to wnosić, co wiem z pewnością. Oto dopiero wczoraj znów młody Goldstern zmienił u Włocha obok 10,000 guldenów wiedeńskiej waluty; ja byłbym mu mniejsze agio o całe półprocentu odrachował jak ten łachmaniarz, oszust, złodziej, którego mi Jehowa w przystępie gniewu dał za sąsiada i który kradnie mi mój chleb. Młody Goldstern dotąd zmienił przeszło 80,000 guldenów, jak się o tem dowiedziałem od komisanta nikiemnego Beverardi.

— 80,000 guldenów? powtórzył niedowierzająco hrabia. Pani Goldstern przecież żyje tak skromnie, ja znam prawie wszystkie jej wydatki. To niepodobna, żeby ona spotrzehowała tak olbrzymią summę podczas swego pobytu w Kairze.

— Hi! odrzekł z tajonym uśmiechem pan Deutsch, młody jegomość sam się z niemi potrafi ułatwić; dowiedziałem się, że on codziennie odwiedza osławiony dom, jaki tam w dole na rogu trzyma brat mego nieznośnego sąsiada Beverardi'ego. Można tam na grę i z pięknymi damami łatwo zmarnować przez jedną nockę parę setek złotych pieniążków.

— Co? zawołał Roosval, młody Goldstern miałby odwiedzać ową jamę najnikczemniejszych występków?

— Mógłbyś mi pan w twarz napluć, gdybym skłamał, odrzekł pewnym tonem pan Deutsch, na co jednak mamy o tem mówić. Usiądź pan, panie hrabio, o dziesią-

tój godzinie wieczorem w francuzkiej kawiarni tam na rogu; zobaczysz pan na własne oczy jak młody człowiek wsuwa się, do owego wspaniałego pałacu bezwstydu i grzechu.

— Na Boga, chcę się nawet o tem przekonać, zawołał hrabia głęboko wzburzony, i prędko pożegnawszy wekslarza skierował swoje kroki do wzmiankowanej kawiarni, gdzie zajął miejsce po za filarem.

Ponieważ dopiero była siódma godzina, cierpliwość Rooswała wystawiona była na ciężką próbę, ale gdyby trzy miał czekać, nie straciłby jednej sekundy ze swoich czatów.

Co mówił wekslarz okazało się zupełnie prawdziwym. Wkrótce po dziesiątej godzinie ujrzał on młodego Goldsterna, wchodzącego do jamy zbrodniczej Beverardi'ego.

— Biedna Fryderyko! westchnął hrabia i lzy zwilżyły mu oczy—twoja więc pierwsza tak serdeczna i gorąca miłość, musiałaż więc tak być nieszczęśliwą, gdyż Izydor nigdy już moim zięciem niebędzie. I ja, dodał ciężką boleścią przytłoczony, i ja także już przemarzyłem ostatnie piękne marzenia mego życia! Nie była to żadna burzliwa młodzieńcza miłość, jaka mnie ku niej ciągnęła, nie, była to tylko potrzeba prawdziwej, serdecznej przyjaciółki, a jaką ona, ta nędzna obludnica; tak dobrze umiała przedemną odegrać. Jednak na co te niemęskie skargi i narzekania—nauka mnie pocieszy, ale ty biedna Fryderyko, co się z tobą stanie? Ja wiem, że ty kochasz pięknego i gładkiego młodego człowieka,

całym zapalem gorącego, niewinnego serca dziewiczego że Izidor stał się twoim ideałem, że go ubóstwiasz, i że raczej byś się mogła obejść bez powietrza i światła jak bez niego.

„Jednak co to pomoże, nie mogę cię popychać w przepaść; boleść rozłączenia będzie wielka, rozczarowanie jedno mogłoby cię uzdrowić, ale nieszczęście jakieby małżeństwo z podobnie upadłym człowiekiem na ciebie sprowadzić musiało, mieć trzeba na uwadze, zresztą działać będę o ile można z umiarkowaniem, i co może miłość ojca będę się starał zrobić, by wlać balsam pociechy w rozdarte serce mego ukochanego dziecka.

Roosval przez całą noc nie zamknął oka, Fryderyka przestraszyła się, kiedy nazajutrz rano weszła jak zwykle do pokoju swego kochanego ojca, by go powitać i zaprosić na śniadanie, które cztery osoby zawsze wspólnie w ogrodzie jadać zwykły. Hrabia wyglądał tak zmieniony, że panna go za chorego uznała i chciała posłać po doktora.

— Nie jeszcze, moje kochane dziecko, pocieszał hrabia, moja niedyspozycya szybko przejdzie. Posyłam cię do ogrodu byś prosiła panią Goldstern, by pozwoliła przybyć do siebie po śniadaniu na rozmowę w cztery oczy. Ty i Izidor, możecie ten czas w ogrodzie przepędzić.

Fryderyka podskoczyła promieniejąc radością. Biedna dziewczyna zupełnie fałszywie zrozumiała słowa swego ojca; była ona tego przekonania, że rozmowa

ojca z panią Goldstern niemogła mieć nic innego na celu, jak ostateczne zdecydowanie dwojakiego związku między ojcem i córką z jednej, a matką i synem z drugiej strony. Nie mogła się więc wcale spodziewać, że dzisiejsze śniadanie będzie już ostatniem.

Pani Goldstern wpadła zupełnie w ten sam błąd co Fryderyka, kiedy ta jej do ucha szepnęła, żeby się udała do swego pokoju, gdzie jej ojciec ma przybyć na rozmowę.

Pani Goldstern, dawno już z utęsknieniem wyczekująca chwili, w której jej hrabia się oświadczy, pospieszyła o ile jej przyzwoitość pozwoliła do domu.

Hrabia nie dał jednej sekundy na siebie czekać, kiedy pokojówka wdowy przyszła mu zameldować, że pani Goldstern już z ogrodu wróciła.

Postawa i mina Roosvala, była jednak tak sztywna, nawet pośepna, że pani Goldstern przy jego wejściu widocznie się wzdrygnęła, i mimowolnie ogarnęło ją jakieś złe przeczucie.

Z niezwykle sztywną grzecznością zajął hrabia miejsce na krześle, które mu sama pani Goldstern podsunęła.

— Moja pani! zaczął nakoniec Roosval, po dość długiej chwili złowrogiego milczenia—moja pani, wielka jest już pora, żebyśmy stanowczo rozmówili się co do naszych i naszych dzieci stosunków. Ani między nami, panią Goldstern i mną, ani między Izydorem i Fryderyką nie miały miejsca oświadczyzny, i dzisiaj czu-

ję się w tym względzie bardzo szczęśliwym, iż się tak stało.

— Nie rozumiem nic pana, panie hrabio, jakąś pani Goldstern zmieszana, gdyż ostatnie wyrazy hrabiego wypowiedziane ostrym, stanowczym tonem, zapowiadały niewątpliwie, iż poprzedzają jakieś niepomyślne, pełne smutnych może następstw wyznanie.

— Nie chcę tracić czasu na niepotrzebnych frazach, ciągnął dalej sucho hrabia, ale wprost otwarcie i stanowczo pani oświadczyć, iż człowiek taki jak syn pani, mianowicie gracz i rozpustnik ostatniej próby, teraz i nigdy nie zostanie moim zięciem.

— Panie hrabio! zawołała z uniesieniem pani Goldstern, musisz pan przedewszystkiem dowieść tego, co pan mówisz. Przyznaję, że mój Izydor w Wiedniu, w pierwszych latach swojej młodości, był nieco lekkomyślnym, ale któryż młody człowiek przy świetnej pozycyi i z jego powierzchownością nie postępowałby tak samo? Nawet pan, panie hrabio, wyznałeś mi z godną uznania otwartością o niektórych błędach pańskiej młodości, dla czegoż więc chciałbyś pan surowiej sądzić Izydora, jak siebie samego. Czy nie zostałeś pan mimo to później przykładnym małżonkiem i ojcem? Z pewnością syn mój przeszedł już czasy burzliwej młodości; jego miłość dla Fryderyki zupełnie go już umoralniła. Zresztą od czasu jakśmy z Wiednia wyjechali, dał on najlepszy dowód swojej moralnej poprawy, jest teraz oszczędnym, nawet powiedzieć mogę skąpym, gdyż nie

raz wydaje za ledwie połowę swęj pensyi, przeznaczoney na drobne jego wydatki.

— Pragnąłbym, żeby tak było, odrzekł zimno hrabia, ale jak widzę, syn pani łączy z innemi swemi złemi przymiotami doskonale jeszcze sztukę obludy. Pani! zaczynam panią żałować, gdyż widocznie jesteś pani przez Izydora jak najniegodziwiej oszukiwana, i lękam się nawet, czy nie jesteś pani nieszczęśliwszą matką, jak to się na pierwszy rzut oka zdawać mogło.

Pani Goldstern padła na pół omdlała na kanapę. Sądziła ona, że hrabia musiał się coś dowiedzieć o sfałszowanych wekslach w Wiedniu. W tym razie nie mogła się naturalnie spodziewać, by nakłonić hrabiego do lepszego sądu o jej synu. Niepewna, do czego właściwie zmierzał Roosval, i jakie złe wiadomości wiedział on o jej synu, odrzekła tylko drżącym głosem:

— Chciałabym pana, panie hrabio, prosić o dokładne i szczegółowe wskazanie owych zarzutów, jakich pan z pewnością, bez dojrzałej rozwagi i słusznej podstawy nie ściągałbyś na głowę mojego syna.

— Kilka zapytań, pani Goldstern, wyjaśnią cały stan rzeczy. Czy posiada syn pani prócz pieniędzy, jakie pani dajesz mu do rozporządzenia, inne jeszcze jakie fundusze?

— Ani jednego grosza, odrzekła pani Goldstern z całą pewnością siebie.

— Czy to jest możliwem, aby syn pani jeszcze z Wie-

dnia znaczną sumę, weźmy około 100,000 guldenów, w austryackich papierach posiadał?

— To śmieszne! odrzekła pani Goldstern bez namysłu, i spoglądała powątpiewającym wzrokiem na hrabiego, który jej tylko co tak prawdziwie niedorzeczne pytanie zrobić się zdawał.

— Rzeczywiście? wiedziałabyś pani o tem także stanowczo, dodał hrabia.

— Mój Boże! zawołała pani Goldstern prawie z gniewem; pan zmuszasz mnie, panie hrabio, do wyznania którego chętnie chcę sobie oszczędzić. To prawda, że syn mój kiedyś porobił długi, i to bardzo wielkie długi, ale w ostatnich czasach nie znajdował się wcale nawet w możności posiadać tak znaczną sumę, a to z téj prostej przyczyny, że jego dawniejszy pośrednik, Niebu niech będą za to dzięki, nie udziela mu teraz żadnych zaliczeń. Nie mogę więc wiedzieć prawdziwie, z kąd syn mój znaleźć się mógł w posiadaniu ogromnej sumy 100,000 guldenów. Bardzo jednak bym sobie życzyła, gdybyś pan, panie hrabio, łaskawie mnie raczył objaśnić, jaka okoliczność dała panu powód do zapytania, czy Izidor rozporządza podobnie znaczną sumą.

— Będzie rzeczą najprostszą, rzekł Roosval z odcieniem gorzkiej ironii, skoro łaskawa pani zapyta pana Lzydora, z kąd wziął pewne 80,000 guldenów w austryackiej bankowej walucie, które powoli prawie od trzech miesięcy zmieniał na złoto u wekslarza Beverardi'ego na wielkim placu. Dalej mógłbym pani jeszcze przyjacielską udzielić radę, byś się pani dokładnie po-

wiadomić zechciała, co pan Izydor zwykł jest porabiać od sześciu tygodni codziennie, lub raczej co noc w pewnym domu, krórego dokładny i całkowity adres pokładam na tym stole. A teraz, Bóg z tobą łaskawa pani! Przyjmij pani dzisiejszą moją wizytę zarazem jako pożegnalną, gdyż wraz z Fryderyką opuścimy Kair w przeciągu najdalej dwóch godzin.

Hrabia złożył sztywno ceremonialny ukłon i postąpił następnie do drzwi, pewnym krokiem z podniesioną postawą.

Pani Goldstern pozostała zgnębiona i bezwładna. Nie mogła nie zrozumieć tego „zimnego pożegnania”; było to zerwanie w lepszej formie.

Nakoniec sięgnęła machinalnie po adres, który hrabia zostawił. Zadzwoiła na służbę hotelowego i zamówiła powóz.

Natychmiast chciała się u włoskiego wekslarza wypytać a nawet upewnić, czy Izydor istotnie ów osławiony dom odwiedza.

Zechciejmy teraz wrócić do ogrodu, gdzie Fryderyka i „piękny Izydor” razem sami pozostali.

Zaledwie pani Goldstern odeszła do pokoju, panna nie miała nic spiesniejszego do zrobienia, jak donieść Izydorowi, jaki był powód jej oddalenia się. Kiedy Fryderyka powiedziała, że ojciec jej dzisiaj niezwykle surowo wyglądał, młody Goldstern pomimowolnie się wzdrygnął, złe przeczucie go ogarnęło. Służący jego, równie lekkomyślny i ladaco jak jego młody chlebobawca, doniósł mu jako nowinę, dziś rano przy

ubieraniu, że hrabia Roosval wczoraj wieczór, od siódmej do jedenastej godziny w nocy, przesiedział w naprzeciw osławionego domu położonej francuzkiej kawiarni, jak się słuzący, przypadkowo tam wszedłszy o północy, dowiedział od markiera.

Ta, najzupełniej przeciwna przyzwyczajeniom hrabiego, wizyta w kawiarni francuzkiej, dała Izydorowi wiele do myślenia, i postanowił podsłuchać rozmowę między Roosvałem i jego mamą.

— Ach najdroższa moja, ja muszę być przytem! zawołał, udając uradowaną minę, wsunę się do mojego pokoju, gdzie mi nie ujdzie ani jeden wyraz z całej ich rozmowy. Lotem błyskawicy powrócę potem do ciebie, mój aniele, i opowiem ci o rezultacie, który widocznie także i mnie dotyczy. Do widzenia, serduszko moje!

„Piękny Izydor” wycisnął pocałunek na rozpalonych policzkach Fryderyki i szybko pobiegł.

— Czekam tu na ciebie, mój drogi Izydorze! szepnęła panna, oddając młodemu człowiekowi pocałunek z daleko większym ogniem jak ten był dany.

Ta mała scena pozwala nam odgadnąć, że stosunek między dwojgiem młodych ludzi już był na stopie bardzo serdeczno poufałej, niestety—musimy nawet dodać ze smutkiem, gdyż tak Izydor jak Fryderyka w ich obejściu się wzajemnem zdawało się nie wyszli jeszcze z pierwszego stadyum miłości uprawianej na *platonicznej* podstawie. Biedna Fryderyko, o ileż okropniej

uderzy cię cios wypadły z tak pogodnego dotąd nieba twój pierwszej i tak wielkiej miłości.

„Piękny Izydor” w tój samój jeszcze chwili wsunął się do swego pokoju, gdy hrabia wszedł do jego matki. Ani jeden wyraz mu nie uszedł z całej ich rozmowy. Niegodziwiec drżał i bladł na przemiany, skoro się widział zdemaskowanym. Znał za dobrze silny, żelazny charakter hrabiego, by się mógł spodziewać, w jego oczach powrócić do łaski. Marzenia jego o hrabiowskim tytule były rozwiane, a przytem nie miał już żadnego powodu, zadawać dłużej gwałt swoim wyuzdanym skłonnościom. Jeszcze zanim się hrabia oddalił, postanowienie jego już dojrzało, a w minutę później zostało i wykonane. Przycisnął do siebie wielki pugilares, w którym się zawierały jego tysiące i wysunął się na korytarz, podobnie niepostrzeżony jak i przy wejściu. Potem udał się na dół, gdzie znajdował się poczciwy jego lokaj Piotr, francuz rodem, udzieliwszy niektóre rozkazy temu bezwzględnie oddanemu sobie człowiekowi, opuścił spiesźnie hotel.

Całe pół godziny czekała biedna Fryderyka, ciekawością i tęsknotą dręczona, w altanie, swego kochanego Izydora. Naraz przywołaną została do swego ojca. Któż wyobrazić sobie zdoła zadziwienie panny, kiedy ta przybywszy do swego pokoju, zastała tam kufrы popakowane i wszystko do natychmiastowego odjazdu gotowe.

Nie wymówiwszy ani słowa, wręczył jej hrabia własnoręcznie kapelusz, szal i parasolkę, podał jej na-

stępnie ramię i sprowadził po wschodach do brzegu Nilu, gdzie już czekała łódka, by zabrać hrabiego z jego córką, dalej pokojówkę i służącego wraz z pakunkami.

— Ależ ojczel ośmieliła się nakoniec zapytać Fryderyka, drżąc na całym ciele, kiedy już wiosłarze odbili od brzegu, co to wszystko znaczy? Dla czego opuszczamy tak prędko Kair, gdyż zauważyłam że nasze kufry adresowane były do Konstantynopola.

— Jedziemy sami, odrzekł krótko hrabia. Na statku parowym, jakim popłyniemy do Aleksandryi, opowiem ci bliższe szczegóły.

Po tych słowach odwrócił się hrabia od swojej córki, z napełnionymi oczami, jego szlachetne serce ojcowskie odczuwało już przedsmak owego gorzkiego bólu, jaki swej biednej córce z ojcowskiego obowiązku zgotować musiał. Ach! gdyby on dopiero wszystko, wszystko wiedział!

Fryderyka przeczuwała, że czeka ją wielkie jakieś nieszczęście, ale w jej delikatnem wątlę ciele zamieszkiwała silna dusza.

Naturalnie błdziła jeszcze ciągle co do rodzaju zeznań, jakich się od ojca dowiedzieć miała. Wierzyła ona na pewno, że tylko chwilowe jakieś nieporozumienie zaszło między zbyt gorącym jej ojcem a panią Goldstern i pocieszała się nadzieją, że się uda jej wpływo- wi, wszystko napowrót załagodzić.

Wkrótce potem, kiedy hrabia hotel tak na gwałt opuścił, powróciła do niego i pani Goldstern w stanie

największego wzburzenia. Obwinienia hrabiego niestety aż nadto się sprawdziły, Pani Goldstern, niegdys tak bardzo przez swoją głupią miłość dla synka ladaco zaslepiona, czuła się zupełnie usposobioną, młodego człowieka, który wszystkie jej piękne plany i swoją własną przyszłość tak dobrowolnie w niwecz obrócił, traktować po prosta jak smarkacza, studenta. W każdym razie była zdecydowana zmusić Izydora do przyznania, jakim sposobem przyszedł do posiadania na złoto zamienionych banknotów.

Nie przebierając się, weszła do przyległego pokoju, który zajmował jej syn. Jakże się zadziwiła, kiedy tam nie spostrzegła kufra Izydora, a niektóre porzucane tu i owdzie przedmioty dowodziły, że tu musiano się z wielkim pośpiechem pakować. Zadzwoiła na sługę hotelowego, by zasięgnąć objaśnień i otrzymała je w bilecie, jaki właśnie w téj chwili do hotelu został przyniesiony i brzmiał jak następuje:

Moja kochana mammo!

„Podśluchałem twoją rozmowę z hrabią. Samo się przez się rozumie, że nie mam żadnej ochoty, słyszeć od ciebie osobiście wyrzuty, niech takowe raczej z drogi nadejdą. Kiedy i gdzie się zobaczymy zależy zupełnie od okoliczności, tem więcéj, że mój stosunek z Fryderyką doprowadzony został do następstw, i ja zupełnie zrzekam się podziękowań przyszłego dziadka, za spłodzenie *anticipando* młodego hrabiego.

Pozdrawia cię i całuje twój syn

Izydor.

Kiedy pani Goldstern przeczytała te cynizmem przesiąknięte wyrazy jej zepsutego syna, padła z rozdzierającym wykrzykiem ohydy i boleści na podłogę.

XIV.

Na śmierć i życie.

Od chwili, kiedy hrabia Roosval otrzymał w Kairze list od swego przyjaciela Otto von Runnerström'a z Irkutska w Syberyi, upłynęło kilka miesięcy. Znajdujemy się więc w pierwszym kwartale 1860 roku.

Musimy się teraz przenieść myślą i drukiem na Syberyę do w poprzednim już rozdziale wzmiankowanej osady, leżącej wśród otoczonej górami doliny Pachabicha na południo-zachód od Bajkalskiego jeziora. Zamknięta w koło wysokimi górami, nie narażona jest nigdy na mroźne sybirskie północne wiatry. Okolica jest cudownie piękna, a roślinność bujniejsza jak gdziekolwiek pod tą strefą nieba. Szczególniej wspaniałe są lasy w dolinie Pachabicha, a w nich nieprzeliczone mnóstwo najrozmaitszego ptactwa, nawet sybirska łasica osiedla się tu bardzo chętnie, gdyż niezliczona jest tu mnogość żołądzi, jej ulubionego pokarmu; lisy i sarny podobnie w wielkiej obfitości, podczas gdy piźmowiec, łos i jelen chętniej przemieszkują w wysokich, dolinę

otaczających górach, by uniknąć ścigania swych śmiertelnych nieprzyjaciół: ostrowidza, wilka i niedźwiedzia.

Właściciel osady był to człowiek roztropny i przedsiębiorczy, a już tem samem pokazał ile ma zmysłu praktycznego, skoro właśnie dolinę Pachabicha wybrał za punkt środkowy, swego olbrzymiego planu kolonizacyi. Nosił się on z myślą, żeby połączyć nawet dolinę z Bajkalskim jeziorem, za pomocą żeglownego kanału, gdyż rzeka Pachabicha, dostarczyć mogła przy odpowiedniej głębokości dostatecznej ilości wody. Kanał ten dałby możność bardzo zyskownego spieniężenia niezmiernych, dotąd martwo leżących skarbów doliny w drzewie i minerałach, a szczególnie odstawa drzewa budulcowego do Irkutska, musiałaby ogromne zapewniać zyski.

Tak dom mieszkalny jak i wszystkie zabudowania gospodarskie osady były pobudowane z drzewa, chociaż wyborny kamień znajdował się pod ręką, gdyż wszystkie góry naokoło Bajkalskiego jeziora, składają się z wapna krystalicznego i szyfru.

Wewnątrz wszakże pokoje zajmowane przez właściciela osady i jego rodzinę, urządzone były z najwyższym zbytkiem, i ten nabob nieprzesadzał z pewnością nic, utrzymując, że jego z Londynu, Paryża i Wiednia sprowadzone meble, przeszło pół miliona rubli kosztowały.

Właściciel osady miał lat może około 50, był wzrostu średniego, ale kościsty i w plecach bardzo szeroki, fizyonomia jego nosiła czysty ruski typ narodowy, miał

bowiem małe przenikliwe oczy, niskie ale otwarte czoło, małe usta, grube wargi, jak śnieg białe zęby, szeroki nieco zadarty nos, bardzo silny zarost i gęste włosy, barwy ciemno-brunatnej i jasno rudawej. Przebiegłość, jeden z pospolitych rysów słowiańskiego charakteru, przebijały się w całej jego minie, charakter jego posiadał wszystkie złe i dobre przymioty, prawdziwego rosyjanina.

Takim był człowiek, w rękach którego znajdował się od lat czterech biedny Fellner. W ogóle Fellner z swym panem, byli na stopie dobrej, gdyż ten ostatni pojmował swoją korzyść i wiedział, co ten człowiek był wart dla niego.

Nie używał więc Fellnera do ordynarnych, dworskich robót, ale miał go za swego sekretarza, który zarazem był jego nauczycielem kupieckiej wiedzy.

W ciągu 20 lat handlu karawanowego, jaki prowadził między Pékinem i Kiachtą, zyskał ten pan ogromny majątek, który później jako kolonista o wiele wkrótce powiększył. On był szczęśliwym jak rzadko, co tylko przedsięwziął wszystko mu się powiodło.

W dniu, w którym odwiedzamy takiego Krezusa w Słobodzie, znajdował się on w prawdziwie szkaradnym humorze. Wypijał szklankę po szklance Rostopczyna, przebiegając jednocześnie pokój szybkimi krokami, co przy jego niestosunkowej do reszty ciała krótkości nóg dosyć komicznie wyglądało. Nadto rzucał w przechodzie zagniewany wzrok na biórko, na którym leżał papier opatrzony pieczęcią gubernatora Zabajkalskiego

kraju, który zdawał się być przyczyną jego wielkiego wzburzenia.

— Co tu robić? przerwał sobie nakoniec nasz Krezus, z pewnością mam to do zawdzięczenia temu łotrowi uczonemu, którego kilka razy tak gościnnie przyjąłem u siebie. Jego zetknięcie się i szepty z moim sekretarzem od razu mi się nie podobały. Z pewnością przekłety Szwed porobił przez kogoś kroki w Petersburgu. Co mnie to obchodzi, czy nazywa się Fechner czy Felner, czy jest rewolucjonista, czy spokojny przemysłowiec. Dla mnie jest on bardzo pożytecznym człowiekiem, którego uwolnienie zniszczyłoby moje najpiękniejsze plany kolonizacji.

Wziął teraz do ręki dekret, który istotnie nakazywał uwolnienie Fellnera i odczytał go kilka razy, w nadziei znalezienia jakiegoś miejsca, które przynajmniej usprawiedliwić mogło by zwłokę uwolnienia jego „przybocznego“. Rozkaz jednak tak był krótko i jasno spisany, że nie można go było inaczej pojmować. Zupełnie bezradny i zniechęcony rzucił się nakoniec na kanapę. Zbyteczne przy wzburzeniu nadużycie trunku nieco go odurzyło i zaczął drzemać. Spoczynek jego trwał jednak niedługo. Jeden z jego wielu nadzorców przybył w całym pędzie, z odległej o dwie godziny drogi od Słobody poręby, z zawiadomieniem, że trzech deportowani przez własną nieoględność, zostali zabici upadkiem na nich ściętego olbrzymiego dębu.

W swym stanie sennego upojenia, przyjął nasz Krezus tę wiadomość zrazu dość obojętnie. Naraz je-

dnak zajaśniała radością jego twarz, rozczzerwieniona od wina. Tarł się po oczach, by się upewnić, czy szacowna myśl, jaka nagle zrodziła się w jego mózgu, nie jest bezsensowem marzeniem, ale istotnie może być urzeczywistnioną.

— Tak, zawołał nakoniec szyderczo, tak, to może się udać. Bóg jest wielki. Ha! ha! ha!

Nadzorca dawny podoficer kozacki, przyniósł już ze sobą nazwiska trzech nieszczęśliwych, zapisane na kawałku papieru. Byli to trzej młodzi szlachci-ce, którzy za polityczne przestępstwa wysłani zostali.

Właściciel osady zbliżył się do swego biurka i wymazał jedno z trzech nazwisk, wpisując w to miejsce nazwisko swego sekretarza.

— Teraz, mrucał zadowolony do siebie, każemy sporządzić księdzu formalny akt zejścia, i na téj podstawie nazwiska trzech zabitych, w Irkutsku każą wykreślić z rejestrów. Mój sekretarz od dzisiaj zowie się już nie Fechner, lub Fellner, lecz Stanisław *Kolszyński*, punctum!

Jeszcze tego samego dnia odeszły do zarządu w Irkutsku trzy akty zejścia, które przez księdza utrzymywanego w cerkwi kolonii *bona fide* sporządzone zostały. W taki sposób upadł sam przez się rozkaz uwolnienia nieszczęśliwego Fellnera, który teraz w księgach odpowiednich w rubryce „między umarłymi“ wpisany został.

Fellner dowiedział się zaraz o tym podstępie, gdyż pan rozkazał że odtąd ma się zawsze nazywać Sta-

niśław Kolszynski i że nikt, pod karą cielesną, inaczej go nazywać niepowinien. Nieszczęśliwy buchalter oddał się teraz niewypowiedzianej rozpacz. Teraz nadzieja w jego uwolnienie na zawsze znikła. O ile wiedział, uczony Otto von Runnerström nie znajdował się już w Irkutsku; prawdopodobnie podróżował już dobry człowiek z jaką hordą Mongołów, dla prowadzenia dalej swoich lingwistycznych poszukiwań, i może już wcale nie myślał o nieszczęśliwym wygnańcu. Dotrzymał on jednak sumiennie swój obietnicy, iż nakłoni jednego ze swoich wpływowych przyjaciół, do wstawienia się u ruskiego rządu, i jakśmy widzieli, musiał hrabia Roosval istotnie działać z całą energią. Naturalnie przysłała mu w pomoc pomyslna sposobność. Przedewszystkiem odszukał on szczęśliwie, prawdziwego Fechnera w Szwajcaryi, i człowiek ten był zaraz gotowy, złożyć incognito pod jakim się od dawna ukrywał, i przez szwajcarskie władze stwierdzić tożsamość swojej osoby, z czego niemożność wypływała, żeby on w przeszłym roku miał być zatrzymany w Polse, i żeby mógł być skazany na zesłanie do Syberyi.

Na co się jednak zdało buchalterowi, wykazanie i potwierdzenie widocznego błędu co do jego osoby, kiedy go nawet samego za umarłego uważano?

Tylko własna pomoc mogła go uratować, a ratunek, był tylko możliwy przez śmiałą ucieczkę z Sybirskiego więzienia.

O wszystkich strasznych następstwach ucieczki Fellner wiedział doskonale, mimo to jednak nie wahał

się uciekać na śmierć lub życie. Bo jakież był byt jego teraz? Zostać na wieki niewolnikiem szorstkiego chlebobdawcy, który od pewnego czasu, obchodził się z nim nadzwyczaj surowo, mianowicie od chwili kiedy Fellner przy każdej sposobności, obsypywał go wyrzutami, i nie chciał przed nim uginać karku.

— Dobrze, mój kochany przyjacielu! mówił pewnego dnia nabob szyderczym tonem, kiedy pan wcale już nie masz ochoty prowadzić moich interesów, i być doradcą dla mnie ze swych wielkich znajomości kupieckich, to pana do tego nie zmuszam, ale ponieważ niepodoba się panu w moim domu, gdzie używasz pan wszystkiego aż do zbytku, a nawet nie zbywa ci na względnej wolności, to użyj pan w Imię Boże maleńkiej zmiany. W tych dniach myślę urządzać wyprawę na sobole. Pan będziesz miał w niej udział, po powrocie pańskim spodziewam się znaleźć go rozsądniejszym. A teraz do widzenia kochany panie *Kolszyński*.

Fellner zgrzytnął zębami ze złości, ale co to wszystko pomogło. Był teraz niewolnikiem między niewolnikami, i żelazne widmo dyscypliny, wisiało jak miecz Demoklesa nad jego głową. Gdyby panu przyszła ochota, mógł go kazać zbić jak psa, i dziwnem było nawet to już, że dotychczasowe uporne jego postępowanie nienakłoniło wszechpotężnego naboba, do żadnego gwałtu. On kierował stę wszakże chytrem wyrachowaniem. Myślał on już sobie w duszy, złagodzić nieco los Fellnera, i postanowił nawet, przyznać mu pewien udział w zyskach. Obecnie zaś miał na myśli, wysłać

upornego niewolnika na uciążliwe polowanie na sobole, by złamać jego niechęć i żeby po kilku miesiącach, przepędzonych wśród niewygód i braków wszelkiego rodzaju, więcej ponętną i miłą wydała mu się słoboda, w której ów nabob rolę sybirskiego Lukullusa odgrywał.

Polowanie na sobole jest rzeczywiście pracą nadzwyczaj uciążliwą, gdyż zwierzęta te są bardzo lękliwe i dzikie, nigdzie nie dadzą się napotkać w bliskości mieszkań ludzkich. Polujący więc na sobole, muszą zapuszczać się w najgęściejsze, najnieдоступniejsze dzikie zarosła i żywność prowadzić z sobą na saniach, gdyż okolice, w których sobole w większych gromadach przebywają, są zwykle tak puste, iż tam żadnych innych zwierząt już napotkać nie można, a nawet i wilk tam nie zabłądzi.

Roczny połów soboli oblicza się w Syberyi i północnych Chinach na 100,000 sztuk, co przedstawia wartość około 3—5 milionów talarów, gdyż cena jednej sobolowej skórki, wynosi na miejscu 10 — 150 talarów. Rzadsze, tak zwane srebrne sobole, których najdłuższe włosy mają białe końce, rachują się nawet po 200 tał. za skórkę. Na całe futro sobolowe potrzeba 80—100 soboli.

Nabob dotrzymał słowa. W trzy dni po ostatniej rozmowie z Fellnerem wyruszyła kompania z 15 ludzi złożona, by ukończyć w przeciągu sześciu tygodni między przepaścistymi górami polowanie, zanim zaczynające się zwykle ku końcowi marca, ogólne roztopy

śniegów; nie •zathamują zupełnie przystępu do napełnionych wtedy całkowicie wodą kryjówek między skałami.

Do tych 15 ludzi należał także biedny Fellner, jedyna niezasługująca na zupełne zaufanie z całej załogi osoba, i dla tego na tajemny rozkaz pana, ścisła baczność innych miała być na niego zwróconą dniem i nocą.

Ciężko wzdychając zgodzić się musiał biedny Fellner na tę konieczną alternatywę, ale postanowienia swego co do ucieczki, ani na chwilę nie spuszczał z uwagi. Całą pociechę w jego smutku była teraz piękna, doskonała dubeltówka, w jaką każdy z należących do wyprawy został zaopatrzony. Umiał on się z nią doskonale obchodzić, gdyż ojciec jego był kiedyś w wyższej Styryi leśniczym, i dzieckiem jeszcze będąc, Fellner wybornie już strzelał.

Chwilami szatan pokusy szeptał mu w ucho, by fuzję przyłożył do piersi i pewnym strzałem prędko położył koniec swemu nędznemu życiu. Ale wcześniej się zawsze opamiętał i czynił sobie nawet gorzkie wyrzuty. Jako człowiek, chrześcijanin i wolnomularz, powinien był dalej dźwigać ciężkie brzemię swego żywota. Samobójstwo za popełnione przestępstwo, wśród pewnych okoliczności, może być jeszcze wytłumaczone, ale samobójstwo spowodowane zewnątrzniemi wprost tylko okolicznościami, jest i zostanie zawsze tchórzostwem, ciężką moralną zbrodnią, jaką człowiek może kiedykolwiek popełnić.

Przez całe czternaście dni miał już Fellner udział w polowaniu, a ani razu nie zdarzyła mu się pomyslna sposobność do wykonania swego planu ucieczki. Z powodu bardzo burzliwej pory, polowanie musiało być na kilka dni zawieszono i całe towarzystwo myśliwych cofnęło się z gór na dolinę, by tam przeczekać uspokojenia się *Purgi* i Buranu, jak zowią się syberyjskie śnieżne zamiecie. Miejsce obozu znajdowało się może w odległości ośmiu mil niemieckich od slobody.

Nabab niezmiernie ciekawy, czy jego uparty sekretarz jeszcze się nie poprawił, postanowił odwiedzić wzmiankowany obóz wyprawy, i myśliwym, którzy już nadesłali mu do domu bardzo obfite łupy, zawieść jako nagrodę i dla zachęty kilka wiader wódki i nieco świeżych zapasów żywności. Kazał więc zaprządz trzy pary sań kirgizkich, jedynie zdatnych do jazdy w tej okolicy. Sanki te, jakkolwiek na pozór bardzo niezgrabne, dla miejscowych warunków są nadzwyczaj praktyczne. Na dwóch mocnych płozach osadzony jest długi kosz, na przodzie z siedzeniem dla woźnicy. Kosz wypełnia się sianem, a natem kładzie się dywan. Siedzieć w tym koszu można wpołleżając postawie i okrywać się trzeba, z powodu mrozu, skórami wilczymi i niedźwiedziami. Zaprząg zwykle w trzy konie obok siebie, środkowy z nich między dyszlami w hołobli. Jazda to istotnie bardzo niebezpieczna, na złamanie karku, gdyż ruski woźnica nie zna innego biegu, jak wyciągnięty galop, a małe lecz silnie zbudowane konie odznaczają

się niezmeńczoną, nie do uwierzenia niemal wytrzymałością. Po przebyciu 10—12 mil niemieckich nie widać po nich jeszcze bynajmniej szczególnego zmęczenia i zdarza się często, że biedne zwierzęta gnane są przez swych nielitościwych właścicieli dziennie po 20 mil, przy nadzwyczaj mizerném pożywieniu.

Na pierwszych saniach siadł sam właściciel, dwoje następnych wiozły żywność. W niecałe pięć godzin przebyto długą, ośmiomilową drogę, pomiędzy slobodą a obozem wyprawy na sobole.

Znajdując się w bardzo dobrym humorze, nabał zarządził prawdziwie pijacką biesiadę, kończącą się zwykle na zupełném upiciu. Fellner zrozumiał, że dziś lub nigdy nie zdarzy mu się sposobność do pomyslnój ucieczki. Udawał, jakoby także wódkę pił jak drudzy, i na pozór należał do pierwszych, na których upajająco oddziałał mocny alkohol. Pan, który nie dostrzegął w Fellnerze najmniejszego śladu jego dotychczasowego uporu, był dlań teraz bardzo serdeczny i miał nawet zamiar zabrać go z sobą nazajutrz, do slobody, gdyby zechciał przyjąć tam napowrót obowiązki sekretarza. Ucieszył się też, gdy Fellner propozycję przyjął radośnie, a tak między panem a niewolnikiem zdawało się przyszło teraz do stosunku najzupełniejszego pojednania.

Na uwięczenie dnia dzisiejszego wydobyl pudełko z pigułkami opiolemi. Szkodliwy ten, zdrowie rujnujący zwyczaj, z wolna zagniezdził się silnie na sy-

beryjsko-chińskiej granicy, użycie opium coraz więcej się szerzy także między ruskimi kolonistami Zabajkalskiego kraju.

Fellner udawał, iż także mięsza pigułki opiove do tytoniu swój fajki. Niedługo dało się widzieć zabójcze działanie trucizny. Z bystro świecącemi, szklanemi, niejako bez czucia oczami, siedziało w koło całe towarzystwo upojonych kamratów, lubując się przyjemnemi obrazami rozbudzonej fantazyi, i zupełnie nie zdolne pojmować co się koło niego działo.

Teraz wstał Fellner i wysunął się przed namiot, gdzie stało dziewięć do sani zaprzęzonych koni. Zwierzęta już się do syta nakarmiły i najzupełniej wypoczęły. Mądrymi, pełnemi ognia oczami spoglądały tak raźnie i wesoło, jakby dopiero świeżo wyszły ze stajni. Fellner zaprzągnął jedno sanie w trzy konie; pozostałe zaś sześć koni złączył razem i przywiązał z tyłu.

Ostrożność nakazywała, nie zostawiać żadnego konia, aby nazajutrz rano, skoro śpiący wrócą do przytomności, nie mieli środka do szybkiego ścigania.

Z bijącym sercem wsiadł wreszcie Fellner na sanie. Była jasna, księżycowa noc. Do rozświtu miał około dziewięciu godzin przed sobą, w których przynajmniej sto wiorst (siedem wiorst wyrównywa jednej mili niemieckiej) spodziewał się ujechać, gdyż konie były z najlepszego gatunku.

Zbieg, który jako myśliwy na sobole zapoznał się dokładnie z okolicą, odbywał w pierwszych dwóch godzi-

nach podróż w kierunku slobody. W miejscu, gdzie góry tworzyły naturalną granicę, między południowo-zachodnimi stepami mongolskimi i doliną Pachabicha, odwiązał Fellner biegnące dotąd za saniami sześć koni i puścił je swobodnie na wolność. Rżąc wesolo pobiegły zwierzęta, jak to przewidział Fellner, w szybkim galopie ku slobodzie, gdzie zdrowo i cało w parę godzin przybiegły, nie budząc bynajmniej wielkiego zdziwienia w miejscowych mieszkańcach, którzy po prostu domyślali się, że konie były źle przywiązane i uwolnwszy się z zaprzęgu powróciły do domu.

Fellner, pozwoliwszy swoim koniom trochę wypocząć i dodawszy im nieco obroku, puścił się dalej ostrym kłusem. Lekko odetchnął, kiedy około piątej nad ranem, a więc na godzinę przed świtem, widział już za sobą góry i sunął teraz po wygodnej szerokiej drodze wśród jodłowego lasu. Mógł on się teraz po długi wszelkiego prawdopodobieństwa uważać za ocalonego.

Nabab, trzej woźnice od sani i czternastu myśliwych, wszyscy zarówno mocno upojeni wódką i opium, obudzili się za ledwie przed południem, a bez koni, nie mogli wcale myśleć o przedsięwzięciu skutecznego ściągania; zwłaszcza iż upadł obfity śnieg, który zatarł zupełnie ślady Fellnera.

By nie wycieńczyć sił dzielnych koni, musiał się on zdecydować na dłuższy spoczynek. Na szczęście wiozł ze sobą duży worek obroku, a nadto siano z kosza na

saniach mogło wystarczyć na dni kilka. Zapuścił się tak głęboko w las, jak tylko pozwalały na to coraz gęściejsze ku środkowi drzewa. Nakoniec zatrzymał się, zdjął zaprząg z koni, okrył dywanem ich parujące grzbiety i pozwolił im teraz używać dobrze zapracowanego i już bardzo potrzebnego posiłku. Z pewnym zadowoleniem rozciągnął się Fellner na saniach i popadł w głęboki sen.

Słońce zbliżało się już ku zachodowi, skoro się Fellner przebudził. Obudził go jakiś złowieszczy trzask i łomot między wierzchołkami drzew. Może byłby przespał się jeszcze z jakie parę godzin, gdyż postanowił dopiero przy świetle księżyca wyruszyć w dalszą drogę.

— Ho, ho! mruknął Fellner, trąc sobie oczy i powstając z kosza, zdaje się, że znowu zanosi się na *Buran*. Zła historyja, jednak dzięki Bogu! tutaj jestem bezpieczny przed wściekłością burzy.

Istotnie zbieg się nie mylił i musiał sobie winszować, iż las stał mu się przytulkiem, gdyż zaskoczony w stepach przez *Buran*, byłby prawdopodobnie wraz z końmi zginął od uraganu.

Burany, ciągnące od północo-zachodu, które są ciężką plagą dla całej Syberyi i Chin północnych, na równinach szaleją z nieopisaną gwałtownością. Wiatry te przebiegają tak blisko ziemi, iż łatwo wytłumaczyć sobie dla czego lud wierzy, iż się wydobywają z ziemi. Mieszkańcy stepów, nieznający barometru,

nie mają żadnego środka uchronienia się przed nagle zawsze powstającymi burzami. Wściekle hucząca burza zrywa się w jednej chwili, przewraca jurty, zrywa przykrycia, jakimi osłonięte są zwykle ich małe chatki i roznosi po stepie ubrania i kołdry futrzane. Nierzadko małe dzieci porywa i daleko zakopuje w śniegu, gdzie biedne te istoty zamarzają, gdyż matki ogłuszone wyjąca burzą i miotającymi na wszystkie strony tumanami śniegu, zapóźno je odnajdują. Kogo zaskoczy Buran w podróży, zwykle życiem musi przypłacić w powietrzu unosi się jeden tuman śniegu, wściekłość burzy obala najsilniejszego człowieka lub konia, a nawet Kozacy i Kirgizy tracą kicrunek. Godnym jest uwagi, iż podczas buranu zimno często zniża się o dwa stopnie nawet w najcieplejszej zimie, gdy po ustaniu burzy natychmiast podnosi się do dwudziestu stopni Reaumura. Najlepszym dowodem wszechpotężnej, groźnej władzy buranu jest okoliczność, iż dopóki tenże trwa, nieraz nienasycony wilk nie ośmieli się wyjść na zdobycz, choćby takową miał blisko siebie i głód mu silnie dokuczał. Obawa i ociężałość pozbawiają go żądzy drapieżności i żarłocstwa.

Najczęściej burany panują w grudniu i styczniu i nieraz trwają z rzędu jedenaste dni. Teraz zaś w miesiącu marcu mógł Fellner rachować, iż burza się uspokoi w przeciągu dwudziestu czterech godzin. I w samej rzeczy, buran ustał zupełnie zaraz następnego wieczora i czuć się dało ostre przeszywające zimno. Ze świeżym zapalem zaprzągnął teraz Fellner swoje trzy

dzielne konie, którym zupełnie siły powrócił trzydziestoseściogodzinny wypoczynek i obfity obrok. Fellner mógł być pewny, iż teraz znowu ujedzie z jakie 100 wiorst bez przystanku i podług swego obrachowania wówczasby daleko zostawił za sobą ruską granicę i znajdowałby się na terytoryjum Mongolji, która była jeszcze wówczas niezależną, później jednak dobrowolnie się oddała pod ruską władzę. Fellner w swoim myśliwskim ubiorze nie wyglądał na zbiega zesłańca i nie potrzebował lękać się niebezpieczeństwa, iż go przez chciwość wydadzą Mongołowie. Zresztą miał przy sobie nieco gotówki i drogocennych kamieni, które umiał szczęśliwie przechować od czasu zaareztowania go na ruskiej ziemi. Naturalnie brylanty mogły mieć dopiero wtedy dlań wartość, gdyby się szczęśliwie do Chin przedostał, do których jednak granicy miał jeszcze drogi co najmniej 150 mil niemieckich. — Postanowił tedy, u pierwszej, jaką napotka, hordy Mongołów, zamienić trzy konie cugowe i sanie na dobrege wierzchowca i następnie w towarzystwie karawany przebyć pustynię Gobbi (właściwie Kobi), do czego teraz właśnie nadchodziła najprzyjaźniejsza pora roku.

Fellner nie poganiał zbyt swoich koni, ponieważ dzielne zwierzęta i bez tego same biegły ciągle ostrym kłusem.

Nagle konie strzygnęły uszami, wciągnęły szeroko otwartemi nozdrzami powietrza, i zaczęły tak biedz w pełnym galopie, że Fellner, który drzemiąc le-

żał w koszu sani, o mały włos nie został z niego wyrzucony.

Wszelkie usiłowania by pohamować szalony bieg koni, widocznie czegoś nadzwyczaj wystraszonych, zostały bezskutecznymi. Wściekle były ogonami po bokach, od czasu do czasu wydając na pół przytłumione rżenia.

— Nieba! zawołał Fellner, całe stado wilków nas ściga.

Istotnie nie mylił się. Niezliczone krwawo błyszczące oczy świeciły po za saniami; Fellner przygotował broń do wystrzału, jakkolwiek mógł nią zrobić tyle prawie co nic przeciw ścieśnionej gromadzie, która przynajmniej z 150-ciu sztuk była złożona. Bądź co bądź chciał drogo okupić swoje życie. Zresztą i to było możliwem, iż uratuje go rączosć koni. Widocznie wilki były głodem wycieńczone i ztąd mogły zaledwie z trudnością zdążać za saniami. Któż mógł jednak zaręczyć, czy jego konie długo jeszcze wytrzymają takie wyścigi na śmierć i życie? Biedne zwierzęta jednak instynktownie przeczuwały, jaki los ich czeka, w razie gdyby wilki raz ich dosięgły, — wycężyły więc wszystkie swe siły i sanie pędziły jak błyskawica.

W tém trzask! I Fellner ujrzał się nagle daleko w śnieg wyrzuconym. W gwałtownym biegu sanie natrafiły na pień drzewa, przyczem dyszel i zaprząg połamały się na kawałki. — Trzy konie, pozbawione zupełnie ciężaru i zdolne do swobodnego ruchu, były oca-

lone; w szalonym pędzie pobiegły naprzód, trzymając się jednak blisko siebie, by się razem bronić, na przypadek gdyby jeszcze przez nieprzyjaciół naciśnięte zostały.

Z całego jednak stada ścigało ich tylko kilkunastu, gdyż bestyje te, głodne i wycieńczone, wolały nie szukać dalej gdy tak blisko zdobycz się znajdowała.

Biedny Fellner uważał się za zgubionego, jednak postanowił nie dać się pozrzeć wściekłym bestyjom bez walki. Na szczęście dosięgnął, zanim nań całe stado napadło, starego grubopiennego drzewa, które go przynajmniej zabezpieczało od tyłu. — Paf, paf! Padły dwa wilki ugodzone z dubeltówki i na nich rzuciły się teraz inne. W dwie minuty zabite wilki pożarte zostały bez śladu. Z nową zajądlnością zwróciło się teraz całe stado na Fellnera, który już nie był w możności nabijać, gdyż kilku wilków silnie go atakowało. Z rozpaczliwym wysileniem posługiwał się teraz swoją fuzyją niby maczugą i ciężko trafiony padał wilk tu i owdzie bez życia, lub usuwał się wyjąc, z pogruchochanemi członkami.

Rezultat téj walki nie mógł być wszakże wątpliwy. Wilków było za wiele a nacierały z wytrwałością, która musiała nakoniec wyczerpać siły zagrożonego.

Pot spadał już kroplami z czoła Fellnera i czuł jak powoli siły go opuszczały. Jeszcze trzy lub cztery minuty a fuzyja, którą się tak dzielnie bronił, mu-

siałaby wypaść bezsilna z ręki. — Na myśl, iż ma być żywcem pożartym przez dzikie bestyje, powstawały mu włosy na głowie. Tęgi jego kozuch tu i owdzie był podziurawiony, kilku wilków, ośmielonych coraz bardziej słabnącą obroną, dotknęły już kilka razy ciała swjej ofiary, w prawdziwem znaczeniu tego wyrazu.

— Panie, przyjmij mnie łaskawie do swego łona! jęczał Fellner śmiertelnie wyczerpany i chciał już nawet zaprzestać dłuższej, widocznie bezkutecznej obrony. Wyciągnął lewą ręką ostry, spiczasty kordelas i chciał szybko wpakować sobie klingę w piersi, by nie być poszarpanym przez chciwe krwi stado. — Jednak patrzcie! Wszechmocna Opatrzność nie chciała jego śmierci.

W chwili największej potrzeby rozległ się odgłos trąbki myśliwskiej.

Świeża odwaga, nowe siły ożywiły już zrozpaczonego. Zamiast sobie w serce, wymierzył teraz w piersi jedną z bestyj, która mu już wpoila ostre swe zęby w prawe ramię.

Rozległo się kilka wystrzałów. Wilki pomyślały o odwrocie, — Felner, widząc się ocalonym, stracił przytomność. — Zaczny szwedzki uczoney Runnerström schwycił go w swoje objęcia.

XV.

Osiedlenie z Caprery.

Aby zachować paralellę między pojedynczemi zdarzeniami naszej powieści, i tym sposobem jaśniejszą uczynić całość przedmiotu, wielki już czas, byśmy się obejrżeli za pięcioma nieszczęśliwemi rozbitkami, których straciliśmy z oczu w bliskości małej wysepki Caprery, w chwili gdy naprędee zbita tratwa, podczas pożaru jachtu Wiktorya, nagle rozpadła się na części.

Śmierć zdawała się być nieuniknioną. Okropnie huczały bałwany po blizkich skałach Caprery i pęd silnie wzburzonego morza, gnał ciężkie bałwany ku wybrzeżom. Nawet dla tak silnych i wywiczonych pływaków jak Emanuel i Onofrio, musiało się wydać prawie niemożliwem zadaniem, dopłynąć do lądu; Goldstern, który wcale niebył pływakiem, zostawiony samemu sobie, czekał rychło się stanie ofiarą rozszalałego morza. Przeciwnie Sara i Paulina, które bardzo dobrze pływały, mogły się przynajmniej czas jakiś utrzymać na powierzchni wody, o ileby niestraciły przytomności. Dzielni młodzieńcy w jednej chwili zrozumieli co teraz robić należało. Nie wydawszy jednego głosu porozumienia, co zresztą na nic by się nie przydało, przy huczącej burzy i ryku bałwanów, zbliżył się z tyłu Emanuel do blizkiego już zatonięcia bankiera

i schwycił go za kołnierz, podczas gdy Onofrio rzucił się na pomoc panienkom.

Sara i Palina trzymały się blisko siebie i były już niedalekie obawy śmierci, gdy z regularnego tempa prawidłowego pływania wpadły w owe konwulsyjne bicie wody, które po kilku minutach sprowadza wyczerpanie sił a następnie i zatonięcie.

Skoro jednak spostrzegły Onofria, nabrały nową odwagi, tem więcej gdy widziały, że Emanuel szczęśliwie utrzymuje ich ojca nad wodą, jakkolwiek z nadludzkim wysileniem i poświęceniem własnego życia.

Teraz zbliżała się jednak stanowcza, najniebezpieczniejsza chwila. Fale zanosły już rozbitków na skały, jakie odległe są jeszcze o jakie pięćset sążni od brzegów Caprery. Gdyby się udało schwytać pewną ręką za jeden z odłamków skały i potem dostać się na płaszczyznę, ocalenie byłoby prawie pewnem. Naturalnie musieliby wtedy przepędzić noc całą w położeniu bardzo nieprzyjemnem, ciągle oblewani bałwanami, ale z brzaskiem dziennym, możnaby się spodziewać pomocy z samej wyspy.

Z całą siłą płynął teraz Onofrio przed pannami, by dostać się do najbliższej skały, choćby nawet z niebezpieczeństwem postradania życia przez gwałtowne uderzenie. Młody człowiek w samej rzeczy z taką siłą został wyrzucony na skałę, że mimowolnie wydał bolesny jęk; o mały włos w strasznym tym rzucie nie rozpruł sobie piersi. Jednak szczęśliwie mu się udało rozpaczliwie się przyczepić wystającej skały i nawet

zauważył z radością że nogi jego dotknęły gruntu pod wodą. Zaraz jednak wyciągnął je poziomo. Tymczasem Sara i Paulina, płynące tuż blisko niego, zrozumiały szczęśliwie ten jego ruch. Chwyciły się ubrania i wciągnęły się następnie po jego grzbiecie na skałę.

— W górę, w górę! na płaszczyznę! wołał Onofrio głosem silniejszym od huku bałwanów i ryku burzy.

Panienki nieociągając się skwapliwie zadość uczyniły temu wezwaniu. Płaszczyzna téj skały mogła wynosić z jakie trzydzieści stóp kwadratowych, i przy spokojnem morzu sterczała zaledwle na kilka stóp nad poziomem wody. Teraz jednak ciągle się powiększał przypływ morza i dwie sieroty instyktownie padły na płask i konwulsyjnie trzymały się ostrego kamienia, by nie zostać napowrót porwanemi przez ciągle nadpływające gwałtowne fale.

Onofrio zamiast się teraz także ratować przez wydobycie się na powierzchnię skały, rzucił bystrem okiem w około, i nie zwracając uwagi na jakie się naraża niebezpieczeństwo, rzucił się powtórnie w wodę ze skały. Spostrzegł on, w małej odległości Emanuela, który wprawdzie ciągle jeszcze z trudnością utrzymywał po nad wodą bezprzytomnego Goldsterna, widocznie jednak był już nadzwyczaj zmęczony i za kilka minut musiałby uleść w okropnej walce z rozhukanym żywiołem.

Pewność że dziewczynki są już w miejscu bezpiecznem, i krótki odpoczynek przez chwilę, w której się trzymał skały, dodały dzielnemu Onofrio nowych sił,

i nowej odwagi. Silnemi ramionami przerzynał balwany i szybko zdołał dotrzeć do swego kuzyna, którego silne prądy pędziły na skałę, na której znajdowały się córki bankiera.

— Odwagi, odwagi Emanuclu! wołał Onofrio, i w téj-że chwili, kiedy zaczynał już tonąć śmiertelnie zmęczony i z sił wyczerpany jego kuzyn, schwytał silnie bankiera.

Emanuel, stanowczo zdecydowany wyratować Goldsterna lub razem z nim zginąć, opuścił teraz dopiero bankiera, i rzucił się by nieco wypocząć na grzbiet, jakkolwiek przy takim położeniu ciała groziło mu niebezpieczeństwo niebacznego wyrzucenia go na skałę.

— Na prawo, na prawo! zawołał nagle Onofrio, który z siłą i zręcznością ciągnął przed sobą bankiera.

To wezwanie skłoniło Emanuela, do rzucenia się na piersi i z całych sił pragnął zadośćuczynić rozkazowi tuż przed nim płynącego kuzyna. Skały w pobliżu tworzyły mocno zamknięty bassen, w którym morze zdaje się być zupełnie gładkie. Emanuel znów silną dłońią dodał skutecznej pomocy by bankiera nad wodą utrzymać. Bardzo łagodnie skłaniająca się ku poziomowi wody skała, nie przedstawiała do wydobywania się na wierzch zbyt wielkich trudności, jakkolwiek w każdym razie dość trzeba było dołożyć trudu i baczności, by nieprzytomnego Goldsterna na nią wydobyć!

Tymczasem horyzont się wyjaśnił i księżyc w pełni

rzucał cudownie jasne światło na morze, które powoli zdawało się nieco uspokajać.

Odległość między skałą na której panny się znajdowały, a ową gdzie bezpiecznie złożyli obaj kuzyni bankiera, mogła wynosić zaledwie ze sto kroków.

Sara i Paulina wydały głośny okrzyk radości, kiedy tak blisko zobaczyły Emanuela i Onofria i w środku między niemi swego ojca; obadwaj zaś kuzyni znakami poznać dawali, że stary Goldstern zaczyna już przychodzić do przytomności.

— Moje dzieci! moje dzieci! były pierwsze wyrazy, jakie wymówił bankier słabym głosem. Dwaj kuzyni zwrócili w miejsce odpowiedzi oczy swoje ku skale z której panienki z utęśchnieniem spoglądały w klęczącej postawie.

Stary Goldstern płakał i zanosił się z radości, jak dziecko małe, kiedy dowiedział się, że córki jego są przy życiu; poczem uściskał serdecznie obu kuzynów niezdolny słowa wynowić, by dzielnym, młodym ludziom jak należy podziękować.

Kiedy nakoniec bankier przyszedł do siebie i zimno wstrząsać zaczęło jego członkami, dręczyć go też zaraz zaczęły tysięczne nowe obawy.

— Ach! zawołał po włosku do obu kuzynów: Sara i Paulina pochorują się w swoich wilgotnych ubraniach, Powietrze jesienne jest nazbyt ostre; morze zachowało mi moje drogie córki dla tego tylko, by mi je zabrała zdradziecka gcrączka. O, ja biedny, nieszczęśliwy ojciec!

— Uspokój się pan, drogi przyjacielu! łagodził Onofrio; panny są dobrze zahartowane i odważne. Założę się, że Sara i Paulina najwyżej nabawią się silnego kaszlu i kataru.

— Zwycięstwo! zawołał Emanuel, który spoglądał ku wybrzeżom Caprery, zwycięstwo! Spostrzeżono na wyspie pożar jachtu i zdążają zobaczyć, czy niema jakich rozbitków, potrzebujących pomocy. Spójrzno tam w dali Onofrio — przy świetle pochodni poznają wyraźnie, iż przygotowują kilka łodzi. Teraz właśnie pora wołać głośno jak tylko można.

Trzej mężczyźni potężnem i donośnem *unisono* powtórzyli teraz kilkakrotnie wyraz *aiuto* (na pomoc). Podobnież i panienki zauważyły ruch na oddalonym brzegu i wydały okrzyk radości.

Ponieważ mocno srożąca się do téj chwili burza uspokoiła się prawie zupełnie, pospieszający więc z pomocą mogli usłyszeć wzywające głosy trzech mężczyzn, i zauważono istotnie, że dwie z trzech łodzi zdążyły w prostym kierunku ku wspomnionéj skale. Ponieważ jednak wioslarze płynęli pod wodę, posuwać się więc mogli bardzo powoli. Dzień zaczął już szarzeć, kiedy dążący z ratunkiem zdołali nakoniec wśród niesłychanych wysiłen zbliżyć się do skał na odległość głosu.

Ze szczególną trudnością miała do walczenia łódka, na którą zabrane być miały panny, gdyż w tem miejscu morze uderzało o skały z wielką siłą. Nako-

niec udało się jednak, i łódka obróciwszy się nagle, popłynęła szybko jak strzała.

Łatwiejsze stosunkowo zadanie miała do spełnienia druga łódka, która wpłynęła do wzmiankowanego bassenu, by oswobodzić starego Goldsterna i dwóch młodych marynarzy. Przy sterze téj łódki siedział człowiek, na widok którego obaj bracia Cerotti wydali okrzyk zadziwienia. Głęboki szacunek malował się na ich twarzach i przez chwilę zapomnieli o wszystkim co się zresztą około nich działo.

— To on, to on sam przybył! szepnęli nakoniec do ucha bankierowi, z odcieniem religijnej obawy i wskazywali na człowieka, który spokojnie, jak posąg marmurowy, zajmował swoje miejsce.

Goldstern spoglądał nieco zdziwiony, gdyż wcale nierozumiał coby znaczyć mogło to szczególne zachowanie się obydwóch młodych ludzi. Mężczyzna przy sterze, okryty był nieprzemakalnym płaszczem od którego kaptur miał zarzucony na głowę. Z jego więc twarzy trudno było cokolwiek dostrzedz, tem więcej gdy nosił długi, gęsty zarost. Ten sam spokój, co na twarzy, odbijał się również i w jego ruchach, oko jego jednak błyszczało niezupełnie obojętnie; coś marzycielskiego z niego przemawiało, i widoczne przejęcie się jakiemiś wielkimi myślami, oraz ta pewność siebie, która w pewnych chwilach zdradza siłę Tytanów, niezachwianą energię charakteru.

— On, tak, to on, szepnął powtórnie do ucha Ono-

frio bankierowi — on, *pozbawiony korony król Włochów*, ów bożek swojego narodu, on sam, *Giusepho Garibaldi!*

— Biada, osławiony! mruknął pomimowolnie Goldstern po niemiecku do siebie. Jako krańcowy austriacki patriota, duszą i ciałem, czuł on dotąd nieprzewyciężony wstręt ku znakomitemu mężowi który nosił nazwę Garibaldi. Zupełnie on sobie inaczej przedstawiał śmiałego awanturnika, przed którym drżeli władcy półwyspu Apenińskiego, i którego przyjaźń chętnie by nawet kupił za miliony sam Napoleon III-ci, gdyby przyjaźń jego była kiedykolwiek do kupienia. Wyobrażał on sobie Garibaldeggo jako olbrzyma, ze straszną brodą, z dziką, krwi pragnącą twarzą, i zabijającym wzrokiem bazyliuszka, a nadto naturalnie z ostrym niby żelaznym głosem, któryby przypominał złowrogie krakanie kruka.

Jakże tymczasem łagodnie, jak przyjemnie brzmiał głos człowieka przy sterze, kiedy ten odpowiadając grzecznem kiwnięciem ręki na nieme powitanie bankiera, wymówił kilka słów zaproszenia, by wsiadł do łódki.

Stary Goldstern, wsparty na ramionach Emanuela i Onofria, pośpieszył zadość uczynić temu żądaniu, gdyż łódź w której znajdowały się jego córki dość znacznie się już oddaliła.

W niecałe półgodziny, podczas której kuzyni Cerotti opowiadali o swój strasznój przygodzie dzisiejszój nocy, wylądowano na brzegi Caprery.

Sara i Paulina, które już kilkoma minutami wcze-

śniej na brzeg wysiadły, rzuciły się drogiemu swemu ojcu w szeroko roztwarte ramiona. W pełnem poszanowania oddaleniu, milczący i wzruszeni przyglądali się wszyscy postronni tój pięknej scenie z życia rodzinnego.

Garibaldi zdjął teraz swój płaszcz zwierzchni, co dało nam sposobność bliżej się przyjrzyć jego powierzchowności. Miał na sobie swoją słynną w świecie czerwoną koszulę i szare spodnie, zaś około bioder srebrem wykładany pas skórzany, na którym wisiał na srebrnym łańcuchu nożyk kieszonkowy, dalej czarną jedwabną chustkę na szyi, drugą zielono-czerwoną lekko obwiniętą około ramion, której końce z tyłu spadały i haftowaną czapeczkę na głowie. Garibaldi wzrostu średniego, barczysty, delikatny, choć silnie zbudowany, ma małe ręce, małe nogi, szlachetnie wykrojone rysy, bystry choć łagodny i pelen szlachetnego wyrazu wzrok. Głos dźwięczny przyjemnie w ucho wpadający; wyraz twarzy jego przenikliwy. Wygląda spokojny i łagodny jak baranek, za to na polu walki zmienia się do niepoznania; wtedy podobny jest do rozjuszonego lwa, a głos jego podobny do piorunu.

Jezuici we Włoszech stworzyli legendę, w której na końcu powiedziano: Pewnego razu czart zapatrzył się na anioła, a skutkiem tego miało być narodzenie się Garibaldeggo.

Kiedy już bankier i jego córki do syta wycałowali się i wyściskali, Garibaldi wystąpił kilka kroków naprzód i ofiarował staremu Goldsternowi swój dom

i wyspę na pobyt gościnny, zarazem wyrażając w gładkich, poczoiwych słowach radość swoją, z cudownego ocalenia rozbitków. Obejście jego było tak szczere, tak przyjacielskie i chwytające za serce, że Goldstern czuł się na wyspie, na którą wstąpił zaledwie, zupełnie jak w domu, i tak nabrał dobrej otuchy, jak gdyby się znajdował u starego, serdecznego przyjaciela. W duszy bankier był zdziwiony, że Garibaldi przy całej prostocie i naturalności uderzał pańską godnością i wdziękiem, przymiotami właściwemi tylko *prawdziwej szlachei rodowej*.

Garibaldi podał ramię bankierowi, który był bardzo zmęczony po przestraczu i trudach dzisiejszej nocy. Obok nich postępowali Emanuel i Onofrio z Sarą i Pauliną; dwie parki, z młodzieńcem roztrzepaniem, szczęśliwe iż godzina rozłąki już minęła, zaczęły teraz wysmiewać się z przebytego niebezpieczeństwa i żartowały wzajemnie ze swej bardzo nadwerężonej toalety.

Od miejsca w którym wylądowano, bardzo jest nieznaczna odległość do „pałacu niewieńczonego króla Włochów”. Nie jest to żaden gmach okazały—i gdyby człowiek zamieszkujący go nie był tak bez pretensyi, to możnaby to mieszkanie dla niego, który zdobył królestwo i usunął się, za nieodpowiednie uznać. Garibaldi jednak czuł się tu zupełnie zadowolony i szczęśliwy. Dom ten niema właściwie żadnego stylu. Jest to czworobok około 50 stóp długi; do jednego boku dotyka ogród, dwa inne domy stoją zupełnie bez symetrii w pobliżu; jeden z nich jest na dwa piętra wysoki,

drugiejnopiętrowy, obadwa jednak budynki są ze sobą połączone. Jest tam jeszcze inny żelazny domek, dar Anglii. Dalej znajdują się jeszcze stajnie i stodoły. Na prawo urządzony jest przestronny magazyn, gdzie się przechowuje zbiór wina z Caprery. Tuż pod domem stoi kilka drzew pomarańczowych i figowych, nadto rośnie kilka krzewów winnej latorośli. Z tyłu domu młyn wiatrak do mielenia zboża. Dalej jest jeszcze piekarnia i kilka zachowanek wykutych w skałach.

Po za ogrodem zaczyna się mała, około sześćset kroków długa, urodzajna dolina, doprowadzoua do tego stanu ręką Garibaldegó i która teraz przynosi znaczne korzyści. Kazał on także wykopać kilka źródeł i wielkie urządził cysterny, tak, że na wodzie tu teraz zupełnie nie zbywa, co jednak sprowadziło za sobą nieznaną dotychczas na wyspie plagę moskitów.

Wyspa Caprera, która do roku 1507 należała do Genui, i wraz z tą przyłączona została do Sardynii, ma niecałe cztery mile niemieckie obwodu i liczy 2000 dusz ludności, z której jednak odpada 1800 dusz na stolicę Tratonio, tak, że na wyspie samój mieszka zaledwie rozproszonych parę setek ludzi. U Rzymian wyspa się nazywała Capreria, u Greków Aegilon, wyspa kozia. W pierwszych czasach chrześcijaństwa była ona nieraz schronieniem prześladowanych wyznawców wiary, później służyła za miejsce pobytu licznym anachoretom i była nawet siedliskiem słynnego klasztoru. Dziśjsi mieszkańcy Caprery żyją z rybołówstwa, ho-

łowi kóz, uprawy jarzyn i z handlu wyrabianego na wyspie kosztownego wina i miodu.

Taki jest tedy skromny, prawie ubogi zakątek kraju, który sobie jeden z najznakomitszych mężów naszego stulecia wybrał za ulubione miejsce pobytu.

Gdyby jednakże opuścił kiedy *Cincinnatus* z *Caprery* swoje skromne spartańskie domostwo, z pewnością musiałby się gdzieś na *Terra ferma* Włoszech zdarzyć jakiś bardzo ważny polityczny wypadek, noszący mniej więcej na czole dewizę: *Roma o morte* (Rzym lub śmierć).

Garibaldi przedstawił pięciu niespodzianych gości swoim domownikom, którzy składali się z jakich trzydziestu głów. Z pomiędzy nich musimy szczególnie wymienić panią Deideri, poważną wiekiem genueńską matronę, spełniającą w domu obowiązki gospodyni, dalej Menott'ego, najstarszego syna Garibaldeggo, wysokiego, dziarskiego młodzieńca, który wówczas (mianowicie w r. 1859) liczył zaledwie lat 18. Mówi on trochę po francuzku, zaś dobrze po angielsku. Obejście jego przyzwoite i spokojne. Riciotti, o siedm lat młodszy, jest również piękny młodzieniec, lecz kuleje, ponieważ w dziccinnych latach miał wypadek. Teresa, jedyna córka Garibaldeggo, wówczas dopiero czternastoletnia panienka, miła, łagodna i ładna istota, zaślubiła w kilka lat później niejakiego Canzio, który był podpółkownikiem pod Garibaldim.

Pani Deideri i Teresa były jedyne żeńskie istoty w całym „pałacu nieuwieńczonego króla Włochów“

gdyż kuchnią i wszelkimi innemi robotami zajmowali się przeważnie czerwono-koszulowi Garybaldeczycy, naturalnie dobrze wyprobowani i dla swego „generała“ ślepo zaprzędani ludzie.

Gościom naszym przeznaczono zaraz pokoje i przyniesiono bieliznę i ubranie. Goldstern i córki jego położyły się zaraz do łóżka i spały zdrowo i spokojnie prawie przez dwadzieścia cztery godzin, to jest aż do rana dnia następnego. Emanuel zaś i Onofrio użyli tylko kilka godzin spoczynku, a resztę dnia spędzili w towarzystwie Menottego i Ricciottego.

Ku wieczorowi generał zrobił propozycję, by udać się na połów ryb z lancą przy ogniu, jedno z jego najulubieńszych zajęć w wolnych godzinach. Teresa towarzyszyła panom, po uprzednim przekonaniu się w pokoju, gdzie spały mocno Sara i Paulina, że z dwiema pannami,— z których bliższego poznania bardzo się z góry cieszyła, — dziś już nie będzie mogła nawet porozmawiać.

Czólno, na którem się około pięćdziesiąt sążni na morze odplywa, miało przy sobie z przodu wystającą kratowaną klatkę, w której ciągle się drzewo paliło. Woda była tak przezroczysta, że można było widzieć przy blasku ognia aż na dnie morza. Ryby, niezwykłym widokiem zaciekawione, nadbiegały ze wszystkich stron, a polujący na nie myśliwi czatowali na zdobycz z lancami o pięciu widełkach może na 10 stóp długości i na nie je chwyтали. Zabawa ta należy tutaj do największych przyjemności, połów jednak prawie zawsze

pozostaje bez skutku lub też bardzo nieznaczny, gdyż gdy się tam uderzy, gdzie się widzi rybę, nie znajduje się jój; trzeba do tego właściwój, przez długą wprawę nabytój zręczności, by w głębokości dokładnie potrzebny rzut obrachować.

Z powrotem do domu po tój wyprawie napotkali przewrócone czółno, które Emanuel i Onofrio poznali, że było to samo, na którém zdradziecki Malajczyk z jachtu „Wiktoryja“ przedsięwziął ucieczkę. Prawdopodobnie łotr ten musiał zginąć w nurtach wody. Istotnie to mniemanie potwierdziło się wkrótce; następnego bowiem rana znaleziono jego trupa wyrzuconego przez morze; miał na brzuchu przywiązane kasetki z klejnotami Sary i Pauliny. Wszyscy nasi rozbitkowie przepędzili teraz kilka nadzwyczaj przyjemnych dni na Caprerze. W domu Garibaldeggo panowała prostota połączona z dostatkiem, prawdziwie szlachetna gościnność, bez żadnych wymuszeń, jak to pozna czytelnik z następującego, pełnego prawdy szkicu.

Właściwego śniadania tu nie ma; generał pije zwykle filiżankę mléka lub kawy z rozpuszczoném jajkiem i zwyczajnym chlebem gospodarskim; posiłek ten przyjmuje już o czwartój lub o piątój godzinie zrana, gdyż latem i zimą wstaje bardzo wczesnie. Niekiedy przepędza kilka godzin na dyktowaniu; po większej części jednak wychodzi na pole lub do ogrodu, by obejrzeć robotę. Każdy z domowników opuszcza tymczasem dowolnie swój pokój i udaje się do sali jadalnej na dole, gdzie mu, że tak powiem *a vista* po wejściu,

Ganimed w czerwonej koszuli podaje kawę, jaja i chleb. Następnie każdy przepędza czas swój jak mu się podoba aż do obiadu, o pierwszej godzinie, kiedy cała rodzina, goście i główni członkowie domu, przecięciowo piętnaście do dwudziestu osób, zbierają się razem, i wtedy generał z całą serdecznością i uprzejmością spełnia obowiązki gospodarza. Obiad składa się pospolicie z makaronu, mięsa, ryb, owoców i wina. Garibaldi sam pije wino bardzo rzadko; czuje on się, jak sam utrzymuje, daleko lepiej bezniego. Rozmowa przy stole jest ożywiona i jakkolwiek Garibaldi istotnie nią kieruje, zdaje się jednak, iż tylko mięsza się do niej, tak uprzedzająco przyjmuje każdego uwagi. Słodko i serdecznie rozmawia on ze swemi dziećmi i również uprzejmie i z uszanowaniem starają się te jemu odpowiadać. Po obiedzie wszyscy udają się na otwarte powietrze i wtedy gawędka o polityce. Pospolicie Garibaldi wstępuje na małą chwilkę do stajni by popieścić się ze swoją piękną klaczą arabską, z zadziwiająco mądremi oczami. Aż do wieczora, to jest do szóstej godziny, każdy przepędza czas jak chce. O tej godzinie podają kolację. Składa się ona z tych samych potraw co obiad, ale na zimno. O siódmej godzinie Garibaldi wraca do swego pokoju, jeśli się nie udaje na połów ryb. Na Caprerze jest ogólnym zwyczajem spać chodzić wcześniej, ale także i wstają tu bardzo rano, a mianowicie ze wschodem słońca.

W ten sposób upłynęło naszym rozbitkom całe dwanaście dni, gdyż Goldstern nie chciał mimowolnie

zaprzeczyć kłamliwemu doniesieniu gazet o śmierci jego i córek, jaką najpierw z Livorno w świat puszczono, przez zawczesny odjazd z Caprery. Rodzice wszakże obydwóch braci Cerotti byli listownie o prawdziwym stanie rzeczy zawiadomieni, by niepotrzebnie nie martwili się o swoje dzieci. Tymczasem Emanuel i Onofrio, którzy już od dawna mieli wrócić do Neapolu, umieli codziennie jakiś nowy pozór wymyślić, by swój pobyt na Caprerze przedłużyć. Dla czego — łatwo zapewne każdy odgadnie.

XVI.

Stary nowicyjusz.

Łatwem jest do zrozumienia, że między bankierem i jego uprzejmym gospodarzem, zawiązał się wkrótce bardzo przyjacielski, nawet serdeczny stosunek, jakkolwiek obaj ci mężowie w tak wielu kwestjach, mianowicie co do zapatrywania się i rozsądzania zagadnień politycznych, musieli się zwać antagonistami. Tak np. stary Goldstern był tak zwanym „fanatykiem pokoju“, pokoju za jaką bądź cenę, wprost nie z żadnej innej przyczyny jak dla tego, iż wtedy tak czuły barometr jak giełda najmniejszą chwiejność zdradza i psuje najpewniejsze interesa spekulacyjne. Kto więc ten spokój przywracał i utrzymywał, był jego politycznym

przyjacielem i sprzymierzeńcem. Czy zaś liberalni, torysi lub wigi, republikanie czy monarchiści nadawali ton europejskiej polityce, było dlań z całego serca rzeczą obojętną, byleby tylko górujące stronnictwo nie wywołało wojny lub rewolucyi, gdyż on jako wielki kapitalista i jeden z głównych matadorów handlu pieniężnego byłby przez to narażony na bardzo dotkliwe straty. — Jako milioner był kosmopolitą, a jego przezwanie *teoretyczny* wyłączny patryjotyzm mocno warunkowany, ponieważ zależnym go czynił zawsze *in praxi* od bardzo wielu *gdy* i *ale*. — Jakież to niesłychany kontrast z Garibaldym, który, może nazbyt idealista i marzyciel, *żadnych* względów nie zna i nie szanuje, gdy tylko sądzi iż widzi przed sobą możliwość zbliżenia choćby o krok jeden ludzkości, a mianowicie swojej szlachetnie ukochanej ojczyzny, do wolności i wyższej cywilizacyji.

Bankier był wprawdzie także pod pewnym względem liberałem i stronnikiem mądrego, sprawiedliwego i wolnego rządu, *obawiał* się jednak bardzo w duszy skutków, jakie zwycięstwo społecznej demokracji musiałoby sprowadzić za sobą dla wielkich kapitałów. Z drugiej strony wiemy już jednak, iż, pomimo wielkiego ścieśnienia w swoich politycznych poglądach, bezwarunkowo hołdował zasadom uczciwości, sprawiedliwości i ludzkości, o ile wykonywał je sam jako handlujący i osoba prywatna. W obec wielkich zagadnień chwili, hołdował on także wielkiemu fatalizmowi, który właściwie był tylko naturalnym wpływem jego ścisła

ortodoxyjnych poglądów w rzeczach religiji. Nieograniczona swoboda działania ludzkiej woli, *a więc i nieograniczona wolność myśli*, wydawała mu się himerą, tak znowu jak obraz Jechowy, gdy rozum ośmielał się przyłożyć skalpel krytyki do świętych ksiąg starego testamentu.

Nie mniej jednak czuli ku sobie pewien pociąg sympatyczny stary Goldstern i „niewieńczony król Włochów“. To zresztą wcale nas dziwić nie powinno, gdy się bliżej przypatrzymy tój na pozór psychologicznej zagadce. Obadwaj mieli serca z najczystszej złota.

Szlachetny metal w piersi Goldsterna pokrywała gruba skorupa talmudycznego błota, gęsta atmosfera z nasiąkniętych przesądów, która go ślepym czyniła na tak liczne potrzeby i *kategoryczne* wymagania czasów nowszych i skłaniała go patrzeć na wszystko przez okulary przestarzałego judaizmu. Chrześcijaństwo, naturalnie mamy tu tylko na myśli czyste, niesfałszowane chrześcijaństwo pierwszych wieków, gdyby mu przyszło uważać jako niezaprzeczony postęp do uszlachetnienia ludzkości, byłby poczytał za krzyczące targnięcie się na wiarę przodków swoich; gdyż szanował naukę Mojżesza, jako najzupełniej słuszną i niepotrzebującą żadnej poprawy, nie tylko o ile tyczyła czystej tradycyi, ale przyjmował także społeczne i polityczne zasady zastarzałego judaizmu, które się w talmudzie w tak drastyczny sposób z właściwą nauką wiary mieszały, — jako odpowiednie i właściwe po_ wszystkim

kie czasy, nie zastanowiwszy się, że pewne orzeczenia Mozaizmu, jak np. powstrzymanie się od jedzenia wieprzowiny dla *wszystkich* ludzi żyjących w gorących klimatach, były ważnym sanitarnym zakazem, a które jednak dla stref północnych nie mogą mieć żadnego znaczenia. Zapomniał on, że Żydzi, kiedy im Mojżesz dyktował prawa, byli czysto *teokratycznem* państwem, w którym w interesie władzy kapłanów, nie było żadnego politycznego, oddzielnego prawodawstwa, ale wszystkie przepisy i zwyczaje nosiły na sobie cechę religijną. — Uparte więc obstawanie przy takich zestarzanych despotycznych zwyczajach, których kiedyś zdrowe korzenie dawno już obumarły, musi prawowierny judaizm stawiać w rozdwojeniu z nowożytnym judaizmem i zawsze stawać będzie na przeszkodzie żydom do zdobycia sobie *moralnego* prawa obywatelstwa; kiedy już dawno, jak tego domaga się słuszość i sprawiedliwość, *państwowe* zyskali.

Z drugiej strony Garibaldi jest wolnomysleca w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu; jemu majaczy zawsze ideał ludzkości przed oczami; nie ma dla niego żadnych ras, żadnych narodów, kiedy wypada ludzi jako takich uważać. Jego teoretyczne zapamiętania, jakimi ludzie i państwa być powinny, są wyborne, pełne idei wzniosłych, szlachetnych, ale jak tylko sam przyłoży rękę do wielkiego dzieła humanitarne lub politycznego odrodzenia, nigdy plany jego nie są uwieńczone żądanym skutkiem; cały świat dziwi się temu i za powód stawia zewnętrzne okoliczności. Je-

dnak przyczyny w nim samym szukać należy, gdyż nie wtajemnicza się nigdy prawie należycie w istniejące stosunki jakie chce zmienić. Skoro nim oładnie jakaś wielka, podniosła idea, chce ją zaraz także w czyn wprowadzić i nie pyta się nawet czy czas i okoliczności są ku temu pomyślne; dalej za zbyt wiele dobrej wiary pokłada w człowieku, który oładnął losami świata i nigdy się nie posługuje zwykłemi machinacyjami i bezecnemi podstępami, do jakich ucieka się przeciw niemu bez skrupułu sumienia jego przeciwnik. Walczy więc zawsze z przodu zupełnie nierówną bronią, zwłaszcza gdy zwykle bierze się do rzeczy załedwie w połowie przygotowany.

Zbývá mu także na włściwych talentach wodza armiji; jest on zręczniejszy, daleko niebezpieczniejszy stronnik — jak Frenck, Schill i Lützow, ale nie Turenusz, nie książę Eugenjusz, nie Laudon, że przemilczę o Napoleonie i Fryderyku Wielkim. Jego osobista dzielność zostanie wszakże niezaprzeczona. Jest on bohater, jak towarzysze Ajaksa i Rolanda, ale nie jest ani półbożek, ani djabeł. Należy on do owych wyjątkowych charakterów, które całe życie poświęcają jednej wielkiej, szlachetnej myśli. Czyny jego dowodzą, że jest republikaninem, ale dowodzą one także, że jest przedewszystkiem zagorzałym patryjotą.

Widoczna z tego, że Garibaldi i Goldstern, który po włosku rozmawiał się bardzo płynnie, bardzo często ostre staczali utarczki w swoich rozmowach, bez obrażania się wszakże lub złośliwych przycinków. Po

paru dniach zaledwie, bankier postanowił sobie nie rozmawiać z Garibaldim o polityce, lub bronić swój ukochanej Austryji, gdyż generał, jak tylko nazwę Austryja usłyszał, wpadał w wielkie wzburzenie, a następnie w głęboki smutek i zadumę.

Wspomnienie na Austryję bowiem odświeżało zaledwie zabliźnioną ranę w jego sercu. — Musiał mimowolnie pomysleć o śmierci swój ukochanej Florydy, która w ucieczce przed grożącą mu szubienicą, zmarła przy przedwczesném rozwiązaniu. — Będzie tu na miejscu, o ile można jak najkrócej, dać główny zarys wypadków z życia tego znakomitego człowieka.

Giuseppe Garibaldi urodził się w Nicei 4 lipca 1807 roku. Jako syn marynarza, prawie dzieckiem jeszcze wstąpił do sardyńskiej wojennej marynarki, w której się kilkakrotnie odznaczył nieustraszonścią i wytrwałością. W roku 1834 udział jego w spisku Genuenskim zmusił go uciekać do Francyi; ponieważ jednak niepodobną było rzeczą, by człowiekowi tak ognistego ducha jak Garibaldi podobać się mogło pod obłudną dynastją lipcową Orleanów, zwrócił się więc do Tunisu, którego Bej powierzył mu dowództwo na fregacie. Po kilku miesiącach jednak udał się do Południowej Ameryki. Przybywszy do Montevideo, wstąpił do służby rzeczypospolitej Uruguay a jego wysokie zdolności zjednały mu wkrótce naczelne dowództwo nad całą eskadrą, działającą przeciw Buenos-Ayres. Po blokadzie Montevideo przez statki angielskie i francuzkie, bronił się Garibaldi w wojnie lądowej przeciw

dyktatorowi Rosas, przyczem w tych dzikich okolicach wykształcił się na skończonego dowódcę gerylasów. Żona jego Floryda, Kreolka, dzieliła, tak w południowej Ameryce jak i później we Włoszech, niebezpieczeństwa i znoje śmiałych jego wypraw. Wiadomość o wypadkach w 1848 roku we Włoszech, spowodowała go napowrót do Europy i podczas wybuchu wojny między Piemontem i Austryą wpadł ze swoim wojskiem z ochotników do południowego Tyrolu. Kiedy w r. 1849 Rzym ogłoszony został rzecząpospolitą, Garibaldi poświęcił się jako generał dywizyi na obronę nowego państwa. W dniu 30 kwietnia 1849 r. zgotował francuzom ciężką porażkę, tak, że generał Oudinot musiał pomyśleć o odwrocie. Dnia 9 maja zniszczył z garstką 3,000 ludzi całą neapolitańską brygadę podwójnej siły. W czasie zdradzieckiego napadu, jaki przedsięwzięli Francuzi na Rzym 3-go czerwca 1849 r. jemu tylko zawdzięczać należy, że miasto nie padło ofiarą i Francuzi przystąpić musieli do formalnego oblężenia, które pomimo przewagi nieprzyjaciela trwało całe dni trzydzieści. Garibaldi nie przyjął wyastosowanėj do niego propozycyi o kapitulacyją; na czele 2,500 żołnierza piechoty i 400 kawaleryi opuścił Rzym i rozpoczął swój znany światu odwrót do San Marino, gdzie wszedł 31 lipca. Tutaj musiał on swoje osłabione wojska usunąć przed przemagającą siłą Austryjaków. Zaledwie z 200 ochotnikami, którzy dobrowolnie się do niego przyłączyli, przedostał się Garibaldi w sposób szalenie awanturniczy na brzegi

Adryjatyckiego morza i udało mu się popłynąć do Genui. Po téj ucieczce zmarła jego żona Floryda w godzinę po urodzeniu chłopczyka. Z Genui udał się Garibaldi do Północnej Ameryki. Po dłuższym pobycie w New-Yorku udał się do Kalifornii gdzie na początku 1852 r. objął dowództwo nad jednym Peruńskim okrętem, na którym przedsiębrał różne podróże do Chin i Oceanu Spokojnego. Tam rzeczpospolita Peru ofiarowała mu naczelne dowództwo nad swemi wojskami, które jednakże zaraz po roku złożył i powrócił do Genui. Hrabia Cavour, mądrzejszy i przezorniejszy od swego poprzednika, ocenił wartość człowieka takiego jak Garibaldi, przy przeprowadzeniu planów swojej polityki. Zaprosić tedy kazał Garibaldeggo, by powrócił do Europy i dopomógł o ile mógł do osiedlenia go na Caprerze, by w razie potrzeby mieć pod ręką najpopularniejszego człowieka we Włoszech, nie dając Austryi jawnego powodu do rekryminacyi.

Tymczasem pomyslna chwila dla szerokich zamiarów Cavoura daleko bardziej była odległą jak się spodziewał tego ów równie przebiegły jak śmiały polityk, właściwie założyciel dzisiejszego królestwa Włoskiego. Musiał więc także i Garibaldi odgrywać rolę swoją jako spokojny rolnik przez prawie lat 5, mianowicie do roku 1859, kiedy król Wiktor Emanuel udzielił mu rangę generała wojsk Sardyńskich i dał mu wszelką władzę i środki do uorganizowania wojska z ochotników. Ta armja z ochotników, otrzymawszy nazwę „strzelców Alpejskich“, miała przedewszystkiem za cel, zbun-

tować Lombardyję i o ile można najbardziej utrudnić stosunki Austrii z Tyrolem. Młodzież włoska w tak wielkiej ilości zbiegała się pod jego sztandary, iż w wyborze żołnierza bardzo mógł być grymaśnym i jego armja ochotników, której siły pierwiastkowo tylko na 400 ludzi obrachowane były, liczyła po bitwie pod Magenta przeszło 12,000 głów! Pod Castenedolo, gdzie Austryjaków zanadto gorąco napadł, by im przeciąć odwrót, zgotował mu 15 lipca 1859 r. cesarski generał Urban znaczną porażkę, po której nastąpiła druga, 18 czerwca, pod Dezenzano.

Nieprzewidziane zawarcie pokoju w Villafranca dało mu możność, wrócić dawną sobie chwałę, ciężko przyćmioną przez wspomniane powyżej dwa niepowodzenia. Ze smutkiem usunął się na Caprere, gdyż nie mógł darować sobie, że Francya za udzieloną pomoc, porachowała się z Sabaudyją i Niceą; jest to chwila, w której właśnie Goldstern zrobił z nim znajomość. — Zwycięstwa jego w Sycylii i Kalabryi, przez które zupełnie bez żadnych własnych widoków podniósł Wiktora Emanuela na króla całego półwyspu, jak również jego tragiczne zdarzenia pod Asferemonte i Mentaną, należą więc do późniejszej epoki, o której nie będzie bez interesu dla naszego opowiadania, jeśli choć pobieżnie wspomniemy.

Goldstern z całą otwartością i wylaniem się opowiedział „osiedleńcowi z Caprery“ swoje tajemnice familijne, i Garibaldi zgodził się zupełnie, żeby jakiś czas nie wspominał o mniemanej śmierci swojej i swo-

ich córek, mianowicie dopóki okoliczności nie pozwolą mu energicznie wystąpić zaczepnie przeciwko swoim nieprzyjaciołom, gdyż walcząc tylko odpornie z niewidzialnym i nieschwytanym jeszcze nieprzyjacielem, musiałby niechybnie upaść. — Garibaldi zapewnił go więc uroczyście, że ani przez niego, ani przez nikogo z jego domowników, tak teraz jak i nigdy nie będzie puszczo-
na w świat wiadomość, o ocaleniu bankiera. — Co do najbliższego celu swojej podróży, nie mógł się jeszcze Goldstern stanowczo zdecydować. Miał on dla siebie i swoich córek wybrać na mieszkanie czasowe jakąś odległą i mało odwiedzaną okolicę, by tam pod przybranym nazwiskiem ściśle zachować incognito; przytém nie mógł jednak spuszczać zupełnie z uwagi dalszego postępu w naukach Sary i Pauliny. — Garibaldi doradził wreszcie Maderę lub którąś z wysp Azorskich, z powodu ich prawdziwie rajskiego klimatu w porze zimowej, Goldstern zdecydował się na należącą do wysp Azorskich wyspę San-Miguel, dla miejscowych źródeł gorących, tym więcej gdy już mu tak dobrze pomogło krótkie użycie wód w Ischia. Ponieważ podróż na wspomnianą wyspę należało odbyć pod najściślejszém incognito, przyjął więc bankier życzliwą propozycję swego uprzejmego gospodarza, że ten ostatni wynajmie piękny jacht „Florytę“, która dla zupełnego przygotowania się do odległej podróży natychmiast do Livorno wysłaną została. Kapitan jachtu, stary i dzielny towarzysz broni Garibaldegó, miał zabrać ze sobą kompletne eleganckie umeblowanie i o ile będzie mógł wyszu-

kać najlepsze pianino, gdyż Goldstern zamysłał na San-Miguel przepędzić przynajmniej rok lub dwa lata. Jednocześnie napisał do jednego ze swoich przyjaciół w Angliji, by ztamtąd wprost na San-Miguel wysłał zdolną nauczycielkę muzyki, dla dalszego kształcenia istotnie wysokich muzycznych zdolności Sary i Pauliny.

Po takich przygotowaniach, mógł Goldstern odjazd swój z Caprery w pierwszych dniach grudnia wprowadzić w wykonanie.

Już dawno zaniechał Garibaldi wchodzić w rozprawy polityczne z krańcowym konserwatystą, bankierem, gdyż porozumienie się między tymi dwoma ludźmi było zupełnie niemożliwe, ponieważ każdy z nich wychodził z zupełnie innych zasadniczych zapatrywań, naturalnie więc przychodzić także obaj musieli do zupełnie innych wniosków. — Garibaldi mianowicie bronił prawa narodów, podczas gdy bankier wszelki krok gwałtowny, bądź to w życiu obywatelskim, bądź w publicznym uważał za *zbrodnię* i tylko zalecał powolny zwrot do lepszego w życiu państwowym na podstawie obowiązującego prawodawstwa.

Garibaldi, który zresztą bardzo chętnie ze starym Goldsternem przestawał, gdyż cenił jego charakter, postanowił tedy ze swoim gościem tylko w takich przedmiotach rozmawiać, gdzie kwestyje polityczne zupełnie zostawały na boku lub tylko na drugim planie. W ten sposób pewnego dnia niespodzianie zeszła rozmowa na

wolnomularstwo, którego istota i znaczenie dotąd bardzo niejasno się bankierowi przedstawiały.

„Osiedlenie z Caprery“ wpadał w zapał, ile razy na ten temat wchodziła rozmowa. Garibaldi jest bowiem *wielkim mistrzem* i należy do *odrodzonych wolnomularzy*, którzy się od niedawna we Włoszech zupełnie wyróżnili od fałszywych wolnomularzy-węglarzy, coraz bardziej się zbliżając do idealnego, czysto kosmopolitycznego kierunku, do jakiego dąży i *niemieckie wolnomularstwo*.

Ponieważ wielu z naszych czytelników w kwestyi wolnomularstwa może się znaleźć w takim samym położeniu co i Goldstern, mianowicie pod wpływem przesądów, sądzimy, że powtórzenie małego sporu naukowego, jaki powstał pewnego wieczora między Garibaldim i bankierem w kwestyi wolnomularstwa, zarówno będzie dla nich rzeczą pożyteczną jak interesującą.

Jakśmy już kilkakrotnie wspominali, stary Goldstern trzymał się całą siłą i niewzruszoną wiarą, maksym staromojżeszowej wiary, tak, że w rzeczach tyczących się wiary tam tylko szedł za radą rozsądku gdzie nie było nic przeciwnego podaniem starego testamentu.

Przeciwnie Garibaldi hołdował *bezwarunkowej* wolności myśli, i jakkolwiek nic nie miał przeciwko pojedynczym wyznaniom, wszelako stawia on jedyne prawo moralne po nad wszystkie religije pozytywne, zawsze przytém powstając gwałtownie przeciw fanatyzmowi wiary, który, jak historyja istotnie uczy, spowodował w świecie bardzo wiele złego.

Czyż sądy kacerskie, rzekł wpadając w zapał Garibaldi, a mianowicie chciwa krwi inkwizycyja, nie dokonywała wszelkiego rodzaju okrucieństw, mordów i postępów; czyż nie uczyniono tego sprzymierzeńca i anioła ludzi sędzią i katem, czyż chciwe majątków i władzy duchowienstwo nie uczyniło wszystkiego, by zniszczyć pokój i dusz harmoniję? Jakież karykatury i widziadła stwarzano, by przez wiarę rozum ujarzmić? Wolnomularstwo prawdziwe nie pyta się o wyznanie tego, kto chce należyć do tego wielkiego związku braterskiego, ale pyta się tylko, czy *odwieczne* prawo moralne, jakie Stwórca złożył w duszy naszej, uznaje tenże jako najwyższe prawo wszystkich swoich postępów. Podczas więc gdy inni kłócą się i napadają na siebie z powodu religiji, ponieważ stawiają wyżej formę od rzeczy, prawdziwi wolnomularze postępują zgodnie z jej przepisami; wprawdzie nie mówią wiele o nich, ale wykonywają je w praktyce przez samopoznanie, uszlachetnienie się i czystą miłość bliźniego.“

— Chcę zgodzić się, odparł bankier, że wolnomularstwo nie dotyka religiji, ale jestem zdania, że zawsze jój pewną szkodę przynosi.

— Mój kochany przyjacielu! odrzekł z zapałem Garibaldi, najpiękniejsza roślina więdnije i ginie przed czasem, gdy jój brakuje właściwego gruntu, potrzebnych soków żywotnych. Tak samo wyradza się i religija, gdy nieznajduje w sercu żadnego poświęconego przybytku. Judasz szedł przy boku swego pana i mistrza, nie mogła wszakże wzniosła religija Chrystusa

przeniknąć do jego serca; był i został zepsuty trucizną namiętności. Kto więc moralnie nizko stoi, o jego religijnej doskonałości musielibyśmy wprost powątpiewać, choćby najbardziej sumiennie spełniał pozory swęj słuźby boźej, gdyż o ile jest prawdą, że im więcej wybitną jest strona religijna człowieka, tém czystszym jest jego sposób życia, to zawsze niewzruszoną pozostanie zasada, że: Im serce bardziej jest szlachetne i cnotliwe, tém jaśniej i dokładniej odbija się w niem religija. A ponieważ wolnomularze przedewszystkiem starają się utrzymać czystość zwierciadła duszy, są więc właściwie prawdziwymi fundamentami dla religiji. — Jeszcze więcej, mój kochany przyjacielu, którego tak chętnie także chciałbym powitać jako „brata“; wolnomularstwo prowadzi prostą drogą do przybytku religiji, na górę wiary, a jakże rozmaicie przychodzą tam ubodzy, których serce nie jest ożywione dobroczynnem tchnieniem wolnomularskiego ducha! Jedni wdrapują się z trudnością na wyżyny wiary z matowém, zachmurzoném spojrzeniem i potém łatwo ukazują się im chmurne obrazy, lub przybywają z sercem moralnie zepsutém, nieznanjącém nic świętego; ci godni pożałowania biedacy nie ujrzą niebiańskiego światła prawdziwéj wiary, gdyż kto ze sobą samym, ze swoim lepszym ja, raz rozbrat uczyni, dla tego już wszystko stracone. Inni nakoniec przybywają na górę wiary z sercem skołatanem namiętnościami. — Wolnymularz przeciwnie, z jasnym spojrzeniem i czystą duszą napawa się tysiącami pięknych obrazów, które mu jego zmysł duchowy na

wyżynie prawdziwej wiary wskazuje i podczas gdy wzrok jego przenika w krainy nieskończoności, nie lęka się by go zwątpienie lub lekkomyślność strącić mogły w przepaść namiętności, gdyż on opiera się na podwalinie wolnomularstwa, od którego bezsilnie odbija się surowe zaślepienie fanatyzmu.

— Wszystko to brzmi bardzo pięknie, pomyślał bankier, na którego zapal mowy nie pozostał bez wpływu — ale dodał Goldstern poważnie, ale, przypuściwszy nawet że wolnomularstwo nie jest niebezpieczne dla religiji, sędzę jednak, że ono nie zgadza się z dobrem państwa. Ja nie należę wprawdzie do owych zarówno głupich jak zażartych przeciwników wolnomularstwa, którzy utrzymują, że ono z dawien dawna było przytułkiem wszystkich politycznych i religijnych knowań. — Moje myśli zwracają się tylko na okoliczność, że wolnomularstwo jest państwem w państwie, związkiem wyjątkowym, który tajemnie działa i spiskuje.

— Cieszy mnie to, odrzekł bez namysłu Garibaldi, cieszy mnie to nieskończenie, że pan sam podzielasz ten wstręt. Przedewszystkiem jednak musisz pan od tego, co panu powiem, ściśle odróżnić polityka Garibaldego od Garibaldego wolnomularza. Pierwszy znajduje się w położeniu przymusowém, jakie stworzyły okoliczności, i wierzaj mi pan na moje słowo, że ten tak często osławiony Garibaldi znosić musi gorzkie wypominania od swego sobowtóra, lepszej części swego sobowtóra, lepszej części swego ja, wolnomularza

Garibaldegogo. Jednak do rzeczy. Jeśli pan utrzymujesz, że wolnomularstwo, jest państwem w państwie, to sądzisz pan widocznie, że ono ma z państwem jednakowe poglądy i dążności, *podobne* stosunki i środki, podczas gdy ono od państwa tak jest *różne*, jak może tylko być różną kiedykolwiek jaka instytucya. Państwo zajmuje się interesami kraju, wolnomularstwo interesami świata i ludzkości; państwo zajmuje się przedewszystkiem materyjalnym dobrobytem narodu, wolnomularstwo tylko *duchowym*. Państwo musi czasami wojnę prowadzić, bronić swojej własności, swego prawa, — wolnomularstwo przeciwnie nie posiada ani piędy ziemi, nie zna żadnych rozdrożeń ani sporów między narodami. Państwo musi wymierzać kary i nagrody; prawdziwe wolnomularstwo nie zna ani jednych ani drugich; państwo musi uwzględniać wyższych i niższych, panujących i poddanych, podczas gdy w związku wolnomularskim istnieje *równouprawnienie*, gdyż nawet różnice, jakie się spotyka między braćmi w urzędach, oznakach honorowych i w spełnianiu czynności szczególnego rodzaju, mają włoży na czas „pracy“ swoje znaczenie. W prawdziwem więc wolnomularstwie nie ma żadnej hierarchii, gdyż wszystkie tak zwane *prawa* urzędówłoży, są właściwie tylko *obowiązkami*.

— O, tak szybko nie zwijam bandery, zawołał żywo bankier, przeciwko temu, co pan dotąd powiedziałeś we względzie uprawnienia wolnomularstwa, nie mogę naturalnie stawić żadnych przeciwnych danych,

gdyż pan umiałeś mnie przekonać. Ale teraz uważaj pan, teraz ja zatoczę moje ciężkie działo. Zobaczymy czy nie zostanę panem pola. — Pan utrzymujesz, że wolnomularstwo pisze na swoim sztandarze: *wolność, równość i braterstwo*. Czy tak?

Garibaldi potwierdzająco skłonił głowę.

— Otóż mam teraz pana w pułapce, śmiał się stary Goldstern; dowiodę panu, że wolnomularstwo z podobną tendencją, zupełnie niepostrzeżenie szerzy w państwie rozdzielenie i niepokój. Kto, jak wolnomularz, tak często ma do czynienia z ideami wolności i równości, kto ciągle się nimi przejmując, ten zechce wprowadzić je w życie. Idee te nawet w formie zupełnie niewinnej, są zaraźliwe i podobne do chrób szkodliwych i sądzę, że tej nowożytniej epidemiji, która już jako społeczna demokracja zaczyna się stawać bardzo nieprzyjemną, możnaby jedynie radykalnie zaradzić przez powszechne zniesienie wolnomularstwa.

— Pan mięszasz jednak prawdziwe wolnomularstwo z fałszywem, odrzekł uśmiechając się Garibaldi, pierwsze nigdy nie bierze udziału w przewrotach politycznych, ani ich nie wywołuje. Co ja np. w tym kierunku dotąd uczyniłem, nie stoi w związku bynajmniej z moim charakterem wolnomularza i jak już nawet panu wzmiankowałem, z powodu tego podwójnego mego przymiotu miałem już różne kolizyje obowiązków. *Prawdziwe wolnomularstwo* nie tworzy więc nigdy żadnego właściwego stronnictwa i nawet nie może nigdy

go tworzyć ze względu na swoją istotę i swój cel, gdyż ono jest owém pragnieniem ducha, które wszystkie stronnictwa łagodnie owiewa i przy wszystkich swoich walkach nie zapomina iż działa w imię ludzkości. *Prawdziwy wolnomularz tęskni za urzeczywistnieniem się ideału świata* i na ziszczeniu tego ideału opiera swoją dumę, całe swoje szczęście duchowe. Spory zaś, bezprawia, niepokój, rozlew krwi, ucisk, zawiści i szafy, nie mogą nigdy do ideału doprowadzić, ztąd żadne z nich nie jest przedmiotem wolnomularstwa. Nadto wolnomularstwo naucza, by na nieszczęśliwe losy narodów patrzeć spokojnie, jak na burzę przeciwko której walczyć ze ślepem szaleństwem byłoby nierozsądkiem. Ale jest zdrgugiej strony nadzieja, że *moralny porządek* świata ciągle się na nowo odnawia, że przygnębione prawo znowu powstanie, kłamstwo i oszustwo w państwie i kościele znikną, same przez się, jedynie siłą prawdy. A co się tyczy właściwego źródła każdej rewolucyi mianowicie *niezadowolenia*, to nie może go żadna instytucja lepiej zatamować jak wolnomularstwo. Ono to przecież coraz bardziej pracuje nad spokojem ludzkości; ono stara się goić rany, jakie trudne stosunki świata zewnętrznego jój zadają. Jednak do czego słów tyle — przypominam sobie właśnie, że posiadam w mojej biblijotezce całą mowę w loży, jaką w roku 1857 miał książę Ernest Sachsen-Coburg-Gotajski przy wstąpieniu do związku wolnomularskiego. Ja panu tę mowę, jak również i innych kilka specjalnych pism o wolnomularstwie dam do przeczytania, a na zakon-

czenie naszej dzisiejszej pogawędki następne tylko słowa powtórzę, które mi z mowy wspomnianego księcia niezatarcie w pamięci pozostały: „W związku, mówił ów znakomity człowiek, w związku jesteśmy równi bracia; różnica stanów znika, człowiek ma do czynienia z ludźmi i tylko moralna i duchowa wyższość ma tu znaczenie. — *Książęta są z rodu wolnomularzami*, gdyż ich obowiązki są ni mniej ni więcej jak wolnomularskie.

— Łoża kształci w harmonijném badaniu natury, rozumu i wolności; państwo obejmuje w sobie wielkie masy w ogóle, a kościół przygarnia tylko do siebie wyznawców wiary.“

— Jak co? zawołał bankier zdumiony i jego twarz dziwnie się przedłużyła — książę, niemiecki książę, wylegitymowany, książę z Bożej łaski tak powiedział? Ho, ho, musisz mnie pan bliżej nieco zapoznać z tym przedmiotem.

— Dobrze, zauważył śmiejąc się Garibaldi, ponieważ pan tak wielką zdajesz się przywiązywać wagę do powagi głów koronowanych, to wskażę panu jeszcze drugiego człowieka, który, wraz z cesarzem Józefem II, niewątpliwie był największym despotą swego wieku, należał do najgorliwszych jego członków, a przecież z pewnością nie otaczałby opieką swą osobistą związku niebezpiecznego dla państwa. Na wieki ztąd pamiętne zostaną słowa króla Fryderyka, we względzie uorganizowania we wszystkich swoich państwach związku wolnomularstwa. „Towarzystwo, brzmiały własne słowa wielkiego króla, które nad tém jedynie pracuje, by

wszystkie rodzaje cnót w moich państwach zakwitły i wydawały owoce, zawsze liczyć może na moją opiekę. Jest to zaszczytne zadanie każdego króla i nie cofnę się nigdy, od spełnienia go zupełnie.“ A teraz, drogi przyjacielu, chodźmy do mojej biblijoteki. Za kilka dni, skoro się sam przekonasz i pozbędziesz dotychczasowych pojęć o prawdziwym wolnomularstwie, będziemy mogli dalej rozprawiać o tym przedmiocie. Jestem pewny, że się pan po tém sam u mnie, wielkiego mistrza, zameldujesz jako *nowicyjusz*.

— Byłbym nieco za *starym nowicyjuszem*, odrzekł bankier wesoło, ale lepiej późno, jak nigdy służyć prawdziwie dobrej sprawie lub być wyprowadzonym z błędu *Vederemo!*

XVII.

Religijne rozmyślenia.

Podczas następnego dnia, który Goldstern przepędził na gorliwym czytaniu kilku książek, traktujących o wolnomularstwie, nie próżnowały i dwie młode, kochające się pary. — Między Sarą i Emanuelem, jak i Panliną i Onofrio nastąpiły już oświadczyzny i teraz tylko nad tém się naradzano, kiedy by oznajmić papie Goldstern o zawartym podwójnym związku ich dusz. Wprawdzie uważali oni krok ten, za proste tylko do-

pełnienie formalności, gdyż Sara i Paulina wiedziały bardzo dobrze, że ojciec kocha je nad życie i nigdy jeszcze nie odmówił ich choćby na pół tylko rozsądnemu życzeniu. A coż mogło być rozsądniejszego w oczach zakochanych pańienek, jak wyjście za mąż, tém więcej gdy nie tylko świat cały, ale i sam teść *in spe* już kilkakrotnie, o przedmiocie wyboru swoich córek w bardzo chwalebny sposób się wyraził? Bracia Cerotti i ich żony byli dokładnie powiadomieni o staraniach swoich synów zaraz od dnia, odkąd datuje się znajomość młodych ludzi w Neapolu. Ale wszystkie te osoby niezwróciły uwagi na jeden punkt, a właśnie najgłówniejszy; spuścili mianowicie z uwagi, że bankier był żydem prawowiernym najczystszej wody i samo się przez się rozumie, iż uważał za rzecz konieczną, żeby córki jego tylko za współwyznawców wyjść mogły. Zresztą stary Goldstern we wszystkim, co się tyczy miłości, był naiwny i niedoświadczony jak dziecko. Cieszyło go i schlebowało jego dumie ojcowskiej, że dwaj tak piękni młodzieńcy, jak Emanuel i Onofrio, składają chołdy jego córkom. Serce jego nadto przepelnione było wdzięcznością dla dzielnych ludzi, którzy jego i jego dzieci w sposób prawdziwie bohaterski wyratowali od pewnej śmierci i nawet nie chciał pozostać dłużnym ze swą wdzięcznością. Umyślił on już sobie, tak dla Emanuela jak dla Onofria kazać całkowicie uzbroić w podarunku po zupełnie nowym trzymasztowniku. Emanuel i Onofrio postanowili prosić generała, aby wstawił się za nimi do starego bankiera. Usta Garibaldeggo na

taką propozycję ściągnęły się do szczególnego uśmiechu. Wprawdzie wcale nie odmówił, dodał jednak, przybierając nagle minę poważną:

— Cieszyłoby mnie bardzo, gdybym panom, dzielnym synom młodych Włoszech, mógł dopomóc do waszego związku, ale lękam się bardzo, czy po stanowczej odmowie nie będę zmuszony ustąpić.

— Niepodobna! zawołali razem młodzi ludzie i na ich twarzach odbiło się zadziwienie i niepokój.

— Zapominacie, moi kochani panowie, o różnicy wyznania, jaka istnieje między wami i pannami, odrzekł spokojnie Garibaldi.

— O tém nawet i wspominać nie warto, podchwycił Emanuel swobodnie oddechając, — jakież nieoświecony człowiek mógłby brać to za powód w naszym stuleciu? Co do tego, kuzyn mój i ja dawno już porozumieliliśmy się z Sarą i Pauliną. W razie gdyby katolickie duchowieństwo stawiało nam trudności, zawrzemy ślub cywilny.

— To jest, rzekł Garibaldi ze znaczącą intonacją w głosie, jeśli bankier nie będzie miał nic przeciwko temu.

— O! zawołał śmiejąc się Onofrio, dla czegoż on nie miałby się zgodzić, kocha nadewszystko swoje córki i nas poważa. Czyż nie powtarza zawsze, że pragnie tylko szczęścia Sary i Pauliny, i czy nie powiedział wyraźnie wczoraj przy obiedzie, że przyjąłby mile za zięcia nawet żebraka, gdyby to był tylko zacny człowiek.

— Ale zarazem—żyd, zauważył sucho Garibaldi, ten dodatek pominął pan Goldstern z pewnością tylko dla tego, iż rozumie się on sam przez się.

Przekonanie, z jakim mówił Garibaldi, mocno zakłopotало obu kuzynów. Spoglądali na siebie wzajemnie, i trudno im było coś powiedzieć. Czuli oni, że doświadczony i bystry generał nie odzywałby się w ten sposób bez ważnej przyczyny. W słodkiem upojeniu pierwszej miłości, nie mieli jeszcze ani chwili czasu do zbadania gruntownie właściwości charakteru bankiera, tak brali oni nawet prawdziwie ojcowską życzliwość i serdeczne zaufanie, z jakim się zawsze Goldstern z niemi obchodził, za stanowcze przyzwolenie na ich zamiary, również prawie byli pewni, że bankiera dawno już musiała uderzyć serdeczność ich stosunków z Sarą i Pauliną. Garibaldi spojrział na zegarek, była już trzecia godzina po południu.

— Czekajcie mnie z powrotem w ogrodzie, rzekł do nich uprzejmie, pójdę bankiera odwiedzić w jego pokoju i zobaczę, co się dla was zrobić pozwoli.

Ze spuszczonei głowami wysunęli się zcicha Emanuel i Onofrio. Spotkali w ogrodzie Sarę i Paulinę, które z Teresą, córką Garibaldegó, serdeczną już zawiązały przyjaźń, gwarzące i płasające wesoło. Trzy panienki, jedna dziecinniejsza od drugiej, goniły się i skakały po ogrodzie jak swobodne sarenki. Właśnie Sara wyrządziła dwóm innym złośliwego figła, i teraz schwyтана, za karę, miała być przez całą godzinę przywiązana do drzewa. Ponieważ naturalnie Emanuel za-

raz wziął stronę swojej ukochanej, podczas gdy Onofrio ujął się za pokrzywdzonymi, które jeszcze się z wody strzepywały, jaką ich Sara z tyłu obficie z poléwaczki oblała, gonitwa więc była coraz zaoieklejszą i skończyła się dopiero ucieczką oblaných wodą, kiedy Teresa przybiegła z sikawką ogrodową i nielitościwie skierowała ją na Sarę i Emanuela, przyczém jednak nie mogła odmówić sobie złośliwej przyjemności, by nie poczęstować silnym promieniem wody i swoich sprzymierzeńców, co spowodowało szybkie zawarcie pokoju między dotychczasowymi przeciwnikami, którzy téż teraz połączonymi siłami o władnęli sikawką i złośliwą Teresę zmusili do szybkiej ucieczki.

Tego rodzaju figle i sceny przytrafiały się młodym ludziom prawie codziennie, i zwykle brali w nich udział także bracia Teresy, Menotti i Ricciotti. Dzisiaj jednakże obadwaj nie znajdowali się na Caprerze. Byli oczekiwani z powrotem z Livorno na jachcie, który bankiera miał zawieść na wyspy Azorskie, jak nam już wiadomo, i wysłany został do rzeczzonego miasta dla zaopatrzenia się w potrzebne przybory.

Bankier i Garibaldi przypatrywali się z okna z pierwszego pokoju wesolój zabawie młodych ludzi. Goldstern śmiał się, że aż mu łzy spływały po policzkach; a generał uśmiechał się zadowolony z zabawnych figlów Teresy, wreszcie popadł w milczenie, ponieważ ta swoją artyleryę, sikawkę ogrodową, zostawiła w rękach nieprzyjaciela. Podług jego mniemania, córka Gari-

baldego nie powinna nigdy, w grze nawet ustępować pokonana z placu.

— Jakże daleko pan zaszedłeś ze swoją lekturą? zaczął Garibaldi zwrócony do Goldsterna, kiedy młodzi ludzie znikli z ogrodu, by zmienić przemoknięte na wskrós ubranie.

— O, ja byłem bardzo pilny, odrzekł Goldstern, i przysunął generalowi krzesło do swego biurka. Nie tylko przeczytałem wszystkie książki, jakie mi pan dałeś, ale nawet z nich wyciągi porobiłem. Gdybyś pan miał czas, przeczytał bym panu moją bazgraninę i prosiłbym o jego życzliwe uwagi i objaśnienia, gdyż ostatecznie co innego jest w obcym języku pisać, jak nim mówić.

— Będzie mi bardzo przyjemnie służyć siwemu Telemakowi za Mentora, odrzekł Garibaldi z grzecznym ukłonem i zajął miejsce obok Goldsterna.

— Nasza ostatnia rozmowa o wolnomularstwie, dała mi wiele bardzo—wiele do myślenia, rzekł Goldstern. Według mego zwyczaju, stawiam sobie w każdym przedmiocie, do którego się zabieram na seryo, ściśle oznaczone pytania, na które sobie potem sam odpowiadam przez co sobie tworzę samodzielne zdanie. Tak więc się i tutaj zapytałem: czem jest i czego chce związek wolnomularski? Z tego wywiązało się następnie samo z siebie dalsze pytanie: jak się zachowuje ten związek do państwa i kościoła? Na podstawie książek, jakie pan mi dałeś do wyjaśnienia rzeczy, które ja dotąd częścią za czczą igraszkę, częścią zaś tylko za pokrywkę

tajemnych knowań uważam, brzmi moja odpowiedź na powyższe pytania jak następuje, i pan z nićj zobaczysz, czy pański stary nowicyusz byłby godnym być przyjętym do związku, czy nie.

Goldstern wziął do ręki jeden z zapisanych arkuŝy i zaczął czytać:

— Wolnomularstwo jest ideą, która nie miała początku i niebędzie mieć końca. Jako taka istniałaby ona nawet choćby nie było żadnego związku, który ją w życie wprowadza. Ale zawsze są ludzie szlachetni, wzniośli: którzy na to się zgodzą, *że niechcą swego własnego, ale powszechnego dobra*. Taka jest dążność prawdziwej miłości, która wszędzie zmierza do *stowarzyszenia* i cały szereg szczupłych i rozległych związków powołuje do życia, np. związek przyjaźni, miłości, małżeństwa, rodziny, gminy, państwa, kościoła i t. d.; *najszerszy związek, związek związków*, jest zaś widocznie ten, który dążności łączenia stawia tylko taką granicę, jaką postawić musi, mianowicie granicę ludzkiego uczucia i myślenia. Z tego związku nie jest więc wyłączony kto inaczej *sądzi*, ale kto inaczej *chce*, albo jest innym. I ten związek związków, to zespolenie ludzi, którzy się czują związani w dążeniu za czemś wyższem, którzy wszyscy chcą prawdy i piękna, i dobro dla niego samego kochają i dążą do jego wykonywania, jest *związek wolnomularski*. Jest on najrozleglejszém połączeniem duchowém ludzi, największém kołem, które wszelkie mniejsze obejmuje, a w dalszym ciągu najdoskonalszą formą ludzkiego związku życia. Łączą się w nim wszy-

stkie antytezy ludzkości i dziejów ludzkich, zbiera on *wszystkich* dobrych w jednej świątyni. Owych kontrowersyi nie chce on wszakże wcale cierpieć obok siebie, ale pragnie raczêj wszystkich swoich członków złączyć dla wymiany zdań i wzajemnej nauki, dla poskromienia nieprzyjaznych i opornych, aby w pełnem miłości zespoleniu, kiedyś wszystkie niezgody pogodzone i doprowadzone były do szczęśliwszej harmonji.

Wolnomularstwo jest więc związkiem ludzkości w małym zakresie, gdyż przez połączenie różnych narodów i wyznań na podstawie miłości bliźniego, sprowadza powolne złączenie się całej ludzkości w jedno wielkie ogólne stowarzyszenie ludzi.

Ten ostatni jednak cel może być tylko osiągnięty przez ćwiczenie prawdziwej ludzkości, która dla tego także w ogóle uznaje się jako istotny cel związku. *Praca, dobroczynność i towarzyskość* są więc trzema głównymi środkami, jakimi się posługuje związek wolnomularski, by dojść do tego wysokiego celu.

Goldstern zamilkł na chwilę, by usłyszeć zdanie wielkiego mistrza.

— Wyborniel rzekł Garibaldi ze zdziwieniem, zdumiewam się nad bystrością i zdrowym poglądem na przedmiot, który panu był zupełnie obcy, lub, lepiej powiem, nienawistny. Mogę sobie wyjaśnić łatwość, z jaką pan objąłeś prawdziwy pochodź idei, tylko przez gruntowne wiadomości, nabyte przez pana w młodości jako talmudystę, gdyż jak mi pan opowiadałeś, byłeś pan właściwie przeznaczony na rabina.

— Handel skórkami zajęczemi, rzekł śmiejąc się Goldstern, zaprowadził mnie nierównie dalej, jak nauka religii żydowskiéj i naprawdę nie uskarżam się na zamianę, gdyż jemu zawdzięczam podstawę mego bogactwa. Tymczasem tak się przejąłem pojęciami, wpojonymi we mnie w młodości, iż bardzo mi trudno przychodzi równie bezstronnie odpowiedzieć tak na pierwsze jak i na drugie pytanie, mianowicie: „Jak zachowuje się wolnomularstwo do państwa i kościoła? W tym stosunku poglądy moje są jeszcze tak niejasne i powikłane, że nie czuję się jeszcze dość na siłach obecnie je panu przedstawić.

— Dobrze, odrzekł spokojnie Garibaldi, istotnie na to pytanie nie łatwo jest odpowiedzieć nie wtajemniczonymu; trzeba sobie naprzód dobrze wyrobić pojęcie o wolnomularstwie, i pozbyć się mnóstwa przesądów, by pojąc, że nasz związek ludzkości może stać najswobodniéj obok państwa i kościoła, gdyż tak jedno jak drugi uznaje i niezbędnem są nawet do jego celów. Co do tego postaram się jeszcze wkrótce udzielić moje poglądy.

Po chwilowéj uroczystej pauzie zaczął Garibaldi jak następuje:

Ze stosunku człowieka do *Boga* wypływa *religia*, ze stosunku tegoż do *świata*, *polityka*. Religia więc obejmuje tylko boskie, polityka tylko świeckie stosunki ludzi. Ponieważ wolnomularstwo nie powinno spuszczać z uwagi, co tylko ma związek z życiem ludzkim, musi więc się ono zajmować stosunkami tak boskimi

jak światowemi; prawdziwie jednak wolnomularstwo nieuznaje żadnej polityki, ani nie zakłada nowych wyznań, t. j. nie występuje ono ani jako polityczne, ani jako religijne stronnictwo. Ma ono inny cel, mianowicie być instytucją ludzkości, a raczej instytucją kształcąca ludzkość dla ludzi. Związek wolnomularski nie przepisuje swoim członkom żadnej religii, pozwala on im swobodnie iść za swoim przekonaniem, i wyraźnie przyzwala, by jego członkowie temu wyznaniu byli wierni, w jakim oni według swój indywidualności największą prawdę znajdują. Ale za to ściśle wymaga, aby „bracia“ nie zapominali o zasadzie ludzkości, chce on prawdziwej *tolerancyi*, gardzi i potępia wszakże *indifferentyzm*. Są podziały wolnomularskiego związku, które schlebiają zasadzie, że tylko chrześcijanie mogą być tu przyjmowani. Zasada ta przeciwną jest jednak duchowi wolnomularstwa i bierze swoje źródło z pomieszania czystego chrześcijaństwa z jego wyznaniowymi formami. Można być *w duchu i w prawdzie* chrześcijaninem, nie hołdując jednemu z wielu *dogmatycznych* wyznań, które w znaczeniu *pozytywnem* stanowią chrześcijaństwo. *Prawdziwy* wolnomularz, czy chrzczony czy nie, w duchu jest zawsze chrześcijaninem, mianowicie z powodu, iż zasadnicze podstawy wolnomularstwa zawarte są w ewangelii, tylko ta w inny sposób jest tu wyłożona.

Związek wolnomularski nie przepisuje żadnych *zasad wiary*, ale stawia pewne prawdy zasadnicze, które leżą w naturze ludzkiej i są uznane przez rozum ludzki, nie potrzebując się ślepo poddawać obcej po-

wadze. Te zasadnicze prawdy są: Istność Boga, nieśmiertelność duszy i konieczność cnoty. Wolnomularz czci „ducha świata“, któremu wszystko zresztą w naturze byt swój zawdzięcza i bez którego nie możnaby myśleć o żadnym bycie, tak samo i wszystkie jego czyny dzieją się w imię wszechmocnego Stwórcy świata. Co się tyczy nieśmiertelności duszy, nie będę się wdawał w żadne subtelne metafizyczne wywody, lecz poprostu poszukam uzasadnienia jęj w *prawach natury*. Jak niestrudzona wiedza dowodzi, niema *nic* w naturze co-by ginęło. Wszystko zmienia tylko swoje kształty, ale istnieje ciągle i *nigdy* nie ginie. Podług prawa bezprzestannego zmieniania się formy, człowiek w ciągu życia swego staje się kilkakrotnie zupełnie innym *materialnie*. Jakże mógłby on przez całe życie swój byt zachować, gdyby w nim coś takiego niebyło, co *nie jest* zależne od zmiany materyi? A tęp *coś* jest duch, myślący, czujący i pragnący. Ponieważ materye trwają *wiecznie*, czyż nie byłoby przeciwném rozsądkowi przyjąć, że ginie to co jest od nich niezależne i daleko wyżej od nich stoi? Istnienie więc i trwałość ludzkiego ducha mianowicie świadomego o sobie, jest przypuszczeniem, które przy rozsądnej rozwadze samo się przez się rozumie. Trzecim postulatem wolnomularskiej wiedzy jest *konieczność cnoty*. Konieczność ta głęboko tkwi w istocie prawdziwego wolnomularstwa, i nierozłącznie jest związana z jego celem. Wszystko więc co *cnotę* obraża, nie może być również cierpiane w wolnomularstwie. Na czystym więc głosie, moralnie

uduchowionego *sumienia* spoczywa największa wartość wolnomularza. Jakkolwiek ludzie dziwnie różnemi drogami idą przez życie, to jednak zawsze mają jedyny biegun, do którego ze swym statkiem zmierzają, a serce ich mówi im w każdej chwili, czy zbaczają na lewo lub na prawo, czy się doń zbliżają lub od niego oddalają. Sumienie jest owym kompasem serca, który nas ciągle zbliża do bóstwa, do krainy obiecanej.

Mówiący zatrzymał się na chwilę, by słowa jego mogły dostatecznie znaleźć echo w sercu bankiera, który słuchał z mocno natężoną uwagą.

— Z tego co się powiedziało, ciągnął dalej Garibaldi, wypływa, że związek wolnomularski uznaje *każdy* kościół, i szanuje jego przekonanie, a dalej, że tenże związek nie daje pierwszeństwa żadnemu wyłącznemu kościołowi gdyż ze sporów rozmaitych kościołów z dawna powstawał tylko niepokój i krwawe wojny, stoi on wyżej po nad różne stronnictwa wiary, nie wdaje się w żadne kwestye tyżące się wyznań i kościołów, unika wszystkiego coby mogło zakłócić spokój w jego łonie, a którego tak bardzo potrzebuje do przeprowadzenia swoich czystych, ludzkich idei. *Nie uznaje więc żadnego wyznania jako jedynie prawdziwego*, ale szanuje każde w jego istocie, skoro hołduje zasadzie ludzkości; nie żąda od swoich współczłonków przyjmowania lub odrzucania jakiegokolwiek wyznania. *Najlepszymi więc i najwierniejszymi członkami związku mogą być nawet tacy, którzy nie wierzą w żadne wyznania jakiegoś pojedynczego kościoła.* Dla tego téż do związku po wszy-

skie czasy należeli duchowni wszystkich wyznań, nie stając przez to w rzeczywistej sprzeczności ani z sobą ani ze swym kościołem. Zupełnie tak jak do kościoła ma się wolnomularstwo do państwa. Nie mięsza się ono bynajmniej w niezliczone spory konstytucyi państwowych i rządów. Zasady związku stoją wyżej od stronnictw politycznych, wszędzie występują ze ścisłą sprawiedliwością i nigdzie nie dopuszczają żadnych gwałtownych kroków w przedmiotach polityki. W ten sposób jasną jest rzeczą, że związek z dawnien dawna liczy w łonie swoim najrozmaitszej barwy stronnictwa, od najsurowszych absolutystów i legitymistów, aż do najczernerwieszych demokratów i socyalistów. Obcą zupełnie więc jest w związku wolnomularskim wszelka nienawiść rasowa, wszelki ucisk i prześladowanie stronnictw i narodowości, wszelkie wojny i podboje, a przede wszystkim niewola. Wolnomularstwo widzi szczęście ludzkości jedynie w zdążaniu do celów moralnych. Nie chce ono nikogo gwałtem zmuszać i dla tego nie potrzebuje żadnej siły. Podczas gdy stronnictwa walczą w imię ściśle oznaczonych poglądów i zasad, w których przeprowadzeniu widzą urzeczywistnienie szczęścia ludzkości, prawdziwe wolnomularstwo posługuje się tylko prawdą, dla tego nie tworzy nigdzie stronnictw, i nawet niemoże ich tworzyć zważając na jego cel i istotę! Prawdziwe wolnomularstwo nie jest bynajmniej niebezpieczne, tak dla państwa jak dla kościoła i tylko nieuzasadniona obawa lub dziki fanatyzm mogą zaprzeczać wolnomularstwu jego bytu.

General wpadł w zapał, policzki mu pałały, okobłyszczało, a głos brzmiał tak pełno i silnie, jak gdyby przemawiał do wojska rozpoczęciem się bitwy.

Stary Goldstern zdawał się być teraz zupełnie pokonanym, ujął on prawą rękę Garibaldeggo i rzekł z nieudanem wzruszeniem:

— Zapaliłeś pan memu duchowi pochodnię, która nigdy nie zgaśnie. Będę usiłował pozbyć się dotychczasowych moich jednostronnych poglądów i zaszczepić w moim sercu wzniosłe idee wolnomularstwa; przyjmij mię pan jako nowicyusza do swego szlachetnego związku!

— Pańskiej woli stanie się zadość, odrzekł poważnie Garibaldi, ale nie mogę zwolnić pana od prób wytrwałości, jakich związek nasz od nowo wstępującego brata wymaga.

— Poddam się chętnie tym próbom i spodziewam się w nich wytrwać, odrzekł z pewnością siebie bankier.

— Zobaczmy! pomyślał generał wzruszając ramionami, jest tak wielu, niestety za nadto wielu, którzy się zowią wolnomularzami, jakkolwiek nie są nimi istotnie. Od pana, stary mój nowicyuszu, żądam zaraz dowodu, że pan zasady prawdziwej religii stawiasz wyżej nad formę jakiegoś oznaczonego kościoła, że pan jesteś w stanie jako izraelita, poddać pańskie wyznaniowe poglądy, ogólnym prawom ludzkości.

— Ciekawy jestem dalej usłyszeć, rzekł bankier spo-

glądając z nateżonem oczekiwaniem na generała, który przybrał bardzo uroczystą minę.

— Dobrze więc, rzekł Garibaldi podnosząc się z krzesła i przystępując do Goldsterna, upraszam więc o rękę pańskich córek dla dwóch zacnych młodych ludzi, oczekuję z pewnością pańskiego ojcowskiego przyzwolenia, gdyż młodzianami temi są: *Emanuel i Onofrio Cerotti*.

Stary Goldstern odskoczył o trzy kroki i otworzył ze zdziwieniem usta i oczy. Nakoniec wybałał mocno zmieszany i zakłopotany: ależ generale, co pan mówisz, Emanuel i Onofrio są przecież chrześcianami! Jakżeż mogą oni zostać moimi zięciami?

— Otóż wyszło na to co z góry powiedziałem, odrzekł Garibaldi z nietajonym lekceważącym uśmiechem, widzę teraz ze smutkiem, iż związek zyskałby w panu brata teoretyka, ale bynajmniej praktyka.

— A czy młodzi ludzie się kochają, zapytał Goldstern przytłumionym głosem.

— Całym zapalem pierwszej, prawdziwej, niewinnej miłości, odrzekł z przekonaniem Garibaldi, jeśli pan istotnie pragniesz szczęścia córek swoich, jeśli nie jesteś okrutnym barbarzyńskim ojcem, musisz pan dać swoje przyzwolenie.

Stary Goldstern upadł na fotel stojący przed biurkiem, oparł głowę na rękach i zaczął płakać i łkać jak dziecko. Podobnego gromu z jasnego, pogodnego nieba nigdy się nie spodziewał — jego córki, jego tak serdecznie ukochane córki, jego duma, jego radość, ży-

cie, miałyby zostać żonami chrześcian! Stokrotnie spokojniej byłby przyjął wiadomość, iż został żebrakiem.

Garibaldi zostawił go w spokoju kilka minut; potem przystąpił do Goldsterna i rzucił te krótkie wyrazy:

— Pańska odpowiedź brzmi *tak* lub *nie*?

— Łaski, litości! błagał bankier ze złożonemi rękami, zostaw mi pan czas do namysłu; żądanie pańskie dąży do złamania mego serca, téj próby się nie spodziewałem. Tak, tak, generale, masz pan słusność, łatwiej jest *sądzić*, iż jest się wolnomularzem, jak *być nim istotnie*.

Milcząco oddalił się Garibaldi, zostawiając biednego Goldsterna w ciężkiej walce zabobonów judaizmu z kosmopolitycznemi pojęciami wolnomularstwa, którego szlachetne zasady, tak łatwo i naturalnie godziły się z jego moralnym sposobem myślenia, podczas gdy pierwszy *czyn*, jakiego po nim żądano, by wypróbować jego chęci zostania wolnomularzem, tak wzburzył gwałtownie całą jego istotę, i groził zniweczeniem zupełnem kielkującej w nim zdolności do traktowania ludzkości z uniwersalnego punktu wolności, równości i braterstwa.

XVIII.

Judasz w liberyi.

Nastala wiosna 1860 roku. Nie mówimy tu wszakże o owój północnej wiosnie, gdzie się to jeszcze w Kwietniu a często nawet i w Maju bardzo chętnie chwyta za schowane już palto zimowe, ale o włoskiej wiosnie, która nawet w środkowej części półwyspu apenińskiego rozpoczyna się już w miesiącu Lutym.

Chociaż Siena, gdzieśmy opuścili księcia Flodoardo di Cozenca, dość jest wysoko położona, i tam jednak kwitły już w połowie lutego brzoskwińowe i migdałowe drzewa, klony i platany zaczynały rozwijać swoje listki, a murawy jaśniały przepyszną zielonością, tu i owdzie usiane pięknymi kwiateczkami polnemi.

Nie powinno nas tedy dziwić, iż pomimo że już wieczór zapadał, spotykamy Flodoarda siedzącego przy biurku w oknie otwartem. Właśnie w tej chwili kończy list, w którym pisze do Falkstejnu o niezadługiem tamże swoim przybyciu.

Książę znajduje się widocznie w bardzo dobrym humorze i wygląda doskonale. Ślady złego obchodzenia się, jakiego doznał w okrutnem więzieniu *świętej* inkwizycyi, znikły już prawie dzięki wytrzymałej naturze. Czuł się znowu zdrów zupełnie i chociaż doktor mu odradzał puszczania się w podróż na północ, dopóki

i tam temperatura się nie ociepli, nie mógł jednak dłużej zapanować nad tęsknotą za Adelgundą, choćby nawet zaszkodzić miało jego bardzo wątlým jeszcze pierścionom, ostre powietrze Niemiec.

Wszedł zbieg papieżki Aigner, który wraz z Wawerką stanowił całe otoczenie Flodoarda.

— Wszystko jest w porządku! rzekł Aigner, według starego zwyczaju salutując po wojskowemu.

— Brawo, mój kochany Aigner! odezwał się książę uradowany i poklepał swego dzielnego quasi sekretarza poufale po ramieniu; skoro wszystkie kufry są spakowane—i my sami będziemy mogli już odjechać wieczornym pociągiem.

— Z największą pewnością móści książę, i już nawet zamówiłem oddzielny coupé i odesłałem pościel na stację.

— Jesteś bardzo przezorny, kochany panie Aigner. Lepszego i wierniejszego przyjaciela jak pan z pewnością nie mógłbym znaleźć, pan odgadujesz każde moje życzenie i szczerze mówiąc, bardzo jest dla mnie pożądanym, że podczas podróży nocą, będę mógł spokojnie używać spoczynku, tu, wskazał książę na swoją pierś, tu nie jest jeszcze w należytych porządku i chciałbym dla tego prosić pana, by Jan nie zapomniał o moim odwilżającym napoju, który zwykłem przyjmować w nocy po obudzeniu się.

— O! odrzekł Aigner z pewnością siebie, Wawerce nie trzeba o tem przypominać. Głupi to chłopak jak noc, ale posłuszny i akuraty.

— Poczciwy człowiek, wzmocnił Flodoardo, którego szlachetnemu sercu zawsze przyjemnie było, kiedy mógł o kimś coś dobrego powiedzieć, na niego mogę tak samo rachować jak na pana, dobry mój Aignerze. Dzięki Bogu, proces mój szczęśliwie wygrałem, gdyż trybunał papieżki musiał uznać sfałszowanie kodycyłu. Pieniężne więc moje stosunki stoją teraz świetniej jak kiedykolwiek. Ach! jakże się cieszę, że mogę nazawsze wyswobodzić zacnego księcia Ryszarda z jego nieszczęśliwych kłopotów pieniężnych, jakże chętnie chciałbym zaraz ztąd wręczyć potrzebne pieniądze, ale stary książę jest bardzo drażliwy, i muszę pierwój w tak delikatnym przedmiocie pomówić ze Strickwitzem i ciotką Ulryką.

— Istotnie jestem ciekawy, rzekł Aigner otwarcie, poznać dom Falkstejnski, dużo mi Wasza książęca mość opowiedziałaś o księżniczce Adelgundzie i jeśli zaraz nie pojedziemy, to mi książę znowu z tęsknoty zachorujesz.

Książę roześmiał się z rubasznój mowy poczciwego Tyrolczyka, którą wywiózł mimowolnie ze swój ojczyzny, jakkolwiek zawsze uważał, by się niekorzystnie nie przedstawić w towarzystwie księcia, który się z nim nie jak ze sługą, ale jak z przyjacielem obchodził.

Dalsza rozmowa przerwana została wejściem Wawerki, który zameldował, że jakiś urzędnik z kolei żelaznej pragnie się rozmówić z jego Królewską Mością. Książę rozkazał, by natychmiast wprowadzić tego pana.

Wśród niezliczonych ukłonów wszedł mały, wą-
tły człowieczek, skromnie lecz czysto ubrany. Jedy-
nie srebrnym galonem obwiedziona czapka, którą w rę-
ku trzymał, wskazywała że jest urzędnikiem kolei że-
laznej. Człowiek ten mógł mieć około lat pięćdziesię-
ciu. Głowę miał mocno wyłysiałą, co bardziej było
uderzającym przy jego wychudzonej, wywiędłej i nad-
zwyczaj starannie ogolonej twarzy. Wzrok jego był
ożywiony, przenikliwy, niespokojny, przyczem jednak
zawsze gotowy pobożnie się przymróżyc, lub z pokorą
głęboką spoglądać w ziemię. W ruchach był zwinny
i giętki, a szczególnie jego krzyż zdawał się być wyro-
biony z fiszbinu. Co więcej mężczyzna ten tak był
chudy, iż zdawało się prawie słychać, jak jego kości
trzeszczą.

Kiedy nakoniec człowiek ten zbliżył się do księcia
na trzy kroki, skłonił się nisko trzy razy i stojąc ze
spuszczoną głową, wycedził słodziutkim głosem:

— Alberto Genestrello, vice-dyrektor stacyi kolei że-
laznej w Sienie, chce mieć zaszczyt ofiarować Waszej
Królewskiej Wysokości, księciu Flodoardowi di Cozen-
ca, jego usługi podczas zamierzonej podróży.

— Pan jesteś bardzo uprzejmy, signor Genestrello,
odrzekł grzecznie książę, ale sądzę, że mój sekretarz
wszystko już jak potrzeba załatwił.

— Prawda, prawda, odrzekł prędko urzędnik wśród
nieskończonych ukłonów, pakunki już gotowe, ale ja
pragnąłbym Waszej Królewskiej Mości ofiarować te

wszystkie usługi, jakie są w mojej mocy, by podróż Jego o ile można uczynić przyjemną.

— Przecież oddzielny coupé już zamówiony, rzekł Flodoardo nieco zdziwiony, będą więc mógł używać spoczynku jak tu w moim sypialnym pokoju; więc...

— Bardzo słusznie, książę, bardzo słusznie, podchwycił szybko Genestrello, ale właśnie odnośnie do tego jestem w stanie być użytecznym Waszej Wysokości. Ponieważ pociąg do Florencyi tędy około północy po bardzo krótkim przystanku przechodzi, mogłoby wypaść Waszej Królewskiej Mości nie tylko do tak późnej godziny czekać na banhofie, ale i potem być zmuszonym wiaść pierwszy lepszy prózny coupé. Od tej podwójnej nieprzyjemności mogę wszakże Waszą Królewską Mość uchronić. Na naszej stacyi stoi dworski wagon salonowy, który ma być prózny z powrotem wysłany z będącym w mowie pociągiem do Florencyi; ten właśnie z całym komfortem urządzony wagon oddaję księciu na usługi. Wraz z orszakiem możesz książę go mieć dla siebie jeszcze wieczór. Jak tylko pociąg nadejdzie, każę ten wagon przewekslować z bocznych szyn na główne i z tyłu przyczepić. Własny konduktor będzie na usługi księcia przez całą drogę.

— Pan jesteś bardzo uprzejmy, signor Genestrello, zawołał książę bardzo ucieszony i ściągnął z palca kosztowny pierścień brylantowy.

Urzędnik wachał się przez chwilę przyjąć kosztowny podarunek. Zaledwie po długim naleganiu dał

się namówić. Łzy radości i wzruszenia błyszczały w oczach Genestrella.

Łaskawém kiwnięciem głowy pożegnał książe go-towego na usługi urzędnika.

— Byłoby może właściwem, rzekł Genestrello, gdy się już zbliżał do drzwi wśród ciągłych ukłonów, żeby służący Waszój królewskiej Mości zaraz poszedł ze mną na banhof, bym mu pokazał miejsce gdzie się znajduje wagon salonowy.

— Bardzo dobrze, odrzekł książe, Jan może zaraz niektóre pakunki ręczne zabrać z sobą. Ja sam równo z zapadnięciem nocy udam się na banhof, gdyż stan zdrowia mego wymaga, bym wcześniej się położył i dla tego panie Genestrello raz jeszcze moje najserdeczniejsze dzięki za pańską uprzejmość.

Aigner otrzymał teraz rozkaz, by Wawerkę odpowiednio objaśnił. Aigner powrócił następnie do księcia, podczas gdy Genestrello i Wawerka, ostatni z kilkoma wielkimi pakami poszli na banhof.

— Spodziewam się, zaczął pierwszy Genestrello, skoro już miał hotel po za sobą, — że wszystko pójdzie według życzenia. Ani książe, ani sekretarz nie domyślają się tymczasem wcale figla, jakiego się im wy-rządzi.

— Tak, jutro o tój porze, śmiał się wesoło Wawerka, sumiennie obadwaj zarobimy nasze pieniądze.

Wawerka używał w rozmowie włoskiego języka, którego się dość dobrze wyuczył, podczas długiego po-bytu w Sienie.

— Prawdopodobnie, zauważył Genestrello, wezwie pana kardynał na posłuchanie; nie wątpię, że pan nie zapomnisz wspomnieć o mojej osobie. Monsignor Antonelli nie jest wprawdzie skąpiec, ale za parę set więcej skutów rocznie wierne moje tutaj usługi; gdyby choć raz z jeden list schwytano, jakie ztąd regularnie posyłam do Rzymu, jestem człowiekiem zgubionym. Mottloch by żywcem mnie poszarpał. Uch!

— O, zapewniał Wawerka, nigdy nie zapomnę, jak gorliwie pan mi zawsze dopomagałeś radą i czynem.

— Pan mi jednak zawsze dostarczyłeś bardzo dużo i pięknej materyi do mojego opowiadania, zauważył słodziutkim tonem Genestrello, — prawdziwie żałuję, że książę nie zostanie dłużej w Sienie. Kto wie czy kardynał i o mojej także przyszłości nie pomyśli, gdyż zresztą ztamtąd niewiele jest do donoszenia, i ja starać się będę o przeniesienie do Florencyi, jeśli prawdą jest, że tam założoną zostanie stolica świeżo upieczonego królestwa Włoskiego.

Wśród takich i tym podobnych rozmów, dostali się Genestrello i „Judas w liberyi“ na banhof. Może w godzinę później także książę i Aigner do wagonu.

Flodoardo włożył na siebie lekki płaszcz nocny i udał się następnie do salonowego wagonu, by się położyć.

Aigner i Wawerka umieścili się wygodnie w sąsiednim wagonie, który z owym, gdzie się książę znajdował, połączone były drzwiami. Ponieważ dla Aignera i Wawerki czas jeszcze był się kłaść, więc Aigner

z radością przyjął propozycję Wawerki, by wypróżnić parę butelek wina czerwonego, które przyniósł służący z restauracji kolejnej.

Nagle uczuł Aigner że powieki jego ciężą mu jak ołowiane.

Wawerka ułożył swoją nikczemną twarz do szatańskiego grymasu i z trudnością jedynie powściągnął chęć roześmiania się na głos.

— Jeden, szeptał szyderczo do siebie, został już na lep złapany i drugiemu się także jego udział dostanie.

Po tych słowach „judasz w liberyi“ wyspał proszek do lekarstwa, jakie książę zwykł był zawsze w noc brać łyżką gdy się obudził męczony kaszlem.

Kiedy Wawerka fiaszeczkę dobrze zamięszał, postawił ją na swoim miejscu, by podać ją swemu panu skoro lekarstwa zażąda.

Może na pół godziny zanim się skrzyżowały w Sienie pociągi z Rzymu i Florencyi, Wawerka usłyszał kaszlącego swego pana. Nieczekając na wezwanie wszedł do obocznego wagonu i podał księciu lekarstwo, Flodoardo wypiwszy zwykłą dozę, chciał się zapytać, dla czego dzisiaj napój ma jakiś smak szczególny, gdy uczuł, że język mu zupełnie zesztyniał. W kilka sekund później doznał dziwnego zawrotu głowy. Straszne przeczucie teraz nim owładnęło. Chciał wołać na pomoc, ale jego gardło było jak zawiązane, pot śmiertelny wystąpił mu na czoło i kilkakrotnie staczał walnę z ospałością, jaka go coraz bardziej atakowała. Napróżno opierał się wszakże sile narkotyku, która nad

nim tak mocno zapanowała. Świadomość jego zaczęła znikać. Nakoniec, wydając głębokie westchnienie, legł całym ciałem na poduszki.

Wawerka otworzył teraz okno i wydał dwa krótkie ostre świsnięcia. Signor Genestrello ukazał się natychmiast.

— Obadwaj już załatwieni! wyszeptał „judasz w liberyi“ i zatarł ręce z radości.

— *Va benissimo!* odrzekł urzędnik z kolei mlaszcząc językiem, za dziesięć minut pociąg nadchodzi z Florencyi. Zamknąłem teraz wszystkie drzwi, by przypadkiem nie wsiadł ktoś obcy. Maszyna rezerwowa stoi już w pogotowiu, by pański wagon przyczepić z tyłu do pociągu idącego do Rzymu. Addio! szczęśliwej podróży, i nie zapominaj pan o mnie!

W kwadrans później w mowie będący wagon salonowy znajdował się już w biegu do Rzymu. Wawerka zajrzał teraz, czy książę i Aigner istotnie śpią mocno. Zapewniwszy się co do tego, bardzo z siebie zadowolony, wyszukał sobie także kącik do spoczynku, zabrawszy jednak przedtém obydwóm śpiącym wszystko, co tylko miało jakąkolwiek wartość. Zdobycz ta była bardzo korzystna i nędznik „judasz w liberyi“ nie potrzebował się wcale obawiać, ściągnąć na siebie jakąś odpowiedzialność.

Sen Wawerki niedługo jednak był spokojny. W Orvietto, pierwszej stacyi na terytoryum papieżkiem dostał towarzysza. Jakiś sierżant z czterema ludźmi wsiadł do salonowego wagonu. Z Aignerem nie robio-

no sobie żadnych zachodów. Związano mu zaraz ręce i nogi chociaż spał ciągle bardzo mocno. I dla księcia były gotowe okowy, ale sierżant miał tyle przynajmniej względu, iż czekał na przebudzenie się Flodoarda. Około dziesiątej przed południem przybył pociąg do Rzymu. Czekał już nań papieżki komisarz policyjny wraz z doktorem. Doktor wskoczył zaraz do wagonu i wlał księciu w usta przygotowane już lekarstwo i potarł spiacemu twarz i usta silnie woniejącym płynem. W kilka minut Flodoardo przyszedł powoli do przytomności. Spoglądał rozmarzony w około siebie i zwolna odzykiwał zupełnie zmysły.

Jedno rzucenie wzrokiem przez okno wagonu ścięło krew w jego żyłach. Dostrzegł w oddaleniu kilka dobrze mu znanych budynków Rzymu.

— Boże miej litość nademną! zawołał zrozpaczony załamując ręce i z boleścią padł na kolana. Komisarz i doktor napadli na niego z siłą zbrojną.

— Chodź pan za nami bez zwłoki! rzekł silnym głosem pierwszy i wyciągnął księcia z wagonu, gdyż właśnie dano sygnał do dalszej podróży pociągu.

Dowódca wysiadł w Orvieto eskorty zbliżył się do księcia.

Sierżant francuz rodem, który jako ochotnik służył w wojsku papieżkiem, był tyle grzeczny iż wyrzekł kilka słów uniewinnienia się, w chwili gdy pokazywał znajdujące się w jego rękach kajdany.

Flodoardo tymczasem odzyskał zupełną przytomność.

— Spełniaj swoją powinność, mój panie! odrzekł krótko i wyciągnął lewą rękę, rzucając zarazem wzrokiem niewypowiedzianej pogardy na Wawerkę, który był tyle bezczelny, iż stał tuż obok niego. Flodoardo nie mógł dłużej wątpić, że nędznik, którego przez tyle miesięcy otaczał życzliwością i dobrodziejstwami, miał udział w haniebnym zdradzie, gdyż „judasz w liberyi“ skakał z radości, gdy na księcia nakładano kajdany.

Zajechał wielki zakryty powóz. Komisarz policyjny z suchą grzecznością poprosił księcia, by wsiadł wewnątrz.

— Gdzie jest mój towarzysz? zapytał Flodoardo ociągając się.

— Mówisz pan o dezercerze Aignerze? odrzekł urzędnik obojętnym tonem, — człowiek ten nic mnie nie obchodzi; schwytała go władza wojskowa, został on już *in contumaciam* na śmierć skazany i dla karni jego nic więcej już nie potrzeba jak tylko sprawdzić tożsamość jego osoby.

Książe upadł bezwładnie, skoro to usłyszał i jak nieżywy zaniesiony został do powozu, który go zawiózł do więzienia *świętego Officium*.

XIX.

Ze stopnia na stopień.

W dwa dni po rozmowie Garibaldegó z bankierem Goldsternem, przybył z Livorno na Caprerę do pierwszego należący jacht „Florita” według życzenia zupełnie przygotowany do podróży.

Do natychmiastowego odjazdu bankiera na należąca do wysp Azorskich wyspę San Miguel, nic nie stało na przeszkodzie, prócz niespodzianych a znanych nam już oświadczeń, ale właśnie ta okoliczność wywołała zmianę w postanowieniu starego Goldsterna. Miał on długą i poważną rozmowę z Sarą i Pauliną i nabrał z niej przekonania, że bez zadania bolesnego ciosu swym ukochanym córkom, nie może wprost wystąpić przeciw ich skłonnościom serc dla Emanuela i Onofria.

Smutek kochanego ojca z otrzymania takiej wiadomości, groził niebezpieczną melancholią, i niemożnością jasnego a spokojnego zastanowienia się nad stanem rzeczy, gdyż w swęj boleści głośno nawet zlorzeczył, czemu dzikie morze raczej nie pochłonięło go wraz z córkami w swoich otchłaniach, niżeli żeby miał się dziś znaleźć w tak straszném położeniu, między ojcowską miłością i swemi religijnemi skrupułami.

Obiedwie młode pary naturalnie zmartwione były

bolescią, jaką sprawiły przez swoją miłość zacnemu i tak ukochanemu przez nich starcowi, niemogły jednak zrozumieć wcale powodów bankiera, gdyż każda miłość prawdziwa, jak ich, jest kosmopolitycznej natury, i nie zna żadnych ograniczeń, pochodzenia, rodu lub wiary. Katechizm niewinnej, wyłanej miłości istotnie jest owiany duchem prawdziwie wolnomularskim, i na tem spoczywa właśnie uszlachetniony wdzięk takiej miłości, która wysoko podnosi człowieka po nad życie codzienne i oczyszcza od fusów przesądu, niskich namiętności interesu i brudnego egoizmu.

Garibaldi zachował się zupełnie neutralnym w pierwszych dniach tego dla wszystkich drażliwego położenia. Wiedział on, że przedwczesne pociechy i rady nie w porę udzielone człowiekowi z takim charakterem jak Goldstern, pogorszyłyby tylko sprawę, gdyż człowiek taki jak bankier, nie pozwoli sobie żadnych uwag i poglądów udzielać; jego zdecydowanie się powinno było dojrzeć samo i generał nie wątpił, że w „starym nowicyuszu“ koniec końców, zarodki wolnomularskich poglądów muszą złamać jego zestarzałe przesady.

Tak upłynął tydzień cały. Przez ten czas stary Goldstern był nadzwyczaj małomówny i ciągle prawie zamknięty był w swoim pokoju, gdzie pilnie czytał i pisał. W ostatnich dniach otrzymał list przez Livorno z Wiednia od swego przyjaciela adwokata, doktora Fressera, który go szczegółowo powiadomił o nastąpio-

nym układzie z panią Goldstern i Izydorem i wyjeżdżie ich do Syrii.

Bankier, który niemniał żadnej tajemnicy przed „niewieńczonym królem Włoszech“, przeczytał mu i ten list dosłownie, naturalnie we włoskim przekładzie.

— Cóż pan więc teraz czynić zamýślasz? zapytał Garibaldi, któremu nagle przyszła szczęśliwa myśl do głowy.

— Cóż ja mam czynić! powtórzył Goldstern wzruszając ramionami, cieszy mnie że mój dobry doktor Fresser w ten sposób sprawą pokierował. Niech sobie ta nikczemna para przebywa w Imię Boże w Syrii dopóki jój się spodoba, pomyslna chwila zapłaty zdaje mi się że jeszcze teraz nie nadeszła, ale powinna ona i musi nadejść.

— Z pewnością, odparł generał z przekonaniem, każdy zły uczynek nosi już sam w sobie zarodek kary, i ta wykielkuje prędzej lub później. Moim zdaniem powinienes pan wszakże liczyć nieco na pomoc Opatrzności i przedewszystkiem zdobyć dalszy moralny dowód, że ci nędznicy istotnie czychali w Wiedniu na twoje życie.

— Jedno i drugie, odrzekł szybko bankier, jest zgodne z najgorętszym mojem życzeniem, ale niewiem jak sobie począć.

Garibaldi widział z całego zachowania się swojego „starego nowicyusza“, że tenże w skutek długiej i ciężkiej wewnętrznej walki z sobą, stał się zupełnie

zmęczony i chwiejny, i teraz według wszelkiego prawdopodobieństwa, przystępnym dla dobrej rady.

— Człowiek jak pan, zaczął generał i położył poufałą rękę na ramieniu bankiera, — człowiek jak pan, przyzwyczajony do ciągłej działalności, nie oddaje się bezkarnie marzycielskim, próżnym i szkodliwym nawet myślom, jak pan to od tygodnia całego czyniłeś. Charaktery podobne pańskiemu, nie na to są stworzone, by się dały wypadkami kierować, jak statek bez steru; zbudź się pan więc ze swego letargu i przygnębienia. Bądź pan znowu owym dawnym Goldsternem, prawowiernym żydem Goldsternem, i odrzuć od siebie w Imię Boże wszystkie wolnomularskie idee, które wprawdzie *dobrze* zrozumiane przez pana zostały, ale nie zdołały ogrzać pauskiego serca.

— Taką radę dajesz mi pan, pan, wielki mistrz? zawołał bankier mocno zdziwiony i nawet nieco urażony. Pan mnie więc odpychasz znowu bezwarunkowo jako nowicyusza, nie uważasz pan mnie za zdolnego lub godnego bym przystąpił do związku braterskiego.

— Mylisz się, mój dobry przyjacielu, odrzekł generał łagodnym tonem, więcej jak kiedykolwiek myślę nad tem, bym pana mógł wykształcić na *skończonego* wolnomularza, ale widzę żem niewłaściwą t. j. za *krótką* wybrał drogę w postępowaniu z panem. Podobnie jak egzotyczne rośliny i zwierzęta, tylko bardzo powoli dla otrzymania pomysłnego skutku, mogą być przy uwzględnianiu punktów pośrednich, aklimatyzowane w północnym klimacie, tak samo i obce, w sprzeczności dotąd

z naszą istotą stojące idee, tylko powoli i w sposób naturalny przyswajając sobie możemy. Ojczyzną całego pańskiego koła myśli jest Palestyna, wraz z jój, zarówno i dla nas chrześcijan i wolnomularzy, świętymi miejscami; dla pana mój przyjacielu istnieje na owej ziemi tylko to co zaszło do narodzenia się największego i najszlachetniejszego reformatora ludzkości, mianowicie do *Jezusa Chrystusa*, i co jest wyszczególnione w księgach starego Testamentu; tymczasem gdy dla nas nowa era świata właściwie dopiero tam się zaczyna, gdzie wasz świat hermetycznie się już zamyka. Ten mur graniczny między judaizmem i chrześcijaństwem jest równie dowolny jak godny pożalowania, ale musi on kiedyś upaść i upadnie. Wasze zaparcie się Messyasza, które w sercach waszych nosicie, nie może trwać przez wieki, tem więcej gdy pozorna sprzeczność między wyznawcami starego i nowego Testamentu jest tylko sztuczna, w biegu wieków dopiero indywidualnością nacechowana; podczas gdy jest ona przecież prostym i naturalnym pomostem porozumienia się i pojednania, pomostem, na który właśnie chciałbym pana poprowadzić przyjacielską ręką.

Garibaldi przestał mówić na chwilę, by dać swemu nowicyuszowi sposobność do rzucenia jakich uwag. Ale Goldstern, pomimo że usłyszany wyrok o jego zastarzałym judaizmie wcale mu nie brzmiał w uszach przyjemnie, był nadzwyczaj ciekawy dalszych wywodów generała, i dla tego prosił kiwnięciem ręki swego

uprzejmego gospodarza i nauczyciela, by dalej rzecz swą prowadził.

— Ani w fizycznym, ani w duchowym ustroju natury, zaczął zaraz Garibaldi, niema nieprawidłowego rozwoju życia, ztąd téż i w historyi cywilizacyi między dwoma bezpośrednio obok siebie stojącemi zjawiskami, jak judaizm i chrześcijaństwo, musi zachodzić konieczny wewnętrzny związek, czynny, pośredniczący jakiś łącznik. A tym łącznikiem był nie kto inny jak Ezajasze. Kto dokładnie studyował istotę i dzieje téj znakomitej religijnej sekty żydów, temu przedstawia się jasno i otwarcie jak książka roztwarta, powstanie chrześcijaństwa z judaizmu, i zgodność obu w zasadniczych przepisach wiary; pojmują ztąd bardzo dobrze, że tak chrześcijaństwo jak i żydowscy fałszerze wiary z powołania, pozwolili sobie z dawien dawna, tak uczone dzieje Ezajaszów wedle możności zacierać i fałszować.

— W tem masz pan zupełną słusność, zgadzając się zauważył bankier, jakkolwiek ja miałem zostać rabbinem, i uchodziłem za jednego z najlepszych uczni zasad religii mojżeszowej, mam jednak dziś jeszcze bezstronny pogląd na znaczenie w rozwoju historycznym i istotę Ezajaszów. Dla tego bardzo byś mnie pan sobie zobowiązał, gdybyś mi chciał o nich dać mały szkic ze stanowiska historycznego *niesfałszowanego*.

— Z przyjemnością, odrzekł generał, mój cały zamiar dąży do celu, byś pan, przynajmniej przez czas jakiś, w duchu zupełnie został Ezajaszem, byś otrząsnął się powoli z największych absurdów prawowiernego

judaizmu, nie zrywając bynajmniej z prawdziwą, pełną ducha nauką mojżeszową. Zachowaj Boże, bym chciał z pana robić nowowiercę, ale pan musisz teraz pozbyć się pewnych przesądów, inaczej bowiem byłbyś pan ciągle niezadowolonym, w walce sam z sobą, członkiem naszego wielkiego związku bratniego. Jednak do rzeczy.

— Do czasu, kiedy się Chrystus narodził, zaczął generalnie po krótkiej pauzie, istniały w Palestynie cztery różne żydowskie kasty kapłanów, mianowicie: *Faryzeusze* i *Sadyceusze* w złém, i *Samarytanie* i *Ezajasze* w dobrém znaczeniu, którzy kierowali politycznym i duchowym życiem całego ludu Izraelskiego, a nawet na losy Jezusa istotny wpływ wywarli. Przypatrzmy się na-przód *Faryzeuszom*. Po ich stronie stała większa część ślepowierzącego, ciemnego ludu, i oni mu ciągle przedstawiali zastarzałe surowe zasady judaizmu, jako Bożkie przykazania, i ztąd nakłaniali do bezwarunkowego posłuszeństwa, za środek do tego służyło pismo święte, litery, o których pochodzeniu od *Boga* nikt nie mógł poważnie się wątpić. Dowodzenie w podobny sposób w obec słuchaczy leniwych, jest bardzo wygodne, i ponieważ *Faryzeusze* nauki swoje jeszcze prócz tego wykladać umieli z pewną subtelnością i kwiecistością wymowy, podobnie jak dzisiejsi Jezuici, więc słuchano bardzo chętnie ich starego prawa mojżeszowego; ich ustawy zachowały do dziś dnia swoje znaczenie w rozwoju ortodoxyjnego judaizmu. Pojedyncze rozporządzenia i rozkazy, jakie *Faryzeusze* powoli wprowadzili

w żydowskie prawo obrządków, wzrosły do tak wielkiej ilości, iż stosowanie się do wszystkich jest żądaniem niemożliwym. Również *dążność zasadnicza* tej kasty duchownej z zakonem Jezuitów, który w Faryzeuszach szukał i znalazł wzory, jest w gruncie rzeczy bardzo podobna, mianowicie skrępowanie wolnego ducha ludzkiego, przez błędne tłumaczenie zasad religji, ubieganie się za światowością, blaskiem i zaszczytami, sławą i użyciem, słowem przytłumienie wszystkiego co wzniosłe i boskie, i stawianie wyżej czczych obrządków przy służbie bożej nad praktyczną moralność. Podobnie tak jak w dzisiejszym Jezuityzmie, leżało w ówczesnym Faryzeuszostwie, by wywierać władzę swoją i wpływ na lud, według chwilowych potrzeb we względzie stosunków politycznych, zwłaszcza gdy zawsze uświęcali zasadę, że żadna władza świecka nie może stać na równi obok duchownej. Cześć oddawaną królowi nazywano bałwochwalstwem i przez swoje pobożne zabiegi mieli wielkie masy zgłupiałego ludu w swój mocy, do tego stopnia, że tenże w każdój chwili na najmniejsze skinienie wybuchał płomieniem powstania lub napowrót był uśmierzany. Zastarzałe dogmata wiary, martwa litera fantazyjnego prawa, nie były bynajmniej przewodnikiem w postępowaniu tej wzgardzonej i odrzuconej kasty kapłanów. I rzeczywiście, jeśli się pytamy o właściwą przyczynę upadku państwa żydowskiego, to zobaczymy że ta niestety leży w głupim i szkodliwym postępowaniu Faryzeuszów.

Co stało po za obrębem kasty Faryzeuszów, zali-

czało się, z wyjątkiem Samarytanów, do wykształconych wolnomyślicieli, mianowicie do tak często wspomnianych w ewangelii Saduceuszów. Ta religijna sekta nie należała wyłącznie do stanu duchownego, nie stanowiła żadnej oddzielnej gminy, utrzymywała jednak szkoły publiczne, w których wykładane były ich nauki religijne, silnie osłabione przez prawowierny judaizm sekty Faryzeuszów. Tak np. odrzucali wszystkie religijne zasady wypływające z prawa mojżeszowego, holdowali za to, na grubym materyalizmie opartym, zasadom Epikura i rzeczywiście zasłużyli sobie, dla swoich dążeń skierowanych jedynie do szczęścia ziemskiego, na miano uczniów owego greckiego filozofa. Liczba Saduceuszów nie była znaczna, bogactwo jednak, wysokie godności i urzędy, jakie dzierżyli w swych rękach, zapewniały im wielki wpływ obok lepszego wykształcenia, którem się korzystnie wyróżniali z pomiędzy reszty żydów. Żądza jednak panowania, samolubstwo, a nadewszystko duma, były ciemnymi stronami téj sekty, i one to przyczyniły się, iż sekta ta nie mogła skutecznie oddziaływać na *polepszenie* ludu żydowskiego, czego ten jednak tak bardzo potrzebował, a co stanowiło właśnie *jedyny* powód Chrystusa Pana, do wystąpienia ze swemi naukami i przypieczętowania ich nawet życiem własnem.

Samarytanie, o których również bardzo często wspomina ewangelia święta, stanowili szczególną odrośl ludu żydowskiego. Pierwiastkowo poganie, dopiero za czasów Aleksandra Macedońskiego (336—323 przed

uar. Chr.) nawrócili się na objawioną religię Mojżesza, jednak nie na właściwą, mocno zepsuty moralnie judaizm owego czasu. Przyjęli oni tak zwane święte ksiązki, kazali przelożyć je na własny język i w nich zawarte zasady przyjęli za przewodnika do swego moralnego i ceremonialnego zachowania się, wszystkie tamże nie zamieszczone, a później dopiero wprowadzone, zdania i zasady były przez nich stanowczo odrzucone. Ich spory więc z wyznawcami właściwego, ściśłego judaizmu, były wieloliczne i bardzo zawzięte. Samarytanie przez prawowiernych żydów bardziej nienawidzeni i pogardzani jak poganie, zamieszkiwali téż wyłączną część, kraju i należy ich uważać prędjéj za polityczne stronnictwo jak za religijną sektę judaizmu.

Nieco szczegółowiej, jak z trzema powyżéj wspomnionemi odmianami judaizmu, przychodzi nam się poznać z zakrytymi pewną mistyczną zasłoną, Ezejaszami, tem więcéj, gdy Jezus sam, jakkolwiek nie jako rzeczywisty członek, to jako nowicyusz był w najściślejszych z tą sektą stosunkach.

Nasz sposób zapatrywania się na świat ma do walczenia z wieloma trudnościami, by zrozumieć jego wewnętrzną istotę. Skoro jednak przypomniemy sobie zeszkicowane już powyżéj działania i dążności Faryzeuszów, będziemy znacznie już bliżéj żadanego porozumienia się. Ezejasze w swoich religijnych żądaniach przechodzą jeszcze Faryzeuszów, jakkolwiek z innych pobudek i w inny sposób, tak, że uważać ich możemy za protoplastów owych eremitów, i tym podobnych ducho-

wych excentryków, którzy naturą wzgardzili i zdeptali ją nogami. Tak wyróżnili się Ezejasze w materyalnym stosunku ubogim ubiorem i skromnem pożywieniem. Sposób ich życia, dążności, zwyczaje, uczucia i prawo znajdujemy wiernie odzwierciadlone w skreślonym w ewangelii życiu, działaniach i naukach Jezusa, w których by nam tak wiele niejasnego zdawać się musiało, w obec znanego charakteru żydów, gdybyśmy Go nie uznali już za wychowawca Ezejaszów.

Spółeczność Ezejaszów składała się z naczelników, pospolitych członków i nowicyatu. Wszyscy, ponieważ pojedynczo i w małych gromadkach rozproszeni żyli, wyszukiwali zdala od zgiełku świata, ustronnych miejsc, gdzie w niezakłóconem rozpamiętywaniu mogli iść za swemi skłonnościami i zwyczajami. *Równością i braterstwem w jedną rodzinę* związani, uważali majątek swój za wspólny; pewna liczba dowolnie wybranych naczelników zarządzała majątkami i dochodami, a także koniecznymi wydatkami, co tém łatwiej było do wykonania, iż Ezejasze nie chcieli wiedzieć o małżeństwie lub jakichkolwiek bliższych stosunkach z inną płcią, by nie dawać podniety do zmysłowości. Z téj samej przyczyny odmawiali sobie także i wszelkich innych przyjemności idących na pożytek ciała, jak np. tak często bardzo używanego na Wschodzie namaszczenia olejem; Ezejasze nienawidzili go nawet tak dalece, iż każdy, kto przypadkowo zetknął się z olejem, obowiązany był oczyszczać się przez kąpiel. W obec wzmiankowanego celibatu wsekcie, musiano myśleć naturalnie o innych środ-

kach i dla tego adoptowali Ezejasze chłopców-sieroty, a także przyjmowali do grona swego i dorosłych, którzy przez nieszczęścia lub fanatyzm odsuwali się od świata. Wyjątek we względzie celibatu stanowiła tylko mała liczba odszczepieńców, którzy związek małżeński uważali za obowiązek i nie zwracali uwagi na zakaz. Do tych ostatnich należał także znany Józef z Arymatei.

Ezejasze miłowali przede wszystkim ochędóztwo i chodzili wprawdzie w grubem, jednak czysto utrzymanem i przyzwoitem ubraniu. Z całego ich postępowania przemawia pokora i skromność, dwie cenne cnoty towarzyskie, które odbijały się nawet na ich zebraniach, gdzie nie mogły mieć miejsca żadne zarozumiałe pretensye, kłótnie o fraszki, namiętne uniesienia wrzaski lub krzyki. *Jeden* tylko z towarzystwa mógł mówić, a każde zdanie wypowiedane było z uprzejmością i pobożnością.

Na życie zarabiali sobie Ezejasze gorliwą i skromną pilnością, unikając wszelkiego rozgłosu; zajmowali się głównie uprawą roli i rzemiosłami, rzadko chodowali bydła. Z powodu oszczędności i umiarkowania mieli zawsze więcej nad potrzebę, i tę przewyżkę obracali zawsze na dobroczynne cele. Przewodniczyła im zawsze miłość bliźniego, bez względu na stan i wyznanie.

Podział zajęć dziennych był u nich następujący: wstawali przed wschodem słońca, pierwsze godziny dnia poświęcone były na modlitwy, pobożne rozmyśla-

nia i rozmowy, a to w wyłącznie na ten cel przeznaczonem miejscu w każdym mieszkaniu, którego jednak bynajmniej nie można porównywać z naszymi kościołami, gdyż tam zarazem posilano się i odpoczywano po zatrudnieniach dziennych. Nadzór miał niby marszałek, który prowadził porządek w domu. Po pięciogodzinnéj pracy każdy szedł do kąpieli; następnie, zmieniawszy ubranie do pracy na inne czyste i lepsze, siadano do stołu w jadalnem pokoju, gdzie w uroczystéj ciszy przyjmowano posiłek; to powtarzało się wieczór, a krótka, uroczysta modlitwa rozpoczynała i zamykała tak obiad jak wieczerzę.

Panowanie nad sobą, strzeżenie pokoju i zgoda, nadewszystko głównymi były w dążeniu do ich moralnych celów; prócz tego zajmowali się także w poświęconych godzinach prawami i zjawiskami natury, i duszą ludzką, i wiele pożytecznych odkryć we względzie przymiotów wielu roślin i minerałów, zawdzięczamy gorliwym badaniom Ezejaszów.

Przepisy żydowskich pism pierwiastkowych, uważali za nietykalne i w tem zachodzili tak daleko, iż w szabas powstrzymywali się nawet od cielesnych wypróżnień. Ezejasz, któryby sprzeciwił się w czemkolwiek przepisom swojej sekty, wzywany był przed forum złożone ze stu wybranych sędziów, i od ich wyroku nie służyła mu żadna apelacya. Obraza pierwszego prawodawcy Mojżesza śmiercią była karana; inne w oczach ich ciężkie przestępstwa pociągały za sobą wypędzenie z towarzystwa, a była to dla skazanego

bardzo ciężką karą, gdyż taki, bez pomocy w opuszczeniu pędzić musiał żywot nader nieszczęśliwy, jeśli, co się zawsze prawie zdarzało, towarzystwo znowu się nad nim nie zlitowało i nie powróciło do swęj łaski,

Przyjęcie do związku Ezejaszów połączone było z wielkimi trudnościami. Nowicyusz musiał się poddawać dwunasto-miesięcznej ciężkiej próbie i przez ten czas nie wolno mu było przestąpić progu domu towarzystwa. Przy rozpoczęciu próby dawano mu kielnię, fartuch i białe ubranie. W miarę poważnego postępowania i uległości łagodzano mu surowość i pozwalano mu brać udział w kąpieli.

Następnie jednak pozostawał jeszcze przez całe dwa lata pod ścisłym nadzorem, nie będąc jeszcze właściwie przyjętym, i dopiero wtedy kiedy żadna plama na nim nie ciążyła, następowało obrządkowe przyjęcie, przyczem następujące składał uroczyste śluby:

„Bogu z całego serca służyć; — sprawiedliwie postępować; — nikomu pod jakim bądź pozorem nie szkodzić; — nieprawego unikać a prawego z całych sił bronić; — dane słowo każdemu dotrzymać; — wszelkie kłamstwo nienawidzić i tegoż unikać; — niedozwolonego zysku zawsze się zrzekać; — nie mieć żadnych tajemnic przed należącym do związku, i na odwrót pod karą śmierci nikomu obcemu nie zdradzać tajemnic związku; — przepisy tegoż bez żadnych zmian według sił szczerze przyjmować i przekazywać; — książki towarzystwa za święte uważać“.

Ezejasze tak się ściśle usuwali od innych, do

związku nie należących żydów, że nigdy nie rozmawiali z niepoświęconym, jeśli się zaś to przypadkiem zdarzyło, to musiał zaraz winny oczyszczać się przez kąpiel. W skutek umiarkowanego i regularnego trybu życia, dosięgali po większej części bardzo późnego wieku, tak, że pomiędzy nimi bardzo często spotkać można było stuletnich starców. Przeciwno utrudzeniom ciała zahartowywali się ćwiczeniami i wprawą, a nawet i duch ich opierał się dziwnie bohaterko najcięższym cierpieniom. Najdotkliwsze bóle znosili ze spokojem i zdaniem się na wolę boską, i z prawdziwą wielkością duszy przekładali chwalebłą śmierć nad życie, jak tego nieraz dali dowody w wojnach z Rzymianami. Nawet łzy umieli powstrzymywać wśród najokropniejszych męczarni. Śmiejący oddawali wśród najstraszniejszych katuszy ducha, w silnem przekonaniu, że tenże żywot nie przestanie po za ziemską powłoką. Ta wiara opierała się na przekonaniu, że *dusza, z czystego eteru składająca się*, do ciała tylko czarami natury jest przykuta i w niem mieszka i że, jak czary te przez śmierć ustąpią, wzniesie się ku niebu, i tam rozpocznie nowe, piękniejsze życie. Ich pogląd na dobre i złe duchy, o nagrodzie i karze zgadza się zupełnie z chrześcijańskim niebem i piekłem, a nawet malowali sobie rozmaite miejsca pobytu zmarłych dusz, zupełnie jak chrześcijanie w najpowabniejszych i najszkaradniejszych kolorach, co nas zresztą dziwić nie powinno, gdyż i my, jak już wspomniano, w poglądach religijnych

i życiowych *Ezejaszów właściwych*, początkowy pierwiastek chrześcijaństwa znajdujemy.

Ezejasze przemieszkiwali nie tylko w Palestynie, gdzie ich około 4,000 być miało, lecz także i w Egipcie, Jest szczegółem badzo interessującym, co mówi o tój sekcie szczególnej filozof Philo Aleksandryjski, urodzony na lat kilka przed Chrystusem, jeden z najznakomitszych żydowskich pisarzy owego czasu.

Garibaldi zbliżył się do biblioteki, ztąd wziął przez Morela wydane w r. 1613 w Gaudawie, pisma Philosa. Następnie czytał jak następuje:

„Ezejasze uciekają z wielkich miast, jako gniazda występku, i zajmują się prócz uprawy roli różnemi rękodzielami. Samolubstwo i chęć panowania są im najzupełniej obce, różnicy stanu nie znają. Co się tyczy wiedzy, nienawidzą wszelkie subtylizowania o bycie i istocie bóstwa, gdyż nie uważają, by przez to wzbogacić się mogły ich wiadomości. Gorliwie zaś to ćwiczą się w moralności, cnocie i dobrych obyczajach, wczytywają się ztąd bardzo w stare księgi prawodawcze, a szczególniej w dni świąteczne i sabbatu. Odbywa się to w ich domu modlitwy, gdzie zajmują miejsca podług starszeństwa wstąpienia do towarzystwa. Jeden czyta, inny komentuje i objaśnia przeczytane, *pryoczem przeważną formę nuuczania stanowią parable i allegorye*. Obok zajęcia się świętymi książkami, zajmują się także i innemi czysto światowemi przedmiotami, szczególniej państwem, polityką i ekonomicznemi interesami towarzystwa. Moralność ich była z dawien da-

wna zbyt prosta i ograniczała się do punktów: *Miłość dla Boga, bliźnich i do cnoty*. Ztąd ludzie ci zawsze miłowali życie spokojne, przyjacielskie, a głównie wolne od trosk, i pędzili by je istotnie o wiele spokojniej jak to miało miejsce, gdyby niebyli wielolicznie napaastowani przez inaczéj myślące ich otoczenie“. Tak daleko Philo, który na innem miejscu wspomina jeszcze o jednej, szczególnéj *klassie Ezejaszów*, o którój zwyczajach i powołaniu odnajdujemy w życiu Jezusa jeszcze bardziej uderzające ślady, tak, iż pomimowolnie skłaniani jesteśmy do wierzenia, że Chrystus był członkiem tego *wyboru Ezejaszów*, która to szczególna klasa zwała się *Terapeutami*, wolną była od wszelkich zajęć fizycznych i jedynie złożona z myślicieli, mówców i doktorów. Ludzie ci lubili, skoro uczuli w sobie wyższe jakieś natchnienie, opuszczać swoich krewnych i przyjaciół, uciekać w samotne miejsca lasów i pustyń, gdzieby nie zakłócało spokoju ich rozważań. Samotne ich chaty tak były biednie zbudowane, iż chroniły ich tylko od słońca i deszczu. W dni odpoczynku zbierali się razem *Terapeuci*, a nawet i inni przychodzili na ich zebrania wraz z żonami, które jednak ukryte od mężczyzn i zasłonięte woalami brać udział mogły. Pismo święte, swobodne mowy pełne poetycznego zapału, i śpiewy pobożnych pieśni wypełniały czas pod gołym niebem odprawianéj służby Bożéj, która po większój części trwała przez całą noc aż do rozświtu.

Potrzyby życia *Terapeutów* były nadzwyczaj ograniczone, chleb i sól był ich pokarmem, woda ich

napojem. Podobnież skromne było ich ubranie, które składało się z grubéj wełnianej sukni w zimie i płóciennéj w lecie, u wszystkich tego samego kroju i téj saméj barwy.

— Któż wie, rzekł bankier głęboko zamysłony, skoro Garibaldi przestał mówić, — kto wie, czy ten żydowski filozof Philo, który właściwie zowie się *Jedidha* i który, o ile sobie przypominam, nie był w wielkich łaskach u naszych Talmudystów, czy rzeczywiście może być uważany jako świadek naoczny ówczesnych dziejów Izraelitów, gdyż ten ani się rodził w Palestynie, ani tamże nie żył.

— Takie mniemanie łatwo może być odparte, odrzekł Garibaldi bez namysłu, gdyż w owym czasie było zwyczajem, że żydowscy rabini z powołania zwiedzali szkoły greckich i egipskich filozofów i oddawali się z całej duszy badaniom ich nauk. Tak samo i nasz Rabbi Philo, który chociaż żyd ciałem i duszą, był zarazem jednak głębokim myślicielem, i sądził, że przez swobodne badania dojdzie do tego, iż będzie mógł żydowskie nadzmysłowe objawienia przez allegorye pogodzić z rezultatami grecko-filozoficznego badania. W pismach tego wielkiego myśliciela, znajduje się wiele nauk, szczególnie o istocie Boga, które spotykamy w napisanej dopiero w dziesięć lat później ewangelji sw. Jana. Tak np. mówi on o *Logos* pierwowzorze boskiej myśli, jako o najstarszym i pierworodnym synu Boga, przez co uważa świat widzialny jako młodszego syna Boga. Najprzód więc Philo wypowiedział *symbo-*

likę boskiej Trójcy. Nie bez celu podnoszę tę okoliczność, gdyż muszę tu wspomnieć o jednym fakcie, nadzwyczaj ważnym dla genezis chrześcijańskiej nauki, którego poznanie, Bóg wie z jakiego powodu, aż dotąd świat profanów starał się niesłusznie ukrywać. Fakt ten, który właśnie nas zmusza do nadania osobie Rabbi Philo wielkiego historycznego znaczenia, zasadza się mianowicie na tem, że Jezus w 20-ym roku życia udał się do Aleksandryi w Egipcie, tam się przez lat 8 zatrzymał i z zaledwo 20-letnim Philo zawiązał serdeczną przyjaźń. Również jest na pewno dowiedzione, że Jezus przez pobyt swój w Aleksandryi, która wówczas przez swoje muzea, biblioteki i pomniki mogła nazywać się duchową stolicą świata, zapoznał się dokładnie z greckim językiem, by wtajemniczyć się w ducha greckiej filozofij w słowie i piśmie“.

— Ja sędzę, przerwał w téj chwili stary Geldstern, że my przez ostatnie w każdym razie bardzo zajmujące zadanie oddalać się zaczynamy od naszego właściwego celu.

— Bardzo słusznie, potwierdził Garibaldi, moje nieco rozproszone wiadomości niemniej były potrzebne, gdyż ja muszę jasno przedstawić w głównych zarysach religijne życie stronnictw żydów, zanim wreszcie do właściwego założenia przystąpić mogę. Pan, drogi mój przyjacielu, musisz się powoli pozbyć gruntośnie swoich religijnych poglądów, które całkowicie należą do wytkniętego przez Faryzeuszów kierunku. Możesz to jednak pan wszakże, według mego wewnętrznego

go przekonania, tym tylko sposobem osiągnąć, jeśli pan starać się będziesz przesiąknąć ducha, który opiewa całą istotę i nauki Ezejaszów, nie pozbywając się jednak swęj indywidualności żyda; pańskie duchowe oczyszczenie powinno nastąpić na podstawie prawdziwej nauki mojżeszowej. Życzyłbym tylko, byś pan praktyczne zasady Ezejaszów do swoich zastosował, przez co pan zaraz bliżej się znajdziesz zrozumienia prawdziwego chrześcijaństwa, a dalej zbliżysz się nieco do istoty wolnomularstwa. Wówczas, tak wówczas nie byłoby panu więcej trudno, teorię pańskich poglądów ciągle godzić z praktyką, a owa wykwitła w wyobraźni kolizya obowiązków, jaka się nawet teraz jeszcze znajduje przy zaślubinach córek pańskich z chrześcijanami, rozwieje się w dym, uważana z wysokości prawdziwej uniwersalnej ludzkości. Rok a może dwa lata potrwa walka w sercu pańskim, ale się z pewnością skończy na pańskie dobro.

— Dobrze, zawołał bankier zdecydowany, chcę iść za pańską radą i starać się zostać w duchu *Ezejaszem*. Nie widzę w tém nic niewłaściwego, gdyż mogę żydem pozostać. Na zmianę religji teraz i nigdy bym się nie zgodził.

— Bravo! odrzekł zadowolony generał i ścisnął serdecznie rękę starego poczciwca, — teraz jednak do ważnego pytania; — co się stanie z młodemi ludźmi?

— Nie mogę, odrzekł poważnie Goldstern; nic na-przód obiecywać, gdyż nie chciałbym zwodzić ani moich

córek, ani owych dzielnych młodych ludzi. Nie widzę istotnie żadnego wyjścia z tego *dilema*.

— Jednak, jednak! śmiejąc się rzekł Garibaldi, być może iż i w tym punkcie zechcesz pan pójść za moją życzliwą radą? Pan kiwasz głową przyzwalająco? Dobrze tedy. Moje zdanie jest, byś pan Sarę i Paulinę zostawił tu na Caprerze pod opieką zacnej pani Deideri, a sam wyjechał zaraz do Palestyny z Emanuelem i Onofrio.

— Przeciw pierwszemu nie mam nic do nadmienienia, i być może będzie jeszcze dość czasu, by zaangażowaną w Aaglii guwernantkę zamiast na wyspy Azorskie sprowadzić tutaj. Ale generale co mam robić w Palestynie?

— Najprzód, odrzekł spiesznie Garibaldi, widzenie świętych miejsc w każdym razie wzbudzi w panu wzniosłe religijne uczucia, a powtóre może to nie będzie bez korzyści, jeśli pan tam zbliżka przyjrzy się nieco postępowaniu swój małżonki i syna; naturalnie musiałbyś pan unikać wszelkiego osobistego spotkania.

— Do tego jestem za zbyt niezręczny, zauważył bankier z pewnością siebie, na intryganta i szpiega wcale się nie urodziłem; zresztą ten zamiar mi się podoba, i jeśli pan sądzisz, że Emanuel i Onofrio zgodzą się towarzyszyć mi w tej podróży, zaraz jutro z rana gotów jestem ztąd wyjechać, gdyż nie jest dobrze młodych ludzi dłużej jeszcze razem zostawiać.

— W ostatnim punkcie zgadzam się z tobą, mój przyjacielu, rzekł generał, zresztą kuzyni Cerotti mogą

panu więcej służyć do towarzystwa i do osobistej opieki jak do dorady; ponieważ zaś człowiekowi jak pan nigdy na pieniądzech nie zbywa, jestem więc w szczęśliwym położeniu, iż mogę dać panu na usługi kilku naszych agentów z „młodej Europy”.

— Zgoda, rzekł bankier, i ci ludzie na skąpstwo z pewnością uskarżać się nie będą. Jednak teraz generale idźmy; lubię prędko wykonywać moje postanowienia. Chcę zaraz oddać moje córki dobrej pani Deideri, i o mającym już jutro zrana nastąpić wyjeździe porozumieć się z kuzynami Cerotti, nad którymi ojcowie ich dali mi nieograniczone prawo rozporządzania.

Obadwaj panowie wzięwszy się pod ramię, oddalili się teraz do ogrodu, gdzie umieli wynaleźć tak całą młodzież osady, jak i poważną panią Deideri.

Jak już wiemy z jednego z poprzednich rozdziałów, stary Goldstern udał się istotnie do Syryi. Ponieważ zaś Sara i Paulina zostały na Caprerze, więc tylko lalki woskowe mogły nabawić panią Goldstern i pięknego Izydora tak śmiertelnego strachu między ruinami Palmiry.

XX.

Pogardzony rozkaz.

Pobył porucznika Brauna na wesołym, małym dworze Falkstejskim znacznie się przedłużył, po nad zakreślony z początku termin *tylko* dwóch tygodni, gdyż spotykamy tamże odważnego wybawcę poczciwego księcia Ryszarda i miłej księżniczki Adelgundy, jeszcze w dzień Nowego Roku 1860. Przy wielkiem zmniejszeniu armji austryackiej, po nieszczęśliwej włoskiej wyprawie, nie trudno mu było uzyskać przychylną odpowiedź na wniesioną z Falkstejnu prośbę o przedłużenie mu urlopu na czas nieograniczony, z wyraźnym jednak dodatkiem: „aż do załatwienia przez pana porucznika interesów“.

Jak się dowiedział Braun z listu prywatnego jednego z adjutantów pułku, w którym on także służył, niechętnie patrzył pułkownik na wyjście tak dzielnego oficera, jakkolwiek wszelkiemi sposobami starano się o zmniejszenie zbyt wielkiej liczby oficerów; widać było z listu jakiś wyższy podszept jak również widocznie było, iż chciano zostawić czas porucznikowi Braunowi, do cofnięcia swego postanowienia wystąpienia z wojska austryackiego.

Program naszego bohatera był jednak nieodwołalnie określony, mniej może przez jego własną wolę,

jak przez okoliczności, które czytelnik dawno już zapewne odgadnąć musiał. Zresztą zwłoka co do wystąpienia z c. k. wojska nie była wcale przeciwną jego życzeniom, gdyż wcale mu się nie spieszyło wracać do Ameryki i nieraz już zastanawiał się poważnie nad propozycją księcia, by pozostał w zamku Falkstejnskim i potem żądał zupełnego uwolnienia od służby.

— „Mianuję pana majorem”, zwykł był wśród takiej rozmowy mówić śmiejąc się książę, — i, oddając pannę, jak to wypływa z owęj najwyższej godności, dowództwo naczelne nad całą załogą wojskową Falkstejnską, złożoną z 783 ludzi w czasie wojny, gdyż w téj chwili niema nawet 300 żołnierzy pod bronią.

Za każdą razą dziękował Braun z uszanowaniem acz nie stanowczo za życzliwe propozycje czelego starca.

— Mości książę! odrzekł, kiedy go książę we wspomnionym dniu Nowego Roku znów namówić starał się, by na zawsze pozostał w Falkstejnie, — Mości książę! nie mam słów, jakimi powinienym mu podziękować za jego życzliwe dla mnie chęci, i z tysięcznymi podziękami przyjąłbym ofiarowane mi miejsce, które acz bardzo skromne, wszakże dla człowieka honoru i wiernemu obowiązkom byłoby wielkiem polem pożytecznej działalności. Ale, Wasza księcia Mości! Pan, który tak dokładnie znasz moje stosunki, nie namawiaj mnie przez swoją życzliwość do tego, spuszczasz bowiem z uwagi smutne następstwa, jakieby pociągnąć musiało za sobą przypadkowe odkrycie prawdziwego mego nazwiska.

Byłoby to strasznym, europejskim skandalem, i z krzywdą dla Falkstejskiego rządu. Nie, nie! Mój gorzki los musi się wypełnić! Powrócę do mojej nowej ojczyzny, do Ameryki, skoro potrzeba wymaga, bym chwalebnie, bez żalu i nienawiści walczył za moją niewdzięczną ojczyznę, która mi mój honor odebrała.

— Dobrze! rzekł zasmucony książę, ostatni już raz rozmawiam z panem w tej materii. Z zakrwawionem sercem oceniam pobudki pańskiego sposobu postępowania, gdyż prawdziwie pana pokochałem i wszystko złe jakiego pana dotknęło, sprawiłoby mi wielką boleść.

Pan Strickwitz, który również przypuszczony był do tajemnicy oficera, i dzielnego człowieka nie mniej cenił wysoko jak sam książę, zrobił nieco ostrą uwagę o onym pobożnym świętoszku, przez którego intrygi o mało co nie padł ofiarą nieszczęśliwy Braun.

Masz słuszość, panie Strickwitz, dodał książę kiwając głową, od czasu jak jest pewnym, żeśmy tak strasznie złapani zostali przez uczonego doktora Henrichsena, musimy uważać jako fakt dokonany, że Jezuici na Falkstejn jeszcze ciągle bystro spoglądają. Któż mógłby pomyśleć, że ten człowiek był tajemnym agentem „braci nocy“! Również nie podlega żadnej wątpliwości, że owa tragicznia przygoda przy klatce niedźwiedziej przygotowaną została przez tego niegodnego obłudnika.

— Co do tego, zrobił uwagę pan Strickwitz, co do tego kwestya jest zupełnie jasna, chociaż niestety jego nikczemny pomocnik, ogrodniczek Ignacy, umiał wym-

knąć się z więzienia, nim skończone zostało śledztwo przeciwko niemu.

— Czy sądzisz pan istotnie, ciągnął dalej książę zwrócony do Brauna, że ów Dr. Henrichsen z nauczycielem języków Fergusonem i ojcem Honoryuszem, którego pan w Stejnie poznałeś, jest jedną i tą samą osobą.

— Jestem o tem przekonany, odrzekł oficer z pewnością siebie; ów nikczemny intrygant w pośpiechu z jakim ztąd wyjeżdżał, zapomniał zabrać ze swego biurka niektóre ważne papiery. Za ledwie pomyśleć o tém można, bym ja się miał zawieźć na piśmie owego mniemanego doktora Henrichsena; nawet opis jego osoby zgodny jest zupełnie z nieszczęsnym ojcem Honoryuszem, którego towarzystwo tak często mimowoli znosić musiałem w Stejnie.

— Musimy więc na przyszłość dołożyć podwójnej bacznosci, rzekł książę poważnie, — otwarcie mówiąc, pragnąłbym żeby Flodoardo nakoniec Sienę opuścił; gdyby mu nawet zdrowie nie pozwoliło teraz podczas ostrój zimy przebywać na zimnej północy. Dla czego nie udaje się do Nizy? Lękam się bardzo, żeby mu w Sienie jeszcze gorszego figla nie wyplatanano.

Jak wiemy już, niestety obawa ta księcia istotnie w tydzień później się urzeczywistniła.

Ponieważ książę mocno teraz posmutniał, pan Strickwitz więc zręcznym zwrotem skierował rozmowę na Jezuitów i skłonił swego kochanego pana, do rozgadania się bliżej nad tym przedmiotem.

Braun, który rozumiał dobrze obmyślany zamiar

swego przyjaciela Strickwitza, zwrócił się także do tego smutnego i przykrego ze względu na niski upadek moralny przedmiotu.

Teraz stary książę był w swoim żywiole, tém więcej gdy do uważnego towarzystwa przyłączyły się ciotka Ulryka i księżniczka Adelgunda, które właśnie weszły by pospolu z trzema panami spożyć podwieczorek.

— Obecny papież, zaczął książę, jest wielkim zwolennikiem nowój nauki wiary, i prócz dogmatu *niepokalanego poczęcia* z pewnością byłby wystawił jeszcze inne, gdyby miał zupełnie swobodną rękę. Po jego śmierci, następcy podobnież by się z zapalem zajmowali wystawianiem nowych dogmatów, przez co byłoby możliwem, iż po upływie pewnej liczby lat przybyłyby całe tomy nowych dogmatów, któreby musiał uznawać każdy katolik chrześcianin. Połączenie się chrześcian innych wyznań, połączenie, któremu my protestanci w zasadzie wcale nie jesteśmy przeciwni, nie może jednak mniej przeciwne być jak wystawienie nowych dogmatów, stąd na *obecnej* drodze w połączenie się wyznań chrześcijanskich mniej jak kiedykolwiek myśleć można. Na każdym synodzie musiał dotąd dogmat być obrazem wielkiej działalności, podczas gdy zamiast teoryi praktyka, zamiast dogmatu czynna dążność do pokojowego i odpowiedniego czasowi rozwiązania wielkich pytań *nowego porządku świata*, daleko bardziej byłaby na miejscu, gdzie przedewszystkiem należałoby zadawałnającą odpowiedzieć o stanowisku nowego katolickie-

go kościoła w nowém państwie i w nowém społeczeństwie.

Rzućmy okiem tylko na uderzający przykład Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie rzeczywiście powszechna swoboda panuje. Tam nie mięsza się ani rząd w sprawy kościoła, ani kościół nie zajmuje się polityką, ani téż duchowieństwo nie intryguje o władzę najwyższą, lecz *wolny kościół* panuje nad wolnemi dziećmi, te czczą swoją wolną matkę i oboje razem żyją szczęśliwie w wolności, której dewizą jest: „w zasadzie jedność, w wątpliwości wolność, ale przedewszystkiem i we wszystkim *miłość!*“ Katolicki więc kościół musiał więc sobie przedewszystkiem za zasadę postawić, by żądać wzajemnej tolerancyi rozmaitych stronnictw religijnych; uważa on, iż ci, którzy za życia żyją w zgodzie i harmonii, po śmierci także obok siebie spoczywają i że z tego powodu bramy katolickiego cmentarza powinny stać otworem nawet dla inowierców.

Książę zdawał się być mocno zatopionym w rozmowie. Ciotka Ulryka, która jak już dawniej wspomnieliśmy była gorliwą protestantką, zwróciła przedewszystkiem uwagę na to, co jój uczony brat mówił o duchowem wyzwoleniu ducha przez reformację i wynurzyła życzenie, iżby przedmiot ten bliżej nieco mógł być rozebrany.

— Brat Braun, zauważył książę, nie omieszka nam cośkolwiek w téj materyi powiedzieć i ja tymczasem zapalę sobie cygarko. Jestem przekonany, iż dowiemy się wiele szczegółów bardzo interesujących.

Oficer skłonił się księciu na znak, iż gotów jest za-
dość uczynić wezwaniu i zaczął: „Religia, cnota i pra-
wo są bez wątpienia najważniejsze kwestye i najwyższe
dobra ludzkości. Gdzie się one znajdują, tam panuje
pokój, pokój z Bogiem, z własnem sercem i z bliźniemi.
One są podstawą naszego doczesnego i wiecznego szczę-
ścia, oświecają naszą ścieżkę żywota i ozdabiają nas
we wszystko co tylko najpiękniejsze, najwznioslejsze
i najszlachetniejsze. Ewangelia wielkiego Mistrza po-
kazuje w najwyższej świetności błogosławieństwa spły-
wające na nas z religii, cnoty i sprawiedliwości. Pod-
czas gdy protestantyzm zburzył zapory, jakie postawiło
chciwe władzy duchowieństwo, i ów wewnętrzny, ser-
deczny związek ludzi z Bogiem niemożliwym uczyniło,
podczas gdy tenże, nie troszcząc się o przekroczenie
owej niby w imieniu Boga rządzącej hierarchii, powró-
cił do bezpośredniego i najczystszeo źródła wiary,—
zdobył on w swe posiadanie najwyższe prawdy, najpo-
wszechniejsze i najpotężniejsze idee stały się jego dzie-
dictwem i przez nie zapewnił sobie panowanie nad te-
rażniejszością i przyszłością. Protestantkie narody
zwalczyły zastarzałe przesady i zaslepienie ludzi, przez
co stały się twórcami owych idei, w których mocy zło-
żone są dzieje świata. Prawdziwa wiara, czysta morał-
ność, najwznioslejsze zasady prawa znajdują się odtąd
w posiadaniu narodów protestanckich i przez nie prze-
niesione zostały na inne narody. Z protestantyzmu
bierze początek wyższa wiedza, umoralnienie i wszyst-
kie owe dobra, w których prawdziwe szczęście się zna-

chodzi. *Jezuityzm* przeciwnie jest rażąca antytezą *protestantyzmu*. Wszystkie prawdy, które uświęcają istotę ostatniego, zostały przez *jezuityzm* odrzucone. Nadto cel i środek przy obu jest zupełnie inny. Protestantyzm wprowadził nowe myśli i poglądy, *jezuityzm* wrócił się do przestarzałych; tamten zwrócił oblicze swoje ku przyszłości, ten ku przeszłości; tamten zdąża do światła, ten do grubych przesądów. Koniecznym następstwem tych dwóch tak wprost przeciwnych sobiekierunków było, że protestanckie narody poszły naprzód, katolickie stanęły, nawet cofnęły się. Gdzie jest potęga Hiszpanii i Włoszech? Francya dla tego tylko trzyma się na wyższym stopniu, gdyż nigdy nie zostawała daleko od wolnych i zdrowych zasad protestantyzmu, pomimo swego katolickiego pozoru. *Jezuityzm* wszędzie ludy wewnętrzne i zewnętrzne doprowadził do ubóstwa gdyż jemu samemu zbywa na pokarmie wewnętrznym, który niezbędny jest do wzrostu i kwitnienia. Postępy, jakie robili Jezuici, były więc tylko pozorne ale nie istotne. Zostały i zostaną one zawsze staremi. Ztąd jeznicy nie widzą nigdy światła dziennego, ztąd ich postęp jest zawsze zapoznany, kulawy, wyklęty. Jezuici ztąd też nie dojdą nigdy do panowania nad światem, za którym tak bardzo wzdychają, wyglądają, gdyż wszystkie siły, które wielkim i silnym czynią, nie są w ich posiadaniu. Napróżno więc buduje kościół katolicki swoje nadzieje na zakonie jezuickim, napróżno sądzi, że mu się uda, w niedalekiej przyszłości pokonać protestantyzm i nakłonić na swoją stronę narody protestanckie.

Nadzieja podobna jest głupotą, szaleństwem. W obec protestantyzmu, tego najpiękniejszego dzieła ludów niemieckich, jezuityzm, zrodzony z nizko upadłych romańskich pokoleń, niema ani siły ani uprawnienia. Może on zechce ludy przemocą nawracać? Nawet przecie się o to starał, ale dokazać tego nie był w stanie; przez prawdę, przez siłę przekonania nie zdoła on nigdy protestantów przyciągnąć do siebie, gdyż służy on *ludziom* a nie *prawdzie*, a co jeszcze więcej: prawda nie jest za ale przeciw jezuityzmowi. Wpływ więc jezuitów na ludy katolickie został i zostanie ograniczony i nawet między niemi samemi stoją naprzeciw wielkie przeszkody i niebezpieczeństwa. Jezuicki zakon jest nadzwyczaj przezorny i czuje to dobrze, że aby się utrzymać, tam gdzie o tém jeszcze może być mowa, musi wygłaszać i zaszczepiać grube przesady, zaciemniać naukę i szerzyć despotyzm. Jak tylko się ludy podniosą, zaraz upadną uczniowie i wyznawcy Lojoli. W ten sposób zostanie im tylko missya nawracania pogan, zajęcie trudne i mało zyskowe.

— Bardzo dobrze powiedziane, przerwał książę, a ze wszystkiego wypływa, że nadzieje, jakie niektórzy mocarze świata pokładają i opierają na zakonie jezuickim, są zwodnicze. Czas jego istnienia jest już porachowany i chwile jego szybko się zbliżają ku końcowi. Ściągnął ten zakon kiedyś uwagę na siebie, był jednak on tylko wytworem ludzkiej mądrości, tak wyrzeczmy otwarcie: „*Ponieważ zakon jezuicki nie prawdzie służył,*

był od samego początku na śmierć skazany, gdyż tylko prawda i życie w prawdzie jest niewzruszone, wieczne“.

Dalszy ciąg rozpraw przerwany został wejściem służącego, który zawiadomił, iż przybyła już większa część gości zaproszonych na kolację i w wielkiej sali oczekiwała przyjęcia Jego Królewskiej Wysokości. Było bowiem zwyczajem w Falkstajnie, że książę rok rocznie w dzień Nowego Roku zbierał u siebie wybór mieszkańców swojej rezydencji na małą przyjacielską wieczorynkę.

Książę ofiarował ramię swój siostrze i córce, podczas gdy Braun udał się do swego pokoju, gdyż lokaj mu szepnął, że przybył do niego list z Austrii.

W pół godziny później jednak udał się i oficer do wspomnionój sali przyjęcia, gdzie tymczasem książę z każdym ze swoich gości zamienił kilka słów życzeń i wiejska kapela zaczęła już uwerturę z Bethovena, po której miano podać herbatę i następnie rozpocząć tańce.

Książę obejrzał się już kilkakrotnie za swoim ulubieńcem Braunem i dziwiła go jego nieobecność. Skoro więc spostrzegł nakoniec we drzwiach oficera, udał się nieznacznie do niego. Braun trzymał otrzymany list w ręku.

— Aha! mruknął książę, i pociągnął swego zbawcę życia do bocznego pokoju: „są nowiny!“

Po tych słowach rozwinął podany mu przez Brauna list, pisany przez dowódcę pułku w którym służył porucznik i brzmiał jak następuje:

Mój kochany przyjacielu!

Spotyka mnie niewypowiedziana przyjemność, iż mogę cię zawiadomić, że właśnie otrzymałem Najwyższą zatwierdzoną decyzję kapituły orderów, przez którą udzieloną ci została za twoje bochaterskie czyny we Włoszech najwyższa wojskowa odznaka w naszej armii, mianowicie krzyż Maryi Teresy. Spodziewam się, że okoliczność ta odwiedzie cię od dziwniej, prawdziwie dla mnie niewytłumaczonej myśli, wystąpienia ze związku cesarsko-królewskiej armii. Przewidując to, pozwoliłem sobie samowolnie złożyć *ad acta* datowaną przez pana ze Sieny prośbę o uwolnienie i mam nadzieję, iż przez to zasłużę sobie tylko na pańskie podziękowanie. Kierowałem się w tém zresztą nie tyle własnym popędem, ile wyraźnym życzeniem naszego zacnego dowódcy pułku, który, w razie gdybyś tylko cofnął swoje podanie, osobiście wyjednałby u cesarza przyzwolenie, by pana, pomimo zmniejszenia armii, awansować na pułkownika lejtnanta. Ja z méj strony jestem gotów, mianować pana na adjutanta pułku, by pańskie zdolne pióro i wysoki talent organizacyjny należycie spożytkować. Przybywaj więc pan prędko, jak najprędzej. Tu w naszym nowym garnizonie urządziliśmy się już dość wesoło; mieszkańcy z..... ubiegają się w okazywaniu nam serdeczności i mojemu pułkowi udało się zjednać sobie przez surową karność i grzeczność jak najlepszą harmonię z władzami cywilnymi. Pan wiiesz, że na to wielką zwracam uwagę, gdyż sam jestem *entre nous* mówiąc, kawałek demokracji. My dwaj zawsześmy się ztąd łat-

wo zrozumieli i ta zgodność poglądów podwójnie mnie skłania do życzenia, bym zawsze miał pana przy swoim boku. A więc, kochany panie poruczniku, pakuj się prędko i przybywaj. Daj mi pan znać pocztą o dniu swego przybycia, gdyż Jego Excellencya, głównie dowodzący zastrzegł sobie, iż własną ręką przypnie panu na piersiach krzyż Maryi Teresy. Przybycie pana do będzie dla nas wszystkich wielką uroczystością i jakkolwiek nie powinienem być gadułą, muszę jednak oznajmić panu, iż cały tutejszy korpus urzęda dla uczczenia pana wielki bankiet i przyjmie w nim udział także wybór tutejszego towarzystwa. Przybywaj więc spiesznie i przyjmij tymczasem serdeczne pozdrowienia, jakie ci zasyła wysoko cię szanujący i życzliwy

C. K. dowódzca pułku.

.....27 grudnia 1859 r.“

— To musi być jakiś elegancki człowiek ten dowódzca! rzekł książę zwracając list chciałbym go poznać! Jednak do rzeczy głównej—cóż zamysłasz robić?

— Moje postanowienie nie może być zmienione! odrzekł oficer tak głęboko wzruszony, że oczy jego mimowolnie zwilgotniały.

— Szkoda, niestety! zawołał książę zasmucony i wydał westchnienie: kiedyż odjeżdżasz więc, mój bracie?

— Jutro, odrzekł Braun zdecydowanym tonem, zawiadomię o moim przybyciu a w dwa dni później opuszczam pana na zawsze. W dziewiczych lasach Ame-

ryki wydawać będą żalodne jęki, niesłyszany przez nikogo; to ulży mojemu sercu.

— Smutny wieczór Nowego Roku! rzekł dobry książę, i ścisnąwszy na sposób wolnomularski rękę Braunowi, który się cofnął do swego pokoju, zmięszał się znowu książę z wesołą uśmiechniętą miną choć głęboko zranionem sercem ze swemi gośćmi, których już dziwił zaczynała długa nieobecność ich dostojnego gospodarza.

Tymczasem pożegnamy się na czas niejaki z małym, patryarchalnym dworem w Falksztejn i udamy się za porucznikiem do owego miasta w wyższej Austrii gdzie stał obozem jego pułk i gdzie téż on sam przybył 5 Stycznia 1860 roku. Już na następny dzień naznaczoną została przez głównodowodzącego generała uroczystość wojskowa, o której całe miasto od dwóch tygodni gadało.

Nadzwyczaj blady wszedł porucznik Braun w paradnym ubraniu na wielką salę, gdzie już uroczysto oczekiwali go wszyscy wolni od służby oficerowie załogi.

Braun bardzo grzecznie odpowiedział na sypiące się ze wszystkich stron powitania, ale z odpychającym jakimś chłodem, tak, że nie jeden z jego towarzyszy posądział go o dumę i urażony odwracał się od niego.

Muzyka wojskowa ustawiona przed pałacem zapowiedziała przybycie głównodowodzącego generała, który wszedł widocznie w bardzo dobrym humorze i zaraz życzliwie powitał ręką porucznika Brauna.

Wszyscy obecni przybrali teraz ściśle wojskową postawę. Nie słychać było żadnego głosu i nikt z obecnych nie śniał miną nawet naruszyć porządku. Oficerowie szerokiem kołem otoczyli generała, który teraz w krótkiej lecz dobitnej mowie wygłosił bochaterskie czyny porucznika Brauna i wreszcie wynurzył swoje wielkie zadowolenie z przyznanej dzielnemu oficerowi nagrody.

— Panie poruczniku Braunie, zakończył generał, sięgnąwszy jednocześnie po znak honorowy, który leżał na blizkim stoliczku w aksamitnym pudełku: — „wystąpić“.

W sztywnej postawie, ale blebszy jeszcze jak dotąd, zadość uczynił porucznik temu rozkazowi. Na trzy kroki zatrzymał się przed generałem, który chciał teraz zawiesić mu na piersiach wielki krzyż Maryi Teresy.

W tej chwili jednak porucznik Braun zrobił obie-
ma rękami silny odpychający ruch; z zadziwieniem wszystkich odrzucił ofiarowaną mu dekorację.

— Co to ma znaczyć? Czy pan jesteś przy zmysłach?! zawołał oburzony generał. Między oficerami powstało wielkie wzburzenie. Wszyscy sądzili, iż oczy ich zawo-
dzą, zapomniano na chwilę o karności wojskowej i sły-
chać było głosy niechęci i gniewu.

— To jest obraza; ze szpadami ku niemu; musi się bić z nami wszystkimi! dawały się słyszeć liczne głosy i szcęk przeszło pięćdziesięciu szabli sprawił tak ogłu-
szający chałas, że generał nie mógłby być nawet sły-
szanym, gdyby chciał był coś przemówić.

Porucznik Braun zrobił na lewym obcasie pół obrotu, tak, że stanął nieco przy boku generała i tym sposobem mógł spoglądać w twarz większej części obecnych.

— Panowie! zaczął drżącym ze wzruszenia głosem, potępiacie mnie nie wysłuchawszy wprzód. Każdy z was, towarzysze, uzna pobudki moje za słuszne, skoro je pozna. Tu w ręce Jego Excellencyi, głównodowodzącego pana generała, składam szczegółowy opis całego mego biegu życia. Pragnę jednak, aby ten list przezemnie trzema opatrzony pieczęciami dopiero od dziś za dwa tygodnie został otworzony. Czy mogę rachować na spełnienie téj mojej prośby?

Ostatnie pytanie zwrócił porucznik Braun do generała, który w milczeniu kiwnął głową i przyjął podany mu list.

— A teraz, Excellencyo! ciągnął dalej porucznik, spodziewam się, że pan nakoniec od téj chwili uwolnisz mnie od moich usług i będziesz uważać mnie za wyszłego z c. k. armii, do której że należałem pozostanie zawsze dla mnie zarówno miłym jak zaszczytnym wspomnieniem.

Po tych słowach Braun złożył szablę, szarfę i kaskiet na wspomnianym stoliku, gdzie także znajdował się już napowrót w pudełku i wzgardzony order.

Ponieważ generał w milczeniu spoglądał na to symboliczne złożenie jego urzędu, mógł więc Braun swoje uwolnienie za formalnie przyjęte uważać.

Silnym krokiem opuścił teraz salę, złożywszy pe-

łen uszanowania ukłon generałowi i swemu dotychczasowemu dowódcy. Szeregi oficerów rozwarły się szeroko, by go przepuścić. Ani jeden nie miał przyjaznego słowa pożegnania dla niego; wszyscy spoglądali nań z nietajoną nienawiścią, której wybuch wstrzymywała tylko obecność dostojnego zwierzchnika.

Jeszcze téj saméj godziny odjechał dawny porucznik Braun ze stojącego w mowie miejsca załogi. Nikt nie wiedział, dokąd się skierował.

XXI.

Syrena.

Niema już dłużej potrzeby zachowywać przed czytelnikiem i tak już dość przezroczystego inkognito mniemanego amerykańskiego Filipa Brauna. Każdy w dzielonym ochotniku poznał już od dawna nieszczęśliwego barona Oskara Schancenaua, i może tylko nie zaraz odgadł pobudki, jakie go skłoniły do opuszczenia swego bezpiecznego schronienia na amerykańskim gruncie, by walczyć pod chorągwiami swojej ojczyzny, przez co nie tylko się wystawiał na wszystkie możliwe niebezpieczeństwa, ale nawet teraz musiał być przygotowanym, iż nieszczęśliwa przygoda naprowadzi na sprawdzenie tożsamości jego osoby, w jakim to wypadku jeszczeby gorzej wypadło dla porucznika.

Alé Schancenau będący w niezgodzie z samym so-

ba i ze światem, od czasu jak w Cincinnati, obranem miejscu pobytu w Północnej Ameryce, otrzymał z Europy wiadomość o niewyjaśnioném zniknięciu swoich dzieci i bardzo prawdopodobném samobójstwie swęj drogięj małżonki,—spoglądał zupełnie obojętnemi oczami na niebezpieczeństwa, na które się narażał kiedy powrócił na ląd stały. Chciał teraz odrazu podwójny cel osiągnąć, albo zginąć. Najprzód pilno mu było osobiscie, choćby nawet tajemnie, wywiedzić się o bliższe szczegóły, wśród jakich blizcy mu tak nagle stać się mieli niewidzialnymi, i powtóre, chciał w walce za swą ojczyznę uiszczyć się z czynów, do których on pospolity, niktzemny zabójca, za jakiego go ogłoszono, nie miał być nigdy zdolnym. Leżała mu zarazem na myśli szlachetna zemsta, by walczyć za swą ojczyznę, która go osławiała i potém, gdyby mu się to szczęśliwie udało bez nienawiści i nagrody znowu powrócić za Ocean. Możliwość, że rana lub śmierć nawet mogła mu przeszkodzić w całkowitem wykonaniu tych jego zamiarów, nie przedstawiała mu się wcale, gdyż pomimo wszystkich ciężkich ciosów losu, jakie go dotąd dotknęły, ufność w Boga tak była w nim wielka, tak niezachwiana, iż ani na chwilę nie wątpił, że łaskawa Opatrzność nie odmówi mu ostatnięj próby, jaką do Nięj zanosi. I tém zaufaniem całkowicie przejęty, niedowiarki mogą to w każdym razie nazwać fatalizmem, puścił się bez namysłu na najwłększy grad kul, i podczas gdy towarzysze jego padali około niego w prawo i w lewo jak kłosa przez kosiarza podcięte, on sam ani razu nie został

nawet draśnięty, tak, iż wśród nieco zabobonnych żołnierzy jego pułku zakorzeniła się silna wiara, iż godzien podziwu Amerykanin posiada sztukę uchronienia się od pocisków nieprzyjacielskich. Mniemanie to zresztą później bardziej się jeszcze wzmocniło, kiedy poczciwi ludziska się dowiedzieli, że ów cudzoziemiec jest „kacierz“, to jest protestant, wywoływacz djabłów, daleko gorszy od żyda i Turka.

Nie bez pewnego zadowolenia dowiedział się Schancenau w Falksztejn, iż mu przyznany został rzeczywiście najwyższy order wojskowy, do którego przywiązane jest wyniesienie do godności barona.

— Honor mój, mówił on przy pożegnaniu do księcia Ryszarda, honor mój jest teraz *de facto* ocalony, gdyż nawet w oczach sprawiedliwości jestem tylko zbiegłym winowajcą. Nie przywiązuję naturalnie żadnej wartości do szlacheckiego tytułu jako takiego, ale to mi sprawia w każdym razie zadowolenie, iż przez *osobistą* zasługę zdobyć zdołałem to, co mi mój przodek jako dziedzictwo zostawił; ślepa jednak sprawiedliwość mnie schwytała.

W tym sensie brzmiał także opis szczegółów, jakie złożył w ręce głównodowodzącego generała i których odczytanie swoim dawnym towarzyszom po upłynionym terminie dwóch tygodni do woli jego zostawił. Naturalnie wszyscy obecni dali oficerskie słowo honoru, iż o wszystkim tém do czasu najgłębsze zachowają milczenie, częścią dla tego, by podobnym skandalem nie przynosić szkody pułkowi, częścią by nie stawiać prze-

szkód w oddaleniu się występującego z wojska towarzysza, o którego niewinności i zacności zupełnie się przekonano.

Tymczasem Schancenau wszystko już przezornie do podróży przygotował, kiedy się udał na miejsce, gdzie miało nastąpić ozdobienie go orderem. Zaledwie do domu powrócił, zmienił swój oficerski uniform na ubiór cywilny, przyprawił sobie fałszywy zarost, włożył na głowę trójgraniasty kapelusz i owinąwszy się starannie w długi i szeroki płaszcz, wsunął rewolwer do kieszeni, i z ciężkim sękatym kijem w rękę, przez nikogo niepoznany i niewidziany, posunął się w kierunku pobliskich gór. Czuł się zupełnie lekkim, kiedy się ujrzał zupełnie wolnym człowiekiem i zdążał wesoło wśród zimnego lecz pięknego dnia styczniowego po chrupiącym śniegu, by najkrótszą drogą dostać się do bawarskiej granicy. Dopiero wtedy chciał korzystać z kolei żelaznej, by osiągnąć najbliższego celu swego *Bremerhafen*, a ztamtąd najpierwszym za atlantyckim parowcem udać się znowu do swojej nowej ojczyzny, którą dopiero przed dziesięcioma miesiącami opuścił.

Następnego dnia Schancenau, który całą noc przemazzerował, doszedł do położonej w bardzo pięknym położeniu bawarskiej stacyi kolei Traunstejn, gdzie ma się znajdować podobno wyborne piwo.

Najkrótszą drogą i nie zatrzymując się na żadnej pośredniej stacyi, dostał się nareszcie Schancenau do *Bremerhafen*, gdzie, jak to później zobaczymy, spot-

kać go miała bardzo interesująca awantura. Na wielkie jego zmartwienie przybył o kilka godzin za późno dla odjazdu parowcem do New-Yorku, a ponieważ miał zamiar w Hamburgu lub w Hawrze poszukać innej jakiej okazji do podróży, postanowił więc w Imię Boże czekać przez dwa tygodnie, dopóki drugi statek nie puści się w zaatlantycką podróż. W Bremen jednak i w Bremerhafen bardzo jest ciężko, szczególnie w zimie, cudzoziemcowi tak długiczas dość przyjemnie przepędzić, jak to sam pozna czytelnik z następującego szkicu tego tak ważnego miejsca dla Niemiec i dla handlu całego świata.

O starém wolném mieście hanzeatyckiem Bremie, wraz z jego 50,000 mieszkańców, nie wiele jest do powiedzenia. Prócz ratusza, luterańskiej katedry i wystawy sztuk pięknych, żaden inny budynek na szczególną wzmiankę nie zasługuje, ale tym więcej interesująco przedstawia się wycieczka do Bremerhafen, najświeższego miasta morskiego Niemiec, dotąd mało znanego, ale, w obec swego wielkiego znaczenia dla handlowego i morskiego rozwoju całego kraju, w każdym razie godnego bliższego poznania.

Kiedy nas statek parowy z Bremen w dół rzeki unosi, kiedy znikły już z oczu wieżyce starożytnego miasta Hanzy, i kiedy już wesoły Vegesack ze swemi masztami i willami otoczonymi ogródkami, a zielona Blumenthal i fabryka kominów Rünebecka za nami się znajdują, nagle cofa się na prawo w głąb kraju wysoki i spokojny brzeg morza; ztąd się dopiero zaczynają oko-

lice nadzwyczaj bujną zielonością pokryte. Dalej następuje ku prawemu brzegowi Wesary *Osterlade*, kraina *Würden*, *Vierland* i наконец, gdzie wspaniała flora wybrzeży morskich zdobi brzegi, kraina *Wursten*. Z lewéj strony znów mamy *Stedingerland*, *Stadland* i наконец *Budjadingen*.

Z obydwóch stron tych pięknych i tak wiele dla podróżnego budzących interessu okolic, spotykasz pola bujnie zbożami pokryte, mnóstwo pastwisk i łąk,żywionych niezliczonymi tysiącami opasłych baranów, a tu i owdzie mile wpadające w oko wieżycy kościołów, wiatraki i okazałe zabudowania wieśniaków, w których zamieszkuje swobodny i dzielny lud wiejski fryzyjskiego plemienia, na którym dzieje pełne burzliwości i sławy, wielowiekowe utarczki i walki za prawo, wolność i ojczyznę i owo piętno silnego przeświadczenia o sobie odbić się koniecznie musiało. Z tém wszystkiem rzadko są oni nawiedzani przez cudzoziemców, rzadko opisywani i prawie zupełnie nieznanymi reszcie Niemiec.

Gdy się nareszcie dobiegnie ostatniej wyspy *Wesery*, tak zwanego *Lunerplatte*, nagle rozszerza się obraz i zmienia się cały charakter natury; widać jak starzeczka gotuje się do rzucenia w objęcia starego oceanu. Wieje świeższe powietrze i głośniej huczą szare, pianą pokryte bałwany; białe mewy, piękne i wysmukłe jaskółki morskie zapelniają powietrze często w nieprzeliczonych *massach* a tu i owdzie wychylają się z pośród bałwanów pojedyncze, czarniawe ciała i znowu się w wodzie zanurzają. Są to delfiny, których jest tu bar-

dzo wiele; nawet okrągła głowa psa morskiego ukazuje się pojedynczo z pośród fali i wiele jeszcze innych zjawisk domysłać się pozwala bliskości oceanowego przestworza.

Przedewszystkiem jednak pociąga nas obraz jaki się rozciąga na prawym brzegu. Najprzód mnóstwo czerwonych dachów jaskrawo uderza w oczy, wystają wieżycy, dalej mury masywne ciężkimi działami uzbrojonej fortecy i wreszcie — prawdziwy las masztów stanowi wydatny środkowy punkt bogatego obrazu. Nowe hanowerskie *Geestemünde* i najmłodsze miasto morskie Niemiec *Bremerhafen*, leżą przed naszymi oczami i parowiec wpływa na Geeste, ową rzeczkę, której zatoka obiedwie miejscowości od siebie oddziela. Jesteśmy u celu naszej podróży.

Zatoka Geesteńska, którą tworzy zbieg rzek Wezery i Geesty, ma dla handlu i nawigacyi nadzwyczaj wyborne położenie, a jednak miejscowość ta nie podnosi się, gdyż kapitanowie statków lękają się téj przystani dotąd jeszcze wystawionej na niebezpieczeństwa burz morskich. Dla tego sprzeczność ta, możnaby powiedzieć zamarłej zatoki Geesteńskiej z ożywioną i ruchliwą *Bremerhafen* jest tém większa i bardziej uderzająca, gdyż obie te miejscowości leżą bardzo blisko siebie. Zaledwie przeniesiemy się statkiem na drugi brzeg Geesty, gdy spotykamy się naraz z hałaśliwym gwarem prawdziwego miasta morskiego. Wszystko porusza się w około i pracuje z pośpiechem; z doków dochodzą od rana do późnej nocy odgłosy tysięcznych uderzeń młota

i zgrzytu piły, podczas gdy z zatoki powiewają na wierzchołkach masztów różnokolorowe flagi i dochodzą pełne smętnéj melodyi śpiewy pracujących majtków.

Dzisiejsze Bremerhafen założone zostało w roku 1827 pod kierunkiem jednego z holenderskich techników; w r. 1853 zamienione na miasto i liczy obecnie już przeszło 10,000 mieszkańców. Urządzenie samo portu jest w saméj rzeczy sztuką mistrzowską i przystań składa się z dwóch wielkich, od wszelkich nacisków burzy zabezpieczonych bassenów, dawniejszego na południe leżącego i nowszego w północnym kierunku. Obydwa te basseny za pomocą czterech wielkich bram żelaznych mogą być zupełnie odłączone od morza, okoliczność ta pozwala na peryodyczne oczyszczanie bassenów, co jest widowiskiem nadzwyczaj ciekawem i dla tego chcemy tu o tém kilka słów pomówić.

Skoro tedy ma nastąpić oczyszczanie, wychodzi surowy nakaz do wszystkich kapitanów statków stojących w zatoce, aby je jak można najstaranniej umocowali. Tymczasem nadchodzi fala i wszystkie bramy tak długo zostają otworem, dopóki woda nie wzniesie się do najwyższego jéj stanu, poczem zaraz się je szczelnie zamyka. Teraz czeka się, dopóki woda przez wiérzch nie odpłynie i nie dosięgnie najniższego stanu. Wtedy rozlega się odgłos dzwonu i wszyscy majtkowie zabierają się do roboty. Przez pouchyłane bramy pieńiące się fale dostają się do środka, huczą i wrą coraz żywiej. Statki zaczynają się chwiać, opuszczają na dół i podnosić tu i owdzie z głuchym trzaskiem uderzając

jedne o drugie. Kotłującą się wodą wymula nieczystości na dnie bassenów zebrane i trwa to czyszczenie co najmniej z pół godziny.

Na końcu nowego bassenu wznosi się wielka gotycka latarnia morska, piękny zabytek architektury.

Bremerhafen jest bardzo regularnie zabudowane, z szerokimi, czystymi ulicami i obszernym placem targowym. Architektura jednak tych domów jest do wysokiego stopnia dziwaczna; są one bowiem budowane bez żadnej sztuki lub smaku, utworami pozbawionemi wszelkiego pojęcia o formach, gdzie panuje najzupełniejszy brak symetrii i proporcji. Również i nowy kościół gotycki, wspaniałą budowlę z wysoką wieżą, nazwać można niedonoszonym piódem architektoniki. Sztuka bowiem jest kwiatem, który tak dobrze wśród dymu węgla fabryki, jak wśród odoru smoły w mieście portowem, pięknie zakwitnąć nie zdoła.

Ten szczególny brak estetycznego smaku jest tém więcej uderzający, gdyż nigdzie, wyjąwszy chyba Amerykę Północną, budowa okrętów nie stoi na tak wysokim stopniu wydoskonalenia, jak w dokach bremeńskich co już w istocie przez świat cały uznanem zostało, gdyż francuzkie, hiszpańskie i portugalskie flagi wieją teraz z masztów, które w niemieckich lasach wycięte i z desek, które w bremeńskich dokach spojone zostały.

Z pomiędzy wszystkich miast niemieckich Bremen posiada największą, najbogatszą i najpiękniejszą marynarkę handlową, mocno zbudowane w większej części nowe statki i najzdolniejszych marynarzy. Marynarka

handlowa Hamburgczyków o wiele jest nawet mniej znaczącą, jak Bremeńczyków, którzy również wyróżniają się jako kupcy przez wykształcenie i prawy charakter, i w całym świecie używają najlepszego kredytu. Ale najbardziej wyróżniają się, szczególnie w porównaniu ich z Hamburgczykami, zmysłem spekulacyjnym. Od natury więcej uposażony Hamburgczyk woli towary do siebie sprowadzać, podczas gdy handel Bremeńczyków jest bardziej czynnym, gdyż bremeńscy armatorowie wysyłają swe statki na własne ryzyko; sami śledzą za żądaniami handlowymi. Za tem idzie, że choć handel hamburski większy jest pod względem wartości i ilości, to jednak mniejszy pod względem rozległości jak bremeński. Bremeńczycy już od lat młodzieńczych udają się w świat, do Baltimore, Havanny, Porto-Ricco, Nowego-Orleanu, Caracas, Rio-Janeiro, Chin, Australii i t. d., osiedlają się tamże na jakiś czas, poznają położenie miejsca i jego stosunki, i powracają później po wielu latach z wiadomościami i kapitałem do Bremen, by ztąd z cudzoziemskimi krajami dalej spekulować. Zresztą nawet i w Bremen osiadły kupiec jest prawie zawsze w podróży; lubi wszystkie choćby nawet mniej ważne interesa handlowe na miejscu osobiście załatwiać. Podróże te wynagradzają mu zarazem straszliwe nudy miasta Bremen, gdzie nic innego robić nie może, jak rachować, spekulować i myśleć, w jakiby sposób najszybciej powiększyć swój interes a za nim i majątek. I w samej rzeczy, w Bremen nie masz żadnych rozrywek: rachujesz tylko, słuchasz kazań niedzielnych, do-

brze jész i pijesz. Cudzoziemiec więc, który interessa załatwia w Bremen, może jedynie pozostałe chwile od zajęcia przepędzić w znanój piwiarni pani *Rózy* lub jeździć ztamtąd do *Vegeack* i *Bremerhafen*.

Do takiego wniosku doszedł i *Schancenau* zaraz drugiego dnia swego pobytu w starém mieście *Hanzy*; by czas jako tako przepędzić, wziął więc za kij podróźny, by poznać część sąsiedniego *Oldenburga*, a szczególnie jego lud wiejski, o którego właściwym humorze słyszał już bardzo wiele. *Oldenburczyk* nie posiada poetycznej weny Niemca, lecz wyróżnia go inna, zupełnie odrębna właściwość narodowa; jest mianowicie żartobliwy, a dowcip jego zasadza się na „powolném żartowaniu i ciągłej ironii“, którą *Arndt* nazywa wybitnym charakterem Niższej Saksonii, przymiotem, którym tak świetnie upamiętniony został w napisanym w tym dyalekcie utworze, p. t. *Reinecke Fuchs*. Krótkie, ale zawsze trafne odpowiedzi, jak niegdyś u *Spartanów*, spotyka się w tym kraju na każdym kroku. Sposobem przykładu przytoczymy tu odpowiedź udzieloną przez pewnego chłopca francuzkiemu prefektowi *von Kavelberg*. Rzeczony prefekt w pompatycznej proklamacji, przyrzekł *Oldenburczykom* przy okupacji 1810 r. wszelką pomyślność pod pełnem sławę berłem cesarza i między innemi tak się dosłownie wyraził: „Te nieurodzajne kawały ziemi, te szarawe pustynie, które zajmują jeszcze połowę waszego kraju, zakwitną wkrótce dostatkiem“. Jednocześnie zapytał jednego chłopca, który znany był jako doświadczony gospodarz, jakim

w sposobem możnaby rozwiązać to zadanie. Nie namyślając się ani chwili, zapytany odpowiedział: „niechaj przez dwadzieścia cztery godziny gnój pada, a potem się pan mnie zapytasz“.

Podobnież dowcip Oldenburczyka przejawia się w jego przysłowiach, z których widać bystry pogląd na rzeczy.

Oldenburczycy w ogóle są bardzo nieprzystępni i dla cudzoziemców i po prostu zowią ich „*dzikimi*“. Trzymają bardzo wiele o sobie i o swoim kraiku i zawsze przedstawiają jako *głupców* wszystkich nie—Oldenburczyków.

Schancenau tedy już od kilku dni skierował kroki swoje do Bremerhafen, gdzie właśnie przybyła znaczna liczba niemieckich wychodźców; i teraz z żonami dziećmi w licznych grupach kręcili się nad przystanią, leniwie rozglądając się po wszystkiém co ich otaczało. Młodzi ludzie między niemi zdawali się chcieć okazać, iż są wolni i że zdążają ku wolnemu krajowi. Już wiele dni jak opuścili dom ojcowski i rodzinne góry zielone po raz ostatni oglądali i teraz jedną już tylko nogą stoją jeszcze w ojczyźnie. Po większej części okazują się oni zupełnie obojętni, ale kto się uważniej przyjrzy im, dostrzeże u wielu łzawe spojrzenie i oblicze, w którego zasmuconych rysach malują się dzieje ponurój przeszłości, urywki ze smutnych epizodów życia niemieckiego narodu.

Ponieważ ludzie ci wyglądali na dość rozmownych, nie brakło więc Schancenauowi materji do rozmowy

i był on nietylko chętnie widzianą, ale nawet wrywaną sobie przez wychodźców osobistością, gdyż Schancenau znał już północną Amerykę i ztąd był w możności udzielenia im wielu rad zbawiennych. Nawet kobiety brały udział w miewanych przez niego przemowach. Tak na przykład pewnego dnia miał długi odczyt o suchém powietrzu Stanów Zjednoczonych i jego działaniu na obyczaje i zwyczaje. Przytoczymy z niego niektóre ustępy, jako mogące zainteresować każdego. „Skoro, zaczął Schancenau swój popularny odczyt, skoro niemiecki lub szwajcarski emigrant dostanie się do New-Yorku, w ogóle znajduje tam klimat nie różny od klimatu swego kraju. Powoli zaczyna on jednak dostrzegać pewne różnice, i czy chce czy nie chce, wreszcie przejmuje niektóre amerykańskie zwyczaje, które z początku mocno ganił. Tak np. dziwią się niemieckie gospodynie szybkości, z jaką schnie bielizna i to nawet w czasie najtęźszej zimy; ztąd przejmują powszechny w północnej Ameryce zwyczaj, prania co tydzień. Z drugiej strony szybkość z jaką chleb wysycha, przyprowadza niemiecką gospodynię do rozpacz, gdyż chleb, choćby go jak najstaranniej przechowały, staje się po kilku dniach twardym nie do użycia; składają winę na mąkę, wodę, niecierpliwia się, ale po niejakiem czasie stosują się do amerykańskich zwyczajów i *codziennie* chleb pieką. Obadwa wspomniane zjawiska spoczywają jednak tylko na wielkiej suchości tamecznego powietrza, która się nawet na włosach zauważyć daje. Kto w Europie nigdy pomady lub olejków nie potrzebował, musi ich

tam przez czas krótszy lub dłuższy używać, by zupełnie włosów nie stracić. W północnej Ameryce nie znają dalej potrzeby, by nowy budynek przez jakiś czas osuszać, zanim oddany zostanie na mieszkanie. Zaledwie się cementem obrzuci, wprowadzają się tam zaraz bez obawy reumatyzmu lub uszkodzenia mebli. Za to jednak stolarze, a szczególnie fabrykanci instrumentów, muszą drzewo jakiego używają, daleko staranniej wybierać, jak u nas. Drzewo, które się w Europie uważa za zupełnie dobrze wysuszone, w Bostonie lub New-Yorku w krótkim czasie by popękało. Tę samą okoliczności należy przypisać sławę, jakiej używają amerykańskie fortepiany, podczas gdy wiedeńskie, paryzkie, i londyńskie, jakkolwiek w Europie wyborne, psują się bardzo prędko w północnej Ameryce. Z tej samej przyczyny muszą także tamtejsi stolarze używać silniejszego kleju jak u nas. Jakże wiele nakoniec kosztuje trudu w Europie, uchronić zbiory historii naturalnej od wilgoci, i chcąc je w dobrym stanie zachować, trzeba je szczególnie w wilgotnej porze roku nadzwyczaj starannie zabezpieczać. Tymczasem można widzieć w Bostonie zbiory ptaków i zwierząt ssących wystawione w pokojach, świeżo zupełnie zbudowanych i które tylko co wyszły z pod wapna. Wszystkiego tego, przyczyną jak wspomnieliśmy, jest wielka suchość powietrza w północnej Ameryce, pomimo, iż tam deszcze częściej padają jak w Europie. Powód tego łatwo odnaleść. W Ameryce jak w Europie wiatry zachodnie są panujące. Na Europejskie brzegi przybywają przejęte wilgocią; ztąd

sprawdają pospolicie ze sobą deszcze. W północnej Ameryce jest odwrotnie; wiatry zachodnie przychodzą na wybrzeża Atlantyku, po przebieżeniu wprzód całego ładu stałego i przez to tracą większą część zebraną na oceanie Spokojnym wilgoci, ztąd też i rzadko im towarzyszą deszcze. Tu suchość powietrza w północnej Ameryce wywiązała z biegiem czasu właściwą tam chorobę, charakteryzującą się przez ubytek ciała, co szczególniejsz dostrzegać się daje w uderzającej wychudłości karku. Suchość powietrza wpływa na uczuciowość i drażliwość prawdziwego Yankee'a, czém się także tłumaczyć da zbyt szybki jego pośpiech i niecierpliwość.

Podobne rozmowy, z powodu zimnego powietrza, miały miejsce zwykle w wielkiej sali domu dla wychodźców, zbudowanego w r. 1849, w którym 2,500 osób wygodne znajdują pomieszczenie, a w kuchni tegoż domu gotuje się codziennie na 6,000 osób po bardzo przystępnej cenie. Schancenau sam mieszkał w hotelu Steinhofa. Wpisał się na listę cudzoziemców pod swoim dotychczasowym, zapożyczonem nazwiskiem Filipa Brauna, plantatora z Cincinnati. Pewnego wieczora, kiedy szedł do domu, przeląkł się mocno, gdy zobaczył starego Tomasza, najwierniejszego sługę panny Alwiny Eichenstamm, spokojnie przechadzającego się po korytarzu, gdzie znajdował się jego pokój. Schancenau chciał się szybko cofnąć, by nie być dostrzeżonym przez służącego; lecz ten podążył prosto ku niemu i zawołał nań z nazwiska Brauna.

Może poznaje mnie dziś tak mało, jak przed kilkoma miesiącami w Rzymie, pocieszał się Schancenau, który istotnie bardzo się zmienił przez brodę, jaka mu już urosła na pół cala. Zresztą przecież już kilka lat ubiegło, od czasu jak Tomasz go widział przelotnie parę razy w Wiedniu; w pałacu „dumnej Junony“.

— Czego pan sobie życzysz? zaczął pierwszy Schancenau umyślnie cierpkim tonem, by jak najprędzej przerwać bardzo mu nieprzyjemne spotkanie; zamierzał on, jeszcze tej nocy hotel opuścić i udać się na statek „Germania“, który następnego zaraz dnia miał wypłynąć na pełne morze. Zresztą musiał on jednak wiedzieć, dla czego Tomasz przybył do Bremerhafen i czy był sam, czy też, co prawdopodobnie, w towarzystwie swój pani.

Służący wyprowadził go zaraz z zamyslenia, gdy rzekł: o małym już pana nie poznał, panie Braun; broda pana bardzo zmieniła; w uniformie wyglądał pan lepiej. Szkoda, że pan wystąpiłeś ze służby, pan tak dzielny, tak elegancki oficer!

— Zkąd pana to może interessować? zapytał Schancenau opryskliwym głosem.

— Otwarcie mówiąc, mnie bardzo mało, odrzekł uśmiechając się Tomasz, ale tém więcej moją panią, łaskawą pannę Eichenstamm, która właściwie po to tu przyjechała, by z panem mówić, panie Braun.

— Czy znasz pan przyczynę tego? badał uważnie Schancenau.

— Nie, odparł służący sucho, ale dowiesz się pan

zaraz o niéj, gdyż moja pani pragnie natychmiast przyjąć pana.

Schancenau zbladł mimowolnie i wyjąkał:

— Jakto teraz o 11-éj w nocy? O czém pan myślisz—mój przyjacielu. Przyzwoitość....

Chciał on tylko do drugiego dnia zyskać czas i spodziewał się widzieć swoje przedstawienie odroczone na jaką 10-tą godzinę przed południem, a wtedy już od czterech godzin na niebieskich bałwanach oceanu byłby zawieszony.

— „Dumna Junona“ jednak śmiałą ręką przecięła węzeł gordyjski, roztworzywszy nagle drzwi swego pokoju.

— Nie będziesz pan łaskaw, panie Braun? rzekła, zalotnem poruszeniem ręki, zapraszając biednego Schancenaua, by wszedł do jéj licznemi żyrandolami jasno oświetlonego salonu.

Schancenau zrozumiał, iż zastawiono pod nim łapkę, z której mógł jedynie ratować się ucieczką. Musiał się więc z dobrą na pozór miną poddać swojemu losowi i zadość uczynić zaproszeniu.

Tomasz, który stał na korytarzu, zamknął drzwi za Schancenauem, kiedy ten zdecydował się wejść do pokoju „dumnéj Junony“.

Alwina była tak powabna dziś, tak ułudna jak nigdy. Wielkie wzburzenie, w jakim się znajdowała, pomimo jéj rzadkiego daru panowania nad sobą, podnosiło czar jéj wdzięków i ożywienie widocznie malowało

się na jój zwykle zimnych jak marmur rysach, czyniąc ją ideałem bajecznej Syreny.

— Tak więc musimy się znowu zobaczyć, Oskarze! wyszeptła Alwina łagodnym głosem i schwytawszy obie ręce Schancenau, spoglądała mu w oczy czule i ze smutkiem.

— Niechaj umarli spoczywają! rzekł Schancenau bezdźwięcznym głosem. Alwino, Alwino! dodał po chwili rzucając spojrzenie pełne wyrzutu, dla czego śledzisz moją tajemnicę, dla czego zakłócasz spokój mojego grobu. Schancenau jest już na pół zgnily w opinii świata, i dopiero na sądzie ostatecznym znowu powstanie, by stanąć przed sędziowskim tronem Boga i domagać się kary na tych, którzy go pozbawili honoru, żony i dzieci.

„Dumną Junonę“ przeszedł dreszcz lekki przy ostatnich ze złowrogą powagą wypowiedzianych słowach, lecz zaraz odzyskała napowrót całą przytomność i słodko a zarazem podchlebnie jak przedtem, rzekła:

— Mój Oskarze! Nikt nie mógł mocniej nademnie uczuć nieszczęścia, jakie cię spotkało i aby ci okazać, jak ze szczerą, jak bezinteresowną sympatyą zawsze byłam dla ciebie, właśnie aż tutaj ścigałam cię w twój podróży. Dziwnym wypadkiem już od kilku miesięcy dowiedziałam się o tém, co jest dla reszty świata dotąd nieprzeniknioną tajemnicą, że podziwiany przez wszystkich bohater Filip Braun i mój drogi, uważany za umarłego *kuzyn*, jest jedną i tą samą osobą. Zaufani, agenci donosili mi o każdym twoim kroku, i chciałam

dawno już doprowadzić do skutku nasze dzisiejsze spotkanie. Ale nie chciałam zbliżyć się do ciebie z próżnemi rękami; chciałam być posłanką wielkiej radośnej nowiny, i Bogu dzięki, życzenie to moje zostało spełnione.

Rysy twarzy Schancenau zaczęły się ożywiać; on, który już wyrzekł się wszelkich nadziei w tém życiu, został do najwyższego stopnia zaciekawiony wyznaniem, jakie miał z ust Alwiny usłyszeć. Wyznania te mogły zresztą tylko dotyczyć ocalenia jego honoru lub jego dzieci, gdyż śmierć Maryi była już tak rzeczą pewną w oczach jego i w oczach świata całego, iż możliwość, że swoją ukochaną żonę mógłby prędej spotkać jak w zagadkowym życiu po za grobem, teraz i nigdy nie mogła być wziętą na uwagę.

— Ja wiem, ciągnęła dalej „dumna Junona“ po pewnej przerwie, wiem, iż do téj chwili miałeś ściągnać dokładne wiadomości o zniknięciu Alfreda i Minny z Böhmisch-Ricksdorfu pod Berlinem i powinnam przypuścić, iż przekonany jesteś, jak boleśnie we mnie samą ugodziła wiadomość o tém porwaniu dzieci.

— Tak jest, potwierdził Schancenau z własnego popędu. Niebo wie jedno, jak się to stało, ale niestety, niestety, zdaje się aż nadto rzeczą pewną, że moje drogie dzieci porwane zostały przez „braci nocy“. Okropna myśl! Na Boga, wolałbym dowiedzieć się o śmierci Alfreda i Minny, jak widzieć je kiedyś użyte za narzędzia intryg owych nędznych potworów.

— Tak źle się nie stało! śmiejąc się rzekła Alwina,

i poufale oparła swoją cudowną rączkę na ramieniu Schancenaua, nieznacznie się przytém przysuwając do niego.

— Mów, mów! zawołał Schancenau wpadając w extazę: Ty wiesz więcéj jeszcze, mów, na miłość Boską, mów!

— Przecież po to za tobą goniłam, by ci wszystko powiedzieć! odrzekła chytrze „dumna Junona“ i oparła się jeszcze silniej na ramieniu Schancenaua. Jak się zaraz dowiesz, wyznaczyłam cenę 50,000 guldenów na odszukanie dzieci i prócz tego nie szczędziłam żadnych kosztów, by jakimkolwiek sposobem natrafić na ślad porwanych dzieci. Nakoniec wyłożone trudy pomyslnym skutkiem uwieńczone zostały. Czytaj ten list, Oskarze, jaki mi onegdaj przysłano pocztą z New-Yorku do Drezna, gdzie się ostatecznie zatrzymałam.

Schancenau wziął drżącemi rękami podany mu przez Alwinę krótki liścik, który brzmiał jak następuje:

Łaskawa panno!

Nie bez małego trudu i znacznego upływu czasu, udało mi się tu nakoniec dowiedzieć, dokąd dwoje dzieci, których ślad z Berlina do Stettinu i ztamtąd do Hamburga dopiero przed pięcioma miesiącami na pewno odkryty został, uprowadzone zostały przez kapitana trzymasztownika „Orzel“ Williama Mautera, po jego przybyciu na początku tego roku do New-Yorku. Odkryłem, iż miejscem ich pobytu jest położona nad zatoką Hudsonską wspaniała willa, należąca do bogatego ama-

tora i zarazem właściciela obszernych plantacyi, Henryka Howard. Ten Howard ma to nie być żaden rodowity Yankes, lecz od blisko lat trzydziestu niemiec wychodźca i przytem dziwny oryginał, ale wyborny człowiek. Jak się na pewno dowiedziałem, Howard znajduje się Bóg wie gdzie w podróży. Dalszych kroków nie mogłem robić; gdyż do tego brakowało mi potrzebnego mandatu i w każdym razie podług tutejszych praw potrzeba przeprowadzenia długiego processu, by wydanie dzieci pozyskać. Dla uspokojenia posłuży wszakże okoliczność, że Alfred i Minna, co do których tożsamości nie ma żadnej wątpliwości, gdyż widziałem te dzieci w domu pana Widecke w Berlinie, są otoczone jak najtroskliwszemi staraniami i cieszą się wybornem zdrowiem. Willa Howarda jest zresztą hermetycznie zamknięta i nikt obcy nie ma do niej przystępu. Raz tylko jeden z narażeniem się na niebezpieczeństwo, otrzymania strzału przez strażnika lub rozszarpania przez liczne po parku uwijające się, ogromne brytany, zdołałem wdrapać się na wysoki mur ogrodu i rzucić okiem na dzieci. Oprócz *Alfreda* i *Minny* dostrzegłem jeszcze trzecie maleńkie dziecię; zaledwie miesiąc liczące, które karmiła murzynka i ta, jeśli się nie mylę, *Oskarem* je nazywała.

Gotowy na dalsze rozkazy odwrotną pocztą łaskawej panny, podpisuję się jój unizonym sługą

Ferdynand Huber.

New-York, 18 Grudnia 1859 r.

Schancenau płakał jak dziecko z radości; nie był zdolny wymówić słowa. Serce jego pełne było wdzięczności dla swojej kuzyny, której nie uważał za zdolną do podobnej miłości dla swoich dzieci. Nie wiedząc nawet jak się to stało, trzymał nagle Alwinę w swoich objęciach i mocno ją przyciskał do swoich piersi. Błada jak śmierć i drżąca jak liść osikowy, zwisnęła zawsze tak silnych nerwów „dumna Junona“ w jego ramionach; nakoniec widziała się blisko celu swojego życzenia, nagrody swój wyrefinowanej zbrodni.

Dobry, szlachetny Chancenau nie przeczuwał, iż ogrzewa na swoim łonie węża, który wysysał mu krew z pod serca i odzierał z najdroższych darów życia.

Samo się przez się rozumie, że Chancenau z niecierpliwością teraz liczył niedługie godziny, jakie jeszcze upłynąć miały do odpływu statku, „Germania“ do Bremerhafen; również dość naturalną rzeczą musiało się także wydawać, że Alwina go się teraz silnie trzymała i towarzyszyła mu w podróży po za ocean, do czego przebiegła syrena od dawna już porobiła przygotowania.

XXII.

Na szafocie.

Zamknięty powóz, w którym książę Cozenca został powieszony z placu stacyi kolei żelaznej w Rzymie,

skierował się do zamku Aniola. Przeznaczono mu na pobyt to samo więzienie, z jakim się zapoznał przed swoją ucieczką. Ale zamiast ponurego, przez agitatora Del Lucca złapanego signora Giovanni, spełniał teraz obowiązki dozorca więzienia jakiś młody, nadzwyczaj grzeczny mężczyzna.

Signor Giovanni zaś po ucieczce księcia zniknął z zamku Aniola w sposób zupełnie niewytłomaczony, o czém wszakże wkrótce otrzymamy bliższe wyjaśnienie.

Zbytecznem pewno byłoby, malować rozpacz, jaka opanowała księcia Flodoarda, skoro się ujrzał znowu w mocy świętego officium. Tą razą, myślał sobie w duchu, tą razą nikt mnie nie oswobodzi. Muszę się więc na wszystko najgorsze przygotować, gdyż nic nie wzruszy mojej stałości. Wierny i silny pragnę wytrwać w mém przekonaniu; ostateczne zwycięstwo tych nędzników pozyszcze tylko mego trupa.

Dalsze rozpamiętywania Flodoarda przerwane zostały wejściem komissyi sądowej, która przybyła, by z księcia ściągnąć protokół.

Już z pierwszych zaraz zapytań poznał Flodoardo, że śledztwo to tyczyło się jego awanturniczój ucieczki i że sędziowie jego najzupełniej bładzili w ciemnościach co do najważniejszych okoliczności, jakie towarzyszyły téj ucieczce. Postanowił więc być nadzwyczaj ostrożnym w swoich odpowiedziach. Najbardziej go dziwiło, że mniemany padre Domingo w oczach sądu zdawał się być bardzo dobrze postawionym, zaś nadzor-

cę więzienia Giovanni widocznie o tyle w gorszém świetle wystawiano, gdyż odnośnie tego człowieka chciano koniecznie wiedzieć, od kogo i w jaki sposób był przekupiony, by dopomógł mu do ucieczki.

— Mój książę, zaczął nakoniec prezydujący, kiedy badanie trwało już dwie godziny,—mój książę, jest rzeczą bezpożyteczną, że się pan ukrywasz z wydaniem prawdy. Jeśli pana jednak powstrzymuje od tego obawa, że zeznania pana mogłyby szkodzić dawnemu nadzorcy więzienia nazwiskiem Giovanni Pertazzi, to posłuży panu do uspokojenia, że ten zdrajca ucieczką ratował się przed zasłużoną karą, i jakeśmy się dowiedzieli, obecnie znajduje się w obozie sprzysiężonego nieprzyjaciela papieżkiej stolicy, mianowicie na piemontckim gruncie zajmuje bardzo korzystną posiadłość, jeśli pan zresztą nie masz o tém już wiadomości.

— Słowo honoru! odrzekł szybko Flodoardo, iż o tém do téj chwili nic nie wiedziałem. Z drugiej strony jednak muszę raz na zawsze oświadczyć, iż jestem świętem przyrzeczeniem związany, iż o wszystkich okolicznościach mojej ucieczki zachowam najzupełniejsze milczenie.

— Kościół ma moc zwalniania od przysięgi, gdy to ma się przyczynić do większej chwały Boga, odrzekł z namaszczeniem prezydujący inkwizytor. Zwalam więc pana od każdego przyrzeczenia, jakie dałeś bezbożnemu nieprzyjacielowi świętego kościoła.

— Żałuję, iż muszę wyrzec się stanowczo téj „la-

ski“, odrzekł książę nie bez uniesienia. Zapominasz, wielmożny panie, że ja zostałem protestantem.

— Jesteś w błędzie, mój synu, zawołał inkwizytor z gniewem, jesteś pan w błędzie, jeśli sądzisz, że święte officium nie posiada żadnej wiadomości o tój pańskiej tak karygodnej przed Bogiem i światem zbrodni! Czy myślisz pan tedy, że istotnie unikniesz władzy rzymskokatolickiego kościoła, skoro kacerzem zostaniesz? Bynajmniej! Protestanci są buntownikami przeciwko jedynie uszczęśliwiającemu kościołowi, i ściśle jego prawami związani nie przestają być mu podległymi. Katolicki kościół ma ztąd *prawo* z protestantami jak z najoporniejszymi buntownikami postępować i tylko *potrzeba czasu* wywołała łagodniejszą *praktykę* w tym względzie.

— Moi panowie, rzekł książę silnym głosem i podnosząc się, nie sądzę, abyście panowie tu przybyli, by mnie nakłonić do czytania katolickiej teologii. Muszę jednak panom stanowczo oświadczyć, i jako oddalającym się od przedmiotu śledztwa, w przyszłości nie odpowiem ani słowa na żadne pytanie, któreby związek mieć mogło z moimi religijnymi i politycznymi poglądami. Zresztą prosiłbym panów, byście mnie jak najprędzej samego zostawili; upajający napój, jaki mi podstępny sposobem podał wasz pomocnik, nadzwyczaj owładnął moje nerwy i nagląco potrzebuje spoczynku.

— Książę! odrzekł inkwizytor z marmurową twarzą, nie pojmuję, do czego pan zmierszasz i co pan chcesz właściwie powiedzieć swoim uniewinnianiem się.— Czy

pan dostałeś jaki napój upajający i w jaki sposób się to stało, jest mi zupełnie niewiadomo. Sposób jednak, jakim się znowu pan dostałeś w ręce papieżkiej sprawiedliwości, sędzę, że mi przyjdzie bardzo łatwo panu wytłumaczyć. W obec ścisłej rewizyi, jakiej podlegać musi każdy cudzoziemiec na granicy patrymonium św. Piotra, nic nie jest dziwnego, że pana poznano. Jesteś więc pan w błędzie, gdybyś miał jeszcze w podejrzeniu swego sługę Wawerkę, jak to pan poznać dałeś podczas pańskiego aresztowania.

Biedak ten siedzi jako zbieg w wojennym domu kary i oczekuje surowego ukarania, jakkolwiek los jego nie będzie tak rozpaczliwy, jak sierżanta, który go skłonił do zdrady.

Serce Flodoarda konwulsyjnie się scisnęło, kiedy pomyślał o odpowiedzi, jaką mu udzielił na banhofie rzymskim komisarz policyjny na zapytanie, gdzie się Aigner znajduje.

Chciał mówić, ale kiedy ustąpił zawrót jaki owładnął jego głowę, w skutek zażytego narkotyku, wyszedł właśnie inkwizytor dumnie drżącym krokiem w towarzystwie dwóch swoich kaadjutorów a drzwi się zaraz starannie zamknęły za obrońcami świętego officyum.

Sześć dni upłynęło, a książę prócz dozorczy więzienia nikogo więcej nie zobaczył.

Dopiero siódmego dnia otrzymał Flodoardo wizytę, która go do wysokiego stopnia zdziwiła. Sądził, iż nie może wierzyć oczom swoim, kiedy zobaczył wcho-

dążącego do siebie w duchownym ubiorze jedyne go oswo-
bodziciela, mniemanego Del Rio, o którego tożsamości
osoby z agitatorom Del Lucca powiadomiony był już
podczas swego pobytu w Sienie.

Śmiały ów człowiek przybrał jednak znowu swoją
maskę pobożnego Padre Domingo z Indyi Zachodnich,
jakże to było jednak możliwem po złośliwém figlu, jaki
odegrał w jesieni zeszłego roku kardynał Antonelli?

Z głębokiego, ba, nawet służalczego uszanowania,
z jakim Domingo odprowadzony został przez nadzorcę
więzienia, było aż nadto widoczném, że i teraz miał
za sobą duży, znaczący wpływ.

Kiedy młody nadzorca więzienia chciał wyjść na
korytarz, fałszywy padre Domingo uderzył z lekka
z życzliwą poufałością księcia po ramieniu, i szepnął
mu do ucha:

Dozorca więzienia zręcznie się w bliskości zatrzy-
mał, gdyż sądził, że mam do czynienia z bardzo nie-
bezpiecznym jakimś człowiekiem, i że pan może masz
ochotę, schwytać mnie za gardło i udusić. Z tego po-
wodu dobrze z zewnątrz szpiegował i ucho do drzwi
przyłożył, aby mi w razie potrzeby natychmiast pospie-
szyć z pomocą.

Tymczasem obejrzał się Del Lucca po więzieniu,
czy stróż, który się Vittorio nazywał, znikł istotnie
i czy co podejrzanego nie zauważy. Na znak, że potrze-
ba ostrożności, położył na ustach palec wskazujący
prawej ręki.

— Ani jednego podchwytliwego słowa, upomniał

teraz cichym głosem po niemiecku księciu, który milcząc ze zdziwieniem spoglądał; założę się, że nas podglądają przez dziurkę od klucza. Postępuj pan ze mną jak się panu podoba. Przedewszystkiem niechaj to pana nie gniewa, że się po raz ostatni jako Del Lucca do więzienia pańskiego wcisnąłem; łaj mnie pan i zmusz mnie do przywołania Vittoria. Jeszcze jedno niech się stanie co chce, nie wahaj się pan; nawet widok szafotu niech pana nie przestrasza.

— Jaktó? odrzekł książę blednąc mimowolnie, grożąc mi szafotem?

— Zitto! (sza), wezwał Del Lucca, dodając do swego ustnego ostrzeżenia znaczącą minę — mówmy głośno ale po włosku.

„Jesteś pan nędznik, oszust! zawołał Flodoardo ze wzrastającym oburzeniem, jak mogłeś pan się ośmielić, podawać się za Del Lucca i wydobywać moje tajemnice. Precz łotrze, precz!

— Pozwól mi pan jednak przyjść do słowa, zawołał fałszywy padre Domingo, cofając się ku drzwiom.

— Wynos się, powiadam, wynos! nalegał książę i schwytał agitatora silnie za ramię.

— Jaktó; Pan ośmielasz się napadać na sługę Bożego? Biada, trzy razy biada panu! Dobrze, idę dzisiaj, ale powrócę jeszcze. Przedsięwziąłem nawrócić pana i nie opuszczę nic, by dopiąć mego celu.

Po tych słowach przycisnął się Del Lucca szybko do drzwi, jakby bardzo lękał się szalenca, który taką miał minę, jakby chciał rzucić za nim krzesłem.

Dozorca więzienia zamknął prędko ciężkie drzwi na zamek i rzekł do fałszywego padre Domingo, który drżał całym ciałem: To djabeł w ludzkiej postaci. Brrr! muszę się dobrze pilnować!

Książe spoglądał długo przed siebie, w głębokiem zamysleniu pogrążony, zanim nieco ochłonął ze zdumienia, jakie mu spowodowały odwiedziny agitatora. Nie mógł sobie wcale wytłomaczyć, jakim sposobem Del Lucca mógł sobie założyć, by się rehabilitować w oczach zawiedzionego kardynała. Przypominał sobie wprawdzie o zakładzie jaki Del Lucca zrobił w powozie podczas ucieczki z porucznikiem Braunem, ale uważał to wówczas za czcze przechwałki agitatora.

Teraz na czasie istotny stan rzeczy opowiedzieć. Stary Dozorca więzienia *Giovanni* mógł może z godzinkę przepędzić w swoim pomimowolnym areszcie gdy drzwi więziennój celi otworzyły się, i wszedł młody człowiek w ubraniu służącego, był to jeden z najzręczniejszych agentów Del Lucca, rodowity hiszpan, nazwiskiem *Inigo*, który przy mniemanym padre Domingo zajmował miejsce służącego i w tym charakterze otrzymał wolny bilet swobodnego wchodzenia i wychodzenia z zamku Anioła.

Inigo postawiwszy z całą flegmą ślepą latarkę na znajdującym się w więzieniu stoliczku, wydobyl z kieszeni sztylet i ciężką złotem napelnioną sakiewkę, a trzymając oba te przedmioty tuż pod nosem zakneblowanemu i związanemu *Giovani*emu, rzekł spokojnym tonem:

— Masz pan wybór między temi dwiema rzeczami, ale ponieważ mam pana za rozsądnego człowieka, spodziewam się, że nasz stosunek równie szybko jak zadawalniająco się zakończy. Przedewszystkim uwolnię pana od uciążliwego knebla.

Kiedy to nastąpiło, hiszpan ciągnął dalej:

Moje widoki na tem się zasadzają, żebyś pan całą winę ucieczki księcia Cozenca wziął na siebie i sam Rzym natychmiast opuścił. Jeśli się pan na to zgadzasz, to ofiaruję panu tę sakiewkę z pięciomaset dukatami i nadto zapewniam panu bardzo dobre miejsce w służbie u króla Włoskiego. Jakie przeznaczenie na ten sztylet na przypadek pańskiej odmowy, sędzę że nie będę zmuszony na seryo panu wyjaśniać; jak Bóg na niebie, znalazłby on drogę do pańskiego serca. Ostatecznie możesz pan i nad tém pomyśleć, że choćbyś pan nawet nie był zabitym, położenie pańskie byłoby bardzo nieprzyjemne. Pańskie miejsce w każdym razie byłoby straconem, gdyż święte Officyum zwróciłoby na pana cały swój gniew za zbiegłą pieczęć. A więc, kochany Giovannie, róbmy prędko — w prawo lub w lewo?

Przy ostatnich słowach schwytał Inigo jedną ręką sakiewkę a drugą sztylet.

— Zgadzam się z pańską wolą, mruknął Giovanni ponuro.

— Czy myślisz pan czasem, że możesz mnie oszukać, odrzekł Inigo, rozwiązując pęta Giovani'ego. Ja towarzyszyć będę panu tylko do granicy a pan musisz, jak

tylko obadwaj będziemy bezpieczni, ostatecznie napisać list do Świętego Officyum, w którym się pan sam uznasz winnym, prosząc padre Domingo o przebaczenie, że się pan targnął na jego poświęconą głowę. Trzeba mianowicie wszelki pozór pozyskać, że pan mój przez pana i księcia został podstępnie uwiedziony, że wszakże on i ja natychmiast ścigaliśmy pana, przy czem, by pańskiego śladu nie stracić, trzymaliśmy się téj saméj drogi przez mury. Słowem urządzimy rzecz całą tak zręcznie jak tylko można i padre Domingo zaraz jutro rano, wysła w tym duchu wiadomość do kardynała Antonelli.

Hiszpan ma słusność, pomyślał w duchu Giovanni, zabiérajac się do odejścia; gniew inkwizycyi, trafił by najpierw we mnie jak w kozła ofiarnego, a moje położenie i bez tego jest bardzo nędzne, wiele kłopotu a mało zysku. Pięćset dukatów to ładny grosik, którego w inny sposób przez całe życie nie zbiorę. „Andiano! (Idźmy!)“ dodał głośno i trzymał się prawej strony Iniga, który, z ręką na rękojeści sztyletu każdej chwili był gotów przebić Giovanni'ego, przy najmniejszym zdradzieckiem poruszeniu.

Bez napaści i spokojnie wydostali się obadwaj mężczyźni na otwartą przestrzeń, i prawie zupełnie tą samą drogą, jaką godzinę przedtem wytknęli sobieksiężę i Del Lucca. Drabina stała jeszcze oparta o mur wawłowy. Szczęśliwie wydostali się z brzaskiem dziennym z miasta a ztamtąd dostali się do Civitavecchia, gdzie wsiedli na włoski statek do Genui.

Jakęśmy ze słów inkwizytora dowiedzieli się,

śmiały i hazardowny plan Del Lucca, by z kardynała raz jeszcze zażartować, istotnie udał się wybornie, i pobożny padre Domingo, który już od tygodnia po swoim mniemanem ściganiu księcia, znowu do Rzymu powrócił, podczas gdy w rzeczy samój towarzyszył do Perugii w ucieczce wielu na śmierć skazanym, otrzymał bardzo pokornie z własnych ust Antonellego słowa współczucia i podziękowanie.

Del Lucca rzeczywiście miał do powiedzenia taką masę ważnych i ciekawych nowości, że przez to więcej jak kiedykolwiek pozyskał sobie zaufanie pierwszego ministra Jego Świątobliwości. Czeluy Del Lucca znajdował się zawsze w najlepszym usposobieniu, kiedy stał z zapalonym lontem między dwoma otwartymi beczkami prochu.

Książe Cozenca, który o wszystkich tych po jego ucieczce zaszłych zdarzeniach nie wiedział, błąkał się w całym labiryncie podejrzeń, naturalnie bez domyslenia się tego co zaszło rzeczywiście.

Jego rozmyślania zostały nagle przerwane wejściem oficera Żuawów, który cierpkiemi słowy domagał się, by znajdować się mógł jako naoczny świadek przy exekucyi. Smutne przeczucie napełniło piersi Floarda i prawie słyhać było bicie jego serca, kiedy szedł wśród eskorty złożonej z czterech ludzi.

Jednakże miał iść niedaleko. W małej odległości od miejsca muru wałowego, gdzie przed kilkoma miesiącami swobodę pozyskał, stał wzniesiony szafot. Cały

batalion papieżkich Żuawów zamknęło w kwadracie złowrogie narzędzie śmierci.

Krzyk rozpaczy i najgłębszego bólu rozległ się w piersi Księcia, gdy bladego jak trup, ale dość silnego postawą i spojrzeniem spostrzegł na stopniach szafotu swego dzielnego Aignera, na którym dzisiaj właśnie zapadły *in contumaciam* wyrok sądu wojennego miał być teraz wykonany.

Kat właśnie był zajęty przywiązywaniem delikwentowi rąk do grzbietu.

Inkwizytor, który się nie pokazywał księciu na oczy od czasu pierwszego przesłuchania, znajdował się w pobliżu szafotu; przystąpił jednak do Flodoarda, skoro ten wprowadzony został przez wojsko do środka.

— Pan możesz, rzekł obojętnym tonem, pan możesz swego przyjaciela i sługę ratować, jeśli się pan zgodzisz na żądanie, jakie panu już przedstawiłem przy pierwszym pańskim zatrzymaniu.

Straszne oburzenie wstrząsnęło Flodoarda i o mało nie padł pod tém szlachetnem uczuciem, które nim całym owładnęło. Ale niedaleko delikwenta spostrzegł stojącego padre Domingo, który zachęcająco na niego spoglądał, a nawet zdawał się okazywać mu minę, żeby pozostał stałym. Książę nie mógł jednak zdobyć się jeszcze na stanowcze zaprzeczenie, kiedy inkwizytor wspomniane pytanie powtórnie zwrócił do niego.

— Dobrze, rzekł z gniewem ciemny fanatyk, dobrze; milczenie jest także odpowiedzią.

Zaraz też dał znak ręką katowi. Aigner niespo-

dzianie został w jednej chwili obalony i pod narzędzie kary wciągnięty.

Flodoardo upadł bezwładny na ziemię. Kat sięgnął po rękojeść od zabójczej maszyny. Lekkie naciśnienie, a głowa delikwenta musiałaby się odłączyć od kadłuba.

I istotnie ustąpiło śmiertelne żelazo, ale tylko do środka. Nieprzewidziana przeszkoda nie pozwoliła mu dosięgnąć ofiary.

Delikwent, którego, dla obostrzenia kary, przywiązano z twarzą w górę, mianowicie ku ostrzowi żelaza, wydał okropny przerażający okrzyk. Zdumieni spoglądali w około siebie pomocnicy kata, a nawet w zakamieniałem sercu inkwizytora zakipiało ponure oburzenie, na widok tak niespodzianego wypadku.

XXIII.

Duch opiekuńczy.

Dobry hrabia Roosval życzeniom swego przyjaciela Runnerstroma godnie odpowiedział. Jak nam już wiadomo polecenie uwolnienia Fellnera dawno już odeszło z Petersburga do Irkutska i hrabia czując się już wolnym od swego zobowiązania i dowiedziawszy się, że sprawa ta stoi zupełnie na dobrej drodze, pojechał do

południowej Francyi, gdzie, mianowicie w pobliżu Marsylii, chciał zbadać dokładnie resztki fenickich starożytności i porównać je z licznymi w Palmirze dokonaniem, nadzwyczaj ciekawymi odkryciami.

Jednocześnie co do téj podróży poszedł on za dobrze obmyślaną i uzasadnioną radą lekarską, która brzmiała, że ukochana jego córka Fryderyka nie znieśie bez szwanku na zdrowiu gorącego klimatu wschodu, podczas gdy pobyt jej nad morzem w jakiej miejscowości położonej w południowej Europie, z pewnością z wielką będzie dla niej korzyścią.

Do piersiowej choroby biednej hrabianki, przyłączył się także głęboki smutek, który wprowadzie starannie przed ojcem swoim ukryć się starała, wszakże nie mógł ujść czujnego oka hrabiego. Napróżno łamał sobie głowę Roosval, co mogło być tego przyczyną, a nie podobna było, żeby wywołała go miłość dla nikczemnego Izydora, skoro niejednokrotnie Fryderyka wyrażała się o swoim jedynym narzeczonym w słowach, z których dostatecznie można było wnosić o obojętności i wzgardzie ku niemu. Że córka coś ukrywać mogła, nie przeszło przez głowę nawet dobremu hrabiemu, tak jak i nie domyślał się wcale prawdziwej przyczyny smutku jego ukochanej córki. Fryderyka drżała na myśl, że chwila coraz bardziej zbliżała się, w której ojciec jej tajemnicę, jej wstyd koniecznie odkryje. Wiedziała ona, że hrabia nie będzie się złościć, rzucać, że nawet może jednego cierpkiego słowa nie powie, ale wiedziała

także, że hańba jego dziecka zatruje mu wszystkie chwile, że boleść go wkrótce zabije.

Kilkakrotnie nieszczęśliwa dziewczica uczuwała pokusę, szczególnie podczas długiej, przez całe dziewięć dni trwającej podróży morskiej z Konstantynopola do Marsylii, skoczenia w nocy z pokładu, by położyć raz koniec nędznemu życiu na ziemi. Ale Fryderyka zańadto posiadała prawdziwie religijnych zasad, by złe podszepty demona mogły istotnie wziąć nad niemi górę. Zresztą nie łatwą było dla niej rzeczą, dopuścić się podobnego czynu szaleństwa, albowiem jakiś w podeszłym wieku mężczyzna bardzo szlachetnej i okazałej powierzchowności, który już z Konstantynopola podróż do Marsylii razem odbywał, miał ją na oku dniem i nocą, do czego mu też dzielnie pomagał jego służący.

Aby czytelnika co do téj nowój osobistości nie wprowadzać na fałszywe przypuszczenia, powiemy otwarcie, że Signor Conte de Barberini, tak się zwał wspomniony podróżny, był jednym z owych wytrawnych agentów, jakich Garibaldi dał do rozporządzenia staremu Goldsternowi. Powód dla czego bankier rozciągnął czuwanie podobne nad hrabianką, jest zresztą nie trudny do odgadnięcia. Zręczna, niewidzialna sieć szpiegów, jaką silnie oplątana była pani Goldstern i piękny Izydor od swego przybycia na wschód, odkryła między innemi także zaszłe w Kairze uwiedzenie biednej Fryderyki, i to jeszcze na długo wprzód nim niegodziwy chłopak zawiadomił o tém piśmiennie swoją matkę. Również dowiedział się stary Goldstern o trudach, jakich

zacyjny hrabia tak energicznie i ze skutkiem użył celem uwolnienia Fellnera. Bankier więc poczytywał sobie za święty obowiązek wdzięczności o ile można smutne następstwa usunąć, jakie łotrowska sztuka jego synalka musiała za sobą sprowadzić. Barberini był więc także zaopatrzony we wszystkie możliwe upoważnienia do tego celu.

Bystremu wzrokowi Fryderyki nie uszła ciągła baczność jaką roztoczył nad nią włoski kawaler. Z początku posądzała o nierozsądne zamiary obcego, ale już po kilku dniach musiała poznać, że Conte de Barberini nic mniej nie miał na widoku jak właśnie starać się o jej łaski, co zresztą przy 40 letniej prawie różnicy wieku koniecznie śmiesznem by się wydawało. Zręczny włosk tu i owdzie przy sposobności dał poznać, że znaną mu jest tajemnica hrabianki, i okoliczność ta byłaby pannę do rozpaczki doprowadziła, gdyby również nie było widocznem, że ze strony Barberiniego nie tylko niepotrzeba się było obawiać jakiegóś zdiady, ale właśnie tenże ciągle zdawał się nadtem przemyśliwać, jakby można zupełnie zataić przed hrabią, owo zapewne nieprzyjemne odkrycie.

— Spodziewam się, rzekł pewnego dnia, kiedy już wypłynęli na morze Śródziemne, spodziewam się, że za naszym przybyciem do Marsylii ojciec pani ważne listy ze Szwecyi otrzyma, które go najspieszniej do ojczyzny powołają i tam przez kilka miesięcy zatrzymają.

Barberini słowo *spodziewać* w ten sposób *odcienio-*

wał, że Fryderyka mimowolnie mocno się zaczerwieniła i cała zmieszana wyjąkała:

— Podobny wypadek przyszedł by mi bardzo nie w porę. Niewiem zresztą z kąd pan, panie hrabio, wpadłeś na to przypuszczenie, lub z kąd wiesz o tém coś bliższego?

— Hm! zauważył Barberini uśmiechając się; człowiek miewa czasami szczególne sny i tak śniło mi się także dzisiejszej nocy, że pani ojciec z pośpiechem do Sztokholmu pojechał, podczas gdy pani hrabina w Marsylii jego powrotu oczekiwała.

Gdyby to nastąpiło! szepnęła Fryderyka cicho do siebie i głębokie westchnienie poruszyło jej piersi.

Po chwili ciągnęła dalej:

Prawdziwie jednak nie znam żadnej przyczyny, któraby dość ważną być mogła, by mego ojca skłoniła teraz do podróży do Sztokholmu. Gdyby podobna podróż rzeczywiście była niezbędną zostałabym naturalnie w Marsylii, lub udałabym się do Nicei, gdyż czuję, na Boga, że klimat północny sprowadzić by musiał najgorsze skutki dla moich biednych piersi.

— Dobrze tedy! rzekł Włoch podczas gdy chytry uśmiech okolił jego pięknie wykrojone usta, mój sen co do spełnienia się nie pozostawia nic do życzenia. Majaczyło mi się w duchu, że wiadomość o bardzo skandalicznej historii, która jest w związku z dawniejszym stanowiskiem hrabiego Roosval jako urzędnika państwa, zaskoczy go w Marsylii. Został on, naturalnie tak mi się śniło, powołany, by przed sądami złożyć świadectwo

o kradzieży depesz która już przed kilkoma laty miała miejsce, a której sprawca, ówczesny podwładny hrabiego, teraz właśnie dopiero został odkryty.

— Mój panie! zawołała Fryderyka śmiertelnie przestraszona, wiem teraz co mam trzymać o snach pańskich. Pan zlekka dotykasz okoliczności, która małej liczbie osób znana, już od lat pięciu poszła w zapomnienie.

— Niemniej jednak podchwycił szybko Barberini, był to w nacisku potrzeby jedyny środek, jakim można rozporządzić, by hrabiego Roosval zavezwać do Sztokholmu.

— Signor Conte! zawołała blednąc Fryderyka, pan maskę rzuciłeś. Pan wieśz wszystko, wszystko, co mnie dotyczy. Pańska wszechwiedza napełnia mnie przerażeniem.

— Nie lękaj się pani niczego! odrzekł Barberini poważnie, tak, pojechałem jedynie dla obrony pani, dla jej ratunku i spodziewam się, że mi się uda, zamiary mojego pełnomocdawcy usprawiedliwić.

— Jakto pan nie działasz z własnych pobudek? rzekła hrabianka potrząsając głową; ale czuła się bardzo uspokojoną, gdyż nie mogła w obejściu się podeszłego wiekiem mężczyzny nic takiego dostrzedz, coby zdradzało fałsz lub kłamstwo.

— Bliższe wyjaśnienie, łaskawa pani, jest dla mnie równie niemożliwe, jak bez celu, odrzekł spokojnie Barberini, zadowolnij się pani, tymczasem przynajmniej zapewnieniem, że wszystko co można się zrobić, by za

bezpieczyć honor pani nazwiska i spokój duszy zacnego hrabiego. Jednak dosyć na dzisiaj: właśnie wychodzi ojciec pani na pokład. Bądź pani wesolą, swobodną i nie rozpaczaj pani; wszystko może się jeszcze jak najlepiej skierować, o ile to jest rzeczą możliwą.

Fryderyka rzuciła mówiącemu pełne podziękowania spojrzenie i postanowiła iść za jego rozsądną radą. Pospieszyła naprzeciw swojemu ojcu, który zaraz zauważył, że ukochane jego dziecko, daleko jest spokojniejsze i weselsze jak w ostatnich kilku dniach.

— Tak to dobrze moje dziecko! rzekł zadowolony śmiejąc się, i serdecznie odpowiadając na pocałunek Fryderyki, istotnie niczembyś mi nie zgotowała większej radości, jak witając mnie nakoniec po wielu tygodniach znowu wesolym uśmiechem. A teraz cóż robić dziś będziemy aby sobie czas skrócić; pogoda jest cudowna, morze gładkie jak zwierciadło, tak że gdybyś chciała możnaby nawet rysować. Ty wiesz że ja wiele ciekawych szkiców i zbiorów skopiowałem w Palmirze i Luksorze, które nakoniec chciałbym przerobić na czytało, do czego naturalnie rachuję na twoją wprawną rękę.

— Ach kochany ojcze! odrzekła szybko Fryderyka, chciałabym na dziś coś daleko lepszego doradzić.

— Słucham cię, moja lalczko! rzekł hrabia, serdecznie zachwycony niespodzianą zmianą swojej tak bardzo ukochanej córki.

— Już kilkakrotnie przypominam sobie owe piękne wykłady, jakie dawałeś przed dwoma miesiącami w Kai-

rze; o powstawaniu pojęć religijnych. Zastanawiałam się nad tem poważnie i przyszedłam do wniosku, żeś wówczas swoje poglądy nie dość wyczerpująco przedstawiał. Czy nie chciałbyś stratę powetować, kochany papo?

Fryderyka trafiła w piętę Ahillesa dobrego Roosvala, który, oprócz swoich starożytnicznych studiów nie bardziej nie lubił jak przy okazji być nakłonionym do rozbioru jakiegoś filozoficznego tematu. Żądanie uczynione mu przez córkę nie małą mu więc zrobiło przyjemność i pospieszył zaraz do objęcia swojej profesorskiej godności. Fryderyka zaprosiła pana Barberini, by zajął miejsce obok jej ojca. Liczni inni pasażerowie, między niemi nawet sam kapitan okrętu cisnęli się i zaszli w koło, skoro się dowiedzieli że uczony szwedzki hrabia znowu coś udzieli im ze swoich licznych i zadziwiających wiadomości. Roosval dotąd tylko w rozmowie przy stole wzbudził uwagę współpodróżnych, byli więc wszyscy tém więcej ciekawi, by właściwy wykład usłyszeć. Żeby być dla wszystkich zrozumiałym powtarzał naturalnie hrabia swoje znane nam już poglądy o wewnętrznym związku astrologii z religijnymi pojęciami starożytnych ludów. Powtórzmy więc jego wyrazy dopiero od chwili, kiedy już wyłożył właściwe pochodzenie i symboliczne znaczenie tonsury, stuły, czapeczki biskupiej, krzyża i talara.

Powstałe religijne pojęcia z astrologii, ciągnął hrabia Roosval, musiały koniecznie doprowadzić do błędnych poglądów i przesądów i to leżało w interesie ów-

czesnych uczonych Kościoła, którzy posiadali monopol wszelkiej ludzkiej wiedzy by całkowicie zapelnic państwo misteryami, przez co nieświadomy lud tém bardziej stawałby się z każdym dniem przesądniejszym im więcejby przyjmował tajemną naukę kapłanów. Surowe masy widziały, że ich duchowni kierownicy zaćmienia słońca, księżycy i komety długo naprzód oznajmiali, łatwo było im wytłumaczyć, że te zjawiska na rozkaz kapłanów występują, z czego się dalszy wywód o związku z potęgami ziemskimi wysuwał. W ten sposób narzucili się kapłani za pośredników i tłumaczy między ziemią i światem gwiazdziarskim.

To pomieszanie nieodpowiednich pojęć zrodziło jednak mnóstwo błędów. Ponieważ z początku gwiazdy przedstawiane były przez zwierzęta, więc przeszły przymioty skłonności i przyzwyczajenia tych ostatnich na bogów, i uważane były za sprężynę ich postępowania. W ten sposób prowadził wojnę bożek *Ichneumon* z bożkiem *Krokodylem*; bożek *Wilk* chciał zjeść bożka *owce*; bożek *Ibis* pochłoniął bożka *węża*. Bóstwa były więc dziwne, grymaśne, dzikie istoty i te poglądy musiały naturalnie bardzo szkodliwie oddziaływać na moralność i rozsądek ludzi.

By głupotę do najwyższego stopnia doprowadzać, kapłani bałwanów powoli przyszli do tego, że każda rodzina, każdy naród wybierał sobie za szczególnego patrona jakąś gwiazdę lub znak niebieski przez co skłonności i przymioty zwierzęcych symbolów przechodziły na jego sprzymierzeńców. Wyznawcy bóstwa *psa* byli

więc śmiertelnymi nieprzyjaciołmi bóstwa *wilka* a wyznawcy bóstwa *byka* gardzili tymi, którzy nie robili sobie żadnego skrupułu że nie jedzą mięsa wołowego i religia stała się sprężyną nienawiści i sporów i powstała mieszanina pojęć geograficznych, historycznych i mitologicznych, przez co niemożliwem było biednemu, oszukiwanemu ludowi poznanie prawdziwej natury, jej sił i działań.

Podobnież i na życie polityczne narodów hołdowanie gwiazdom wywarło swoje szkodliwe skutki. Królowie i bohaterowie brali bóstwa gwiazd na wzór i przez naśladownictwo byli wojownikami, zdobywcami, chciwymi krwi, dumnymi, bezwstydnymi, leniwymi a *religia uświęcała przestępstwa despotów i psuła podstawowe zasady rządów.*

Ze czci oddawanej gwiazdom lub z *Sabeizmu* powstał wkrótce bardzo naturalnie dualizm, lub czczenie dobrego i złego pierwiastku.

Spostrzeżenia, jakie kasta kapłańska porobiła przez wieki nad ziemią i jej stosunkiem do ciał niebieskich, wykazały mianowicie, że wszystkie działania natury dzielą się w ich rocznym obiegu na dwa główne działania: na *wytwarzanie* i *niszczenie*, dalej, że na powierzchni kuli ziemskiej wszystkie czynności z roku na rok w podobny sposób następują, to jest, że podczas sześciu letnich miesięcy wszystko się wytwarza, gdy podczas sześciu miesięcy zimowych wszystko niszczeje i prawie zamiera. Zostały więc przyjęte w naturze dwie *naprzeciw siebie stojące* siły, które wciąż za sobą były

w walce. Z tego punktu widzenia rzeczy uważano teraz całą sferę niebieską i podzielono ją na dwie półkole, tak że gwiazdy, które w lecie na niebie się ukazują Królestwo *wyisze*, zaś na niebie zimowém ale wprost przeciwnem *nizsze* Królestwo tworzą. Światło, urodzajność, która długie i ciepłe dni letniego nieba przez przeniesienie znaczenia fizycznego na moralne, do geniuszów lub aniołów wiedzy, dobroczynności i cnoty, gwiazdy zimy przeciwnie, które długie noce, chłodną mgłę i potrzebę wyżywienia ze sobą sprowadzały, zostały policzone do gwiazd ciemności, zniszczenia, śmierci, do aniołów nieświadomości, złego, grzechu i występku. W ten sposób wyobraźnia podzieliła całe niebo na dwa państwa, dwie części, z których jedna ludzkości sprzyja; druga zaś jest dla niej nieprzyjazną. Walkę tych wyimaginowanych części uważał i osądził naturalnie człowiek ludzkimi oczami i tak niebo było dla niego ludzkim państwem, gdzie wszystko ginie jak na ziemi. Każde z tych niebieskich królestw otrzymało ztąd monarchę. Na władzcę letniej półkuli osadzono słońce; ceniono je jako dobrego Boga, a jego konstelacye były państwem światła, gwiazdę samą lud białym aniołem nazywał. Ponieważ zaś także każda nieprzyjacielska część musi mieć swego wodza, więc otrzymała zima lub podziemne królestwo ciemności i smutku, równie jak jego gwiazda, czarnym aniołem zwana, złego ducha za wodza, którego nazwisko wszakże było także rozmaite u starożytnych narodów podług różnaitości ich geograficznego położenia i miejscowych stosunków.

Fizyczne potrzeby za rzecz rozsądną człowiekowi wskazywały, by tak ze złym jak z dobrym bogiem być o ile można na dobrej stopie; chciano miłości łaskę pierwszego otrzymać, a złość i ostatniego uniknąć. Dobremu bogowi składano cześć z miłości i radości; z téj czci powstały wszystkie religijne postęпки wesołego rodzaju, które się w swoich symbolach w ogóle do wschodu słońca ściągały, jak naprzykład *Hilaria* rzymskiego kalendarza, przy nastaniu wiosennego porównania dnia z nocą. Wprowadzone tańce przy tych uroczystościach były naśladowaniami biegu planet, i taniec Derwiszów odzwierciedla go jeszcze teraz. Przeciwnie złego boga czczono przez obawę i boleść, przez co powstały wszystkie religijne obrządki smutnego rodzaju. Tylko demonom i złośliwym duchom składano krwawe ofiary, by ich gniew oddalić, gdyż przyjmowano, że oni lubią krew, wilgoć i niemiłą woń. Tak naprzykład u starożytnych Egipcyan, Tyfonowi, bożkowi zalewów, składano na ofiarę czerwonego wołu; to zwierzę ofiarne było przeklęte i ciążyły na nim wszystkie grzechy narodu. Któż sobie nie przypomni przy tem pomimowolnie o kozle ofiarnym Mojżesza?

Z téj części bożków powstał nakoniec podział ziemskich istot na *czyste* i *nieczyste*, podług tego jak ich gatunki znajdowały się w konstelacji jednego z obu głównych bożków i do jego władzy należały; ztąd przesąd zbrudzeń i czyszczenia innych, domniemana skuteczna siła amuletów i talizmanów.

Hrabia Roosval zatrzymał się przez parę minut, by

częścią swoim słuchaczom pozwolić z usłyszanego coś przetrawić, częścią by samemu nieco odpocząć. Nakoniec zaczął na nowo:

Z symbolu walczących z sobą bogów wkrótce powstał nowy system, mianowicie: mistyczna i moralna służba boża lub system tamtego świata. Kiedy mianowicie wielka głupia tłuszcza usłyszała o nowem niebie i innym świecie, czynna więc jego imaginacya ubrała ów świat w szaty cielesne, uczyniła go prawdziwem widowiskiem. To złudzenie więcéj jeszcze zolbrzymiało przez śmiałe podróże i awanturnicze opowieści fenickich marynarzy. Przez tych, którzy przeszli słupy Herkulesa, dzisiejszą cieśninę Gibraltarską, zostały rozszerzone cudowne opowiadania. Fenicyanie, którzy odkryli łagodne wyspy Azorskie, z niegościnnéj zimnéj wyspy Thule cynę sprowadzali, nie lękali się burzliwego Bałtyckiego morza celem zdobycia bursztynu, sądzili, że dosięgli samych krańców świata. Przedstawiali oni wyspy Azorskie, gdzie słońce dla Azyatyckich krajów zachodzi, jako siedlisko wiecznéj wiosny, północne okolice wszakże, które odnośnie do stref zwrotnikowych również pod ziemią leżą jako straszne niegościnne miejsce pobytu, gdzie wieczna zima panuje. Z tych mniej lub więcéj romansowością przeplecionych opisów stworzyła sobie siła twórcza ludów Elizejskie pola, miejsce rozkoszy, w świecie niższym, które mają swoje własne słońce, własne niebo, własne gwiazdy, i Tartarós miejsce ciemności, wilgoci, błota i mrozu. Człowiek na wszystko czego nie zna szczególniej jest ciekawy i ży-

cząc sobie długiego życia, dawno się już zaczął pytać, co właściwie po śmierci się z nim stanie, a ponieważ stworzył już sobie eteryczne istoty, dziwadła i cienie wszelkiego rodzaju, przypadło mu więc bardzo do smaku wierzyć, że w podziemnym świecie, to życie, które tak niechętnie opuścił, przedłużać będzie. Z drugiej strony umieli kapłani także to przekonanie mas zręcznie na swoją korzyść obrócić. Łączyli się oni, jak to po wszystkie czasy i u wszystkich narodów czynić zwykli, z szaleństwem przesądnych mass, i przedstawiali o owym niewidzialnym, ludziom dopiero po śmierci dostępnym miejscu, które najlepiej mogło się zastosować do ich astrologicznego systemu pełnego kłamstwa i oszustwa. Tak na przykład nazywali oni w swoim języku pełnym metafory porównania dnia z nocą lub przesilenia, bramami niebieskimi, tak uczyli oni że przez szaleństwo barana i raka wstąpiły dobre duchy, które na wiosnę stworzenie na nowo odżywiały i aby wszystkim tym fantastycznym obrazom trwały byt zapewnić, połączono je ze zwyczajami miejskimi. Tak na przykład u Egipcyan, ponieważ w ich palącym klimacie zgnilizna ciał zmarłych wyradza zarazy i inne choroby, zmarłych poza zamieszkanym krajem na pustyniach które ku zachodowi słońca leżały, chowali. Aby tam dostać się musiano przez kanały, rzeki, a więc łódką przepływać i przewozowe opłacać. Ten zwyczaj dał w ręce kapłanom potężny środek do oddziaływania na moralność i schwyтали oni surowych ludzi ze strony dziecięcej pobożności i poszanowania dla zmarłych. Wynaleźli oni

bajki o sądzie podziemnych bogów, który orzekać miał czy zmarły podług stanowiska swojej rodziny i swego trybu życia godnym jest i czy ma być przyjęty do *czarnego miasta*. Na tym świecie posiadał świat podziemny swego Minosa i swego Radamanta z laską, tronem i urnę, zupełnie podobnie sądom ziemskiego państwa. W ten sposób bóstwo stało się teraz moralną i polityczną istotą, najwyższym prawodawcą, ostatnim sędzią o tyle straszniejszym im bardziej był niedostępnym wzrokowi. Ten mitologiczny z rozpadłych członków tak dziwnie zlepiony świat, był teraz miejscem kary i nagrody, gdzie Boska sprawiedliwość poprawiała, co ludzkość miała ułomnego i błędnego. Ten duchowy i mistyczny system zyskał tem więcej powagi, ponieważ schwytyany został przez ludzi ze wszystkich stron i rzeczywiście w tym systemie pałała iskierka Boskiej prawdy; uciśniona słabość szukała nadziei w nagrodzie. Ale niestety światowy i duchowy despotyzm znalazł w tém nową broń, by ujarzmić massy, gdyż z systemem wynagrodzenia po śmierci rozszerzono zarazem bezbożną naukę, że się można jeszcze za życia wykupić przez hojne ofiary od kary na tamtym świecie, nie czując prawdziwego żalu. Od téj chwili władza duchowieństwa była zupełnie nieograniczona, gdyż odtąd zakorzenił się zwyczaj, nagrody i kary rozdzielać dowolnie w imieniu wielkiego niewidzialnego Sędziego. Podczas gdy w ten sposób ludy coraz w głębszym błędziły labiryncie bajki i mitologii, doszli zgłębiający naturę kapłani, którzy swoje studia, o porządku i urządzeniu świata ciągnęli dalej,

do nowych rezultatów i zaprojektowali nowy system panujących i głównych przyczyn.

Jest rzeczą niewątpliwą że już Egipscy kapłani znali okrągły stan ziemi, wiadomość tę jednak jako misteryum traktowali, którą tylko w interesie swojej kasty starali się wyzyskać. Pozwalali oni umyślnie nieświadomemu ludowi poruszenia gwiazd jedynie za nieznaną grę błyszczących światła dostrzegać, które wedle ogólnie rozszerzonego zdania obracały się około ziemi, jako środkowego punktu wszystkich sfer.

Nauka o kołach współśrodkowych musiała im wkrótce stać się jasną, przez co, jak dzisiaj każda szkoła realna wyjaśnia, środek podany został, by nieznaną obwód kuli ziemskiej wynaleźć przez znane punkta obwodu nieba, i podług ilości stopni linii południkowej pozwalała się oznaczyć z dokładnością cała objętość. Teraz szczęśliwy geniusz wziął otrzymaną średnicę ziemi za skalę i nakreślił śmiałą ręką niezmierzone obwody nieba. Za tą skalą podniósł się potem człowiek aż do odległości gwiazd, i rzucił się w przepaści przestrzeni i czasu. Ziemia przestała dla niego być środkowym punktem stworzenia.

Substancya słońca z powodu swego działania na ciała ziemskie uważaną była jako czysty i zasadniczy ogień, za punkt środkowy i zbiornik ognistego, oświecającego płynu, który pod nazwiskiem eteru, cały świat nappełnił i jest pierwotnem źródłem wszelkiej siły życia. Było się więc bardzo blisko by mechanizm wszechświata, wziąć za mechanizm równogatunkowej całości,

którego części nawet rozdzielone, stały z sobą w ścisłym pokrewieństwie. Kapłani-astronomowie, wywnioskowali ztąd, że świat właściwie jest żyjącą istotą i poruszany jest przez organiczny obieg ognistego lub elektrycznego płynu, przyczem według analogii z człowiekiem i zwierzęciem, słońce jako środkowy punkt, jako serce wszechświata uważane było.

Nie może się nam dziwnem wydawać, kiedy z tych stosunkowo i w oczęści bardzo uzasadnionych poglądów, wkrótce się rozwinął panteizm, i rzeczywiście kapłani-filozofowie doszli podług rezultatów swoich wyż wzmiankowanych zapatrywań do wniosków: że nic w świecie nie ginie, że żywioły są niewzruszone, i że tylko ich skład a nie ich natura się zmienia; że życie i śmierć są tylko zmienionemi zjawiskami tego samego atomu, że w materji samęj leżą własności z których wszystkie inne rodzaje powstają i nakoniec że świat jest wieczny bez granic i miejsca lub czasu. Uważali więc wszechświat za Boga samego, ztąd uważali Boga jako istotę, która była zarazem działaniem i przyczyną czynną i bierną, poruszającym sprawcą i poruszaną rzeczą i niezmiennie przymioty miała za najwyższe prawo.

Przeciwno temu pojęciu rzeczywiście pozbawionemu Boga, powstawało jednak bardzo uczucie moralne, jak również i rozsądek, który nie dopuszczał, żeby w jednej naturze wszystkie przeciwne natury harmonijnie łączyć się mogły. Chwycono się więc wyjścia aby materje same w sobie, jako pozbawione ruchu przypuścić, że ich własności tylko przez szczególną siłę po-

łączone zostały. Ta siła była, według jednych, ognistą pierwiastkową materią jako sprawca wszystkich ruchów, wedle innych jednak jeszcze ruchliwszym i subtelniejszym płynem, eterem zwanym. Ponieważ zaś u wyższych organicznych istot, ludzi i zwierząt, technienie życia i ruchu duszą się nazywa, i ponieważ zawsze tylko przez porównanie, szczególnie z istotami ludzkimi się sądzi, więc dano poruszającą przyczynę całego wszechświata nazwisko *duszy świata*. Ponieważ teraz zgodnie z tym systemem, ożywczy duch we wszystkich istotach rozszerzony, napełniał życiem wielką masę świata, więc musiały także dusze wszystkich istot, jako część bóstwa być uważane, mając udział we wszystkich jego przymiotach, to jest niepodzielności, jedności, nieśmiertelności

Jak skoro tylko wyrobił się pogląd o duszy świata, musiano naturalnie na przyszłość ten wszechświat: niebo, gwiazdy, słońce, tylko za *maszynę* pospolitego rodzaju uważać, przez co ugruntowały się liczne nowe sofizmaty. Maszyna, powiadano, nie robi nic sama; musi ona mieć maszynistę, a ponieważ świat jest maszyną, to musiał być ktoś, który je zrobił. W ten sposób powstała idea o Demiurgosie, lub wielkim budowniczym wszystkich światów, i utrzymywano, że Demiurgos swoją maszynę zrobił według planu spoczywającego w jego rozumie, więc musiał także ludzki rozum na tej tak blisko prawdy prowadzącej drodze, dojść do paradoksalnych wniosków; przyjęcie mianowicie trzech stopni boskich osób: 1) Demiurgosa lub bożka maszynistę,

2) Logosa, to jest w Demiurgosie spoczywający najwyższy rozum, i po 3) ducha lub duszę świata, którzy trzy razem, ale tylko jako jedna istota uważane być mogły.

.....

Choć z pomiędzy słuchaczy hrabiego wielu i w wielu punktach być może byli zupełnie przeciwni wygłoszonym przez niego poglądom, nikt jednak nieośmielił się na zasadnicze podstawy Rooswala. Hrabia posługiwał się doskonale mu znajomym francuzkim językiem, i dwaj przypadkowo współjadący stenograf z Paryża, wpadli na myśl, by cały traktat tak mówcy jak i innych słuchaczy zebrać co do słowa. Ta szczęśliwa myśl ogólnie przyjętą została, i niektórzy panowie z radością zabrali się do pracy, wzniankowane stenograficzne znaki na nasze zwykłe pismo odcyfrować, która to nieco sucha praca przerywaną była wszakże tu i owdzie bardzo przyjemnie i pouczająco, krytycznemi dysputami. Takim sposobem bardzo szybko upłynęły dwa dni, między znanym nam odczytem hrabiego Rooswala, i przybyciem parowca pocztowego do Marsylii.

Tymczasem conte-Barberini coraz bardziej się zbliżał do hrabiego Rooswala i pozyskał sobie łaski w jego oczach. Hrabiemu bardzo była pożądana wiadomość, że Barberini miał w Marsylii niemłodą już siostrę i dla tego prędko się ułożono, że Signora Margerita przyjmie podczas wycieczki namiętnego badacza starożytności, miejsce damy honorowej przy hrabiance.

Biedna Fryderyka rzuciła na hrabiego Barberini wzrokiem pełnej najgłębszej wdzięczności, kiedy ją w jego obecności hrabia o ułożonym projekcie uwiadomił. Nabrała nowój odwagi. Barberini w całej téj sprawie tak zręcznie sobie postąpił, iż spodziewać się mogła, że wszystkim według życzenia pokieruje.

Skoro ukazała im się przed oczami Marsylia, hrabia Roosval, który urodził się na profesora, nie mógł się powstrzymać od skreślenia niektórych uwag nad charakterem i organizmem miejskiego życia. Jego myśli i poglądy tak były dokładne i nauczające, iż go obasypano ze wszystkich stron prośbami, żeby na ten temat coś powiedział, i tym sposobem godzinkę, jaka jeszcze pozostawała do przybycia do portu, by pożytecznie i przyjemnie przepędzić.

Hrabia nie dał się długo prosić i zaczął:

Różnica, jaką między budową miast i wsi dostrzegamy, nie jest wcale przypadkową lub dowolną. Różnica ta spoczywa najprzód na tem; że życie mieszkańców wsi jest daleko prościej uorganizowane jak po miastach. Wieśniak posiada na swojej łące, na swoim polu, w swój stajni i w domu prawie wszystko czego potrzebuje. Łączne budowanie mieszkań jest dla wieśniaków nie tak wielką potrzebą jak dla mieszczan. Ztąd mieszkańcy wioskowi budują swoje domy nie tak bardzo wysokie, ale leżą one raczej wzdłuż stawów i gościńców, tak, że każdy korzystać może z wody lub z gościńca, a jednocześnie blisko jest swego ogrodu i roli

Wsie mają więc bardzo prostą organizacją i małą dążność do skoncentrowania. W zasadzie są one długie i mało szerokie, tak, że przy małej ludności zawsze stosunkowo większą zajmują przestrzeń jak miasta.

Bardzo małe się zdarzają przypadki gdzie ma miejsce przejście od wsi do miasteczka i od tego ostatniego do miasta, ponieważ miasta zupełnie inne interesa mają, innych położeń szukają, a nawet zupełnie inne są geograficzne względy pod któremi miasto kwitnie wybornie, podczas gdy na tém samym miejscu wieś nie mogłaby egzystować. Jeśli jednak wieś jako zawiązek miasta uważać mamy, występuje powoli pierwiastkowo kierunek wzdłuż i boczne odnogi. Przy dalszym rozwoju wsi, miasteczek, które już mają w sobie niektóre miejskie żywioły, występuje zaraz w tworzeniu dwóch lub trzech ulic dążność do skoncentrowania, im bardziej się miasteczko na miasto wytwarza, tym bardziej przedstawia formę okrągłą. I dla czego to dążenie do płaszczyzn więcej okrągłych? Ponieważ jedyną formą jest osiedlenia w którym punkt jest możliwie blizkim dla wszystkich innych punktów, i w którym stąd mieć może miejsce największe życie i zespolenie interesów. Potrzeba więc wewnętrznych stosunków i obrony, powoduje iż od dawna miasta przybierają formę płaszczyzn okrągłych.

Powiększenie się potrzeb, konieczny podział pracy, stąd wypływająca niemożebność wystarczenia pojedynczych dla samych siebie, wszystko to nadaje życiu

miejskiemu wybitne piętno i powoduje o ile można największe ścieśnienie domów, i o ile z położenia gruntu inaczej być nie może, wypływa dalej jakieśmy już powiedzieli, że każde miasto przybiera formę koła.

Centrum miasta jest zwykle także punktem gdzie ono powstało. W tym punkcie środkowym, leży zwykle kościół. Zamek otoczony w około wielkim na targ spożytkowanym placem. Ten punkt środkowy jest dla handlu we wszystkich kierunkach najbliższy, i ztąd zasada: im bliżej środkowego punktu miasto, właściwe siedlisko i dusza życia, tém większe jest ściśnienie domów i ludzi, tém droższy jest grunt. Z téj reguły wywiązuje się wszystko inne.

Ponieważ grunt o tyle jest droższy im bliżej leży środka, tém ulice tutaj są węższe i krótsze, tém więcéj domy w prawo i w lewo ograniczone, zato wszystko pcha się do góry i domy wąskie a wysokie. Dalej piękność i zbytek w budynkach, zawsze się spotyka w bliskości środka, a nie w odległych przedmieściach. Na końcu, samo się przez się rozumie, że im bliżej środka tém budynki są starsze. Dla tego to w miastach starych tylko w zewnętrznych promieniach spotykamy nowo pobudowane domy.

Ku zesłemu wiekowi nie stosunko wielki wzrost miast wyjaśnia się z wielkich korzyści *połączonej siły i podzielonej pracy*. Rodzina która samotnie i zdala od wielkiego życia handlowego mieszka, musi sama sobie wystarczyć. Każdy może wówczas być wszystkim i módz wszystko. Rzemiosła tedy i sztuki, zresztą wszystkie

zajęcia życia, pozostają przy rozproszonej ludności w kolébce i bez żadnego rozwoju.

Kilka rodzin, które padną na myśl, by swoje domy obok siebie budować, zaraz odnoszą z tego nierównie większe korzyści, jak ludzie pojedynczo żyjący. Mogą sobie pomagać wspólnie radą i czynem, są silniejsi przeciwko nieprzyjacielowi. Stanowią jednocześnie tylko wielki dom i mogą w tém ich zbiorowém życiu liczne zajęcia między siebie rozdzielać, z czego odnoszą wielkie korzyści, jednym słowem powstaje gmina, w której to zajęcie na tego, inne zajęcie na drugiego, przeniesione być może.

Co w pojedynczych mieszkaniach na wielkich przestrzeniach szukać trzeba, znajduje się w połączonem mieście w wyborze na małej przestrzeni. Z drugiej strony powstaje konkurencya pod względem dobroci i elegancyi. Napływ surowych produktów na targu czyni je tańszymi, a szybko zapewniona sprzedaż, umożliwia wielki ruch w rzemiosłach. Zajęcia wielkich i małych handlarzy w ten sposób lepiej także popłacają; nagromadzeni kupcy i przemysłowcy zwabiają także więcej konsumentów.

Miasto w tym względzie należy zupełnie tak uważać jak pojedynczego człowieka. Ten potrzebuje dużo ludzi do pomocy by swoje ciało ubrać, wyżywić i schować się pod jakimś dachem; podobnie i miasto potrzebuje wielu czynników, by swoje niezmierne potrzeby zadowolnić. Tutaj odnoszą się przedewszystkiem rolnictwo i hodowla bydła, w wioskach poblíž miast,

których główne zajęcie stanowi dostawa drzewa, mąki, cukru, jaj, mięsa, drobiu i t. d. Ludzie dla zadowolenia i przyjemności drugich, wyłącznie tylko w miastach się znajdują. Talenta i osoby, których powołaniem jest innych zabawiać, w wielkich tylko miastach znajdują pole dla swego wykształcenia i działalności. Ponieważ miastom zbywa na wolnej naturze, to rozbudza się w nich dziwna tęsknota za piękną naturą, zielonymi polami, łąkami i lasami na wsi. Miasta są więc matkami sentymentalności dla natury, która nawet na wsi jest nieznaną.

Miasta otoczone są zawsze niezliczoną liczbą wiejskich przyjemności rozmaitego charakteru, by sobie wynagrodzić za to, czego odmawia im bruk ulic, miejskie powietrze, i wysokie mury. Wieśniak przeciwnie ma naturę w pełni, i może jęj w każdej chwili używać, choćby nawet często pomimowoli. Biedny zaś mieszczanin, przykuty do swego stolika pracy, do sklepu lub warsztatu, i formalnie przylepiony do owych murów, musi dobrze nałamać sobie głowy, jak użyć kawałka natury jaki ma pod ręką. Z tęg to dążności mieszczan, powstaje zamiłowanie kwiatów i sztuka ogrodnicza, dwie piękne córy życia miejskiego. Czarodziejskie ogrody Szyrasu i Damaszku, leżą właśnie pod wielkimi miastami. W całej Rosyi żadne miasto nie daje spostrzegać tyle godnych podziwu zakładów ogrodniczych, co zimny Petersburg. Istotnie, na wsi nigdyby nie przyszła nikomu wyrafinowana myśl, by w Babilonie dla braku miejsca, ogrody na dachach domów umieszczać.

Zebrane w około hrabiego towarzystwo wpadło odrazu w ożywione poruszenie. Kilku ze słuchaczy przypadkowo skierowali spojrzenie ku miejscowości, do której już tuż prawie przybyli. Pomimo wolnie widok Marsylii wywołał w nich okrzyk podziwienia. Pomimo że miasto samo jakby jakiś zamącony chaos się przedstawia, niezliczone jednak w około Marsylii na wzgórkach położone domy wiejskie, tutaj bastydami zwane, tworzą zupełnie odrębny obraz.

Liczba tych bastydów, jakimi Marsylia na ogromnej przestrzeni jest otoczona, wynosi wielką liczbę 10,000. Naturalnie pod względem wielkości i piękności, różnią się bardzo i tylko co do białej barwy, są wszystkie do siebie podobne, wszakże niektóre pomimo istotnej piękności, są bardzo skromne. I słusznie. Wystająć zwykle w części z pomiędzy myrtów, granatów i pinii, bastydy nie dążą wcale za blaskiem i przepychem. Tutaj się używa latem świeżego, morskiego powietrza i chłodnego cienia, o mieszkaniu samem myśli się na ostatku, gdyż potrzebne jest ono tylko do spania i dla ochrony przeciwko prostopadłym południowym promieniom nie zaś przeciwko zimnu i wilgoci. Większa część bastydów jest więc bardzo mała i zawiera zwykle prócz kuchni tylko dwa do trzech pokoi. Przy każdym domu, jest własny niewielki ogródek, i niema w nim żadnych szczególnych ozdób. Sadzą jarzyny i owoce, podczas gdy inne rośliny prawie dziko rosną.

Prowansalskie słońce, jakie świeci nad Marsylią, jest zupełnie inne jak nasze. Wysoko stoi ono na ciem-

no błękitnym horyzoncie, i żadna mgła, żadna chmurka, nie zatrzymuje jego prawie prostopadle błyszczących wszystko wypalających promieni. W lecie deszcz prawie nigdy nie pada, i cała wegetacya obumiera, dopóki obfita z poblizkiego morza, podnosząca się rosa wieczorna znowu jęj cokolwiek nieodświeży. W środku lata, niedostrzeżesz zielonego źdźbła trawy, liść na drzewie usycha, już ku końcowi Kwietnia, w Marsylii jest tak gorąco, jak w północnej Europie dopiero w środku Lipca jednak gorąco jest mniej duszące, gdyż ciągle wieje chłodny wiatr od morza. Już od początku Maja, zaczynają pokrywać płótnem dachy najpierwszych ulic Marsylii, gdyż promienie południowego słońca, w lecie są bardzo niebezpieczne, a nawet śmiertelne. W wyżej położonych zaś bastydach, gorąco nawet wśród dnia, jest znacznie łagodzone przez umiarkowany wiatr od morza, trwający od 10-jej z rana, aż do wieczora. Piękność letnich nocy, jest tutaj nie do opisanja, szczególniej kiedy księżyc w pełni świeci na czystem prawie czarno błękitnem niebie, z siłą o jakiej my tylko podczas najbardziej mroźnych nocy zimowych, możemy mieć słabe wyobrażenie.

Zimą i na wiosnę panuje tu jednak czasami, nadzwyczaj zimny wszystko niszczący mistrel, który dla osób chorowitych bardzo jest dotkliwym, a często nawet i niebezpieczny.

Z tęg okoliczności skorzystać postanowił Barberini, by biedną hrabiankę z Marsylii, do jakiego innego miasteczka Włozzech przenieść, jak tylko hrabia Roos-

wał odjedzie do Szwecyi, gdyż w Marsylii przypadkowo mieszkali różni znajomi, arystokratycznego uczonego. W Marsylii Fryderyka choć czasem musiałyby się spotkać ze swojemi ziomkami, i stan jej prędzej lub później nie mógłby zostać w tajemnicy.

Kiedy hrabia i jego córka zajęli hotel w Marsylii, pojechał on zaraz do Szwecyi jak to Barberini przepowiedział. Roosval ani chwili się nie namyślał co ma robić. Byłby chętnie pod jakim pozorem podróż do ojczyzny na dłuższy czas odłożył, ale ponieważ honor jego ukochanego przyjaciela młodości Runerstroma, zdawał się być mocno skompromitowanym kradzieżą wzmiankowanych już powyżej depesz, a on był w stanie niewinności obwinionego zupełnie dowieść; przeto odjazdu swego do Sztokholmu, ani na chwilę nie ociągał. Gdyby Runerstrom był w ojczyźnie, byłby mu sam usprawiedliwienie się mógł przesłać; niezmordowany jednak filolog włóczył się jeszcze ciągle po Mongolskich stepach, Bóg wie gdzie i jak, i jego ostatnie listy objawiały zamiar, teraz nawet przeniknąć w głąb Tybetu i tam pozostać ze dwa lata. Byłoby więc bardzo ciężko, być może nawet niemożliwem Runerstroma usprawiedliwić w zanesionem przeciwko niemu oskarżeniu w Sztokholmie, a Roosval za niedarowany grzech byłby sobie poczytał, zwoływać zasłużonego badacza dla rzeczy, którą on według wszelkiego prawdopodobieństwa, sam mógł na miejscu jak się należy załatwić.

Hrabia porucił więc swoją ukochaną córkę pieczy pani Barberini, która ogólnie najlepszej sławy uży-

wała i odjechał do Skandynawii, z góry się już porozumiewszy co do tego, że Fryderyka może wybrać na pobyt jakie miasto we Włoszech, na przypadek gdyby jej Marsylia nie służyła. Jednocześnie Roosval objawił zamiar nieopuszczenia Szwecyi przed późną jesienią, gdyby nawet jak się spodziewał, sprawa Runerstroma wcześniej pomyślnie była załatwioną. Chciał on, ponieważ już raz odbył odległą podróż, dojrzyć nieco swoje majątki i rezultaty żniw skontrolować własnymi oczami. Zarazem postanowił podług nakreślonego przez jego nadleśnego planu, jeden ze swoich wielkich lasów połączyć sztucznym kanałem z Wenerą, by drzewo tańiej jak dotąd sprowadzać do Sztokholmu, gdyż gdyby istotnie się rzecz wedle projektu mu przedstawionego załatwiła, dochody jego w jednej chwili by się podwoiły.

Z lekkim sercem widziała Fryderyka swego ojca już na trzeci dzień po przybyciu do Marsylii, odjeżdżającego do Szwecyi. Sama sobie nawet robiła wyrzuty z uczucia radości, któżby jednak biednej, uwiedzionej istoty choć w części nieusprawiedliwił? Już najdalej za 5 miesięcy owoce jej błędu, musiały ujrzeć światło dzienne. Hrabianka chętnie więc poszła za radą obojga Barberinich, by bezzwłocznie wyjechać z Marsylii, i czasowo udać się do Nicei, aż do wyszukania jakiego odpowiedniego małego miasteczka półwyspu, i tam zdala od świata „smutnego wypadku“ oczekiwać.

XXIV.

Sąd przysięgłych.

Piękny Izydor zamiar swój powzięty w Kairze, by rozkoszy Paryża użyć w całej pełni, istotnie doprowadził do skutku.

Przy bezmyślnej marnotrawności, z jaką młody Goldsztern swoje tysiące można powiedzieć przez okno wyrzucał, niepowinno nas dziwić, iż w nadzwyczaj szybkim czasie, znaczne jego pieniądze, skradzione serdecznemu przyjacielowi, wyczerpały się prawie do ostatka. Przybrał sobie w Paryżu tytuł hrabiego Frankenberga, a ponieważ istotnie umiał się znaleźć godnie temu tytułowi i robił wielkie wydatki, nikomu więc przez myśl nie przeszło, powątpiewać o jego stanowisku. Naturalnie trzymał się on zawsze zdaleka od wyborowej i oględnej w wybieraniu towarzystw rodowej arystokracji, która i tak dziwnie spoglądała na marnotrawnego, bogatego cudzoziemca. Pięknemu Izydorowi nic na tem nie zależało, iż salony prawdziwej *Haute volée* były przed nim zamknięte; tam przecież nie spodziewał się zadowolnić swoich cynicznych namiętności. Półświatek więc i domy gry jak dotąd w Wiedniu i Kairze zostały gruntem jego popisów, a jego służący Piotr, który mu towarzyszył z Egiptu do Paryża, umiał mu wskazać najlepszą i najpewniejszą drogę, do marnowa-

nia pieniędzy i resztek zdrowia. Naturalnie Piotr zбо-gacał się przy téj sposobności, gdyż był on w tajemném porozumieniu ze wszystkimi kurtyzankami, w jakich się kochał szalony chłopak i było nawet w jego intere-sie, żeby jego pan jak najprędzej się zrujnował, gdyż o tyle prędzej rozporządzić mógł całym dochodem z majątku przez trzecią rękę zebranego.

Dzięki podstępnyom radom niegodziwego Piotra, spostrzegł piękny Izydor, kiedy na początku miesiąca Maja 1860 r., obejrzał swoją portmonetę, że mu nie zo-stało więcej gotówki do rozporządzenia, nad skromne 40,000 guldenów. Z taką bagatelą, gdyby chciał dalej prowadzić dotychczasowy sposób życia, mógł w Pary-żu najwyżej jeszcze miesiąc wystarczyć. Z drugiej stro-ny brakło mu ochoty i odwagi, by żądać pieniędzy od matki swojej, o którą wcale się nie troszczył od chwili swéj ucieczki z Egiptu; zresztą nie mógł też od niéj wiele oczekiwać. Piękny Izydor ciągnął więc powiernika Piotra do rady, który też na wszystko miał sposób i gotową radę.

W Paryżu, myślał sobie wytrawny nicpon, zaczy-na się teraz sezon, w którym cały świat bogatszy wy-jeżdża na wieś lub w podróż. „Zróbmy więc i my to ostatnie i postarajmy się przy téj okazji zrobić jaki gru-by interes. Posiadamy jeszcze tyle pieniędzy, że mo-żemy przez lato niemi zarobić przeszło milion. Jak pan sprzeda wspaniałe meble swego mieszkania, swoje ele-ganckie ekwipaże i podziwiane przez wszystkich znaw-ców konie, doradzał chytry powiernik, będziesz pan

miał w ręku do rozporządzenia około 300,000 franków. Z temi pieniędzmi udamy się do Włoszech naprzykład, do Nicei lub Genui, i założymy tam na wielką skalę dom gry. Mam przyjaciela, który przez długie lata był krupierem w Hamburgu, i nakoniec umiał sobie w razie potrzeby „poprawiać szczęścia“ ha, ha, ha! Nie potrzeba było nigdy wiele trudu, by pięknego Izydora do złego czynu namawiać, i dla tego zaraz postanowił postąpić wedle rady Piotra. Sprowadzono krupiera o którym mówił służący, i kiedy ten pokazał kilka dowodnych prób swego talentu, zawartą została formalna umowa pomiędzy nim, młodym Goldsternem i Piotrem, który ten ostatni w tej chwili pozbył się swój roli służącego.

Przez kilka dni kiedy trwała wyprzedaż w hotelu mniemanego hrabiego Frankenberga. Krupier, który nazywał się kawalerem de Chateaubriand, a rzeczywiście był zbiegłym galernikiem nazwiskiem Chenu, otworzył formalny wyższy kurs sztuki, oszukiwania w grze. Posiadał on cały zasób znaków, i właściwą mowę oczu, by z utrzymującym bank, którego miejsce zajmować miał piękny Izidor, i pomocnicy mogli się ciągle tajemnie porozumiewać.

Pierwszy występ na tem polu oszustwa nikczemnej trójki, miał nastąpić w Livorus, gdyż tak Piotr, jak i mniemany kawaler, mieli tam dawnych znajomych, a nadto znali dobrze miejscowość.

Oczekiwania trzech szulerów, nie zostały bynajmniej zawiedzione. Interes, który założony został ko-

sztem przeszło 100,000 franków, w jednej z najpiękniejszej Willi, w pobliżu miasta handlowego, szedł dobrze nad wszelkie spodziewanie. Jakiś Anglik i Rosyanka, oboje bardzo bogaci, zostali najnikczemniej ograbieni co do grosza, podczas gdy większa część innych graczy bajecznie wygrywała, przez co dla nowego przedsięwzięcia tak dzielna powstała reklama, że większa część tajemnych domów gry, przez jakiś czas stała zupełnie pustkami. Ale kiedy razu jednego nacisk graczy był na zbyt wielki, kawaler de Chateaubriant nagle odmienił rolę. Przypadek, że lichy gracz coś wygrał, był z każdym dniem coraz rzadszy, a wygrana mniejszych stawek była znaczna i do tego pewniejsza jak przedtem, gdyż trzej sprzymierzeńcy, tylko polowali na bogatych.

Uderzając, prawie niewytłomaczone szczęście tego domu gry, musiało nakoniec wzbudzić podejrzenie, i jacyś równie wprawni jak pan „kawaler“ oszuści, znaczną summę przegrawszy, odkryli pewnego wieczora całe występne postępowanie, łotrowskiej trójki. Piotr i mniemany pan Chateaubriant zdołali umknąć w porę, zebrawszy ze sobą po brzegi napelnioną wspólną kassę, zostawiając towarzysza swego w jak najdrażliwszem położeniu. Piękny Izydor naturalnie wyszedł na tem bardzo źle; cała słuszną wściekłość oszukanych, spadła na jego głowę, lub raczej na jego grzbiet; przez cały miesiąc przecierpieć musiał skutki téj wściekłości w szpitalu Livorus. Odebrano mu co miał przy sobie z pieniędzy i kosztowności, i kiedy wyzdrowiał, wyszedł

ze szpitala bez grosza w kieszeni, w podartym ubraniu daleko nędzniej jak ostatni żebrak z ulicy.

Spodziewał się on z każdym dniem, że mu towarzysze jego cokolwiek chociaż przeszłą z udziału jego we wspólnej kassie, ale ci lotrzy myśleli tylko o sobie; byli tyle czelni, iż wcale się nie kłopotali o swego dotychczasowego towarzysza.

W tym prawdziwie rozpaczliwem położeniu, które młodemu marnotrawcy piekłem na ziemi zdawać się musiało, postanowił napisać do Wiednia, do firmy Goldstern. Byłby wolął odnieść się do swojej matki, ale nie wiedział gdzie się teraz znajduje.

Oczekiwanie jego pomocy z Wiednia, nie zostało zawiedzione. Odwrotną pocztą otrzymał awizacyą na 3,000 franków. Dołączony jednak do pieniędzy list, zawierał w sobie bardzo gorzki przysmaczek. Najprzód list był podpisany przez znajdującego się już w Wiedniu Fellnera i powtórnie mieścił w sobie w szerokich kategoriycznych słowach wezwanie, żeby pan Izidor Goldstern zaraz do Wiednia powracał i także poddał się warunkom, jakie mu podyktuje doktor Fresser.

„Dołączająca się sumka, stało na końcu listu, jest więcej jak dostateczna do przyzwoitego się wybrania, i przyspieszenia podróży do Wiednia. Najdalej w przeciągu tygodnia, oczekuje się pańskiego przybycia, do miasta cesarskiego. Jeśli pan ten termin przekroczy, przedsięwzięcie rada famlijna bezzwłocznie drogą dyplomatyczną przymusowe wydanie pana, gdyż winno

być panu wiadomo, iż sądowe uznanie pana marnotrawnym już nastąpiło“.

Piękny Izydor pienieł się ze złości. W tej chwili czuł się on w stanie świat cały, nie wyłączając swęj ukochanej matki, zamordować z pełnem rozkoszy okrucieństwem. Wprawdzie w pierwszćj chwili nie był zdolny, stanowczo coś postanowić o swojćj przyszłości, ale to jedno stało mu jasno przed oczami, że dobrowolnie i bezwarunkowo ma powracać do Wiednia. Teraz, kiedy tak długo prowadził życie niezależne i pełnemi rękami wyrzucał złoto, nieznośną mu się wydała myśl, iż ktoś się nim będzie opiekować, trzymać go w jarzmie domowćj karności, i służyć będzie za pośmiewisko dawnym swoim arystokratycznym towarzyszom sportu. Wolałby raczćj rozbójnikiem i mordercą zostać, i skończyć dni swoje na szubienicy.

Ponieważ jednak zdenerwowana natura, podobna tćj jaką obdarzony był piękny Izydor, nie odrazu się mogła stanowczo zdobyć na samobójstwo, wybrał więc inną dogodniejszą drogę, by swoje życie przedłużyć. W sklepie ubiorowym przystroił się znowu na eleganta i prościuteńko udał się potem na bahnhof do Livorus, by odjechać do Rzymu. Starał się tam o audyencyą u kardynała Antonellego, która mu została udzieloną. Po godzinnćj rozmowie z wszechpotężnym ministrem Jego Świątobliwości, osiągnął zupełnie swój cel.

Młody Goldstern w najlepszćj formie i ze znaczną pensyą objął obowiązki tajemnego ajenta kuryi papieżkićj.

Nie bez zręczności i powodzenia wywiązywał się piękny Izydor ze swego zadania, jednak zwrócił już na siebie podejrzenie „partyi ruchu“.

Wysoka rada „związku Orsiniego“ zebrała się zatem, by zdecydować o losie pięknego Izydora. Kara miała być zupełnie niezwykłą; straszną, jaką tylko wymyślić może bezwzględne okrucieństwo, lub najbardziej podniecona zemsta włoskiego charakteru.

XXV.

Ucieczka

Musiemy teraz powrócić do stóp szafotu, na którym biedny Ajgner miał życiem odpokutować swoją ucieczkę z papieżkiej armii, dla groźnego przykładu innym.

Położenie delikwenta było okropne; żelazo najwyżej na stopę w górę znajdowało się nad jego gardłem a nieznając Ajgner przyczyny, co je zatrzymywało w upadku, musiał on się w każdej chwili spodziewać, że podniesione ciężkie ostrze śmiertelne spadnie, teraz jednak, zamiast w jednej chwili położyć koniec jego cierpieniom, ciężkoby go tylko raniło, gdyż siła spadku była zbyt mała. Pomiędzy żuawami znajdującymi się przy egzekucyi, powstał wielki popłoch. Sierżant Ajgner był bardzo przez nich lubiany i w ogóle wyrok jaki dziś

pełnić miano, ganili jako zbyt surowy, szczególnież że w papieżkiej armii oddawna już miano stanowczą skłonność dla zbiegłych, czego by i dziś z połowa obecnych przy sposobności się dopuściła, jak to istotnie zdarzyło się w parę miesięcy później pod Castelfidardo.

Inkwizytor, któremu jako zwierzchnikowi świętemu Oficyum oddany był kierunek exekucyi, i który jak widzimy miał nieograniczone pełnomocnictwo, gdyż służyło mu nawet prawo przebaczenia, rzucił się wściekle ku szafotowi, by się własnymi oczami o przyczynie przekonać, która przeszkodziła upadkowi topora. Ze strasznem pełnem zemsty spojrzeniem przyglądał się przez chwilę katowi.

— Musisz to odpokutować, zdradziecki łotrze! grzmiało zawołał nakoniec inkwizytor; nie ujrzysz już więcej światła dziennego, do mnie żandarmi, aresztujcie go!

Kat, który dotąd zachował dziwną flegmę, schwytał silną dłoń inkwizytora, rzucił go na ziemię i przyłożył sztylet do piersi jezuity.

— Nędzniku! zawołał dziko kat: od lat dziesięciu czekałem na godzinę zemsty. Dziś jesteś nakoniec w mojej władzy, dziś musisz odpokutować za śmierć mojej żony, za stratę mego dziecka! Mów potworze, albo cię tu przebiję.

Ani jedno ramię się nie poruszyło, by dopomódz zagrożonemu inkwizytorowi, gdyż tymczasem wybuchł ogólny popłoch między ludem. Pomocnicy kata jednocześnie odwiązali delikwenta z rusztowania, co wywołało burzliwe okrzyki, wiwaty i brawa.

Powstał straszny nieporządek. Wszystko uciekało, i starano się ratować.

Już podczas rozpoczęcia burzliwej sceny, która powstała z powodu szczęśliwie niedoszłej karni, fałszywy padre Domingo zajmował się gorliwie Flodoardem, który w chwili, kiedy inkwizytor dał znak katowi, by sznur od topora odwiązał, upadł bezwładnie na ziemię. Udało mu się przywrócić księcia do zmysłów przez podanie mu do wążania silnych soli, które z ostrożności zawsze nosił. Widok Ajgnera, którego pomocniki karta właśnie od szafotu odprowadzali, dodał mu odwagi i energii. Zrozumiał on o co chodziło i zawiesił się na podanem ramieniu Del Lucca. Około 50 żuawów, którzy postanowili skorzystać z wybuchłego popłochu, otoczyli zbiega i robili sobie i jemu drogę z zamku Anioła przez słabą straż przy bramie, dla zwykłego przejazdu zamkniętej Porta Castello. Wprawdzie wojsko stało pod bronią nie śmiało jednakże stawić żadnego oporu.

— Do Katakumb, do katakumb! rozkazująco zawołał Del Lucca kiedy zdobyto wolne miejsce przed zamkiem Anioła. Czekają już tutaj kilku zaufanych przyjaciół agitatora. Del Lucca zrzucił teraz swój duchowny ubiór i przebrał się z zadziwiającą szybkością za żyda husyta, nadto uzbroił się w rewolwer i laskę ze szpadą, które to przedmioty wraz z ubraniem jego ludzie w pogotowiu trzymali.

W oddaleniu słychać było bicie w bęben, był to francuzki oddział piechoty, który na rozszerzoną wiadomość przez zbiegłych oficerów żuawów, że między

wysłanym na miejsce egzekucyi batalionem papieżkich wybuchł rozruch, podążał spiesźnie na pomoc.

Jak skoro się tylko przekroczy porta Castello, znajdujemy się już zewnątrz właściwych murów Rzymu.

Zbiegli więc bardzo oględnie wybrali tę drogę, zamiast głównej bramy, do ponte San Angelo; gdyż przez to wpadliby w środek miasta i z trudnością przyszłoby im dostać się do Katakumb, położonych z przeciwnej strony. Jednak szybkim krokiem zmierzali ku Vicola del Crocifisso, przeprawili się przez Tyber powyżej Campo Bovaro, poczem rzucili się w rozległe wspaniałe ogrody villi Borghese, w których jest tajemny, mało osobom znany wchód do Katakumb. Gdyby uciekający raz dostali się do tego wielkiego podziemnego miasta, wtedy mogliby szydzić ze wszystkich trudów swoich prześladowców, w najgorszym razie nawet byli w stanie oprzeć się choćby całej armii. Mądre obrachowania Del Lucca i jego towarzyszy zostały uwieńczone najlepszym powodzeniem. Jeszcze zanim wiadomość o tem co zaszło, ogólnie się rozeszła po mieście i cały garnizon, a nadto wszyscy zbiry i żandarmi stanęli w pogotowiu, nasi zbiegli dosięgli już szczęśliwie wielkiego parku willi Berghese, gdzie przez tak zwaną bramę egipską skierowali się do szczątków zburzonej przy oblężeniu Rzymu w 1849 willi Rafaele. Tu byli oczekiwani przez stróża parku, który wstrzymywał otwarte, wśród ruin znajdujące się ukryte drzwi, przez które można się było dostać do Katakumb, i kiedy ostatni męż-

czyzna wszedł w podziemie, posypano ziemię i żwir, tak, że każdemu niewtajemniczonemu, nagłe zniknięcie całego wojska, zupełnie niejasnem pozostać musiało. W samą rzecz papierkie zbiry, którzy w godzinę może później przy wojskowej pomocy przetrząsali cały park, napróżno łamali sobie głowy, gdzie się podziąć mogła na raz cała massa. O wzmiankowanym wejściu do katakumb myśleli najmniej, gdyż ta okoliczność dopiero od niedawna odkryta. Szacowna tajemnica strzeżoną była.

Rozległość zajmowanej przestrzeni przez Katakumby jest niezmierna; ich główny kierunek ciągnie się pod całym, na lewym brzegu położonym, Rzymem, mianowicie od porta Salaria aż do porta Ostiensis. Najprzód liczono 26 katakumb, z których jednak dziś tylko 12 jest dostępnych, gdyż przez obłamki skał i ziemi łączność pomiędzy niemi w wielu miejscach przerwana została. W dziejach Rzymu podziemne katakumby niegdyś wielką rolę odegrały.

Mianowicie byli to pierwsi chrześcijanie, którzy w katakumbach Rzymu tajemnie się zbierali, by tam oddawać się swojej śmiercią zagrożonej służbie Bożej. Prócz tego katakumby były grobami pierwszych Rzymskich chrześcijan, którzy uchylając się od przepisanego prawa palenia trupów, jako pogańskiego zwyczaju, tutaj w niszach bocznych korytarzy grzebali ciała zmarłych. Ponieważ zwiedzanie katakumb i grzebanie tam zmarłych pod karą śmierci było zakazane, musieli więc pierwsi chrześcijanie szczególnych dokładać ostrożności,

dla ukrycia w mowie będących swoich miejsc zebrań. Około owego czasu, kiedy prześladowanie chrześcijan najgroźniej wrzało, mianowicie w trzecim wieku, powstała większa część dziś jeszcze istniejących ukrytych w ogrodach i domach wchodów, i urządzenie systematycznego podziemnego labiryntu, by w razie kiedy przypadek lub zdrada naprowadzą na drogę, można było uciec którymkolwiek z wielu wejść. Wiele wzniosłych scen z męczeństwa chrześcijan odegrało się między temi nagimi wilgotnymi skalami, i powoli groby tutaj się znajdujące stały się przedmiotem cześci, i celem pobożnych pielgrzymów. Kiedy u Konstantyna wielkiego (324—337) r. po nar. Chr. ostatecznie zwyciężyło chrześcijaństwo nad bałwochwalstwem, katakumby straciły powoli swoje pierwiastkowe historyczne znaczenie. Jako kościoły nie były wcale, a jako miejsce grobów coraz mniej używane, a w IX wieku zupełnie o nich zapomniano. Do dziś dnia jednak zwolennicy dziejów chętnie odwiedzają katakumby, gdyż w znajdujących się tam licznych napisach, można znaleźć wiele wyjaśnień, na które naturalnie rząd papieżki dość krzywo spoglądał i w skutek tego utrudnia teraz o ile może zwiedzanie katakumb.

W ogóle do dziś dnia liczą 9 głównych grup katakumb, z których siedm chrześcijańskich, mianowicie katakumby świętych: Kaliksta, Nereusza, Pretekstata, Priscilli, Agnieszki, Sebastjana i Aleksandra, dalej jedna żydowska katakumba i tak zwana Mithras-katakumba, w której w pierwszym wieku po narodzeniu Chry-

stusa odbywało się jakieś mistyczne wschodnie nabożeństwo, co do którego wyjaśnienie bliższe byłoby bardzo szacowném dla pierwiastkowych dziejów ludzkości.

Tajemny korytarz, w którym zbiegli nasi znikli bez śladu w zburzonej willi Rafaelle, prowadził prosto do o dwie mile ztamtąd odległej katakumby św. Priscilli, jednej z najpiękniejszych i najstarożytniejszych.

Del Lucca jak jego ajenci mieli dokładne plany tych rozległych, podziemnych przestrzeni, tak, że w licznych zakrętach z łatwością się mogli orientować. Mieli zapalonych 12 pochodni, i tak podzielonych, iż cała grupa dość miała światła, by nikt nie zablądził w strasznej ciemności. Po blisko dwugodzinnym marszu; zrobiono nakoniec przystanek. Zbiegli znajdowali się teraz w samym środku katakumby św. Priscilli. Dwanaście kurytarzy w różnych kierunkach prowadziło do tego miejsca. Pieczara w której się znajdowano, była wysoka jak kościół, i mogła około 12 sążni wzdłuż, a 9 w szerokość wynosić. Przyniesione pochodnie umieszczono na ścianie.

Ogólne ach! zadowolenia dało się słyszeć. W środku pieczary leżał nagromadzony znaczny zapas chleba i szynki, a wielkich rozmiarów drewniane naczynia wina uśmiechało się przyjaźnie do spragnionych.

Del Lucca i jego ludzie stanęli w około tego zapasu, gdyż zbiegli zdawali się mieć ochotę wszystko chwycić odrazu, coby doprowadziło do krwawych targów i przy czém z pewnością przeszło połowa wina,

bezpomyślnie by się rozlała na ziemię. Ale Del Lucca umiał sobie na wszystko poradzić. Zbiegli musieli stanąć szeregiem w wojskowej postawie i każdy dostawał najprzód swoją porcję chleba i mięsa, a potem na każdym pięciu jedną cynową miarkę wina. Dzięki téj przeczności, po upływie pół godziny, wszyscy zbiegli byli do syta najedzeni i napici i nie dał się słyszeć ani jeden głos sprzeczki lub niezadowolnienia. Następnie postawiono strażę we wszystkich miejscach wchodowych, by niespodzianie nie być zaskoczonymi z téj lub owéj strony.

Teraz dopiero energiczny Del Lucca pomyślał o sobie i swoich bliższych przyjaciółach; książę siedział na ziemi obok Ajgnera, który już nieco przyszedł do siebie ze śmiertelnego strachu i forsownego marszu. Del Lucca zaproponował swojemu towarzystwu, by cokwadrans kontrolować wystawione w przejściach strażę, by która nie zasnęła, gdyż należało się obawiać, by papieżcy żandarini, wpadłszy przypadkowo na ślad, nie przedsięwzięli wycieczki do wszystkich katakumb. Nakoniec postanowiono w tém obecnem ukryciu przynajmniej ze trzy dni zabawić i następnie tajemnym wyjściem, do Campagna prowadzającym, znowu się na zewnątrz wydobyć. Chodziło więc teraz tylko, jakby się wymknąć zręcznie za papieżką granicę. Ale człowiek strzela, Pan Bóg kulę nosi. W następnym rozdziale przekonamy się, w jak nieprzyjemny sposób sprawdziło się to przysłowie dla naszych awanturników.

XXVI

Tajemny skarbiec.

Podczas kiedy uciekający przez całe dwadzieścia cztery godzin używali w swoim ukryciu odpoczynku i spokoju, coraz bardziej uczuwano potrzebę rozerwania się w jakikolwiek sposób w zimnym, wilgotnym i ciemnym schronieniu. Włosi, przeważni liczbą grali *a la mora*. Francuzi, wysławiali, naturalnie wzajem się na wyszyci okłamując, bochaterskie swe czyny w Algierze i Lombardyi, nareszcie ośmiu Niemców, zaimprowizowali sobie grę hazardową o swoje racje wina, przyczem tak dalece się unosili, że Del Lucca po kilkakrotnie widział się zmuszonym stawać między nimi z rewolwerem w ręku i grozić surowo, że pierwszego, który przeciwko swojemu towarzyszowi broni by użył, na miejscu zabije.

Ponieważ dezserterzy włoskiego pochodzenia oddani byli duszą i ciałem śmiałemu agitatorowi, nie potrzebował więc się niczego obawiać ze strony Francuzów i Niemców i zresztą zanadto był praktyczny, żeby wzajemnych narodowych nienawiści zbiegłych żuawów, którzy raz mu ślepo zaufali, nie zużytkować należycie w interesie karności.

Podobnież książę Cozenca, jak i jego przyjaciel i sługa, wczoraj tak ciężko doświadczony Ajgner uczu-

wali żywo potrzebę jakiegoś roztargnienia, by smutne rozproszyć myśli, gdyż jakkolwiek w téj chwili przynajmniej, uniknęli władzy kuryi papieżkiej, nie mogli się jednak wcale uważać za istotnie ocalonych. Nawet Del Lucca nie czuł się w duchu tyle bezpiecznym jak się wydawał, gdyż wiadomości jego agentów, których wysłał na „*świat górny*“, wcale nie brzmiały zadawalniająco. Z niezwykłą energią, rozważą i wytrwałością śledziła papieżka policya za tak zagadkowym sposobem znikłymi i wszystkie wskazówki naprowadzały, iż się prawie przekonano: że dezercerzy nie opuścili granic Rzymu.

Równie śmiały jak zręczny agitator nie zdradzał jednak żadną miłą ciężkich kłopotów jakimi się czuł przyciśniony. Najweselszym na pozór humorem opowiadał różne historyjki ze swego dziwnie ruchliwego życia, przez co na nowo ożywił zaufanie w swoich słuchaczach, gdyż człowiek który jak on setki już razy dowcipem i szczęściem wydobywał się z licznych i groźnych niebezpieczeństw, mógł i tą razą rachować na swoją dobrą gwiazdę, a człowiek tak chętnie zawsze myśli o tem czego sobie życzy. Dla odmiany również książę i Ajgner opowiedzieli niektóre szczegóły z ich życia, a ponieważ teraz ten rodzaj rozrywki głównie figurował, więc musiało się bardzo naturalnem wydawać że przyjdzie nakoniec kolej i na pana kata, który również tu uciekł od szafotu, ale dotąd unikał wszelkiego stosunku z naszymi zbiegami, i już od trzydziestu godzin w bocznej niszy zachował się zupełnie samotnie,

by coś ze swego życia opowiedział. Książę i Ajgner oddawna już pragnęli dowiedzieć się z jakich pobudek kat stał się zbawcą skazanego, i dla czego chciał swoje ręce zanurzyć we krwi inkwizytora. Książę już się na to przygotował, że człowiek ten może robić będzie trudności, i na skierowaną doń prośbę wprost odmówi. Na jego przyjemne zdziwienie podniósł się jednak zaraz signor Geronimo z próżnego nagrobka, który sobie w bocznej niszy za łóżko postawił, i wszedł w koło „podziemnej“ *haute volée*, która się teraz z siedmiu osób, mianowicie, z księcia, Ajgnera, Del Lucca, i czterech agentów ostatniego składała i obrała sobie główną kwartę w środku pieczary, mianowicie o ile można najbliżej zapasu żywności.

Ponieważ nie było wcale krzesel, Geronimo więc zajął miejsce w gronie siedmiu członków „komitetu dezertersów“ na jednym z wielu odłamów marmurowych, które kiedyś stanowiły część składową licznych grobów, przez obecnych jednak mieszkańców doskonale spożytkowane zostały w miejsce stołów i ławek.

Wiadomość, że kat teraz będzie opowiadać, obudziła ogólny interes, i Del Lucca zgodził się chętnie na prośbę, żeby wszyscy którzy nie stali tuż na straży, mogli stanąć w koło jako milczący słuchacze grupy.

Signor Geronimo z przyzwoitością i postawą, które zdradzały lepsze wychowanie, zajął przeznaczone dlań miejsce. Jego dotąd ponura mina złagodniała, a odpychająca surowość jego organu ustąpiła miejsca sło-

dyczy, której dotąd nikt by się nie spodziewał znaleźć w tem narzędziu krwi i łez.

— Nieokreślone jakieś przecucie, zaczął kat, gnio-
tło mnie w chwili kiedy wstąpił do tych przestrzeni
śmierci i zgnilizny, ale nie obawa śmierci napełniła
moje serce, gdyż wzdycham za chwilą, w której by się
skończył mój nędzny byt i stanąłbym przed tronem Bo-
ga. W tém uroczystem usposobieniu, w tym nieokreśl-
onym przedsmaku nieznanéj przyszłości ciążyło mi isto-
tnie kamieniem na piersiach, że może już z tem życiem
wypadnie się pożegnać, i w oczach wszystkich zostanę
godnem pogardy narzędziem sprawiedliwości, płatnym
parobkiem, który za hańbiącą zapłatę podnosi rękę na
kark swego bliźniego. A więc tysiączne dzięki, iż mi
się zdarza sposobność, opowiedzieć w krótkości histo-
rją swego życia, której poznanie wyrok panów zape-
wne o mnie złagodzi.

Urodziłem się, ciągnął dalej kat po krótkiej przer-
wie, w r. 1810 w Medyolanie i do trzydziestego roku
życia, urodzeniem jak świetnemi stosunkami i z pięk-
nej powierzchowności, należałem do najbardziej zwrac-
ających na siebie uwagę młodzieńców, jacy kiedykol-
wiek ujeżdżali ognistych rumaków na corso porta Orien-
tale lub San Francesco. Najpierwsze rodziny w kraju
miałyby sobie za zaszczyt, gdyby mogły przez związek
małżeński zaliczyć mnie do swego grona. Byłem jed-
nak zupełnie obojętny na wszystkie piękności naszéj
arystokracji. Serce moje dawno już zrobiło wybór.
Kiedy miałem zaledwie lat dwadzieścia i byłem jeszcze

prawie dzieckiem, oczarowała mnie Weronika, córka zacnego leoz bardzo ubogiego niemca, malarza, który przez uporeczywą chorobę oczu nie mogąc poświęcać się swój sztuce, w krótkim czasie znalazł się pod względem materyalnym w stanie bardzo oplakany. Wprawdzie Weroniki nie można było nazwać oślepiającą pięknoscia, ale słodycz jej kobiecego charakteru, niewinność w słowie i obejściu, tak właściwa niemkom i angiolkom, były klejnotami jakimi w zamian za bogactwa hojnie ją obdarzyła łaskawa matka natura. Zbliżyłem się do starego malarza Reinprechta, kiedym się starał z nim poznać, nie tyle pod przynależnym mi hrabiowskim tytułem, lecz jako uczeń sztuki, w której ojciec Weroniki wybornie kierowałby, gdyby wzrok coraz bardziej go nieopuszczał, jak to już wyżej wspominałem. Podobnie Weronika nie wiedziała o moim prawdziwym stanowisku i nazwisku i nawet się nigdy nie dowiedziała. Ona kochała zawsze tylko gorliwego ucznia swego ojca; bogatego hrabiego byłaby spotkała z nieufnością i jej ojciec, człowiek niezłomnej siły i nieposzlakowanej prawości, byłby mnie prawdopodobnie posądził o tajemny zamiar uwiedzenia i cierpko drzwi pokazał. Los jednak dopomagał do zachowania mego incognito, i kiedy ja miałem lat 30 a Weronika 23 zmarł nagle stary Reinprecht na apopleksyę, trzeba powiedzieć na swoje szczęście, gdyż już zubożał zupełnie, a mnie zawsze niepodobieństwem było w jaki bądź sposób przyjść z pomocą dumnemu i dziwacznemu starcowi. Również nie mogłem otrzymać jego przyzwolenia.

nia na małżeństwo z Weroniką. Żądał on, abym naj-
przód w sztuce malarskiej coś ważniejszego mógł zro-
bić, gdyż dotąd byłem w niej dyletantem i jedynie
portret Weroniki, który już z pięćdziesiąt razy przero-
biłem, mógł być nazwany dość znaczną pracą. Po
śmierci jednak Reinprechta postanowiłem bądź co bądź
ożenić się z Weroniką. Nie tłumacząc samemu sobie
jak i dla czego, odstąpiłem pewnego dnia ze zdziwie-
niem rodziny, moje prawo pierworodztwa bratu młod-
szemu za 300,000 lirwów które wydałem Weronice jako
niespodziany spadek, przybrałem następnie nazwisko
mojej matki bez przydomka, i zaślubiłem w cichości
ideał mego serca, po czem udaliśmy się do Apulii, gdzie
kupiłem piękną posiadłość i teraz przy boku mej pięk-
nej Weroniki używałem nieba na ziemi. Ale istotnież
byłem za szczęśliwy? Kiedy moja droga, ukochana żo-
na po upływie roku obdarzyła mnie dziewczynką, za-
czął mnie nawiedzać cały szereg nieszczęśliwych wy-
padków. Straszne trzęsienie ziemi, zniszczyło mój dom
i grunta; szkodę tę zniosłem jeszcze bez narzekania,
ale od tego czasu zaczęło się w gminie w której mie-
szkałem, wyrabiać złe usposobienie, względem mnie
i mojej rodziny. Proboszcz wioski umiał wmówić w za-
bobonny lud, że moja bezbożność jest jedynym powo-
dem klęsk, jakimi cała okolica tak ciężko dotkniętą
została, gdyż ja niedość gorliwie uczęszczałem do ko-
ścioła, a moja żona protestantka, kazała nadto ochrzcić
naszą córeczkę nie w katolickim obrządku. Około owe-
go czasu wybuchła po raz pierwszy zaraza na kartofle

i winną macicę, a nadto śnieć pokazała się na kukurydzy i zbożu. Dotąd głucha nienawiść ciemnego ludu wybuchła teraz płomieniem. Nasiona rzucone przez pobożnego proboszcza dojrzały, i wydały szatański owoc. Pewnej nocy rozwścieczona tłuszcza napadła mój dom, spaliła go na przeblaganie rozgniewanego bóstwa, i widocznie było zamiarem tych fanatycznych kannibalów, spalić żywcem mnie i moją rodzinę. Ale z energią rozpaczy uszedłem w świat trzymając na rękach moją córeczkę i prowadząc pod ramię żonę. Ach, gdybym raczej wraz z nimi znalazł był śmierć w płomieniach! Dzika horda ścigała nas przez całą godzinę. Z zadziwiającą wytrzymałością trzymała się silnie Weronika przy moim boku wpatrując się badawczo w swe ukochane dziecko, które spokojnie spało na moich rękach. Już uważaliśmy się za ocalonych, gdyż o 300 najwyżej kroków byliśmy od małego miasteczka Anita, gdzie obozował oddział żołnierzy, i tu mogliśmy rachować na opiekę przed naszymi prześladowcami. W tem uderza strzał i ja, ciężko w tył głowy raniony, padam bez życia na ziemię. Dlaczegoż musiałem się znowu obudzić?! Kiedy słońce było już wysoko na niebie, powróciłem nieco do zmysłów. Jakież straszny, przerażający widok ukazał się teraz oczom moim! Moje dziecko znikło a Weronika, biedna Weronika, leżała — język mi sztywnieje wymówić to słowo — tak ona, czysta, aniel-gka istota leżała — ha! Piekło tej nizezemnej bandzie — leżała zbezczeszczona na śmierć przy moim boku. Straciłem na nowo przytomność, która wróciła mi do-

piero po wielu tygodniach. Pierwsze moje wyjście było do grobu Weroniki. Tutaj złożyłem uroczystą, straszną przysięgę zemsty, okropnej zemsty; następnie zabrałem się do szukania mego dziecka. Odkryłem wprawdzie wkrótce pobyt jego w klasztorze zakonnicy, ale wszystkie moje usiłowania, by córkę moją ztamtąd wydobyć, pozostały bez skutku. Kiedy nakoniec z natarczywością obstając przy moim prawie, napadłem na przekupionego przez księży sędziego, kazano mnie obić i zesłano na sześć lat galer. Sądy N. króla Obojga Sycylii lubily w podobnych razach załatwiać się krótkim procesem, ha, ha, ha!

Biedny Geronimo nie mógł ze wzruszenia mówić przez chwilę; zgrzytał zębami i jego rysy twarzy kurczyły się z szaleństwa i nienawiści.— Nakoniec ciągnął dalej:

Cierpienia, jakich jako niewolnik na galerach doznałem, były nie do opisania. Pałałem żądzą pomścić hańbę mojej żony, moją hańbę. Kiedy mnie wypuszczono na wolność, chciałem w pierwszej chwili przyłączyć się do szajki rozbójników, zostać jej dowódcą, lecz nie dla tego by kraść i rabować, ale tylko by mordować, mordować wszystko co mi popadnie w ręce. Dobry mój geniusz jednak powstrzymał mnie w ostatniej stanowczej chwili od tego nieszczęsnego postanowienia. Żądza krwi, mojej łaknącej duszy, musiała być zadowolona. Udałem się więc w okolice Rzymu i zostałem katem. Na brak roboty od r. 1848 tutaj się nigdy nie skarżałem zapewne nigdy jeszcze

wykonawca sprawiedliwości nie spełniał swego krwawego urzędu z taką rozkoszą, jak ja to czynilem. Tak, wyznaję otwarcie, jeszcze wczoraj rano, kiedy ostatnią rękę do wzniesienia szafotu przyłożył, byłem niezdecydowany, czy mam danego sobie słowa dotrzymać. Ale na szczęście dla delikwenta, jednocześnie popadł mi w oczy signore Del Lucca i nadarzyła mi się sposobność, zemścić się na mym śmiertelnym nieprzyjacielu, i — zemściłem się, gdyż, widzicie moi panowie, inkwizytor któremu wczoraj wpakowałem sztylet w piersi, był nie kto inny, jak fanatyczny proboszcz z Apulii, który jako pierwszy sprawca ma na sumieniu stratę mego majątku, hańbę mej żony i porwanie mego jedyne go dziecka. — Teraz wiecie panowie prawie wszystko i spodziewam się, że wyrok wasz o mnie będzie nierównie pobłażliwszy, jakem mógł tego dotąd oczekiwać. Tymczasem jednak, panowie, pozwólcie mi napowrót wrócić do mej samotnej niszy, dla oddania się poważnym dumaniom. Sto siedmdziesiąt ośmiu ludzi dotąd, z rozkazu, wysłałem na drogę niepewnej przyszłości; tyle krwi, ile przelałem, zostawia sumienie moje w spokoju, ale morderstwo, jakie wczoraj popełniłem, tak, morderstwo to ciąży na moim sumieniu i może zbyt prędko tam w górze będę za niego odpowiadać.

Po tych słowach podinósł się signor Geronimo i cofnął się ze zwieszoną głową do swego samotnego ustronia. Nawet surowi żuawi spoglądali ze współczuciem za nieszczęśliwym, który dotąd jedynie bu-

dział w nich pewną obawę i wstręt, a wszyscy tak bardzo byli wzruszeni tem co usłyszeli, że przez kilka godzin zapomnieli o swych wesółych rozrywkach i w pojedynczych kółkach wymieniali półgłosem swoje uwagi nad signorem Geronimo.

Tymczasem nadeszła godzina rozdziału mięsa, wina i chleba. Zapasy były tak obfite, że wystarczyłyby jeszcze mogły na pięć do sześciu dni. Del Lucca był pod każdym względem nadzwyczaj przezorny człowiek; zastanawiał się właśnie nad możliwością dłuższego pobytu w katakumbach i dla tego o tem także swego dostawcę żywności powiadomił. Właśnie ostatni człowiek swoją porcyę otrzymał, kiedy jeden z agentów, którzy przed kilkoma godzinami wysłani byli dla zrekognoskowania „górnego świata,” wpadł zadyuszany i udzielił wiadomość, że żandarmi papieżcy i francuzcy szeregowcy szerokiem kołem otoczyli, całe górne grunta katakumb Priscilli — i widocznie mieli zamiar, jednocześnie zejść na dół w kilku punktach. Najdalej w pół godziny należało spodziewać się odwiedzin nieproszonych gości.

Wiadomość ta sprawiła wielki popłoch i zamieszanie, z którego nawet książę i Aigner nie mogli się zupełnie otrząsnąć.

Tylko Del Lucca i smutny Geronimo, który na powstały popłoch nadbiegł ze swego ustronnego zakątka, pozostali zupełnie spokojni.

Zamęt i krzyk robił się coraz większy. — Del Lucca kazał zapalić tymczasem wszystkie zapasowe

poходnie i wstąpił na wysoki nagrobek, z którego jak z ambony spoglądał.

— Spokojność! zawołał grzmiącym głosem; spokojność! Słuchajcie moich rozkazów, albo wszyscy jesteście zgubieni.

Przez chwilę było cicho, a na drugie wezwanie agitatora, stanęli dezertrzy w szeregu, podczas gdy Flodoardo, agenci, Aigner i Geronimo zatrzymali się w pobliżu zaimprovizowanej trybuny.

— Szczęście wasze, że kierujecie się rozumem! zaczął Del Lucca z zadziwiającą flegmą; spełniajcie szybko i dosłownie moje rozkazy, a ani jednemu z was włos z głowy nie spadnie. Miejcie się na baczności!

Kiedy się to działo, Del Lucca wszedł w niszę i nacisnął sprężynę. Bez wielkiej trudności i natężenia otworzył się teraz do wnętrza ogromny odłam skały. Ukazało się szerokich rozmiarów sklepienie, kiedy jeden z agentów pochodnią zaświecił. Teraz rozkazał Del Lucca, by szybko wszystko co się znajdowało około nich przenieść do tego ukrycia, by zatrzeć wszelkie ślady pobytu tam zbiegów. Przy tej pracy która zarówno prędko jak spokojnie wykonaną została. Geronimo brał udział bardzo czynny.

Czy są wszyscy, zapytał nakoniec Del Lucca.

— Tak, tak! rozległo się ze wszystkich stron, gdyż każdy oczekiwał z niecierpliwością chwili, w której ukryty odłam skały, napowrót się zamknie.

Na znak dany przez Del Lucca, zamknęli dwaj jego agenci skałę, która z zewnątrz tak dokładnie pasowała do reszty nieociosanego i popękanego kamienia, że nawet najbystrzejsze oko nie było w stanie odróżnić tutaj sztuki od natury .

W gorączkowym jednak pośpiechu, zapomniano zupełnie o biednym Geronimo, który ostatecznie czuwał na warcie w długim korytarzu, skąd najprawdopodobniejszym było przybliżenie się ścigających. Rzeczywiście zauważył on zaraz w oddaleniu coraz bardziej zwiększające się światelko, o którego znaczeniu nie można było mieć żadnej wątpliwości. To była latarnia przewodnika żandarmów.

Na tę przestrożę, pobiegł Geronimo z całych sił nazad do miejsca obozowiska, by ostrzedz o niebezpieczeństwie. Ale strach, co zobaczył! Odlam skały był już na swoim miejscu.

Geronimo przycisnął lewą ręką serce, a prawą czoło.

— Moje przeczucie! szepnął ponuro do siebie, tak, stoi na gwiazdach zapisano, abym już nigdy światła dziennego nieoglądał. Dobrze tedy! chcę umrzeć jako człowiek, a łaskawy Bóg pozwoli mi w krótkce ujrzeć jasne oblicze mojej Weroniki i mego dziecięcia.

Geronimo padł na kolana, i modlił się gorąco

Qui vive! (kto tam?) rozległ się nagle głos w bliskości. Tak bardzo się zatopił w modlitwie, iż wcale nie zauważył, że się pieczara powoli napelniła papieżkiem żandarmami i francuzkiemi kawalerzystami

Zapytany skoczył na nogi, i kilkoma skokami dosięgnął jednego z kilku korytarzy, które jeszcze nie odkryte zostały przez nacierających. Miłość życia pomimowolnie obudziła się w Geronimo.

— Zabijcie go! zawołał oficer prowadzący żandarminów. Pięciu ludzi pospieszyło ku ciemnemu korytarzowi, w którym znikł dawny kat i na traf razem dało ognia.

Rozległ się przerażający krzyk. Kiedy natychmiast z pochodniami podążono za głosem, znaleziono Geronima przeszytego trzema kulami, i już zupełnie bez życia. Przeczucie tedy go niezawiodło i życzymy z naszej strony z całego serca biednemu, tak mocno doświadczonemu człowiekowi, by się spełniły jego nadzieje w łaskę Boską, i żeby ujrzał swoich drogich.

Brak nieszczęśliwego Geronima wtedy dopiero przez dezertarów został zauważony, kiedy przez ścianę skał, usłyszano ponury odgłos strzałów.

Iustynkt zachowawczy powstrzymał od wszelkiego usiłowania, by pozukać zaginionego, powszechne jednak było zakłopotanie, gdyż jeśli Geronimo żywy popadnie w ręce napastników, być może wyda tajemnicę ukrytego odłamu skały.

Ta niepewność tak dalece stopniowo zaniepokoiła dezertarów, że nawet powaga Del Lucca nie była wystarczającą, by powstrzymać chęć przekonania się co się stało z biednym Geronimo.

Agitator więc rozkazał swoim agentom, postępować naprzód i trzymać się danych im przez niego

wskazówek. Wskazówki te zmierzały do tego, żeby dezertorów jeszcze ze dwie mile pod ziemią przeprowadzić, a następnie podczas mgły nocnej wyprowadzić na zewnątrz. Dla swój osoby, księcia i Ajgnera miał Del Lucca inny plan. Skinął więc spokojnie na obydwóch, by się jego trzymali i zamykali z nim pochód.

Kiedy nareszcie po dziesięciominutowym marszu, korytarz nagle zmienił kierunek, agitator zatrzymał się w miejscu, zagasił pochodnię i kazał dwóm swoim towarzyszom, by wzięli go pod ramiona.

— Nawet ci przed nami, szepnął Del Lucca do księcia, który właśnie miał na języku zapytanie co ma znaczyć to dziwne postępowanie, nawet ci bardzo prawdopodobnie przejdą cali, ale my trzej możemy sobie lepiej iść zupełnie bezpiecznie. — Wprawdzie mam zamiar dopuścić się czegoś, co mi wprost zakazuje przysięga na wielkiego majstra węglarzy; ale panów obu uważam za ludzi honoru i zdolnych do zachowania milczenia. — Słuchajcie tedy; chcę was wprowadzić do *tajemnego skarbcza* „młodych włoszech,” miejsca które wedle naszych statutów, może być znane tylko mnie i dwóm innym wysokim dygnitarzom naszego związku. Jeśli wam, przyjaciele moi, życie choć trochę jest miłe, nie mówcie nigdy, nigdy do nikogo w świecie, że wam to ukrycie jest znane. Nawet moja władza nie byłaby dość silną obronić życie wasze a nawet sam warunkowo bym swoje stracił. — A więc raz jeszcze — pomyślcie, iż wyjawię wam teraz niebezpieczną ta-

jemnicę i że życie lub śmierć wasza wisi teraz na końcu waszego języka.

Zamiast wszelkich zapewnień, książę i Ajgner wyciągnęli obie ręce do serdecznego uścisku, i znający się na ludziach Del Lucca, zupełnie przekonany, że przez tę prostą, niemą obietnicę obydwóch mężczyzn, więcej jest zapewniony, jak tysiącznemi przysięgam innych, podążył teraz w głęboką ciemność obocznego korytarza, odliczając jednocześnie półgłosem kroki.

Jesteśmy na miejscu, rzekł nakoniec, zapalił pochodnię, ukląkł i szukał następnie przez chwilę skurczony między ziemią i ścianą skały.

Jest, mruknął nakoniec pod nosem, zadowolony i wyciągnął rodzaj klucza szrubowego, który włożył w szczelinę skały i zaraz zakręcił. — Dalo się słyszeć warczenie i obrót koła zakończone po kilku sekundach gwizdnięciem.

Z łatwością popchnął teraz Del Lucca do środka ogromny kawał skały, użył do tego nie więcej siły jak do zwykłego wsunięcia szuffady. Mechanizm był w samej rzeczy wyborny. Kiedy agitator przeslizgnął się ze swemi towarzyszami przez tę „Sezanie, otwórz się,“ wprawił w bieg inne znowu koło, i z tą samą łatwością zamknął jedną ręką napowrót wchód tajemny. — Trzej mężczyźni znajdowali się teraz w jakimś przedsionku. Światło pochodni padło na wielkie, ciężkie drzwi żelazne. Del Lucca zajął się zaraz ich otworzeniem.

— Piekło i diabli! zawolał blednąc i kilka kroków wtył się cofając, kiedy otworzył i ujrzał jasno oświetlone wnętrze *tajemnego skarba*: któż by mógł przeczuć, że moi „sojusznicy“ właśnie się tu dzisiaj znajdują. Co tu teraz poradzić. Jakim sposobem będę w stanie uratować siebie i moich przyjaciół przed skutkami mojej płochości?!

XXVII.

Ostateczny środek.

Z listu, jaki piękny Izydor otrzymał w Livorno w imieniu firmy Goldstern, i w którym najmocniej wzywany był do natychmiastowego powrotu do Wiednia, można się zaraz domysleć, że matka jego w owym czasie znów znajdować się musiała w stolicy cesarskiej nad Dunajem. I w samej rzeczy tak było. Po ucieczce swego syna z Kairu, pani Goldstern okropnie się martwiła, że jej ambitne plany względem hrabiego Roosvaala i jego córki zupełnie spetzły, tem się zajmowała w téj chwili daleko mniej, jak kłopotami o swego niepoprawnego syna, który, jak mocno była przekonana, posiadane tajemnie pieniądze zdobyć mógł tylko przez jakiś czyn karygodny. Wszystkie wskazówki naprowadzały, że Izydor w mowie stojące pieniądze nie w podróży zdobył, ale jeszcze z Wiednia je wywiózł; można więc było przypuścić, że w Wied-

niu nawet przyszedł do wielu tysięcy, i że tam nawet odkrycie spełnionego przestępstwa nastąpiło.

Pani Goldstern widziała już w imaginacji swego zacnego synka w kajdanach i miłość macierzyńska spowodowała ją do zrobienia kroku, który jakkolwiek z przykrością, jednak z ostatniej potrzeby zrobiła. Napisała ona mianowicie jeszcze z Kairu do doktora Fressera, adwokata firmy Goldstern, długi, szczegółowy, i pełen prawdy list, w którym przedstawiła całe lekkomyślne postępowanie swego syna, i prosiła go, by dolożył wszystkich starań dla dowiedzenia się z kąd Izidor mógł dostać tyle pieniędzy, a następnie użył wszystkich możliwych środków dla odwrócenia smutnych następstw.

List ten przybył na całe dwa tygodnie przed panią Goldstern do Wiednia, ponieważ smutek i kłopoty przykuły ją przez kilka dni do łóżka, i z tego powodu musiała czekać na odchodzący parowiec z Aleksandryi do Tryestu.

Kiedy pani Goldstern przybyła do Tryestu, czekała już tam na nią od trzech dni, następna dość sucha odpowiedź, wzmiankowanego adwokata.

Łaskawa Pani!

List pani z połowy marca nie zawiera w sobie ani nowych, ani zadziwiających wiadomości, jednak jest dla mnie rzeczą zagadkową, z kąd Izidor mógł dostać tyle pieniędzy, chociaż w tym punkcie ajenci nasi robią już od dość dawna tajemne najenergiczniejsze poszukiwania. Do tej chwili jeszcze nie przedstawiono ani jedne-

go fałszywego, na firmę Goldstern ciągnionego weksłu, i ztąd domniemać plynie, iż syn pani nie tą, już dość często praktykowaną drogą, przyszedł do pieniędzy. Ponieważ, jak list łaskawej pani donosi, masz pani i tak przybyć do Wiednia, dalsze więc piśmienne szczegóły zdają mi się być zbyteczne i dla tego mam zaszczyt pozostać i t. d.

Ale i w Wiedniu nie dowiedziała się żadnych bliższych szczegółów pani Goldstern od chytrego adwokata, chociaż człowiek ten o miejscu pobytu i działaniach pięknego Izydora zdawał się być bardzo dokładnie powiadomionym.

Pani Goldstern nie śmiała opuszczać Wiednia, ciągle w pełnej nadziei, że przez doktora Fressera dowie się jeszcze jakich bliższych szczegółów o swoim synu. Ale miesiące upływały a Fresser był jak dotąd zamknięty. Nakoniec przybył znany nam już list Izydora z Livorno, w skutek którego otrzymał 3000 fran. na kosztą podróży, i wezwanie by wrócił do Wiednia.

Skoro Izydor jednak po trzech tygodniach nie tylko do Wiednia nie przybył, ale nawet jednej sylaby nie dał słyszeć o sobie, pani Goldstern z rozpaczą pojechała do Włosech, by szukać swego drogiego synalka, któremu w swój głupiej miłości dawno już z całego serca przebaczyła, i która mu teraz wszystko zapominając, ostatni grosz ofiarować chciała, co by kolwiek bądź z tego nastąpiło. Po dość gorącym rozstaniu się z doktorem Fresserem, i znajdującym się już po powrocie z Syberyi Felnerem, pani Gold-

stern odjechała do Włoszech. Dwaj ci panowie nie chcieli nianowicie ani na większą pensją się zgodzić, ani też odwołać prawnie już ustanowionej kurateli nad młodym Goldsternem, jak jego matka żądała, lub wreszcie udzielić jej jakichkolwiek szczegółów o nieznanym pobycie jej syna.

Dobrze tedy, pomyślała sobie pani Goldstern, dobrze, będę więc teraz działać na własną rękę i według mego zdania. Czyż jestem waryatką, że mi tak doskonała myśl od dawna już nie przyszła! Skoro wy, niekzemne sknery, nie chcecie mi dać dość pieniędzy, postaram się o nie, jak się Izydor dawniej starał i dla miłości honoru firmy Goldstern wykupicie również i moje fałszywe weksle. I czy to nie szczęśliwy traf, że m dnia dzisiejszego slyszała o znikłym od wielu miesięcy panu Scheuchenstejnje? Czyż nie jest to wskazówką losu, że właśnie teraz Teobald niedaleko od Rzymu przebywa? Pierwszy radą i czynem przyjdzie mi z pomocą, gdyż on mi może bardzo dopomódcz, a jak się dowiedziałam, nie świetnie powodzi się temu człowiekowi, a co się tyczy drugiego, to jest on, jako *ojciec*, obowiazany, nakoniec zakłopotać się o swego syna.

Pani Goldstern, jak już wiemy, kobieta bardzo energicznego charakteru, napisała bezzwłocznie list do pana Emila Scheuchenstejua, który ciągle jeszcze waleśał się po Londynie. Zaprosiła „brata Ligocryanina,“ by bezzwłocznie odwrotną drogą pospieszył do Rzymu i tam się z nią zobaczył. Jedno-

eześnie dołączyła do listu awizacją na 100 funtów sterlingów. Do Ferguzona niepisała jednak żadnego listu. Chciała swemu przyjacielowi młodości zrobić niespodziankę, gdyż podchlebiała sobie w swój kobiecój próżności, że jezuita istotnie będzie bardzo uradowany, skoro ją zobaczy.

Przybycie pani Goldstern do Rzymu, wypadło właśnie w owym czasie, kiedy piękny Izydor przedsięwziął już swoją podróż fatalną do Tortony. Prawie jednocześnie z nią przybył pan Scheuchenstjen do wiecznego miasta, gdyż czuła matka przepędziła dni kilka w Livorno, by tam zebrać dokładne wiadomości o losie swego kochanego syna, wiadomości, które wprawdzie nie bardzo pocieszająco brzmiały, ale w każdym razie o tyle były uspakajające, że młody Goldstern zdrowo się ztamtąd oddalił.

Master John Ferguzon, albo jak go dla zajmowanego w téj chwili w Rzymie stanowiska, właściwie nazywać musimy bardzo zacny pater Honorius, wcale nie był w sercu zadowolony z podwójnych odwiedzin starych znajomych, jakkolwiek nietylko dawną oblubienicę ale nawet swego jedyne go pomocnika Scheuchenstejna przyjął i po mistrzowsku udaną serdecznością. Do tego dzisiejsze jego stanowisko w Rzymie było bardzo nieprzyjemne.

„Czarny papież,“ jak pospolicie lud nazywa w Rzymie generała jezuitów, odwołał go z Niemczech, by osobiście odpowiadał przed najwyższym trybunałem zakonu, co do powtórnego niepowodzenia.

Jak wiemy jednak, żadna z jego szeroko rozpostartych intryg nie uwieńczona została takim skutkiem jak ta, przez którą księcia Cozenca duchowym niewolnikiem jezuitów uczynił, i w Falksztejnje miał założyć „gniazdo padalców“.

My, którzy na cały bieg wypadków wolni od uprzedzeń i wszelkiego zmysłu stronniczego patrzeliśmy, wiemy że zacnemu człowiekowi prawdziwie nie można zarzucić, aby namyślnie źle robił. Sędziowie jego jednak sądzili inaczej, gdyż żadnych nie mieli szczegółów o owych dziwnych, nieprzewidzianych wypadkach, w których tak chętnie widzimy łaskawą rękę Opatrzności, wybierającą właśnie agitatora Del Lucca i „zagadkowego nieznanego“ za swe główne narzędzia, a nawet niewinnemu pieskowi ważną rolę oddała, by zniweczyć piekielne zamiary uorganizowanej bandy złoczyńców.

Samo się przez się rozumie, że pater Honoryus bronić się musiał z całą zręcznością i z całą energią świętych swoich darów umysłu, i o tyle wskórał swoją obroną, że jego zwierzchnicy nie znaleźli dostatecznego punktu oparcia, by wskazać go jako winnego opieszalności i zdrady zaufania. Nie mniej jednak był i został w oczach swoich zwierzchników jednakowo ceniony i nawet już otrzymał wskazówki, iż mu udzielona będzie jezuitska missja do północnych Stanów Ameryki.

Wśród tych okoliczności, niepowinno nas dziwić, że humor i usposobienia przeznaczonego ojca Ho-

noryusa, nie były wcale różowe, i niemało musiał sobie zadać przymusu, by w mowie będących znajomych przyjąć po przyjacielsku.

Pani Goldstern tymczasem przyjmowała nadzwyczaj grzeczne obejście swego przyjaciela młodości, za dobrą monetę, tem więcej, że ojciec Honoryus z radością okazywał się gotowym do wyszukania pięknego Izydora, i przedsięwzięcia ze swój strony wszelkich możliwych w tym względzie środków, w rzeczywistości jednak zbywał tylko zawsze panią Goldstern próżnemi wybiegami, tak że w końcu bardzo zasadnie musiała zacząć wątpić w otwartość i dobrą chęć Ferguzona. Przeciwnie była ona z Scheuchenstejna daleko bardziej zadowolona. Ostatniemu powierzyła nawet swój zamiar, że się za pomocą weksłu na firmę Goldsterna postara o wielkie summy, a „brat Lignoryanin,“ który widział w tém dobry dla siebie interes, nietylko umocnił szaloną kobietę w występny zamiarze, lecz nawet oświadczył się chętnie ze swą pomocą. Nie dość na tem, on pierwszy odkrył pani Goldstern w sekrecie fałszywe postępowanie Ferguzona, mianowicie wskazał jej dowody, że jakkolwiek jezuita miał bliższe wiadomości o Izydorze, jednak umyślnie ukrywał się za płotem. Chytry Scheuchenstejn dowiedział się nadto przez znajomości, jakie z łatwością umiał zawiązać w gabiniocie Antonellego, z powodu dawnych swoich pobożnych stosunków, że młody Goldstern, przyjął obo-

wiązki papieżkiego tajnego agenta, ale od blisko trzech tygodni znikł bez śladu.

Wiadomość ta podziałała bardzo przygnębiająco na panią Goldstern, która teraz w boleści serca zranionego, postanowiła wszystkie dalsze względy odrzucić na bok, i bądź co bądź, dowiedzieć się, o losie swego syna. Dla tego uradziła z Scheuchenstejnem, iż ten nie tylko raz jeszcze złe wyrządzić, ale nawet mógł zarazem wiele kłopotu narobić zacnemu patrowi Honoryusowi, który go zawsze z mniejszą lub większą spotykał wyniosłością i zawsze używał go tylko za narzędzie.

— Cóż teraz, mój kochany panie Scheuchenstejn, zaczęła pewnego dnia pani Goldstern, kiedy świeżo otrzymała dowody dwujęzyczności Ferguzona, cóż mi pan radzisz? Położenie moje pod każdym względem zaczyna tutaj stawać się nieznośnem. Nie mogę się dłużej ociągać i muszę uciec się do ostatniego środka. Pieniądze moje kończą się, gdyż fałszywemu, niegodnemu Teobaldowi oddałam w dobrej wierze moje ostatnie tysiące, za co miał wyszukać Izydora; tymczasem on nic nie zrobił, tylko oszukał mnie i pokradł mi duże sumy. Bawi się on moją boleścią i prawie pewną jestem, że zawsze tylko podobnie sobie ze mną postępował. Teraz jednak tego gorzko pożałuje. Udam się do Antonellogo i błagać będę pomocy tego wszechwładnego człowieka, by syna mego na miejsce dostawił; nie będę przytem oszczędzać Teobalda, wyrodnego ojca; niech świat się dowie, jaki

to święty ten wychwalany ojciec Honoryusz. Wywołał zemstę pokrzywdzonej żony, boleść zrozpaczonej matki, a teraz powinien odpokutować za następstwa!

Pani Goldstern z całą surową powagą wypowiadała te groźby, które jezuitę zgubić by musiały w oczach jego zwierzchnika, gdyż bezogródkowe wiadomości oskarżycielki rzucały niezawodne niejake cienie ponure na całe poprzednie życie Ferguzona i wiele świetnych punktów jego ostatniego usprawiedliwienia zbladłoby, gdyby pani Goldstern wszystko, wszystko powiedziała, co jej wiadome było o działaniach jej jedyne go wielbiciela, mianowicie gdyby także wręcz wyjawiała stosunek, w jakim od przeszło dwudziestu lat znajdował się Ferguzon z małżonką starego księcia Cozency. Brat Liguorjanin byłby z radości wykrzyknął, skoro zauważył, że przez jego podstępne podszepty namiętność pani Goldstern do wysokiego stopnia pobudzoną została.

— Tak, moja pani kochana, odrzekł tonem pełnym namaszczenia, masz pani zupełną słuszność; musisz pani nakoniec uciec się do ostatecznych środków i sama się zająć odszukaniem biednego Izydora. Ale na tym nieszczęśliwym świecie wszystko kosztuje pieniądze, duże pieniądze, a ponieważ pani w téj chwili nie masz ich w ręku, to przedewszystkiem potrzeba się koniecznie o takowe postarać.

— Tak, rzekła pani Goldstern, przygryzając wargi i opierając na obu rękach swoją zamysłoną głowę, posiadam najwyżej 100 dukatów, a pensya moja

za następny kwartał przypada dopiero za dwa miesiące. Ten niegodziwy Fellner odmówiłby mi nawet wypłaty z góry.

Musimy więc sobie sami pomagać, prędko zakonkludował „brat Liguorjanin,“ co do tego *jak*, Bogu dzięki, już wiemy; chodzi tylko więc teraz o to, *kiedy* mam moje usługi w tym względzie ofiarować.

— Zaraz, jeśli się panu podoba, zawołała stanowczo pani Goldstern.

— Przezorność jest matką mądrości, rzekł śmiejąc się z właściwym sobie cynicznym tonem Scheuchenstein i wydobył z pugilaesu trzy weksle, jeden na 50,000, jeden na 100,000 i jeden na 200,000 franków. Wszystkie trzy ciągnione były na firmę Goldstern a podpisy naczelnika *per procura*, Felnera, po mistrzowsku naśladowane.

— Dla czego trzy weksle? zapytała pani Goldstern.

— Z przezorności łaskawa pani, odpowiedział chytrze się śmiejąc Scheuchenstein, — cała summa odrazu trassowana, wzbudziłaby może podejrzenie, i doprowadziła do telegraficznych zapytań, mianowicie z tutejszego banku, z którym firma Goldstern żadnymi bezpośrednimi stosunków nie utrzymuje. Ponieważ zaraz pieniędzy potrzebujemy, więc obmyśliłem w Rzymie tylko 50,000 franków zrealizować, zaś 100,000 w Livorno, a 200,000 w Neapolu, w których to dwóch ostatnich miastach firma ma zawiązane stosunki. — Łaskawa pani nie masz nic do czynienia, tylko

mi podług tego formularza napisać liścik, w którym pani mnie prosisz, bym pani zeskontował nadeszłe dziś z Wiednia weksle.

— Rozumiem, odrzekła pani Goldstern pogardliwie się uśmiechając. Tym sposobem pan głowę swoją wydobywasz z niebezpieczeństwa.

— Ależ moja droga! odrzekł bez namysłu brat Liguorjanin, moja głowa naraża się tu na niebezpieczeństwo, ale nie twoja. Czyż nie jest już przez nas ułożone, że pani pana Fellnera listownie uwiadomisz, iż działasz z własnej woli? Do pani co najwyżej napisze on niegrzeczny list, mnie zaś, gdyby wina mnie samemu tylko przypisaną być mogła, kazałby wprost przyaresztować. Muszę więc panią prosić, byś pani jednocześnie także list do przekłętego naczelnika firmy wystosowała, i mnie go oddała. Jak skoro tylko ostatni weksel szczęśliwie pójdzie, wysłę słodki bilecik, na który panowie Fellner i Doktor Fresser wyrzucać będą z siebie płomienie; ha, ha, ha!

— Cieszyłoby mnie to, gdyby tym dwóm tyranom biednej wdowy tego dokuczył! zawołała pani Goldstern z błyszczącymi ze złości oczami i usiadła do biurka, by przygotować żądane przez Scheuchensteina dwa listy.

Brat Liguorjanin schował trzy weksle i dwa listy, i gdy się do odejścia zabierał, rzekł:

— Jutro o tej godzinie przyniosę 50,000 franków; dziś już jest za późno; jutro odjeżdżam do Neapolu, a ztamtąd do Livorno, gdzie mnie pani ze-

chcesz oczekiwać za dni trzy, i zkład na serwo zaczniemy robić nasze poszukiwania za kochanym Izydorem. Dziś w wieczór radzę pani poszukać naszego przyjaciela ojca Honoryusza, i jemu otwarcie o nowym stanie rzeczy opowiedzieć. Pogróż pani mu o zamierzonej audyencji u Antonellego, być może pomówi z panią otwarcie i oszczędzi nam przez to wiele trudów i straty czasu. Jeśli tego nie uczyni, udaj się pani jutro z rana do Antonellego.

— Téj rady ściśle się trzymać będę! rzekła zdecydowana pani Goldstern; albo—albo!

— Tak, albo — albo! powtórzył zgadzając się brat Liguorjanin, i śpiesznie wyszedł, gdyż nie byłby dłużej w stanie ukrywać radości z udania się swego nikczemnego projektu, który zaraz w całej jego obrzydliwości poznamy.

Przedewszystkiem pośpieszył Scheuchenstejn do banku, gdzie bez trudności zrealizował weksel na 50,000 franków, następnie podążył poszukać ojca Honoryusza, któremu dosłownie wyjawił zdradziecko zamiary pani Goldstern, strzegąc się naturalnie dać w jakikolwiek sposób zauważyć, że on sam był jój doradcą.

Ferguson przestraszył się śmiertelnie, usłyszawszy zeznania Scheuchenstejna. Częste jego spotkania z panią Goldstern dały już zwierzchnikom powód do licznych uszczypliwych uwag. Ale równie nie mógł odmówić objawionemu życzeniu swój przyjaciółki młodości widzenia się z nią dziś wieczorem, jak nie był w stanie odpowiedzieć widokom pani Goldstern we

względnie odszukania jój syna, gdyż co do ostatniego, nawet naczelnik policyi papieżkiej był w zupełnej niewiadomości, gdzie nagle mógł się podziąć młody pan Goldstern. Ponieważ piękny Izydor podczas ostatniego swego pobytu w Rzymie znaczną sumnę zaciągnął na tajemne wydatki, to blizkiem było przypuszczenie, że lekkomyślny czyżyk nagle zmienił usposobienie swoje względem powierzonego mu miejsca w rządzie papieżkim. Pani Goldstern jednak byłaby za pewnienie ojca Honoryusza, że o niczem nie wie, wytłomaczyła sobie jako nowe podejście.

Brat Liguorjanin miał jednak tą razą przemyślnemu jezuitcie dobrą radą w kłopotcie dopomódz.

Ferguson przysłuchiwał się uważnie podszeptom Scheuchenstejna i nim jeszcze ten skończył, był już jezuita zdecydowany tak zrobić jak mu radził.

— Dobrze, mój kochany Emilu, rzekł ojciec Honoryusz, wyciągając rękę do pożegnania się z bratem Liguorjaninem, zgadzam się; dla mnie niema innego ratunku. Głupia wdowa zaprzysięgła się, że sama na siebie bierze nieszczęścia; postępuję, jak pan słusznie zauważyłeś, tylko dla koniecznej obrony.

Punkt o godzinie 10-ój w wieczór wszystko będzie w porządku; napisz pan tylko zaraz do pani Goldstern, by o téj godzinie oczekiwała pańskiego ukazania się na umówionym tarasie.

Po tych słowach szybkim krokiem oddalił się brat Liguorjanin, w duszy mocno uradowany że mu się udał ten szatański figiel.

— Całe pieniądze szeptał do siebie, należą teraz do mnie, kiedy tak chytry lis ze strachu teraz stracił głowę. Niechaj sam przyjrzy się jak się skończy ta ciekawa sprawa. Ba! cóż wreszcie ryzykuję przy tem. Odjazd jego do Ameryki jest już na pojutrze naznaczony. W nowym Jorku spotkam go znowu, i dowiem się o wyjeździe. Przedewszystkiem chodzi mi teraz o pewne przyrzeczenie przygotowania na wiadomym tarasie.

Scheuchenstejn pospieszył do najbliższego składu towarów żelaznych, gdzie kupił parę angielskich pilników stalowych. W kilka godzin później spotykamy panią Goldstern i ojca Honoryusza, przechadzających się razem niedaleko góry pincio na kilka sążni wysokim tarasie willi, która należała do Ferguzona.

Jezuita był słodszy i uleglejszy jak kiedykolwiek, tak, że pani Goldstern początkowo miała już zamiar wystąpić z przygotowaną przez siebie filipką. Schwycił po kilka razy z zapalem rękę swojej niegdys kochanki, i ponieważ stara miłość nigdy nie rdzewieje, więc zapomniała pani Goldstern, pomimo swego wzruszenia i zawziętości, na chwilę o właściwym celu tej schadzki. W ten sposób udało się jezuitce sprowadzić panią Goldstern bardzo blisko miejsca kraty tarassowej, gdzie zaledwie przed godziną brat Liguorjanin wypróbował dobroć kupionych stalowych pilników. — Ferguzon zdawał się teraz być zupełnie rozmarzony; słodko objął on szyję pani Gold-

stern, jakby chciał wycisnąć gorący pocałunek na jej czoło. Pani Goldstern przyglądała mu się zdziwiona. Lecz nagle wydała przeszywający krzyk, Ferguson swoją współniczkę winy mimowolnie przez taras popchnął, którego krata w tym punkcie licznie była przepiłowana. Ani jeden więcej głos nie dał się słyszeć z głębokości.

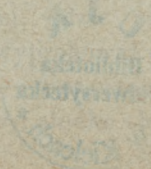
Tchórzliwy, podstępny zdrajca zrzucił się z tamtąd, jakby przez furę smagany, nie obejrzawszy się ani razu.

Koniec tomu trzeciego



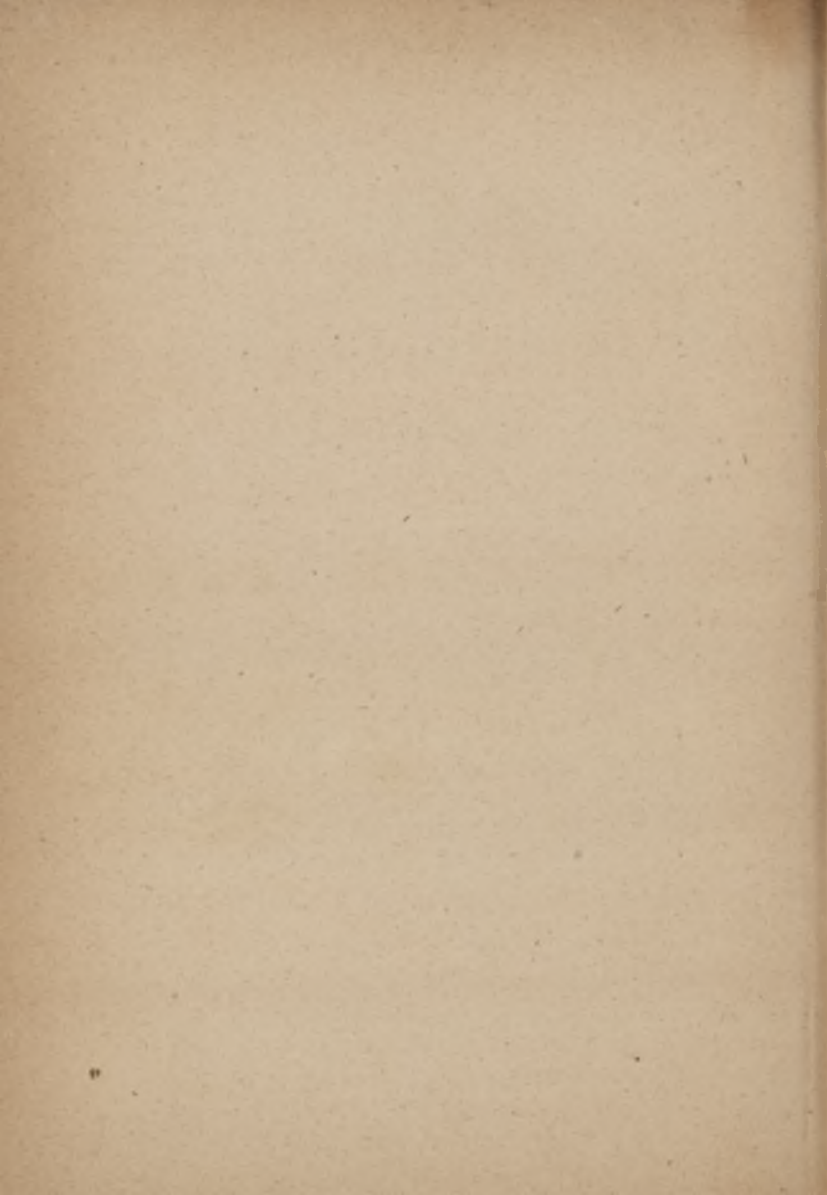
asen, jakby chorak wyznano Gortoy pocznik na 191
 ozole. Pani Goldstern przyglądała mu się zdziwo-
 na. Jacek nagle wydała przestawiony krzyk, jak
 kuzon swoje wspólne winy winowolnie przez za-
 sas pochodzi, którego krata w tym punkcie hoźnie
 była przybitwana. Ani jeden więcej kias nie dał
 się słyszeć z niepokoje.
 Teoretyczny dodatkowy chrzączk wznowił się znowu-
 sad jakby przez inne smagany, nie odeszkawany, się
 nie tani.

Koniec tomu pierwszy



Treść tomu III.

I.	Na sybir	3
II.	Rozbicie się okrętu	7
III.	Starzy znajomi	37.
IV.	Szpieg	50.
V.	Tajemnie	59.
VI.	Klatka z niedzwiedziami	74.
VII.	Przez pośrednictwo	84.
VIII.	Czarodziej.	108.
IX.	Kuracya ogniowa	128.
X.	Między ruinami	142.
XI.	W porę	159.
XII.	Ostrzeżenie	169.
XIII.	Zimne pożegnanie	196.
XIV.	Na śmierć i życie	210.
XV.	Osiedlenie z Caprery	229.
XVI.	Stary nowicyusz	244.
XVII.	Religijne rozmyślenia	263.
XVIII.	Judasz w liberyi	279.
XIX.	Ze stopia na sotpień	290.
XX.	Pogardzony rozkaz	312.
XXI.	Syrena	327.
XXII.	Na szafocie	348.
XXIII.	Duch opiekuńczy	360.
XXIV.	Sąd przysięgłych	388.
XXV.	Ucieczka	394.
XXVI.	Tajemny skarbiec	402.
XXVII.	Ostateczny środek	417.



Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472676